

JULIA

Alvarez

CZAS MOTYLI

SERIA KASZMIROWA

Julia Alvarez

Czas Motyli

Przełożyła Barbara Sieradz



Wołowiec 2014

TYTUŁ ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO IN THE TIME OF THE BUTTERFLIES

PROJEKT OKŁADKI KRZYSZTOF RYCHTER
FOTOGRAFIA NA OKŁADCE © BY MAŁGORZATA MAJ / ARCANGEL IMAGES
PROJEKT TYPOGRAFICZNY ROBERT OLEŚ / D2D.PL

COPYRIGHT © 1994 BY JULIA ALVAREZ
COPYRIGHT © FOR THE POLISH TRANSLATION BY BARBARA SIERADZ, 2014

REDAKCJA ALICJA LISTWAN / D2D.PL
KOREKTA EMILIA MIGOCKA / D2D.PL, ANNA BRYNKUS-WEBER / D2D.PL
REDAKCJA TECHNICZNA I SKŁAD ROBERT OLEŚ / D2D.PL

KSIĄŻKĘ WYDRUKOWANO NA PAPIERZE CREAMY 70 G / M², VOL. 2,0
DYSTRYBUOWANYM PRZEZ PAPERLINX SP, Z 0.0.

ISBN 978-83-7536-693-8

WOŁOWIEC 2014, WYDANIE I
ARK, WYD. 16,2; ARK, DRUK. 26

BLACK PUBLISHING
WOŁOWIEC 11, 38-307 SĘKOWA
REDAKCJA: REDAKCJA@BLACKPUBLISHING.PL
SEKRETARIAT: UL. KOŁĄTAJA 14, M.P., 38-300 GORLICE
TEL. +4818 353 58 93, FAX +4818 352 04 75
SEKRETARIAT@BLACKPUBLISHING.PL
PROMOCJA: PROMOCJA@BLACKPUBLISHING.PL

DRUK I OPRAWA: WZDZ - DRUKARNIA LEGA
UL. MAŁOPOLSKA 18,45-301 OPOLE, TEL. +48 77 400 33 51

Dla Dedé

In memoriam

PATRIA MERCEDES MIRABAL
27 lutego 1924-25 listopada 1960

MINERVA MIRABAL
12 marca 1926-25 listopada 1960

MARIA TERESA MIRABAL
15 października 1935-25 listopada 1960

RUFINO DE LA CRUZ
10 listopada 1923-25 listopada 1960

I

1938-1946

ROZDZIAŁ 1

Dedé

1994 i około 1943

Oczyszcza strelicję z obumarłych łodyg, wychylając się zza rośliny za każdym razem, gdy słyszy samochód. Ta kobieta nigdy nie znajdzie starego domu stojącego na zakręcie nieutwardzonej drogi, ukrytego za tworzącym wysoki żywopłot krzewem hibiskusa. Nie ta *gringa dominicana** w wynajętym aucie, z mapą drogową, pytająca o nazwy ulic! Tego ranka w muzeum zadzwonił telefon do Dedé.

* *Gringa dominicana* (hiszp.) - pejoratywne określenie Dominikanki mieszkającej w Stanach Zjednoczonych. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

Kobieta w słuchawce pytała, czy mogłaby przyjechać, żeby porozmawiać o siostrach Mirabal. Pochodzi stąd, lecz od wielu lat mieszka w Stanach, dlatego przeprasza, ale nie mówi biegle po hiszpańsku. Siostry Mirabal nie są tu znane, za co również przeprasza, ponieważ to prawdziwa zbrodnia, że te niedocenione bohaterki podziemia zostały zapomniane, i tak dalej.

Masz ci los, następna. Teraz, po trzydziestu czterech latach, obchody, wywiady i ceremonie wręczania pośmiertnych medali prawie się skończyły, tak że czasem kilka miesięcy z rzędu Dedé może się zająć własnym życiem. Jeśli chodzi o listopady, już dawno pogodziła się ze swoim losem. Każdego roku, kiedy zbliża się dwudziesty piąty, przyjeżdżają ekipy telewizyjne. Nagrywają obowiązkowy wywiad. Potem wielka uroczystość w muzeum, delegacje nawet z Peru i Paragwaju - gehenna z przygotowywaniem tyłu koktajlowych kanapek, w dodatku siostrzeńcy i siostrzenice nie zawsze zjawiają się na czas, żeby pomóc. Ale teraz jest marzec, *María Santísima*! Czy nie przysługuje jej jeszcze siedem miesięcy anonimowości?

- Może dziś po południu? Później jestem umówiona - kłamie przez telefon Dedé. Musi. W przeciwnym razie jej rozmówczyni będzie brnąć dalej i dalej, zadając coraz bardziej impertynenckie pytania.

Dedé, dosłownie zalana powodzią wdzięczności płynącą z drugiej strony słuchawki, nie potrafi powstrzymać uśmiechu, słysząc, jak ta kobieta kaleczy hiszpański importowanymi zwrotami, które nie mają najmniejszego sensu.

- Jestem taka zobligowana - mówi - otwartością pani ciepłego przyjęcia. Zatem jadąc z Santiago, przejeżdżam przez Salcedo? - dopytuje.

- *Exactamente*. A potem, kiedy zobaczy pani wielkie drzewo pieprzowe, proszę skrócić w lewo.

- Wielkie... drzewo... pieprzowe - powtarza kobieta. Notuje to wszystko! - Skręcam w lewo. Jaka jest nazwa ulicy?

- To po prostu ulica za drzewem pieprzowym. Nie nazywamy ich - wyjaśnia Dedé, zmuszona do bazgrania po kartce, żeby nie zdradzić się z ogarniającym ją zniecierpliwieniem. Na tylnej stronie koperty zostawionej obok muzealnego telefonu naszkicowała ogromne drzewo, całe pokryte kwiatami, z gałęziami chowającymi się za brzegiem papieru. - Większość tutejszych *campesinos** nie potrafi czytać, więc na nic by się zdało nazywanie ulic.

Kobieta śmieje się z zakłopotaniem.

- Oczywiście. Musi pani myśleć, że jestem *tan afuera de la cosa***.

* *Campesinos* (hiszp.) - chłopci, rolnicy.

** *Tan afuera de la cosa* (hiszp.) - jakże niezorientowana (dosł. poza sprawami).

Dedé przygryza wargę.

- Ani trochę - kłamie. - W takim razie do zobaczenia po południu.
- O której godzinie?

A, tak. Gringos potrzebują określenia czasu. Ale zegary nie potrafią przecież wskazać właściwego momentu.

- Jakoś po trzeciej albo trzeciej trzydziści, czwartej.
- Aha, czas dominikański? - zauważyła ze śmiechem kobieta. W końcu zaczyna rozumieć, jak się tutaj żyje.

- *Exactamente!*

Po odłożeniu słuchawki na widełki Dedé rozbudowuje system korzenny drzewa, cieniuje gałęzie, a następnie, dla samej przyjemności, otwiera i zamyka kopertę, żeby zobaczyć, jak drzewo łamie się wpół, a potem znowu łączy w całość.

Siedząc w ogrodzie, Dedé ku swojemu zdziwieniu słyszy informację dobiegającą z radia stojącego w zewnętrznej kuchni, że jest dopiero trzecia po południu. Czas niecierpliwego oczekiwania, rozpoczęty po lunchu, zapełniła uprzątnięciem połaci ogrodu, którą Amerykanka będzie mogła zobaczyć z *galería*. * To właśnie dlatego Dedé niechętnie udziela wywiadów. Zanim zdąży się zorientować, już porządkuje swoje życie tak, żeby przypominało wystawę opatrzoną klarownym napisem adresowanym do wszystkich potrafiących czytać: „SIOSTRA, KTÓRA PRZEŻYŁA”.

* *Galería* (hiszp.) - weranda.

Zazwyczaj, jeśli dobrze to rozegra - poda lemoniadę cytrynową z owoców drzewa posadzonego przez Patrię i szybko oprowadzi gości po domu, w którym dziewczęta dorastały - odchodzą usatysfakcjonowani, nie zadają drażliwych pytań, kiedyś potrafiących sprawić, że Dedé tygodniami pogrążała się we wspomnieniach, szukając odpowiedzi. „Dlaczego - pada nieuchronne, choć wyrażane na różne sposoby pytanie - dlaczego akurat ty przeżyłaś?”

Pochyla się nad swoją wyjątkowej piękności orchideą, którą przed dwoma laty przeszmygowała z Hawajów. Przez trzy lata z rządu

Dedé była nagradzana wycieczką przyznawaną w jej firmie pracownikowi, który osiągnie najlepsze wyniki sprzedaży. Jej siostrzenica Minou nieraz zwracała uwagę na ironię kryjącą się w nowej profesji Dedé, którą zaczęła się trudnić dziesięć lat temu, po rozwodzie. Jest najlepszą ubezpieczycielką w firmie. Wszyscy chcą kupić polisę od kobiety, która nie zginęła razem ze swoimi trzema siostrami. Czy może coś na to poradzić?

Podrywa się na dźwięk trzaśnięcia drzwi samochodu. Udaje jej się uspokoić i wtedy zauważa, że ucięła swoją zdobyczną orchideę. Podnosi opadły kwiat i z grymasem na twarzy przycina łodygę. Być może to jedyny sposób na oplakiwanie wielkich strat - po kawalku, szczyptami, małymi łyżkami smutku.

Ale, doprawdy, ta przyjezdna powinna była mniej agresywnie zamknąć drzwi samochodu. Oszczędzić nerwów starzejącej się kobiecie. „I nie jestem jedyna - myśli Dedé. - Każdy Dominikańczyk pewnego pokolenia podskoczyłby na ten dźwięk wystrzału z pistoletu”.

Szybkim krokiem oprowadza kobietę po domu.

- Pokój mamy, następny mój i Patrii, ale głównie mój, ponieważ Patria bardzo młodo wyszła za mąż. Dalej pokoje Minery i Marii Teresy. - Nie mówi, że kolejny pokój należał do ich ojca, po tym, jak on i mama przestali spać razem.

Pokazuje trzy ulubione zdjęcia dziewcząt, teraz drukowane na plakatach każdego listopada, co sprawia, że te niegdyś intymne portrety wydają się zbyt sławne, by mogły przedstawiać siostry, które znała.

Postawiła jedwabną orchideę w wazonie na stoliczku pod zdjęciami. Wciąż czuje się winna, że nie podtrzymuje zwyczaju swojej mamy, która oddawała cześć pamięci dziewcząt, przynosząc codziennie świeże kwiaty. Prawda jest jednak taka, że kiedy się pracuje, opiekuje muzeum i prowadzi gospodarstwo, nie na wszystko starcza czasu. Trudno jednocześnie być nowoczesną kobietą i pielęgnować

stare sentymenty. Poza tym dla kogo właściwie była ta świeża orchidea? Dedé spogląda w górę na młode twarze i widzi tam siebie w wieku, za którym najbardziej tęskni.

Kobieta zatrzymuje się przed portretami, a Dedé czeka, aż padnie pytanie o to, która jest która albo w jakim były wieku, kiedy zrobiono to zdjęcie. Odpowiedzi na takie pytania Dedé ma na podorzędziu, zważywszy na to, ile razy je dawała. Zamiast tego zabląkana chudzina pyta:

- A gdzie pani?

Dedé śmieje się z trudem. Ma wrażenie, że ta kobieta czyta jej w myślach.

- Ten korytarz przeznaczyłam tylko dla dziewcząt - mówi. Spogląda ponad ramieniem gościa i widzi, że zostawiła uchylone drzwi do swojej sypialni, jej nocna koszula leży rzucona z niepokojącą bez troską na łóżko. Żałuje, że nie przeszła przez dom i nie pozamykała drzwi do pokoi.

- Nie to mam na myśli. Która pani jest w kolejności: najmłodsza, najstarsza?

A więc nie przeczytała żadnego artykułu ani biografii. Dedé czuje ulgę. To oznacza, że mogą spędzić czas, rozmawiając o prostych faktach, co pozwala Dedé poddać się iluzji, że jej rodzina była jak każda inna, a urodziny, śluby i nowe dzieci stanowiły punkty szczytowe na wykresie normalności.

Dedé podaje kolejność.

- Tak blisko w wieku - zauważa kobieta, używając dziwnego wyrażenia.

Dedé potakuje.

- Pierwsze trzy z nas urodziły się w krótkich odstępach czasu, ale pod wieloma względami, widzi pani, bardzo się od siebie różniłyśmy.

- Naprawdę? - podchwytuje kobieta.

- Tak, bardzo. Minerva mówiła tylko o tym, co słuszne i niesłuszne.

Dedé zauważa, że mówi do portretu Minery, jakby wyznaczała jej rolę, sprowadzając osobę siostry do kilku epitetów: piękna, inteli-

gentna, szlachetna.

- A María Teresa, *ay, Dios*. - Dedé wzdycha, a jej głos mimowolnie zaczyna zdradzać emocje. - Była taka młoda, kiedy umarła, *pobrecita**, dopiero co skończyła dwadzieścia pięć lat.

* *Pobrecita* (hiszp.) - biedna, biedactwo.

Dedé przechodzi do ostatniego portretu i poprawia ramę.

- Urocza Patria, religia była dla niej zawsze taka ważna.

- Zawsze? - pyta kobieta. W jej głosie pobrzmiewa nutka powątpiewania.

- Zawsze - potwierdza Dedé, przyzwyczajona do ustalonych, jednolitych sformułowań, którymi posługuje się przy dziennikarzach i osobach mitologizujących życie jej sióstr. - No, prawie zawsze.

Wyprowadza kobietę na zewnątrz, do *galería*, gdzie czekają fotele bujane. Płoczy małego kotka, który lekkomyślnie rozłożył się pod płozami.

- Co chce pani wiedzieć? - pyta Dedé otwarcie. A potem, ponieważ wydaje się jej, że zabrzmiało to jak niegrzeczne żądanie wytłumaczenia się ze swojej wizyty, dodaje: - Bo jest tak dużo do opowiedzenia.

Rozmówczyni śmieje się i odpowiada:

- Niech mi pani powie wszystko.

Dedé patrzy na zegarek, uprzejmie przypominając kobiecie, że czas jej wizyty jest ograniczony.

- Są książki, artykuły. Mogę pójść do muzeum i zlecić Tono, żeby pokazała pani listy i pamiętniki.

- Byłoby wspaniale - mówi kobieta, przyglądając się orchidei, którą Dedé wciąż trzyma w dłoni. Oczywiście chce czegoś więcej. Nieśmiało podnosi głowę. - Pragnę tylko powiedzieć, że naprawdę przyjemnie się z panią rozmawia. Mam na myśli to, że jest pani tak otwarta i radosna. Jak to się stało, że taka tragedia pani nie obaliła? Nie jestem pewna, czy się wyjaśniam.

Dedé wzdycha. Tak, kobieta ma rację. Przypomina sobie prze-

czytany ostatnio w salonie piękności artykuł traktujący o Żydówce, która przeżyła obóz koncentracyjny.

- Było wiele, wiele szczęśliwych lat. Pamiętam je. W każdym razie próbuję. Powtarzam sobie: „Dedé, skoncentruj się na tym, co dobre!”. Moja siostrzenica Minou uważa, że praktykuję medytację transcendentalną czy jakoś tak. Odbyła kurs w stolicy. Mówię sobie: „Dedé, w twojej pamięci jest dzień ten i ten”. I odgrywam szczęśliwy moment w swojej głowie. To moje filmy, nie mam tu telewizji.

- I to działa?

- Oczywiście - odpowiada Dedé, prawie ze złością.

„A jeśli nie działa - myśli - utykam w miejscu, odgrywając wciąż tę samą złą chwilę. Po co jednak o tym wspominać?”

- Proszę mi opowiedzieć jeden z tych momentów - mówi kobieta, a jej twarz wyraża nieskrywaną ciekawość. Szybko spuszcza wzrok, jakby chciała ją ukryć.

Dedé się waha, ale jej umysł już przewija wstecz kolejne sceny, rok po roku, aż do momentu, który ustanowiła w pamięci jako punkt zerowy.

Pamięta bezchmurną, księżycową noc, zanim zaczęła się przyszłość. Siedzą przed domem pośród ożywczego mroku, w bujanych fotelach rozstawionych pod drzewem pieprzowym, opowiadają historie i popijają sok z guanabany. Dobry na nerwy - mawiała zawsze mama.

Są tam wszyscy: mama, papa, Patria, Minerva, Mate i Dedé.

„Puf, puf, puf - papa lubił żartować, że bierze kolejno na cel każdą z dziewcząt i strzela do nich z palca, mimo że, nie chwając się, wszystkie je splodził. Pierwsze trzy przyszły na świat jedna po drugiej, w rocznych odstępach! Potem, dziewięć lat później, urodziła się María Teresa, jego ostatnia desperacka próba-niewypał splodzenia syna.

Ojciec siedzi w kapciach, z jedną stopą schowaną za drugą. Dedé co chwila słyszy, jak butelka rumu brzdęka o brzeg szklanki.

Często zdarza się - i ta noc nie jest wyjątkiem - że w ciemności

rozlega się nieśmiały głos, który prosi ich o wsparcie. Czy mogliby uszczknąć ze swoich zapasów dobroci *calmante** dla chorego dziecka? Czy nie mieliby trochę tytoniu dla strudzonego starego człowieka, któremu dzień upłynął na ścieraniu juki?

* *Calmante* - środek uspokajający.

Ojciec wstaje i zataczając się lekko od alkoholu i zmęczenia, otwiera sklep. *Campesino* odchodzi ze swoim lekarstwem, kilkoma cygarami, paroma cukierkami miętowymi dla chrześniaków. Dedé mówi, że nie wie, jakim sposobem wie im się tak dobrze, skoro ojciec wszystko rozdaje. On jednak tylko otacza ją ramieniem i mówi:

- *Ay, Dedé*, dlatego mam ciebie. Każda miękka stopa potrzebuje twardego buta. - A potem dodaje, śmiejąc się: - Wszystkich nas pochowasz w perłach i jedwabiach.

Dedé znowu słyszy brzdęk butelki rumu.

- Tak, z pewnością nasza Dedé będzie rodziną milionerką.
- A ja, papo, a ja? - María Teresa podnosi swój dziewczęcy głosik, nie chcąc, by jej przyszłość została pominięta.
- Ty, *mi ñapita**, będziesz naszą małą kokietką. Wielu mężczyzn będzie mieć na ciebie...

* *Mi ñapita* (hiszp.) - moja kruszynko.

Matka kaszle swoim znaczącym, upominającym kasłaniem.

- ...oko.

María Teresa wydaje z siebie jęk. Ma osiem lat, długie warkocze oraz bluzkę w kratkę i pragnie tylko takiej przyszłości, w której to jej oko będą cieszyć słodycze i prezenty w wielkich pudłach, wydające klekoczący dźwięk, gdy się je potrząśnie, wskazujący na to, że w środku znajduje się coś do zabawy.

- A co ze mną, papo? - pyta ciszej Patria.

Trudno jest wyobrazić sobie niezamężną Patrię, bez dziecka na kolanach, ale pamięć Dedé igra z przeszłością. Zgromadziła wszystkich, mamę, papę i ich cztery ładne córki, nikogo nie dodając ani nie ujmując, w tę czystą, chłodną noc, zanim zaczęła się przyszłość.

Papa prosi mamę o pomoc w przewidywaniu przyszłości. Zwłaszcza - choć tego już nie mówi głośno - jeśli zechciałaby ocen-

zurować przepowiednie jasnowiedza wróżącego po kilku szklankach rumu.

- Co byś powiedziała o naszej Patrii?

- Wiesz, Enrique, że nie wierzę we wróżby - odpowiada mama spokojnie. - *Padre* Ignacio mówi, że wróżby są dla ludzi bez wiary.

W tonie głosu matki Dedé wyczuwa już dystans, który wkradnie się między rodziców. Patrząc wstecz, myśli: „Ej, mamó, odpuść trochę z tymi przykazaniami. Wylicz sobie na podstawie chrześcijańskiej matematyki, że jeśli odrobinę oddasz, otrzymasz stukrotnie więcej”. Jednak wspominając swój własny rozwód, Dedé musi przyznać, że matematyka nie zawsze się sprawdza. Jeśli mnożyć przez zero, ciągle wychodzi zero, plus tysiąc smutków.

- Ja też nie wierzę - reflektuje się Patria. Jest równie religijna jak mama. - Ale papa tak naprawdę nie wróży.

Minerva się z nią zgadza.

- Papa tylko wyznaje, jakie jego zdaniem są nasze mocne strony. - Podkreśla słowo „wyznaje”, jakby przepowiadanie przyszłości było w istocie wyrazem pobożności ich taty. - Czyż nie tak, papo?

- *Si, señorita* - bełkocze papa, czkając. Już prawie czas, żeby wracać do domu.

- Poza tym - dodaje Minerva - *padre* Ignacio potępia wróżby jedynie wtedy, kiedy się wierzy, że człowiek wie to, co może wiedzieć tylko Bóg.

Dla niej lepsze jest zawsze wrogiem dobrego.

- Są tu tacy, którzy znają się na wszystkim - rzuca mama oschle.

María Teresa broni swojej uwielbianej starszej siostry:

- To nie grzech, mamó, naprawdę. Berto i Raúl przywieźli taką grę z Nowego Jorku. *Padre* Ignacio też się z nami bawił. To taka plansza z małym szkiełkiem, które się kręci i przepowiada przyszłość!

Wszyscy się śmieją, nawet mama, bo głos Maríi Teresy aż drży od naiwnego podekscytowania. Mała urywa, wydymając wargi. Jej uczucia znowu zostały urażone. Ponaglona przez Minervę, mówi dalej swoim dziecięcym głosikiem:

- Spytałam planszę ouija, kim będę, kiedy dorosnę, a ona odpowiedziała, że prawnikiem.

Tym razem wszyscy powstrzymują śmiech, bo jest jasne, że María Teresa papuguje plany swojej starszej siostry. Minerva od lat przekonuje rodziców, by pozwolili jej pójść na studia prawnicze.

- *Ay, Dios mio*, oszczędź mi. - Mama wzdycha, ale w jej głosie znów słychać rozbawienie. - Tylko tego nam trzeba, spódniczek w sądzie!

- Tylko tego trzeba naszemu krajowi - odzywa się Minerva tym pełnym żelaznej pewności tonem, który przybiera zawsze, gdy dyskutuje na tematy polityczne, a robi to ostatnio coraz częściej. Mama uważa, że zbyt często zadaje się z małą Perozo. - Już czas, żebyśmy my, kobiety, mogły uczestniczyć w zarządzaniu naszym krajem.

- Wy i Trujillo - mówi papa trochę zbyt głośno i w tę przejrzystą, cichą noc wszyscy milkną.

Nagle ciemność zapełnia się szpiegami oplacanymi przez służby bezpieczeństwa. *Don Enrique twierdzi, że prezydent Trujillo potrzebuje pomocy w kierowaniu krajem. Cóрка don Enrique mówi, że nadszedł czas, by kobiety przejęły władzę w rządzie.* Słowa powtórzone, zniekształcone, słowa przetworzone przez tych, którzy mogą żywić do nich urazę. Słowa zszyte ze słowami, aż utworzą płótno, w które będą owinięci członkowie rodziny, kiedy ktoś znajdzie ich porzucone w rowie ciała z odciętymi językami.

Tymczasem, mimo że noc jest nieskazitelna jak dźwięk dzwonu, na ziemię zaczynają spadać pierwsze krople deszczu i wszyscy w pośpiechu wracają do środka, zbierając swoje chusty i napoje, a fotele bujane zostawiając do wniesienia parobkowi. María Teresa piszczy, nastąpiwszy na kamień.

- Myślałam, że to *el cuco** - pojękuje.

* *El cuco* (hiszp.) - kukulka.

Pomagając papie bezpiecznie wspiąć się po schodach na galeria, Dedé zdaje sobie sprawę, że właściwie przepowiedział przyszłość tylko jej. Marii Teresie jedynie dokuczał, a w przypadku Minervy i

Patrii powstrzymał się ze względu na dezaprobatę mamy. Przechodzi ją dreszcz, bo czuje w kościach, że właśnie zaczyna się przyszłość. Zanim się skończy, będzie już przeszłością, a ona nie chce zostać jedyną ocalałą, jedyną, która będzie mogła opowiedzieć ich historię.

ROZDZIAŁ 2

Minerva

1938,1941,1944

Trudności 1938

Nie wiem, kto namówił papę na to, żeby posłał nas do szkoły z internatem. To chyba musiał być ten sam anioł, który oznajmił Marfi, że jest w ciąży z Bogiem, i przekonał ją, że to powód do radości.

Ja i moje trzy siostry musiałyśmy zawsze prosić o pozwolenie - niezależnie od tego, czy chciałyśmy zobaczyć pola pęczniejącego tytoniu, wybrać się nad lagunę, gdzie w upalne dni można było moczyć stopy, czy też karmić konie stojące przed magazynem, podczas gdy mężczyźni ładowali towar na furmanki.

Czasem, gdy przyglądałam się królikom w zagrodach, zdarzało mi się pomyśleć, że niczym się nie różnię od tych biednych stworzeń. Pewnego razu otworzyłam drzwiczki, żeby wypuścić na wolność młodą samiczkę. Dałam jej nawet klapsa, zachęcając do wyjścia.

A ona nawet nie drgnęła! Widocznie przyzwyczaiła się do swojej ciasnej zagrodki. Klepnęłam ją jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem mocniej, aż zaczęła kwilić jak przestraszone dziecko. Domagając się, by wybrała wolność, zadawałam jej ból. „Głupi królik - pomyślałam. - W niczym nie jesteś do mnie podobna”.

Zaczęło się od tego, że Patria zechciała zostać zakonnica. Mama, która pragnęła mieć w rodzinie osobę duchowną, gorąco popierała ten

pomysł. Papa nie pochwałił go w najmniejszym stopniu. Kilkakrotnie wyraził opinię, że Patria jako zakonnica zmarnowałaby tylko swoją urodę. W obecności mamy powiedział to jedynie raz, ale mnie powtarzał o wiele częściej.

W końcu dał za wygraną. Zgodził się na to, żeby Patria pojechała do szkoły prowadzonej przez zakonnice, o ile nauczy się tam czegoś więcej niż tylko tego, jak stać się jedną z nich. Mama nie oponowała.

Kiedy więc nadszedł czas wyjazdu Patrii do Inmaculada Conception, spytałam papę, czy pozwoli mi pojechać razem z nią. W ten sposób mogłabym służyć za przyzwoitkę swojej starszej siostrze, która stała się już panną (i zdążyła opowiedzieć mi o tym, jak dziewczynki zmieniają się w *señoritas*).

Papa się śmiał, a kiedy na mnie patrzył, jego oczy lśniły blaskiem dumy. Pozostałe siostry mówiły, że byłam jego ulubienicą. Nie wiem, dlaczego miałyby tak być, skoro to właśnie ja zawsze mu się sprzeciwiałam. Posadził mnie na swoim kolanie i zapytał:

- A kto będzie twoją przyzwoitką?
- Dedé - odparłam, próbując w ten sposób uzyskać zgodę na wyjazd całej naszej trójki.

Papa się skrzywił.

- Jeśli wszystkie moje kurczaczki odejdą, co pocznę?
- Pomyślałam, że żartuje, ale w jego oczach malowała się powaga.
- Papo, powinienes się zacząć do tego przyzwyczajać. Za parę lat wszystkie wyjdziemy za mąż i opuścimy cię - pouczyłam go.

Przez następne dni cytował moje słowa, smutno kręcąc głową i konkludując:

- Córka jest solą w oku.

Mamie nie podobało się, kiedy tak mówił. Uważała, że jest rozgoryczony, ponieważ ich jedyny syn umarł tydzień po urodzeniu. A zaledwie trzy lata temu María Teresa urodziła się dziewczynką zamiast chłopcem. W każdym razie mama uważała, że wysłanie do szkoły całej naszej trójki nie jest złym pomysłem.

- Enrique, te dziewczyny powinny zdobyć trochę wiedzy. Popatrz na nas.

Mama nigdy się do tego nie przyznała, ale podejrzewam, że nie umiała nawet czytać.

- A co jest z nami nie tak? - odparował papa, wskazując za okno, gdzie przed należącymi do niego magazynami stały wozy czekające na ładunek. W ciągu ostatnich kilku lat farma papy przyniosła nam duże dochody. Teraz staliśmy się ludźmi z klasą.

- Tym bardziej - spierała się z nim mama - nasze wykształcenie powinno wzrastać proporcjonalnie do bogactwa.

Papa ponownie uległ, ale dodał, że jedna z nas musi zostać, by pomagać w pilnowaniu interesu. Zawsze dorzucał swoje trzy grosze do wszystkiego, co zaproponowała mama. Ona uważała, że po prostu odciskał na wszystkim swój ślad, tak by nikt nie mógł powiedzieć, że to nie Enrique Mirabal nosi spodnie w tej rodzinie.

Wiedziałam, do czego zmierza. Kiedy pytał, która z nas zostanie, żeby mu pomagać, patrzył prosto na mnie.

Milczałam. Uparcie studiowałam posadzkę, jakby na jej płytach zapisano kredą moje szkolne notatki. Znając Dedé, nasz mały, radosny promyczek, nie musiałam się martwić.

- Ja zostanę, żeby ci pomóc, papo - powiedziała.

Papa wyglądał na zaskoczonego, bo przecież Dedé była ode mnie o rok starsza. To ona i Patria powinny wyjechać. Potem jednak wszystko przemyślał i zdecydował, że Dedé może do nas dołączyć. Klamka zapadła - wszystkie trzy udamy się do Inmaculada Concepción. Ja i Patria rozpoczniemy naukę na jesieni, a Dedé w styczniu, ponieważ papa chciał, żeby rodzinna specjalistka od rachunków pomogła mu w księgowaniu podczas pracowitego sezonu zniw.

I tak wyrwałam się na wolność. Mam tu na myśli nie tylko podróż do szkoły z internatem - pociągiem, z kufrem pełnym nowych rzeczy - lecz także to, co się stało w mojej głowie po tym, jak tam dotarłam, poznałam Sinitę, zobaczyłam, co przydarzyło się Linie, i zrozumiałam, że przeniosłam się tylko z mniejszej klatki do większej, wielkości całego naszego kraju.

Pierwszy raz zobaczyłam Sinitę, kiedy siedziała w sali, gdzie siostra Asunción witała wszystkie nowe uczennice i ich matki. Była zupełnie sama. Mała, chuda dziewczynka z kościstymi łokciami i cierpkim grymasem na twarzy. Miała na sobie czarną sukienkę - rzecz dziwna, bo dzieci przed piętnastym rokiem życia nie ubierano zwykle w stroje żałobne. Tymczasem ta drobna panienska nie wyglądała na starszą ode mnie, wówczas zaledwie dwunastolatki (choć spierałabym się z każdym, kto powiedziałby, że jestem jeszcze dzieckiem).

Obserwowałam ją. Wydawała się w równym stopniu co ja znużona grzecznościowymi formułkami, którymi wymieniano się wokół. Słuchanie wszystkich tych matek komplementujących nawzajem swoje córki, a potem szczebioczących płynnie po kastylijsku do sióstr Matki Miłosierdzia było jak zasypywanie naszych umysłów mocnymi uderzeniami strząsanego talku. Zastanawiałam się, gdzie podziła się matka dziewczynki. Sinita ciskała wszystkim wyzywające spojrzenia, jakby miała się rzucić na każdego, kto spyta, gdzie jest jej mama. Widziałam jednak, że siedziała z dłońmi podłożonymi pod uda i przygryzała dolną wargę, by nie płakać. Jej znoszonym butom obcięto sprzączki, pozostawiając jedynie płaski obcas, ale i tak nie udało się ukryć ich lichego stanu.

Wstałam i zaczęłam przechadzać się po sali, oglądając kolejne obrazki na ścianach niczym miłośniczka sztuki religijnej. Kiedy dotarłam do Matki Miłosierdzia, wiszącej tuż nad głową Sinity, włożyłam rękę do kieszeni i wyjęłam guzik, który znalazłam w pociągu. Skrzył się jak diament, a przez wydrążoną z tyłu małą dziurkę można było przewlec tasiemkę i nosić go przy samej szyi, jak to zwykły robić romantyczne damy. Czyli nie ja. Wiedziałam jednak, że guzik będzie dobrym towarem na wymianę z kimś lubującym się w takim stylu.

Wyciągnęłam w jej stronę dłoń z guzikiem. Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale słowa i tak prawdopodobnie niczego by nie zmieniły. Wzięła go, obróciła w palcach, po czym położyła z powrotem na mojej dłoni.

- Nie chcę twojej jałmużny.

Poczułam gniewny ucisk w sercu.

- To tylko guzik przyjaźni.

Rzuciła mi przeciągłe, badawcze spojrzenie, z gatunku tych rozstrzygających, jakimi zwykły obdarzać innych ludzi osoby, które nikogo nie mogą być pewne.

- Dlaczego po prostu nie powiedziałaś? - Posłała mi szeroki uśmiech, jakbyśmy już były przyjaciółkami i miały prawo do wzajemnych docinków.

- Przecież powiedziałam - odparłam. Otworzyłam dłoń, ponownie oferując jej guzik. Tym razem go przyjęła.

Kiedy matki opuściły szkołę, rozpoczęło się spisywanie wszystkiego, co przywieźliśmy w walizkach. Ustawiliśmy się w kolejce. Zauważyłam, że Sinita nie tylko przybyła bez matki, lecz także miała ze sobą bardzo niewiele rzeczy. Całe jej mienie było zawiązane w tobołek, a kiedy siostra Milagros spisała jego zawartość, zmieściło się to w zaledwie kilku liniijkach: „Trzy zmiany bielizny, cztery pary skarpet, szczotka i grzebień, ręcznik i koszula nocna”. Sinita wyjęła lśniący guzik, ale siostra Milagros powiedziała, że nie ma potrzeby dołączać go do listy.

„Uczennica z miłosierdzia” - rozniosła się plotka. „No i?” - odpowiedziałam zaczepnie szepczącej mi to do ucha rozchichotanej dziewczynie ze sprężystymi lokami. Zamilkła natychmiast. Coraz bardziej cieszyłam się z tego, że podarowałam Sinicie ten guzik.

Później zabrano nas do auli i powitano na wszelkie możliwe sposoby. Następnie siostra Milagros, odpowiedzialna za uczennice w wieku od lat dziesięciu do dwunastu, zaprowadziła naszą grupę do sypialni, którą odtąd miałyśmy dzielić. Sąsiadujące ze sobą łóżka były już obleczone w nocne moskitiery. Wyglądało to jak pokój wypełniony miniaturowymi welonami ślubnymi.

Siostra Milagros powiedziała, że przydzielili nam teraz łóżka według kolejności alfabetycznej. Sinita podniosła rękę i spytała, czy nie mogłaby spać obok mnie. Zakonnica się zawahała, ale zaraz potem na

jej twarz wypląnął wyraz słodczy.

- Oczywiście - odparła.

Kiedy jednak inne dziewczynki zaczęły prosić o to samo, odmówiła.

- Myślę, że to nie w porządku robić wyjątek tylko dla nas - zaprotestowałam głośno.

Siostra Milagros spojrzała na mnie z wielkim zdziwieniem. Podejrzewam, że jako osobie duchownej nieczęsto zdarzało jej się słyszeć od innych, co jest w porządku, a co nie. Jednocześnie uderzyła mnie myśl, że ta pulchna, mała zakonnica z kępką szarych włosów wystających spod czepca nie była mamą ani papą, z którymi mogłam się sprzeczać o różne sprawy. Już miałam przeproszać, kiedy ona uśmiechnęła się swoim szczerbatym uśmiechem i powiedziała:

- No dobrze, pozwolę wam wybrać swoje łóżka, ale przy pierwszych oznakach kłótni...

Niektóre dziewczynki zdążyły już dopaść najlepszych łóżek przy oknie i spierały się o to, która dobiegła tam pierwsza.

- ...wracamy do podziału alfabetycznego, rozumiano?

- Tak, siostrzo Milagros - odpowiedziałyśmy chórem.

Podeszła do mnie i ujęła moją twarz w dłonie.

- Jak się nazywasz?

Podalam jej swoje imię, a ona powtórzyła je kilka razy, jakby kosztując. Potem uśmiechnęła się - najwyraźniej smakowało dobrze. Spojrzała na Sinitę, którą one wszystkie zdawały się darzyć szczególnymi względami, i przykazała:

- Opiekuj się naszą drogą Sinitą.

- Będę - odpowiedziałam, stając na baczność, jakbym właśnie podjęła się jakiejś misji. I, jak się potem okazało, tak właśnie było.

Kilka dni później siostra Milagros zgromadziła nas wokół siebie na krótką pogadankę. „Higiena osobista”, tak to nazwała. Wiedziałam od razu, że będzie mowa o interesujących rzeczach przedstawionych w najmniej interesujący sposób.

Po pierwsze - powiedziała - zdarzyło się kilka wypadków. Jeśli któraś z nas będzie potrzebowała nowego prześcieradła, ma się do niej zgłosić. Oczywiście najlepszym sposobem na uniknięcie nieszczęścia jest korzystanie każdego wieczoru przed pójściem spać z naszych nocników. Jakies pytania? Cisza.

Potem ze spłoszoną, zakłopotaną miną wyjaśniła, że możemy z dużym prawdopodobieństwem stać się młodymi kobietami podczas naszego tegorocznego pobytu w szkole. Przebrnęła przez nadzwyczaj zagmatwane przedstawienie przyczyn i przebiegu i podsumowała stwierdzeniem, że jeśli zaczną się nasze trudności, mamy się do niej zwrócić. Tym razem nie spytała, czy są jakieś pytania.

Poczułam chęć sprostowania tego, co powiedziała, wytłumaczenia wszystkiego wprost, tak jak usłyszałam to od Patrii. Pomyślałam jednak, że może nie jest najlepszym pomysłem kusić los dwa razy w ciągu jednego tygodnia.

Po odejściu siostry Milagros Sinita spytała mnie, o co właściwie chodziło. Popatrzyłam na nią zaskoczona. Oto stała przede mną ubrana na czarno jak dorosła kobieta, a nie wiedziała najprostszych, oczywistych rzeczy. Od razu opowiedziałam jej wszystko, co wiedziałam o krwawieniu i dzieciach między nogami. Była wstrząśnięta i zobowiązana. Chcąc się zrewanżować, zaproponowała, że wyjawি mi tajemnicę Trujillo.

- Co to za tajemnica? - spytałam. Myślałam, że Patria powiedziała mi już wszystkie.

- Nie teraz - odparła Sinita, oglądając się przez ramię.

Upłynęło kilka tygodni, zanim wróciła do tematu. Zapomniałam już o wszystkim, a może raczej wyrzuciłam z pamięci w obawie przed tym, czego mogę się dowiedzieć. Byłyśmy zajęte nauką i nawiązywaniem nowych przyjaźni. Prawie każdej nocy przyjmowałyśmy wizyty koleżanek pod swoimi moskitierami lub na odwrót - my wybierałyśmy się w odwiedziny. Dwie z nich, Lourdes i Elsa, przychodziły regularnie i niedługo cała nasza czwórka zaczęła robić wszystko

razem. Każda z nas była na swój sposób nietypowa: Sinita, co od razu rzuciła się w oczy, korzystała z zapomogi. Lourdes była gruba, chociaż jak na przyjaciółki przystało, nazywałyśmy ją „przyjemnie pulchną” za każdym razem, kiedy pytała o swój wygląd, a pytała często. Elsa była ładna i zaskoczona odkryciem swojej urody, tak jakby w ogóle się jej nie spodziewała i teraz musiała jej dowieść. Ja natomiast nie potrafiłam trzymać buzi na kłódkę, gdy miałam coś do powiedzenia.

Tej nocy, kiedy Sinita wyjawiała mi tajemnicę Trujillo, nie mogłam zasnąć. Cały dzień źle się czułam, ale nie powiedziałam o tym siostrze Milagros. Bałam się, że wpakuje mnie do pokoju dla chorych i będę musiała leżeć w łóżku, słuchając, jak siostra Consuelo odmawia nowennę za chorych i umierających. Poza tym gdyby papa się dowiedział, mógłby zmienić zdanie i zabrać mnie do domu, gdzie nie miałabym żadnych przygód.

Leżałam na plecach ze wzrokiem wbitym w białe sklepienie moskitiery i zastanawiałam się, kto poza mną nie śpi. Z sąsiedniego łóżka dobiegło mnie łkanie Sinity - płakała cicho, tak by nikt nie usłyszał. Odczekałam chwilę, ale nie przestawała. W końcu podeszłam do jej łóżka i odchyliłam zasłonę.

- Co się stało? - spytałam.

Uspokajała się przez chwilę, zanim odpowiedziała:

- Chodzi o José Luisa.

- O twojego brata?

Wszystkie wiedziałyśmy, że zmarł latem tego roku. To dlatego pierwszego dnia Sinita była ubrana na czarno.

Jej całym ciałem wstrząsnęły spazmy płaczu. Wczołgałam się pod moskitierę i odgarnęłam jej włosy z czoła, tak jak to robiła moja mama, ilekroć miałam gorączkę.

- Opowiedz mi o tym, Sinito, może będę mogła pomóc - powiedziałam.

- Nie - wyszeptała. - Możemy wszyscy zginąć. To właśnie jest tajemnica Trujillo.

Cóż, zawsze musiałam wiedzieć to, czego wiedzieć mi wzbra-

niano.

- Daj spokój, Sinito. Ja powiedziałam ci o dzieciach - przypomniałam.

Trzeba było chwili, by nakłonić ją do mówienia. W końcu zaczęła.

Dowiedziałam się od niej rzeczy, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Myślałam, że zawsze żyła w biedzie, lecz okazało się, że rodzina Sinity była kiedyś zamożna i wpływowa. Jej trzej wujkowie przyjaźnili się nawet z Trujillo, obrócili się jednak przeciwko niemu, kiedy zobaczyli, że robi złe rzeczy.

- Złe rzeczy? - przerwałam. - Trujillo robił złe rzeczy?

Poczułam się tak, jakbym usłyszała, że Jezus uderzył dziecko albo że nasza błogosławiona Matka nie poczęła Syna w niepokalany sposób.

- To nie może być prawda - powiedziałam, ale w moim sercu zaczęło już kiełkować ziarno wątplenia.

- Poczekaj - wyszeptała Sinita, odnajdując w mroku moje usta i kładąc na nich swoje szczupłe palce. - Pozwól mi skończyć. Moi wujowie mieli zamiar zrobić coś Trujillo, ale ktoś na nich dofrósł i wszystkich trzech wkrótce zastrzelono.

Sinita wzięła głęboki oddech, jakby chciała zdmuchnąć naraz wszystkie świece na torcie urodzinowym swojej babci.

- Ale co takiego zrobił Trujillo, że chcieli go zabić? - spytałam. Nie mogłam tego tak zostawić. W domu portret prezydenta wisiał na ścianie obok naszego Pana Jezusa i całego stada przesłodkich owieczek.

Sinita powiedziała mi tyle, ile sama wiedziała. Słuchałam jej, dygocząc na całym ciele.

Według Sinity Trujillo, by zostać prezydentem, uciekł się do podstępu. Najpierw służył w armii i wszyscy jego przełożeni kolejno znikali, aż w końcu pozostał nad nim tylko dowódca sił zbrojnych.

Ten głównodowodzący zakochał się w żonie innego mężczyzny. Trujillo przyjaźnił się z generałem, znał więc tajemnicę. Nawązał też

bliską znajomość z mężem kobiety, bardzo zazdrośnym człowiekiem.

Pewnego dnia generał zwierzył się Trujillo, że tej nocy spotka się z kochanką pod mostem w Santiago - było to miejsce, gdzie ludzie przychodzili robić złe rzeczy. Trujillo powiedział o tym jej mężowi. Ten udał się pod most, gdzie zaczekał na generała i swoją żonę, a kiedy się pojawili, zastrzelił oboje.

Niedługo potem Trujillo został dowódcą sił zbrojnych.

- Może uważał, że generał źle robi, romansując z cudzą żoną - broniłam go.

Sinita westchnęła.

- Poczekaj jeszcze, zanim wyrazisz opinię.

Kiedy Trujillo został dowódcą armii, zaczął spotykać się z ludźmi, którzy nie lubili ówczesnego prezydenta. Aż pewnej nocy ci ludzie otoczyli pałac i powiedzieli staremu prezydentowi, że musi odejść. Ten tylko się zaśmiał i posłał po swojego dobrego przyjaciela, dowódcę sił zbrojnych. Generał Trujillo jednak nie nadchodził. Wkrótce prezydent był już byłym prezydentem, uciekającym samolotem do Puerto Rico. A potem stało się coś, co zaskoczyło nawet ludzi oblegających pałac - Trujillo ogłosił siebie głową państwa.

- Czy nikt mu nie powiedział, że to nie w porządku? - zapytałam, wiedząc, że ja bym tak zrobiła.

- Ludzie, którzy za dużo mówili, nie żyli zbyt długo - odpowiedziała Sinita. - Tak jak wujkowie, o których ci opowiadałam. Potem jeszcze dwaj inni wujowie, potem ojciec. - Sinita ponownie wybuchła płaczem. - A latem zamordowali mojego brata.

Ból brzucha powrócił. A może w ogóle nie ustąpił, tylko zapomniałam o nim, kiedy próbowałam pocieszyć Sinitę?

- Przestań, proszę - błagałam ją - albo zaraz zwymiotuję.

- Nie potrafię przestać.

Historia Sinity połała się jak krew z otwartej rany.

Pewnej niedzieli ostatniego lata cała jej rodzina wracała z kościoła do domu. Cała rodzina, czyli wszystkie owdowiałe ciotki, matka, liczne

kuzynki i brat Sinity José Luis, który był teraz jedynym mężczyzną w klanie. Dokądkolwiek szli, kobiety otaczały go, zajmując przydzielone im wcześniej miejsca. José Luis obiecywał, że pomści ojca i wujów i - według krążących po mieście plotek - był poszukiwany przez Trujillo.

Kiedy przechodzili przez plac, podszedł do nich karzeł, sprzedawca biletów na loterię. Był to zaufany człowiek, od którego zawsze kupowali.

- Ach, widziałam go! - powiedziałam. Czasem, gdy jechaliśmy powozem do San Francisco i mijaliśmy plac, stał na nim dorosły mężczyzna nie wyższy niż ja w wieku dwunastu lat. Mama nigdy od niego nie kupowała. Twierdziła, że Jezus zabronił nam hazardu, a tym właśnie jest granie na loterii. Za to zawsze, kiedy byłam tam z samym papą, kupował cały plik biletów i nazywał to dobrą inwestycją.

José Luis poprosił o szczęśliwy numer. Gdy karzeł zbliżał się, żeby dać mu bilet, coś srebrnego błysnęło w jego dłoni. Tylko tyle zdążyła zobaczyć Sinita. Potem José Luis okropnie krzyczał, a matka i ciotki próbowały wezwać doktora. Sinita spojrzała na swojego brata - cały przód jego białej koszuli był pokryty krwią.

Z moich oczu polały się łzy, ale szybko uszczypnęłam się w rękę, żeby je powstrzymać. Musiałam być dzielna ze względu na Sinitę.

- Pochowaliśmy go obok mojego ojca. Matka zmieniła się od tego czasu. Siostra Asunción, która zna moją rodzinę, zaproponowała, że przyjmie mnie do *el colegio* za darmo.

Ścisnęło mnie w żołądku tak bardzo, jakby zawiązał się na supeł.

- Będę się modlić za twojego brata - obiecałam. - Ale, Sinito, jaka w końcu jest tajemnica Trujillo?

- Ciągłe nie rozumiesz? Minervo, nie widzisz tego? Trujillo wszystkich zabija!

Większość nocy przeleżałam z otwartymi oczami, myśląc o bracie Sinity, jej wujach, ojcu i tajemnicy Trujillo, której nikt poza nią zdawał się nie znać. Słyszałam, jak zegar w korytarzu na dole wybija kolejne godziny. Kiedy zasypiałam, w pokoju robiło się już widno.

Rano Sinita obudziła mnie, szarpiąc za ramię.

- Pośpiesz się - powiedziała. - Spóźnisz się na jutrznię.

W całym pokoju zaspane dziewczęta, szurając pantoflami, posuwały się w stronę zatłoczonych umywalek. Sinita chwyciła z nocnego stolika ręcznik i mydelniczkę i dołączyła do grupy.

Kiedy już się dobudziłam, poczułam, że prześcieradło pode mną jest wilgotne. „O nie - pomyślałam - zmoczyłam łóżko! I to po tym, jak powiedziałam siostrze Milagros, że nie będę potrzebowała dodatkowego pokrycia na swój materac”.

Podniosłam pościel i przez chwilę nie rozumiałam, co mają znaczyć plamy na prześcieradle. Potem sprawdziłam siebie i uniosłam dłoń. Nie było wątpliwości: moje trudności właśnie się zaczęły.

Pobrecita!

1941

Chłopi z naszych okolic mawiają, że dopóki paznokciec nie zostanie uderzony, dopóty nie wierzy w młotek. Przestałam zaprzętać sobie głowę opowieścią Sinity, traktując wszystko, o czym mówiła, jako straszliwy błąd, który już nigdy się nie powtórzy. A potem młotek opadł ciężko akurat na naszą szkołę, akurat na głowę Liny Lovatón. Tylko że ona nazywała to miłością, za którą odfrunęła, radosna jak skowronek.

Lina była o dwa lata starsza od Elsy, Lourdes, Sinity i mnie, ale podczas jej ostatniego roku w Inmaculada mieszkaliśmy wszystkie w tym samym pokoju dla uczennic w wieku od piętnastu do siedemnastu lat. Poznałyśmy ją bliżej i pokochałyśmy, a ona odwdzieczyła się tym samym.

Wszystkie byłyśmy w nią zapatrzone. Wydawała nam się starsza nawet od pozostałych siedemnastolatek. Wyglądała dojrzałe jak na swój wiek, była wysoka, jej włosy miały złocistorudy odcień, a skóra ciepły, złoty połysk, przez co przypominała wypiek wyjęty właśnie z pieca. Pewnego razu, gdy siostra Socorro uczestniczyła w konwencie, Elsa uprosiła Linę, żeby w umywalni zdjęła swoją suknię i pokazała

nam, jak będziemy wyglądać za parę lat.

Śpiewała w chórze czystym, pięknym, anielskim głosem. Miała ozdobny charakter pisma, niczym ze starych modlitewników ze srebrnymi zatrzaskami, które siostra Asuncióń przywoziła nam z Hiszpanii. Lina nauczyła nas, jak upinać włosy i jak dygać, gdybyśmy spotkały króla. Przyglądałyśmy się jej. Wszystkie byłyśmy zakochane w naszej pięknej Linie.

Tak samo jak zakonnice, które zawsze wybierały ją do czytania fragmentów Pisma Świętego podczas cichych obiadów albo do niesienia obrazu Niepokalanej w procesji sodalicji mariańskiej. Lina, równie często jak moja siostra Patria, była odznaczana wstążką za dobre sprawowanie i z dumą nosiła ją przewieszoną jak bandolier przez swój niebieski serżowy mundurek.

Wciąż pamiętam popołudnie, kiedy to wszystko się zaczęło. Grałyśmy na podwórzu w siatkówkę, a Lina, która była kapitanem drużyny, wiodła nas ku zwycięstwu. Kosmyki jej włosów wymykały się z luźno splecionego warkocza, a twarz zarumieniła się od biegania w tę i we w tę za piłką.

Siostra Socorro szybkim krokiem weszła na podwórze. Lina Lovatón jest pilnie wzywana. Ważny gość przyszedł się z nią spotkać. Było to niezwykle, ponieważ w dni powszednie nie mogłyśmy przyjmować odwiedzających, a siostry nadzwyczaj rygorystycznie przestrzegały swoich zasad.

Kiedy Lina odeszła, siostra Socorro zaczęła poprawiać jej wstążki we włosach i przyglądać fałdy spódnicy. Reszta z nas kontynuowała grę, ale bez naszej ukochanej kapitan zabawa nie była już taka sama.

Gdy Lina wróciła, w mundurek tuż nad lewą piersią miała wpięty lśniący medal. Otoczyłyśmy ją kółkiem, chcąc się dowiedzieć wszystkiego o jej ważnym gościu.

- To był Trujillo?! - krzyczałyśmy wszystkie. - Trujillo przyjechał cię odwiedzić?

Siostra Socorro po raz drugi tego dnia wyszła spieszenie na podwórze, uciszyła nas i zgromadziła w jedno miejsce. Musiałyśmy czekać aż do zgaszenia świateł, żeby usłyszeć opowieść Liny.

Okazało się, że Trujillo odwiedzał sąsiedni dom należący do pewnego urzędnika i zwabiony krzykami towarzyszącymi naszej grze, wyszedł na balkon. Kiedy zobaczył piękną Linę, natychmiast udał się do szkoły w otoczeniu swoich zaskoczonych pomocników i nalegał na spotkanie z dziewczyną. Nie chciał przyjąć odmowy. Siostra Asunción w końcu się poddała i posłała po Linę Lovatón. Wokół nich roilo się od żołnierzy, a Trujillo przepiął medal z własnego munduru na mundurek Liny!

- Co takiego zrobiłaś? - Wszystkie chciałyśmy wiedzieć.

W odpowiedzi Lina stanęła w poświacie księżycy wpadającej przez otwarte okiennice. Podniosła moskitierę i wykonała przed nami głębokie dygnięcie.

- Od tej chwili za każdym razem, kiedy Trujillo przyjeżdżał do miasta - a bywał w La Vega o wiele częściej niż kiedykolwiek przedtem - zatrzymywał się na spotkanie z Liną Lovatón. Na adres szkoły zaczęły przychodzić prezenty: porcelanowa baletnica, małe buteleczki perfum, które wyglądem przypominały biżuterię, a zapachu mógł pozazdrościć im różany ogród, satynowe pudełeczko z zamkniętym w środku złotym breloczkiem w kształcie serca, który mogła przypiąć - obok tego w kształcie dużej literki „L” - do podarowanej przez niego bransoletki.

Na początku siostry były przerażone, ale potem one też zaczęły dostawać prezenty: bele muślinu na klasztorne prześcieradła i frotte na ręczniki, datek w wysokości tysiąca pesos na nowy posąg Matki Miłosierdzia, który miał zostać wyrzeźbiony przez hiszpańskiego artystę zamieszkałego w stolicy.

Lina zawsze opowiadała nam o wizytach Trujillo. Do pewnego stopnia wszystkie byłyśmy podekscytowane, kiedy przychodził. Odwoływano wówczas lekcje i całą szkołę opanowywali węszący po naszych pokojach strażnicy. Kiedy skończyli, stawali na baczność, podczas gdy my próbowałyśmy wywołać uśmiech na ich służbowo niewzruszonych twarzach. W tym czasie Lina znikwała w tej samej auli, do której pierwszego dnia przyprowadziły nas matki. Zgodnie z jej sprawozdaniami wizyta zaczynała się zwykle od tego, że Trujillo

recytował poezję, a potem mówił, że ukrył gdzieś w swoim mundurze niespodziankę, którą Lina musi znaleźć. Czasem prosił, żeby zatańczyła lub zaśpiewała piosenkę. Najbardziej lubił, kiedy bawiła się medalami na jego piersi, wypinając je, a potem wpinając z powrotem.

- Ale czy go kochasz? - spytała pewnego razu Sinita. W jej głosie zabrzmiało takie obrzydzenie, jakby pytała, czy Lina zakochała się w tarantuli.

- Całym sercem - odpowiedziała Lina. - Ponad życie.

Trujillo nadal odwiedzał Linę, przysyłał jej podarunki i listy miłosne, które nam pokazywała. Myślę, że wszystkie, poza Sinitą, zakochałyśmy się w wyobrażeniu bohatera, skrytym w słodkim i prostym sercu Liny. Wygrzebałam ze spodu szuflady małe zdjęcie Trujillo, które dostaliśmy wszyscy na lekcjach wychowania obywatelskiego, a które schowałam ze względu na Sinitę. W nocy umieściłam je pod poduszką, żeby odstraszyć koszmary.

Na siedemnaste urodziny Liny Trujillo wyprawił jej wielkie przyjęcie w nowo wybudowanym domu pod Santiago. Wyjechała na cały weekend. We właściwym dniu w gazetach ukazało się zdjęcie Liny na całą stronę, a obok niego wiersz napisany przez samego Trujillo:

Urodziła się królową, nie prawem pochodzenia,
ale prawem piękną,
które niebiosy zsyłają na ziemię rzadko.

Sinita twierdziła, że utwór musiał napisać ktoś inny, bo Trujillo z trudem radził sobie z nagryzmoleniem własnego nazwiska.

- Gdybym była Liną... - zaczęła i prawą ręką uczyniła gest, jakby chwyciła kiść winogron i wyciskała z nich sok.

Mijały tygodnie, a Lina nie wracała. W końcu siostry obwieściły, że decyzją rządu Linie Lovatón dyplom zostanie wydany *in absentia*.

- Dlaczego? - pytałyśmy siostrę Milagros, którą wciąż lubiłyśmy najbardziej. - Dlaczego do nas nie wróci?

Potrząsnęła tylko głową i odwróciła twarz, zdążyłam jednak zauważyć łzy w jej oczach.

Tego lata dowiedziałam się, co było ich przyczyną. Kiedy jechaliśmy do Santiago z dostawą tytoniu na wozie, papa wskazał na wysoką żelazną bramę, a za nią tonącą w kwiatkach rezydencję z żywoplotami strzyżonymi w kształty zwierząt.

- Patrz, Minervo, tu mieszka jedna z kobiet Trujillo, twoja dawna szkolna koleżanka Lina Lovatón.

- Lina?! - Oddech zamarł mi w piersiach. - Ale Trujillo jest żonaty - oburzyłam się. - Jak Lina mogłaby zostać jego dziewczyną?

Papa popatrzył na mnie przeciągle, zanim odpowiedział:

- Ma ich wiele na całej wyspie, ulokowanych w wielkich luksusowych domach. Z Liną Lovatón sprawa jest o tyle smutna, że ona naprawdę go kocha, *pobrecita*.

I od razu wykorzystał okazję, żeby wygłosić mi kazanie na temat tego, dlaczego kurki nie powinny się oddalać od swojego podwórza.

Kiedy jesienią wróciłam do szkoły, podczas jednej z naszych nocnych pogaduszek usłyszałam ciąg dalszy historii. W wielkim domu Lina Lovatón zaszła w ciążę. Żona Trujillo doña María, dowiedziawszy się o tym, chwyciła za nóż i ruszyła za nią w pogoń.

Trujillo odprawił więc Linę do rezydencji w Miami, którą dla niej kupił, wiedząc, że tam będzie bezpieczna. Żyła tam całkiem sama, czekając, aż on po nią pośle. Domyślałam się, że teraz już inna ładna dziewczyna zaprzęta jego uwagę.

- *Pobrecita* - powiedziałyśmy chórem jak „amen” w kościele.

Leżałyśmy w ciszy, myśląc o smutnym losie naszej pięknej Liny. Znów miałam krótki oddech. Na początku sądziłam, że to przez bawełniane bandaże, którymi zaczęłam obwiązywać klatkę piersiową, by nie urósł mi biust. Chciałam mieć pewność, że to, co przydarzyło się Linie Lovatón, nigdy nie przydarzy się mnie. Jednak za każdym razem, kiedy poznawałam kolejną tajemnicę Trujillo, czułam ucisk w piersiach, nawet jeśli nie miałam na sobie bandażu.

- Trujillo to diabeł - powiedziała Sinita, gdy szłyśmy na paluszkach do naszych łóżek. W tym roku znów udało nam się spać obok siebie.

„Nieprawda, to wciąż człowiek” - przekonywałam samą siebie. I mimo wszystkiego, co o nim słyszałam, współczułam mu. *Pobrecito!* Nocami na pewno śnił mu się koszmar za koszmarem, tak samo jak mnie, kiedy za dnia myślałam o tym, co zrobił.

Z ciemnego korytarza na dole dobiegał dźwięk wybijanych godzin, przywodzący na myśl uderzenia młota.

Występ 1944

To była setna rocznica istnienia naszego państwa. Od Dnia Niepodległości, czyli od 27 lutego, obchodom i występom nie było końca. Tego dnia Patria świętowała swoje dwudzieste urodziny i wyprawiliśmy jej wielkie przyjęcie w Ojo de Agua. W ten sposób moja rodzina uniknęła konieczności wyrażania poparcia dla Trujillo przez udział w kolejnej patriotycznej uroczystości. Udawaliśmy, że przyjęcie jest na jego cześć. Patria ubrała się na biało, jej synek Nelson na czerwono, jej mąż Pedrito na niebiesko. A, właśnie, nic nie wyszło z jej pomysłu, żeby zostać zakonnicą.

Nie tylko moja rodzina wystawiała wielkie przedstawienie lojalności, lecz także cały kraj. Kiedy tej jesieni poszłyśmy do szkoły, wręczono nam nowe książki do historii z wizerunkiem wiadomej osoby wytłoczonym na okładce, tak żeby nawet ślepy mógł powiedzieć, kogo opiewały wszystkie kłamstwa. Nasza historia była teraz odbiciem opowieści z Biblii. My, Dominikańczycy, czekaliśmy od wieków na to, aż na dziejowej scenie pojawi się Pan Trujillo. Było to dość niesmaczne.

Cała natura jest dziś w stanie uniesienia. Dziwne nieziemskie światło zalewa dom pachnący pracą i uświęceniem. 24 października 1891 roku boża chwała cudownie przemieniła się w ciało. Narodził się Rafael Leonidas Trujillo!

Na naszym pierwszym apelu siostry ogłosiły, że dzięki hojnemu datkowi El Jefe, Wodza, zostanie zrekonstruowane następne skrzydło budynku - Sala Gimnastyczna Liny Lovatón - i wkrótce odbędzie się tam konkurs recytatorski dla całej szkoły. Tematem jest setna rocznica niepodległości i szczodrość naszego łaskawego Dobroczyńcy.

Podczas apelu Sinita, Elsa, Lourdes i ja spoglądałyśmy na siebie porozumiewawczo, ustalając, że przygotowujemy wspólny występ. Sześć lat temu równocześnie wstąpiłyśmy w progi Inmaculada, a teraz wszyscy nazywali nas czwórą. Siostra Asunción lubiła żartować, że kiedy za kilka lat ukończymy szkołę, będzie musiała oddzielić nas od siebie nożem.

Ciężko pracowałyśmy nad naszym przedstawieniem, ćwicząc każdego wieczoru, aż do zgaśnięcia świateł. Każda z nas sama ułożyła swoje kwestie, zamiast po prostu recytować je z książki. W ten sposób mogłyśmy powiedzieć to, co chciałyśmy, a nie to, na co pozwalali nam cenzorzy.

Nie byłyśmy oczywiście na tyle głupie, żeby powiedzieć coś nieprzychylnego o rządzie. Nasz utwór sceniczny był osadzony w dawnych czasach. Ja grałam rolę zniewolonej Ojczyzny, która przez całe przedstawienie ma spętane ręce, aż na końcu Wolność, Chwała i narrator wyswobodzali mnie z więzów. Miało to przypomnieć publiczności o tym, jak sto lat temu wywalczyliśmy sobie naszą niepodległość. Potem wszystkie śpiewałyśmy hymn narodowy i dygaliśmy tak, jak nauczyła nas Lina. Każdemu musiało się to spodobać!

W dniu, w którym odbywał się konkurs recytatorski, nie mogłyśmy przełknąć kolacji, tak byłyśmy podekscytowane i zdenerwowane. Przebrałyśmy się w jednej z sal, pomagając sobie przy zakładaniu kostiumów i malowaniu twarzy, bo siostry z okazji występów zgadzały się na makijaż. Oczywiście później nie zmywałyśmy go do końca i następnego dnia miałyśmy seksowne oczy, różane usta i namalowane pieprzyki, jakbyśmy były w wiadomym miejscu, a nie w szkole klasztornej.

I czwórca była najlepsza, zdecydowanie! Tyle razy wywoływano nas przed kurtynę, że stałyśmy jeszcze na scenie, kiedy siostra Asunción weszła, by ogłosić zwycięzców.

Zaczęłyśmy schodzić, lecz przywołała nas z powrotem. Na sali zerwała się burza oklasków, której towarzyszyło tupanie i gwizdy, czyli wszystko to, co zabronione jako nieodpowiednie dla dam. Ale siostra Asunción zapomniała chyba o ustanowionych przez siebie zasadach. Uniosła niebieską wstążkę, ponieważ i tak nie udałooby jej się uciszyć dziewcząt na tyle, by mogły usłyszeć, jak ogłasza naszą wygraną.

Kiedy publiczność w końcu się uspokoiła, dowiedziałyśmy się, że zostaniemy wysłane z delegacją z La Vega do stolicy, by z okazji urodzin Trujillo zaprezentować mu zwycięski spektakl. Wymieniliśmy osłupiałe spojrzenia. Zakonnice nie wspominały wcześniej o tym dodatkowym występie.

Rozbierając się w sali, dyskutowałyśmy nad odrzuceniem nagrody.

- Nie jadę - oznajmiłam, zmywając całe paskudztwo z twarzy. Chciałam jakoś wyrazić protest, ale nie byłam pewna, jak powinnam się zachować.

- Zróbmy to, proszę - błagała Sinita. W jej oczach malowała się desperacja.

- Zróbmy - zgodziły się natychmiast Elsa i Lourdes.

- Przecież one nas nabrały! - przypomniałam.

- Proszę, Minervo, proszę - przytrzymała się Sinita. Objęła mnie ramieniem, a kiedy próbowałam się odsunąć, dostałam całusa w policzek.

Wiedząc, jaki stosunek do Trujillo ma jej rodzina, nie mogłam uwierzyć, że Sinita rzeczywiście chce to zrobić.

- Ale dlaczego miałabyś występować dla niego?

Sinita wyprostowała się dumnie. Teraz naprawdę wyglądała jak Wolność.

- Nie dla niego - odparła. - Nasz spektakl mówi o czasach, kiedy byliśmy wolni. To jak ukryty protest.

To przesądziło sprawę. Zgodziłam się pojechać, pod warunkiem że odegramy skecz przebrane za chłopców. Na początku przyjaciółki kręciły na to nosem, bo musiałyśmy zmienić wiele żeńskich końcówek, przez co posypały się rymy. Jednak im bardziej zbliżał się wielki dzień, tym bardziej, ćwicząc pajacyki na nowej sali gimnastycznej, miałyśmy w pamięci jej patronkę. Lina z pięknego portretu spoglądała na wizerunek El Jefe na przeciwległej ścianie.

Pojechałyśmy do stolicy dużym samochodem dostarczonym przez Partię Dominikańską w La Vega. W drodze siostra Asunción czytała nam epistołę, w której zawarto, jak to ujęła, obowiązujące nas zasady. Występowałyśmy jako trzecie w sekcji szkół dla dziewcząt. Uroczystość zaczynała się o piątej po południu, potem miałyśmy zostać aż do końca występów z La Vega i wrócić do *el colegio* na wieczorny sok.

- Musicie pokazać narodowi, że wy, dziewczęta z Inmaculada Conception, jesteście jego ozdobą. Czy to całkowicie jasne?

- Tak, siostrzo Asunción - odpowiedziałyśmy z roztargnieniem.

Byłyśmy zbyt podekscytowane naszą chwalebłą przygodą, żeby zwracać uwagę na zasady. Po drodze, za każdym razem, kiedy przystojni chłopcy mijali nas w swoich ekstrawaganckich samochodach, machałyśmy do nich i składałyśmy usta w dzióbek.

Jeden z pojazdów zwolnił i chłopcy zaczęli wykrzykiwać do nas komplementy. Siostry posłały im gniewne spojrzenia, a potem odwróciły się, by sprawdzić, co się dzieje na tylnym siedzeniu samochodu. W tym czasie my, czwórca aniołków, patrzyłyśmy beztrosko na drogę przed nami. Nie musiałyśmy grać naszego przedstawienia, żeby dać najlepszy popis!

Jednak w miarę jak zbliżałyśmy się do stolicy, Sinita stawała się coraz bardziej milcząca. Na jej twarzy pojawił się smutny, tęskny wyraz. Wiedziałam, kogo jej brakuje.

Niedługo potem siedziałyśmy w poczekalni z innymi dziewczętami z całego kraju. W pewnej chwili, szeleszcząc habitem, weszła z powagą siostra Asunción i przywołała nas ruchem ręki. Wprowadzono nas do dużego holu, większego niż wszystkie pokoje, które widziałam w swoim życiu. Przeszłyśmy między rzędami krzesel i

znalazłyśmy się na środku pomieszczenia. Rozejrzałyśmy się wokół, próbując określić swoje położenie. I wtedy go poznałam - Dobroczyńcę, o którym słyszałam przez całe życie, siedzącego teraz pod baldachimem z dominikańskich flag.

W dużym złotym fotelu wyglądał na o wiele mniejszego, niż go sobie wyobrażałam, patrząc na portrety ukazujące się zawsze na tej albo innej ścianie. Miał na sobie nienagannie skrojony biały mundur, który ozdabiałały złote naramienniki z frędzlami i medale na piersi. Wyglądał jak aktor odgrywający swoją rolę.

Zajęłyśmy wyznaczone miejsca, ale on wydawał się tego nie zauważać. Był odwrócony do młodego mężczyzny, który siedział obok, również ubrany w mundur. Domyśliłam się, że to jego przystojny syn Ramfis, honorowy pułkownik wojska, którym został, gdy miał cztery lata. Jego zdjęcie też publikowano w gazetach.

Ramfis spojrzął w naszym kierunku i wyszeptał coś do ojca, który roześmiał się głośno. „Jak niegrzecznie” - pomyślałam; ostatecznie byłyśmy tam po to, by prawić im komplementy. Mogli przynajmniej udawać, że nie wyglądamy głupio w naszych pękatych kreacjach, z brodami, łukami i strzałami.

Trujillo skinął na nas, żebyśmy zaczęły. Stałyśmy jak sparalizowane, z wybałuszonymi oczami, aż w końcu Sinita wzięła się w garść, pierwsza zajmując swoje miejsce. Byłam zadowolona, że musiałam leżeć na podłodze, bo kolana trzęsły mi się tak bardzo, iż miałam obawy, czy aby Ojczyzna zaraz nie zemdleje.

Jakimś cudem wszystkie pamiętałyśmy swoje kwestie. W miarę jak je wypowiadałyśmy, nasze głosy stawały się pewniejsze i bardziej ekspresyjne. Kiedy zerknęłam w stronę łoża, zauważyłam, że młody Ramfis, a nawet sam El Jefe byli pochłonięci naszym występem.

Szło nam doskonale, aż do momentu, w którym Sinita miała stanąć przede mną, związaną Ojczyzną. Po tym, jak powiedziałam:

Przez wiek cały czeznąc w okowach,
Czy odnajdę nadzieję na wolność od mojej niedoli?
Och, Wolności, napnij swój olśniewający łuk.

Sinita powinna wystąpić naprzód, wyciągnąć swój lśniący łuk i zacząć strzelać do wymaganych wrogów. Następnie miała mnie uwolnić z więzów.

Kiedy jednak dotarliśmy do tego momentu, Sinita cały czas postępowwała do przodu i nie zatrzymała się, dopóki nie stanęła tuż przed fotelem Trujillo. Powoli wyciągnęła łuk i wzięła generała na cel. W pomieszczeniu zapanowała pełna konsternacji cisza.

Szybko jak strzała Ramfis zerwał się na równe nogi i znalazł się między swoim ojcem a naszym zastygłym w bezruchu żywym obrazem. Wyrwał łuk z rąk Sinity i przelamał go na kolanie. Trzask pękającego drewna wyzwolił gwar szeptów i pomruków. Ramfis uważnie przyglądał się Sinicie, która w odpowiedzi wbiła w niego śmiałe spojrzenie.

- Nie powinnaś się bawić w ten sposób.

- To była część przedstawienia - skłamałam. Wciąż leżałam na podłodze ze związanymi rękami. - Ona nie miała na myśli nic złego.

Ramfis popatrzył na mnie, a potem z powrotem na Sinitę.

- Jak się nazywasz?

- Wolność.

- Twoje prawdziwe nazwisko, Wolność? - warknął na nią, jakby była żołnierzem w jego armii.

- Perozo - odpowiedziała dumnie.

Podniósł brew, zaintrygowany. Potem, jak bohater z bajek dla dzieci, pomógł mi się podnieść.

- Rozwiąż ją, Perozo - rozkazał Sinicie. Ale kiedy zbliżała się, by rozsuptać więzy, złapał jej ręce i wykręcił na plecy. - Użyj swoich psich zębów, suko! - wysyczał.

Jego usta ułożyły się w ponury uśmieszek, kiedy Sinita przyklękła, żeby rozwiązać mnie ustami.

Odzyskawszy swobodę ruchów, zrobiłam coś, co - według późniejszej relacji Sinity - uratowało sytuację. Ściągnęłam pelerynę, pokazując gołe ramiona i odsłoniętą szyję. Trzęsącym się głosem zaintonowałam mantrę, która przeszła w krzyk:

- *Viva Trujillo! Viva Trujillo! Viva Trujillo!*

W drodze powrotnej wysłuchałyśmy reprimendy ze strony siostry Asunción.

- Nie byliście ozdobą narodu. Nie zastosowałyście się do mojej epistoły.

Kiedy zaczęło się ściemniać, snopy światła przed maską samochodu zaroily się od oślepiionych ciem. Owady uderzały w przednią szybę, zostawiając rozmazane ślady, aż w końcu wyglądało to tak, jakbym patrzyła na świat przez zasłonę łez.

ROZDZIAŁ 3

María Teresa

1945-1946

*Święto Inmaculada Conception
Dzień Patrona naszej szkoły!*

Drogi pamiętniczku,
dostałam cię dzisiaj od Minery z okazji Pierwszej Komunii.
Jesteś taki ładny, z okładką z macicy perłowej i małym zatrzaskiem,
takim jak przy modlitewnikach. Będę się świetnie bawić, pisząc na
twoich cienkich jak bibułka stronach.

Minerva mówi, że prowadzenie pamiętnika to także sposób
na refleksję, a ona pogłębia duszę. To brzmi tak poważnie.
Przypuszczam, że teraz, kiedy jestem za ciebie odpowiedzialna, mogę
się spodziewać zmian.

Niedziela, 9 grudnia

Drogi pamiętniczku,
próbowałam mieć refleksję, ale nic nie przyszło mi do głowy.

Kocham moje nowe buty z Pierwszej Komunii. Są z białej skóry,
na niziutkim obcasie, dokładnie takie, jakie noszą młode damy. Dużo
wcześniej ćwiczyłam i muszę powiedzieć, że nie zachwiałam się ani
razu w drodze do ołtarza. Byłam z siebie taka dumna.

Mama, Dedé, Patria, mój mały siostrzeniec Nelson i siostrzenica
Noris przybyli aż z Oj o de Agua tylko po to, żeby być na

mojej Pierwszej Komunii. Papa nie mógł przyjechać. Jest zbyt zajęty przy zbiorach kakao.

Środa, 12 grudnia

Drogi pamiętniczku,
trudno jest pisać w tobie tu, w szkole. Przede wszystkim nie mamy prawie wolnego czasu, oprócz tego przeznaczonego na modlitwy. A jeśli już uda mi się znaleźć chwilkę, Daysi i Lidia podchodzą ukradkiem i porywają cię. Przerzucają się tobą, kiedy za nimi biegnę, próbując cię odzyskać. W końcu oddają cię, chichocząc cały czas, jakbym była głupia, że cię prowadzę.

A nie wiem, czy już ci o tym wspominałam, pamiętniczku, ale ja zawsze płaczę, kiedy ktoś się ze mnie śmieje.

Dzień Świętej Łucji

Drogi pamiętniczku,
dziś wieczorem będziemy zapalać świece i nasze oczy zostaną błogosławione w okazji Dnia Świętej Łucji. I nie zgadniesz, co się stało! Zostałam wytypowana przez siostry do odegrania jej roli! Założę jeszcze raz swoją komunijną sukienkę i buty i poprowadzę całą szkołę z ciemnego dziedzińca do oświetlonej kaplicy.

Ćwiczyłam chodzenie tam i z powrotem między stacjami drogi krzyżowej z pobożnym wyrazem twarzy. Nie jest to prosta rzecz, kiedy próbuje się zachować równowagę. Myślę, że wszystkie święte musiały żyć, zanim wynaleziono wysokie obcasy.

Sobota, 15 grudnia

Drogi pamiętniczku,
co to znaczy, że teraz n a p r a w d ę mam duszę?

Kojarzy mi się z tym tylko obrazek z naszego katechizmu przed-

stawiający serce chore na odrę. To dusza, która popełnia grzechy śmiertelne. Grzechy pospolite są łżejsze, jak wysypka zamiast odry. Wysypka, która mija nawet bez spowiedzi, jeśli dokona się aktu pokuty.

Spytałam Minervę, co to dla niej znaczy, że ma duszę. Rozmawiałyśmy o tym, co powinnam zrobić w sprawie Daysi i Lidii.

Minerva mówi, że dusza jest jak głęboka tęsknota, której nigdy nie da się ugasić, chociaż się próbuje. To dlatego mamy poruszające wiersze i odważnych bohaterów, którzy giną w słusznej sprawie.

Myślę, że mam tę tęsknotę. Czasem przed wakacjami albo przyjęciem urodzinowym czuję, że zaraz wybuchnę. Ale Minerva mówi, że nie do końca to miała na myśli.

Niedziela, 16 grudnia

Drogi pamiętniczku,
nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że jestem nadzwyczaj dojrzała jak na swój wiek.

Myślę, że wydorostałam tak szybko, ponieważ mam trzy starsze siostry. Umiałam czytać, zanim jeszcze poszłam do szkoły! Siostra Asunción zapisała mnie do czwartej klasy, chociaż powinnam właściwie chodzić do trzeciej razem z pozostałymi dziesięciolatkami.

Jak już pewnie zauważyłeś, mam też bardzo ładny charakter pisma. Dwa razy zdobyłam nagrodę za pisanie i w tym tygodniu też bym wygrała, ale postanowiłam zostawić kilka „i” bez kropek. Nie wpływa to dobrze na relacje z innymi dziewczętami, jeśli cały czas jest się najlepszą.

Na początku mama nie chciała, żebym wyjeżdżała z domu. Przyznała jednak, że tak będzie najrozsądniej, jako że jeszcze tylko w tym roku, po którym Minerva zostanie już absolwentką Inmaculada Concepción, będę tu miała rodzinę, która się mną zaopiekuje.

Nie mów nikomu, ale nie do końca podoba mi się to miejsce. Muszę jednak udawać, że jest inaczej, skoro już namówiłyśmy mamę, aby pozwoliła mi mieszkać w internacie. Przynajmniej jest tu ze mną

Minerva, nawet jeśli śpi w innej sali.

I ty jesteś tu ze mną, mój pamiętniczku.

Czwartek, 20 grudnia

Drogi pamiętniczku,

jutro Minerva i ja jedziemy pociągiem do domu na święta. Nie mogę się doczekać! Moja dusza jest już pełna tęsknoty.

Tęsknię do papy, którego nie widziałam od trzech długich miesięcy!

I za moimi królikami, Nieve i Coco. Ciekawe, ile mam nowych?

I za Tono i Felą (naszymi pracownikami), które zrobią z mojego powrotu wielkie wydarzenie.

I za moim pokojem (dzielę go z Minervą) z oknami wychodzącymi na ogród z jego łukiem z bugenwilli podobnym do wejścia do czarowanego bajkowego królestwa.

I do tego, żeby nazywano mnie Mate. (Tutaj nie wolno nam używać przydomków. Nawet do Dedé muszę się zwracać „Belgica”, chociaż nikt nigdy tak do niej nie mówił).

Zgaduję, że do pewnego stopnia będzie mi brakowało tego, co mam tutaj.

Na przykład siostry Milagros, która zawsze pomaga mi opleść włosy wstążkami. Albo Daysi i Lidii, które były ostatnio takie miłe. Myślę, że pomogło to, że Minerva przeprowadziła z nimi rozmowę.

Ale NIE będzie mi brakować budzenia się o szóstej i odprawiania porannych jutrzni, i spania w wielkiej sali sypialnej z niewychowanymi osobami, które chrapią. I ciszy poobiedniej każdego dnia. I noszenia granatowego serżowego mundurka, kiedy jest na świecie tyle ładniejszych kolorów i materiałów.

Niedziela, 23 grudnia

Dom!

Mój drogi,

w drodze do domu Minerva wytłumaczyła mi wszystko ze szczegółami, ilustrując swoje słowa wykresami. Nie byłam ani trochę zaskoczona. Po pierwsze, powiedziała mi już wcześniej o cyklach, a po drugie, mieszkamy na farmie, a byki nie mają w zwyczaju dbać o swoją prywatność. Mimo wszystko nie musi mi się to podobać. Mam nadzieję, że do czasu, kiedy będę na tyle dorosła, aby wyjść za mąż, zostanie odkryty jakiś nowy sposób.

Ojej, wszyscy wołają mnie, żebym zobaczyła świnię, którą wujek Pepe przywiózł na jutrzejszą kolację wigilijną.

Ciąg dalszy nastąpi, pamiętniczku.

Później

W pociągu, którym wracałyśmy do domu, jakiś młody mężczyzna zaczął wszędzie za nami chodzić, mówiąc, że Minerva jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. (Ona zawsze zbiera komplementy, kiedy idziemy ulicą).

Mamy właśnie siadać, kiedy ten młody mężczyzna rzuca się do przodu i wyciera nasze siedzenia chusteczką do nosa.

Minerva dziękuje, ale tak naprawdę nie poświęca mu uwagi. A przynajmniej nie tyle, ile by pragnął. Innymi słowy, nie zaprasza go, żeby się do nas dosiadł.

Myślałyśmy, że się go pozbyłyśmy. Jedziemy dalej, przerabiając tę lekcję, kiedy nagle on wraca z różkiem prażonych orzechów nerkowca, kupionym dla nas na ostatniej stacji. Częstuje mnie, ale ja przecież nie przyjmuję upominków od nieznanomych.

A jednak, a jednak... te orzechy wyglądają tak apetycznie, a mnie burczy w żołądku. Patrząc na Minervę swoim wyuczonym błagalnym spojrzeniem, a ona kiwa głową na zgodę.

- Dziękuję bardzo - mówię, przyjmując różek, i nagle młody mężczyzna już siedzi koło mnie i wbija wzrok w lekcję na moim kolanie.

- Jaki uroczy rysunek - zauważa.

Myślałam, że umrę! Rysunek przedstawiał TO z dwiema kulami.

Minerva i ja dostałyśmy takiego ataku śmiechu, że zaczęłam się krztusić orzechami, a młody mężczyzna uśmiechnął się, myśląc, że powiedział coś bardzo bystrego!

Wigilia Bożego Narodzenia

Mój najdroższy, kochany pamiętniczku!

Jestem taka podekscytowana! Boże Narodzenie, a potem Nowy Rok, a potem Święto Trzech Króli - tyle świątecznych dni naraz! Tak trudno jest siedzieć spokojnie i mieć refleksje! Moja dusza pragnie tylko dobrze się bawić!

Moi mali siostrzeńcy zostają aż do Święta Trzech Króli. Tak, w wieku dziesięciu lat już dwa razy zostałam ciocią. Moja siostra Patria ma dwoje dzieci i znów jest w ciąży. Noris, moja mała laleczka, ma dopiero roczek i jest taka słodka. Trzyletni Nelson jest pierwszym stworzeniem płci przeciwnej, które widziałam nago, nie licząc zwierząt.

Pierwszy dzień 1946 roku

Pamiętniczku,

na mojej noworocznej wróżbie, którą wyciągnęłam spod poduszki, jest napisane „przeciętny”. Mama dąsa się o wróżby, twierdząc, że papież ich zabrania, ale ja przekonuję się, że wróżby mówią jednak prawdę. Pierwszy dzień nowego roku nie był dla mnie „dobry” ani „zły”, lecz po prostu „przeciętny”.

Zaczął się od tego, że mama Nelsona zganiła mnie za opowiadanie mu historii o duchach. Wiem, że Patria jest w ciąży i nie czuje się dobrze. Mimo wszystko, czy naprawdę nie pamięta, jak bawiła się ze mną w „mroczne przejścia”, kiedy miałam tylko cztery lata?

Poza tym to Fela opowiedziała mi historię o zombie. Ja tylko ją powtórzyłam.

To zabiera radość z robienia moich postanowień, a oto one:

Postanowienia Marii Teresy Mirabal na rok 1946:

Postanawiam nie straszyć Nelsona upiornymi historiami.

Postanawiam solennie wywiązywać się z obowiązków i nie zasypiać, kiedy odmawiam modlitwy.

Postanawiam nie myśleć o ubraniach, gdy jestem w kościele.

Postanawiam być cnotliwa, ponieważ jest to szlachetne. (Siostra Asunción powiedziała, że wszystkie powinnyśmy powziąć takie postanowienie jako młode damy należące do świętego i apostołskiego Kościoła).

Postanawiam nie być wrażliwa, ponieważ Minerva mówi, że od płakania tworzą się przedwczesne zmarszczki...

Myślę, że tyle postanowień wystarczy na p r z e c i ę t n y rok.

Piątek, 4 stycznia

Najdroższy pamiętniczku,

pojechaliśmy aż do sklepów w Santiago. Były zalane powodzią ludzi. Wszyscy robili zakupy na Święto Trzech Króli. Mieliśmy ze sobą listę rzeczy, których potrzebujemy. Papa dał mi trochę pieniędzy, żebym mu pomogła. Nazywa mnie swoją małą sekretarką.

Namówiłam mamę, by kupiła mi jeszcze jedną parę butów. Nie rozumiała, dlaczego ich potrzebuję, skoro mam te, które dostałam na Pierwszą Komunię. Ale ta nowa para jest z l a k i e r o w a n e j s k ó r y , a ja zawsze chciałam mieć lakierki.

Muszę przyznać, że Minerva trochę mi pomogła w przekonywaniu.

Jest taka bystra. Zawsze wie, z której strony podejść mamę.

Tak jak dziś, kiedy zobaczyła ten śliczny strój kąpielowy w biało-czerwona kratę, z doszytą małą spódniczką. Szła go kupić, a wówczas mama przypomniała jej o tym, że złożyła *promesa* *. Ostatniego wieczoru przy kolacji Minerva ogłosiła, że rezygnuje z pływania w lagunie w zamian za to, że Bóg pomoże jej zostać prawnikiem. Jak mawia papa, aluzje Minervy są subtelne niczym spadająca cegła.

* *Promesa* (hiszp.) - obietnica, ślub.

- Nie planuję go używać - tłumaczyła mamie - ale żeby *promesa* była dla mnie jakimkolwiek poświęceniem, powinnam chyba mieć kostium, który będzie mnie kusił?
- Będziesz się wyklócać nawet ze świętym Piotrem przed bramą - odparła mama. Ale uśmiechała się i potrząsała głową.



moje nowe buty
(kokardy są doczepiane)



nowy kostium Minervy
(torebka nie pasuje)

Sobota, 5 stycznia

Drogi pamiętniczku,
kuzyn Berto jest taki kochany. Jego starszy brat Raúl też, ale Berto jest wyjątkowo ponadprzeciętny, jeśli to odpowiednie słowo.

Wczoraj, kiedy ciocia Flor przyszła do nas z chłopcami, mama lamentowała nad tym, że jej krzaki róż są takie skarłowaciałe i nie zobaczy w tym roku zbyt wielu swoich ulubionych kwiatów. Dzisiejszego ranka, tuż po śniadaniu, Berto przyszedł z wielkim koszem pełnym przepięknych róż, które sam zebrał. Ogród cioci zakwitł wszystkimi ich odmianami.

Berto tak starannie ułożył je w koszyku. I wybrał te na długich łądogach. Czy to nie jest niesłychane jak na chłopca?

W całym domu pachnie dziś słodko jak w perfumerii.

Święto Trzech Króli

Drogi pamiętniczku,
dużo czasu zajął mi dzisiaj wybór butów, w których pójdę do kościoła: biała skóra czy lakierki? W końcu zostałam przy białych, bo mama wybrała je na moją Pierwszą Komunię i chciałam, aby czuła, że to je ciągle lubię najbardziej.

Później, przy świątecznej kolacji, w której brali udział wszyscy wujowie i sympatyczni kuzyni, zdarzyła się pewna śmieszna sytuacja. *Tio Pepe* przypomniał nam o pochodzie odbywającym się w przyszłą niedzielę z okazji Dnia Dobroczyńcy, a *Minerva* powiedziała coś w rodzaju: „Dlaczego nie pójdziemy świętować na cmentarz?”. W pokoju zapadła martwa cisza.

Chyba mam refleksję. Dlaczego powinniśmy świętować Dzień Dobroczyńcy na cmentarzu? Spytałam o to *Minervę*, ale ona powiedziała, że nieważne i że to był tylko kiepski żart.

Dzień Dobroczyńcy

Mój drogi pamiętniczku,
spodziewamy się wujka *Pepe* lada chwila. Przyjeżdża starym powozem i zabiera nas na uroczystości w *Salcedo*. Po pochodzie przed ratuszem odbędą się odczyty i wielkie przyjęcie. *Papa* wygłosi przemówienie o *Rolnikach Trujillo!*

Tym razem po raz pierwszy zakładam lakierki i jasnoniebieską popelinową sukienkę z małą marynareczką do kompletu. *Patria* uszyła je dla mnie z materiału, który sobie wybrałam.

Wykorzystam te kilka minut, kiedy jeszcze czekamy, żeby z całego serca życzyć *El Jefe* Szczęśliwego Dnia Dobroczyńcy. Jestem wdzięczna losowi, że to on jest naszym prezydentem.

Nawet urodziłam się w tym samym miesiącu co on (w październiku), tylko niemal czterdzieści cztery lata później (bez dziewięciu dni). Myślę, że to świadczy o jakimś szczególnym rysie mojego charakteru.

Poniedziałek, 14 stycznia

Drogi, najlepszy przyjacielu, pamiętniczku,
wróciłam do szkoły po świątecznej przerwie i bardzo tęsknię za domem. Tak naprawdę piszę po to, żeby powstrzymać się od łez.

Daysi i Rita są teraz najlepszymi przyjaciółkami. Obie mieszkają w Puerto Plata, więc podczas świąt miały czas, żeby zacieśnić swoją relację. Może teraz Lidia - która wraca dopiero po Świącie Matki Boskiej z Altagracji 21 stycznia, ponieważ wybiera się z całą rodziną na pielgrzymkę do Higüey - zostanie moją najlepszą przyjaciółką?

Przed zgaszeniem świateł mamy czas na cichy odpoczynek. Musimy zachować milczenie, nie odwiedzać się nawzajem i myśleć tylko o naszych nieśmiertelnych duszach.

Jestem taka zmęczona swoją.

Poniedziałek, 18 lutego

Drogi pamiętniczku,
tego ranka bez ostrzeżenia zostałam wezwana do gabinetu dyrektorki. Serce stanęło mi w gardle, gdy zobaczyłam, że Minerva też tam jest. Na początku pomyślałam, że ktoś w naszej rodzinie zmarł. Potem jednak zauważyłam, że Minerva mierzy mnie wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „Uważaj na słowa, mała”.

Siostra Asunción od razu przechodzi do rzeczy:

- Twoja starsza siostra została złapana na wykradaniu się ze szkoły - mówi.

Zanim jeszcze zdążyłam ułożyć to sobie w głowie, pada następne pytanie:

- Czy znasz wuja Mona, który mieszka w La Vega i jest chory? Tak czy nie?

Rzucam krótkie spojrzenie na Minervę, na zbolwały wyraz jej twarzy i kiwam głową.

- Tak, nasz *tio* Mon jest chory, ma *sarampión*, z tego, co ostatnio słyszałam.

Twarz Minery odzyskuje zwykły wygląd. Posyła dyrektorce spojrzenie z gatunku „a nie mówiłam?”.

Sądzę, że nawet udoskonaliłam jej kłamstwo. Teraz może łatwo wytłumaczyć, dlaczego próbowała się wymknąć. Odra to tak zaraźliwa choroba, że siostry nigdy nie pozwoliłyby jej na wizytę, gdyby je spytała.

Czwartek, 21 lutego

Drogi pamiętniczku,

martwię się o to, że Minerva próbowała się wymknąć i skłamała na temat wujka Mona. Dzisiaj, po różańcu, który odmawiamy wspólnie na dziedzińcu, przycisnęłam ją do ściany za posągami Matki Miłosierdzia.

- Co się dzieje? - spytałam.

Ale ona próbowała zbyć mnie żartem.

- Cóż, siostrzyczko, nie chcesz chyba, żebyśmy mówiły coś za plecami Dziewicy?

Odpowiedziałam, że tak, właśnie tego chcę. Wtedy Minerva oznajmiła, że jestem zbyt młoda, by mówić mi niektóre rzeczy.

To mnie rozzłościło. Powiedziałam jej, że skoro już popełniłam grzech śmiertelny - bo kłamanie osobie duchownej nie może być traktowane jako grzech powszedni - Minerva mogłaby przynajmniej wyjawić mi, za co narazałam swoją nieśmiertelną duszę.

Sposób, w jaki się z nią kłóciłam, zrobił na niej wrażenie. Zawsze mówi mi, bym walczyła o swoje, ale chyba nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogę walczyć z nią.

Obiecała, że powie mi jutro, kiedy będziemy mogły porozmawiać na osobności.

Niedziela, 24 lutego

Pamiętniczku,

dzisiaj cała szkoła poszła do parku Umarłych. Miałyśmy więc okazję porozmawiać i Minerva powiedziała mi wszystko. Teraz zamartwiam się na śmierć. Daję słowo, moja starsza siostra wpędzi mnie do grobu!

Okazuje się, że ona, Elsa, Lourdes i Sinita chodziły na jakieś sekretne spotkania do domu don Horacia - dziadka Elsy, który ma problemy z policją, ponieważ odmawia wykonywania poleceń, takich jak zawieszenie w domu portretu naszego prezydenta. Minerva mówi, że policja go nie zabiła, bo jest tak stary, że niedługo sam umrze, nie wyrządzając im żadnej szkody.

Spytałam ją, dlaczego naraża się na takie niebezpieczeństwo. Jej odpowiedź była dziwna. Chce, żebym dorastała w wolnym kraju.

- A teraz tak nie jest? - spytałam. Poczułam ucisk w klatce piersiowej. Wiedziałam, że zbliża się jeden z moich ataków astmy.

Minerva nic nie odpowiedziała, widząc, że jestem już dostatecznie roztrzęsiona. Wzięła obie moje dłonie w swoje, jakbyśmy przygotowywały się do skoku na głęboką wodę laguny w Ojo de Agua.

- Oddychaj głęboko i spokojnie - zaintonowała - głęboko i spokojnie.

Wyobraziłam sobie, jak w upalny dzień spadam, głęboko i spokojnie, prosto w zimną toń. Chwyciłam mocniej ręce siostry, bojąc się już tylko tego, że mogłaby mnie puścić.

Poniedziałek, 25 lutego

Najdroższy pamiętniczku,

to takie dziwne, że wiem coś, czego nie powinnam wiedzieć.

Wszystko wydaje mi się teraz trochę inne.

Widzę *guardia* i zastanawiam się, kogo zabił. Słyszę syrenę policyjną i próbuję zgadnąć, kto zostanie zabity. Rozumiesz, co mam na myśli?

Widzę portret naszego prezydenta i wydaje mi się, że śledzi wzrokiem wszystko, co robię w swoim pokoju, i próbuje przyłapać mnie na czymś niewłaściwym. Wcześniej myślałam raczej, że nasz

prezydent jest jak Bóg czuwający nad każdym moim przedsięwzięciem.

Nie mówię, że nie kocham naszego prezydenta, ponieważ tak nie jest. To tak, jakbym odkryła, że papa zrobił coś złego. Wciąż bym go kochała, prawda?

Niedziela, 3 marca

Och, pamiętniczku!

Wujek Mon zjawiał się dzisiaj z listami i paczką dla nas, a pierwsze pytanie z ust siostry Asunción brzmiało:

- I jak się pan czuje, don Ramon?

Mało co nie umarłam na konsternację, jeśli jest takie słowo.

Minerva, która ma o wiele lepszy refleks, po prostu złapała go za ramię i szybko odciągnęła, mówiąc:

- Miły spacer dobrze ci zrobi, *tio*.

Wujek Mon wyglądał na lekko zdeorientowanego, ale Minerva już trzymała go pod ramię i miała go owiniętego wokół małego palca, więc dał się uprowadzić.

Teraz o listach, które mi przyniósł. Drogi pamiętniczku, oto mam dopiero dziesięć lat i już pierwszych konkurentów. Berto znów do mnie napisał. Pokazałam Minervie wszystkie jego listy, a ona uśmiechnęła się i powiedziała, że są „słodkie i chłopiące”.

Wyznaję, że nie pokazałam jej ostatniego.

Nie mówię, że był kłiwy, ale jestem nim trochę onieśmielona.

Berto z takim zrozumieniem wyrażał się o mojej tęsknocie za domem, a na koniec podpisał się „Twoja Twierdza”.

Podoba mi się brzmienie tych słów.

Wtorek, 30 kwietnia

Najdroższy pamiętniczku,

ta nowa przyjaciółka Minervy, Hilda, jest naprawdę niegrzeczna. Nosi spodnie i beret nałożony krzywo na głowę, jakby była Michałem

Aniołem.

Minerva poznała ją na jednym z sekretnych spotkań w domu don Horacia. Niedługo potem Hilda zaczęła przesiadywać w Inmaculada. Myślę, że siostrze było jej żal, bo jest kimś w rodzaju sieroty. A raczej - jestem tego pewna - sama się postarała, by nią być. Jej rodzice prawdopodobnie umarli ze zgorznienia, kiedy usłyszeli, co ta dziewczyna mówi!

A mówi najokropniejsze rzeczy - jak to, że nie jest pewna, czy Bóg istnieje. Biedna siostra Asuncióń. Cały czas podtyka Hildzie broszurki do czytania, żeby pomóc jej wszystko zrozumieć. Widziałam, co się dzieje z tymi broszurkami, kiedy tylko dyrektorka się odwróci. Zakonnice pozwoliły jej na chwilę zboczyć na własne ścieżki, ale dzisiaj się to skończyło.

Siostra Asuncióń spytała Hildę, czy nie chciałaby przystąpić z nami do komunii świętej, a ona odpowiedziała, że woli bardziej zróżnicowane menu!

Została więc wyproszona, bez możliwości powrotu.

- Ma bardzo złą postawę - tłumaczyła przełożona. - A twoja siostra i jej przyjaciółki się tym zarażają.

Chociaż nienawidzę, kiedy ktoś krytykuje Minervę, musiałam zgodzić się z siostrą Asuncióń w kwestii Hildy.

Czwartek, 27 czerwca

Mój drogi sekretny pamiętniczku,
przez cały tydzień *guardias* przychodzili i odchodzili, szukając Hildy.

Minerva opowiedziała mi, co się wydarzyło.

Hilda pojawiła się w Inmaculada kilka nocy temu, ponieważ potrzebowała kryjówki! Zaczęło się od tego, że kiedy jechała szosą, prowadząc pożyczoną ciężarówkę z jakimiś tajnymi dokumentami ukrytymi w bagażniku, zabrakło jej paliwa. Przyjechał po nią przyjaciel i razem poszli na stację, skąd zabrali trochę benzyny w kanistrze. Gdy wracali, zobaczyli policjantów kłębiących się wokół pojazdu.

Drzwi bagażnika były wyważone. Hilda poprosiła przyjaciela, żeby zawiózł ją do Inmaculada. Tam obudziła Minervę i jej przyjaciółki. Wspólnie przedyskutowały, co należy zrobić. Stało na tym, że muszą poprosić o pomoc siostry.

Zapukały więc w środku nocy do drzwi zakonu. Na progu pojawiła się siostra Asuncióń, w koszuli nocnej i czepku. Minerva przedstawiła jej problem.

Jak sama mówi, wciąż nie wie, czy siostra Asuncióń zgodziła się pomóc Hildzie ze względu na swoje dobre serce, czy dlatego, że była to idealna okazja, by nauczyć czegoś tę nową dziewczynę.

Wyobraź sobie! Hildę, która nawet nie wierzy w Boga!

Dzisiaj znów była tu policja. Przeszli tuż przed nosem siostry Hildy, która miała ręce wetknięte w rękawy i głowę pochyloną przed posągami Matki Miłosierdzia. Gdybym nie drżała ze strachu, na pewno bym się śmiała.

*Czwartek, 4 lipca
W końcu w domu!*

Drogi pamiętniczku, ostatniej niedzieli Minerva ukończyła szkołę. Wszyscy pojechali do La Vega zobaczyć, jak odbiera dyplom. Była nawet Patria ze swoim wielkim jak balon brzuchem. Może urodzić w każdej chwili.

To lato spędzimy w domu. Nie mogę się doczekać, kiedy pójde popływać. Minerva mówi, że zabierze mnie nad lagunę i że będzie nurkować w swoim kostiumie pokusie. Twierdzi, że nie ma po co dotrzymywać swojej *promesa*, skoro mama i papa ciągle nie chcą jej pozwolić wyjechać na studia prawnicze do stolicy.

To lato mam zamiar spędzić, ucząc się rzeczy, których n a - p r a dę chcę się nauczyć! Takich jak: 1. haftowanie u Patrii, 2. księgowanie u Dedé, 3. pieczenie ciast u cioci Flor (będę mogła częściej widywać mojego słodkiego kuzyna Berta, i Raúla też!!!), 4. czary u Feli (lepiej, żebyśmy nie mówiła tego mamie!), 5. jak się kłócić,

żeby wychodziło na moje, i wszystkiego, czego jeszcze chce mnie nauczyć Minerva.

Niedziela, 21 lipca

Och, pamiętniczku, właśnie wróciliśmy z cmentarza, gdzie pochowaliśmy synka Patrii, który wczoraj urodził się martwy.

Patria jest bardzo smutna i cały czas płacze. Mama powtarza w kółko, że Pan wie, co robi, a Patria kiwa głową w taki sposób, jakby wcale w to nie wierzyła. Pedrito tylko łamie palce i pociesza ją, mówiąc, że wkrótce mogą mieć następne dziecko. Nie wyobrażam sobie, jak można dawać takie zapewnienia komuś, kto już i tak przechodzi wystarczająco trudne chwile.

Zostaną u nas, aż Patria poczuje się lepiej. Staram się być dzielna, ale za każdym razem, gdy pomyślę o tym małym ślicznym dziecku leżącym bez życia w skrzynce, jakby w ogóle nie miało duszy, zaczynam płakać.

Lepiej już skończę pisać i spróbuję się uporać ze swoimi uczuciami.

Środa, w pośpiechu

Mój najdroższy pamiętniczku, och, mój najdroższy, Minerva pyta, czy jestem gotowa, żeby cię oddać. Proszę, żeby poczekała, aż wszystko ci wyjaśnię i się pożegnaj.

Hilda została złapana! Schwyтали ją policjanci, kiedy próbowała opuścić zakon. Wszystkie osoby z grupy don Horacia zostały poinstruowane, żeby zniszczyć każdą rzecz, która mogłaby wskazywać na ich winę.

Minerva pali wszystkie swoje wiersze, listy i papiery. Mówi, że nie miała zamiaru czytać mojego pamiętnika, ale leżał w pobliżu i zauważyła imię Hildy. Mówi, że nie powinna była cię czytać, ale czasem trzeba zrobić coś złego dla wyższego dobra.

(Wszystko w tym prawniczym tonie, który tak lubi!) Mówi, że ciebie też musimy zagrzebać.

To nie na zawsze, mój drogi pamiętniczku, obiecuję. Minerva mówi, że jak tylko sprawy zaczną się lepiej układać, będziemy mogli odkopać nasze pudełko skarbów. Przedstawiła już Pedritowi nasz plan, a on znalazł miejsce między swoimi kakaowcami, gdzie wykopie dół na nasze skarby.

Więc, mój najdroższy, najśladzszy pamiętniczku, teraz wiesz.

Minerva miała rację. Moja dusza stała się głębsza, od kiedy zaczęłam cię pisać. Ale teraz chcę wiedzieć coś, czego nie wie nawet ona.

Co mam zrobić, żeby wypełnić tę głębię?

Tutaj kończy się mój pamiętniczek

Żegnaj

Teraz, nie na zawsze

(mam nadzieję)

ROZDZIAŁ 4

Patria

1946

Od początku czułam, że w moim sercu znalazła schronienie perła wielkiej wartości. Nikt nie musiał mi mówić, żebym wierzyła w Boga albo żebym kochała wszystko, co żyje. Robiłam to instynktownie, jak pęd torujący sobie drogę w stronę światła.

Już w chwili swoich narodzin, wychodząc na zewnątrz, najpierw wyciągnęłam rączki, jakbym czegoś szukała. Dzięki Bogu położyła w ostatnim momencie sprawdziła, czy wszystko w porządku, i opuściła moje ręce tak, jak składa się skrzydła złapanego w klatkę ptaka, żeby się nie zranił, próbując latać.

Można więc powiedzieć, że urodziłam się, ale tak naprawdę mnie tu nie było. Jedno z tych duchowych dzieci - *akia*, jak mawiają ludzie ze wsi. Mój umysł, moje serce, moja dusza w obłokach.

Trzeba było planów, które nie doszły do skutku, żeby sprowadzić mnie na ziemię.

Jako niemowlę byłam wyjątkowo grzeczna - mama mówi, że zapomniała o mojej obecności. Noc przesypiałam, a jeśli obudziłam się, kiedy nikogo nie było w pobliżu, sama sobie zapewniałam rozrywkę. W rok później urodziła się Dedé, a potem Minerva, w sumie trójka dzieci w pieluchach! Mały dom był ciasno upchany, jak pudło z rzeczami, które łatwo się tłuką. Papa nie wykończył jeszcze nowej sypialni, więc mama umieściła mnie i Dedé w sieni, w małym dzie-

cięcym łóźeczku. Pewnego ranka zastała mnie przewijającą Dedé i, co najśmieszniejsze, użyłam swojej własnej pieluchy, którą zdjęłam i nałożyłam młodszej siostrze, nie chcąc zawracać mamie głowy prośbą o czystą.

„Oddałabyś wszystko: swoje ubrania, jedzenie, zabawki - wspominała mama. - Gdyby ludzie ze wsi się o tym dowiedzieli, podczas mojej nieobecności posyłałoby do ciebie dzieci z prośbą o kubek ryżu albo słoik oleju. Nie czułaś żadnego przywiązania do rzeczy. Obawiałam się - wyznała - że nie pożyczysz długo, że jesteś już na drodze, na którą my tutaj mamy dopiero wstąpić”.

W końcu ojciec Ignacio ukoił jej lęk. Powiedział, że może mam powołanie do życia religijnego, które manifestuje się tak wcześnie. I dodał, że swoim charakterystycznym zdroworoządkowym poczuciem humoru: „Daj jej czas, doña Chea, daj jej czas. Widziałem wiele małych aniołków, z których wyrastały upadłe anioły”.

To od jęgo sugestii wszystko się zaczęło. Byłam powołana, nawet ja tak uważałam. Kiedy bawiliśmy się w dorosłych, nakładałam prześcieradło na ramiona i udawałam, że odmawiam pacierze, idąc długimi korytarzami w wykrochmalonych szatach liturgicznych.

Zapisywałam na różne sposoby swoje imię zakonne - siostra Mercedes - tak jak inne dziewczynki wypróbowywały brzmienie swojego imienia z nazwiskami przystojnych chłopców. Kiedy ja na nich patrzyłam, myślałam: „A tak, będą przychodzić do siostry Mercedes w trudnych chwilach i kłaść swoje kędzierzawe głowy na moich kolanach, żeby dodała im otuchy. Moja nieśmiertelna dusza pomieści cały błogosławiony świat!”. Jednak pożądlive ciało, zgodnie ze swoją naturą, czekało stosownej chwili, by wystąpić przeciwko tyranii mojego ducha.

W wieku czternastu lat pojechałam do Inmaculada Concepción, a wszyscy miejscowi rolnicy myśleli, że wstępuję do zakonu. „Jaka szkoda - mówili - taka ładna dziewczyna”.

To wtedy zaczęłam oglądać się w lustrze. Zdziwiłam się, kiedy - zamiast dziecka, którym kiedyś byłam - zobaczyłam młodą damę z jędrnymi piersiami i owalną twarzą o słodkim wyrazie. Gdy się

uśmiechała, w jej policzkach tworzyły się ładne dołeczki, ale ciemne, wilgotne oczy były pełne tęsknoty. Przyłożyłam dłonie do lustra, by przypomnieć jej, że ona też musi oddać się sprawom, których nie rozumie.

W szkole zakonnice bacznie mnie obserwowały. Widziały moje cierpienia, kiedy podczas porannych mszy dbałam o to, żeby mieć wyprostowane plecy, a złożone dłonie z własnej woli trzymałam w górze, nie kładąc ich na tylnym oparciu kościelnej ławy, jakby modlitwa była rozmową. Zauważyły, że podczas Wielkiego Postu moich ust nie dotknęło żadne mięso, nawet parujący rosół, kiedy mocny katar skazał mnie na leżenie w pokoju dla chorych.

Gdy w lutym siostra Asuncióń wezwała mnie do swojego gabinetu, nie miałam jeszcze nawet szesnastu lat. Pamiętam, że płomienie Afryki były w pełnym rozkwicie. Wchodząc do ponurego pomieszczenia, widziałam za oknem olśniewające czerwone języki ognia gorejące na każdym drzewie, a za nimi przerażające chmury burzowe.

- Patrio Mercedes - powiedziała siostra Asuncióń, powstając i wychodząc zza biurka.

Przyklękłam do błogosławieństwa i pocałowałam krucyfiks, który podała mi do ust. Ogarnęło mnie wzruszenie i czułam, jak szczerze łzy napływają mi do oczu. Właśnie zaczął się Wielki Post, a ja zawsze byłam w takim stanie podczas czterdziestu dni Męki Pańskiej.

- Chodź, chodź, chodź - pomogła mi wstać - mamy dużo do omówienia.

Poprowadziła mnie nie do twardego krzesła stojącego naprzeciw jej biurka jak w pokoju przesłuchań, ale do purpurowej pluszowej poduszki leżącej na ławeczce w oknie wykuszowym.

Usiadłyśmy po przeciwległych stronach. Mimo przyćmionego światła widziałam bladoszare, pełne zrozumienia oczy siostry. Poczulałam unoszący się od niej zapach hostii i zrozumiałam, że znajduję się w obecności świętej. Moje serce biło szybko, przelęknione i głęboko poruszone.

- Patrio Mercedes, czy rozmyślałaś już na temat przyszłości? - spytała przyciszonym głosem.

Oczywiście w moim młodym wieku pychę byłoby utrzymywać, że jest się powołanym! Płonąc rumieńcem, potrząsnęłam głową i wbiłam wzrok w dłonie, naznaczone, jak mówią ludzie na wsi, mapą przyszłości.

- Musisz się modlić do Niepokalanej, bycie poprowadziła - powiedziała.

Poczułam na sobie jej ciepłe spojrzenie i podniosłam oczy. Za plecami siostry zobaczyłam pierwszy zygzak pioruna i usłyszałam dudnienie grzmotu w oddali.

- Robię tak, siostrze, modlę się cały czas, żeby poznać Jego wolę i móc ją wypełnić.

Pokiwała głową.

- Od początku widziałyśmy, jak poważnie podchodzisz do swoich religijnych obowiązków. Teraz musisz słuchać uważnie, na wypadek gdyby On cię powoływał. Powitałybyśmy cię wśród nas, jeśli taka jest Jego wola.

Łzy potoczyły się po moich policzkach, wywołując słodkie uczucie ulgi. Po chwili miałam od nich mokrą całą twarz.

- Ale, ale - powiedziała, głaszcząc moje kolana - nie smućmy się.

- Nie jestem smutna, siostrze - odparłam, kiedy już odrobinę się opanowałam. - To łzy radości i nadziei, że On objawi mi swoją wolę.

- Tak się stanie - zapewniła mnie. - Słuchaj cały czas. Na jawie, we śnie, podczas pracy i zabawy.

Pokiwałam głową, a siostra Asunción dodała:

- A teraz pomódlmy się razem, żebyś wiedziała już wkrótce.

Odmówiłam z nią *Zdrowaś Mario* i *Ojczy nasz*, bez powodzenia starając się oderwać wzrok od płomienistych drzew i ich kwiatów, które strącał wiatr zapowiadający burzę.

Toczyła się walka, o której nikt nie wiedział. Rozpoczynała się w ciemności, w godzinach, którymi rządzi zło - wtedy moje dłonie,

wbrew woli, budziły się do życia. Wędrowały po dojrzewającym ciele, dotykały zaokrągleń na klatce piersiowej, formy brzucha, a potem brnęły dalej. Próbowałam je powstrzymać, ale noc po nocy wymykały się spod kontroli.

W Świąto Trzech Króli poprosiłam o krucyfiks, który powiesiłam nad łóżkiem. Przed snem kładłam go obok siebie, tak żeby moje ręce, kiedy się obudzą, mogły w zamian dotknąć Jego cierpiącego ciała i powstrzymały się od swoich haniebnych wędrówek. Podstęp zadziałał, ręce znowu spały, ale inne części mojego ciała zaczęły się budzić.

Moje usta, na przykład, pragnęły słodczy, fig w ciężkim syropie, cukierków kokosowych, miękkich, złocistych placków. Kiedy ci młodzi mężczyźni, których nazwiska od lat dopasowywały do swoich imion moje rozmarzone koleżanki, wchodzili do sklepu i bębnilo swoimi dużymi dłońmi o ladę, chciałam brać do ust ich palce, by poczuć językiem każde zgrubienie.

Moje ramiona, łokcie, kolana pragnęły być dotykane. Nie wspominając o plecach i czubku głowy.

- Masz tutaj pesetę - mówiłam do Minervy - pobaw się moimi włosami.

Śmiała się, przeczesując je palcami, i pytała:

- Naprawdę wierzysz w to, co mówi Ewangelia? On wie, ile mamy włosów na głowie?

- Czekaaj, czekaaj, siostrzyczko - napominałam ją - nie igraj ze Słowem Bożym.

- Policzę je. Chcę sprawdzić, jak trudną ma pracę - mówiła.

Zaczynała liczyć, jakby to nie było niewykonalne zadanie:

- *Uno, dos, très...*

Jej przyjemny dotyk i melodyjny głos szybko usypiały mnie z powrotem.

Od kiedy, po rozmowie z siostrą Asuncióń, zaczęłam się modlić o to, by usłyszeć swoje powołanie, żądze opuściły mnie tak nagle, jakby w jednej chwili zamilkł rozszałający sztorm. Nastął błogi spokój. Przesy-

piałam posłusznie całą noc. Walka się skończyła, nie byłam tylko pewna, kto wygrał.

Potraktowałam to jako znak. Siostra Asuncióń wspominała, że powołanie może się przejawiać na różne sposoby: przez sny, objawienia, kryzysy. Niedługo po naszym spotkaniu nastąpił Wielki Tydzień, a razem z nim przerwa w nauce. Siostry zamknęły się w klasztorze, żeby, jak co roku, umartwiać się, składając hołd swojemu ukrzyżowanemu Oblubieńcowi i Panu Jezusowi Chrystusowi.

Wróciłam do domu, by uczynić podobnie - czułam, że teraz usłyszę Jego wezwanie. Uczestniczyłam w kościelnych inicjatywach zorganizowanych przez ojca Ignacia z okazji Wielkiego Tygodnia, chodziłam na nocne nowenny i dzienne msze. W Wielki Czwartek, tak jak inni pokutnicy, przyniosłam misę i ręczniki, żeby umyć nogi parafianom wkraczającym w progi kościoła.

Tej nocy kolejki były długie. Pogrążona w swoim modlitewnym nasłuchiwaniu myślałam o kolejnych parach stóp, nie trudząc się, żeby spojrzeć w górę. Aż nagle w misie świeżej wody zobaczyłam młodą, bladą stopę pokrytą obficie ciemnymi włosami i poczułam, że brakuje mi tchu.

Umyłam ją dokładnie, podnosząc za kostkę, by namydląć podszewę, tak jak myje się nóżki niemowlęcia. Potem wzięłam się do następnej. Pracowałam sumiennie, nie zwracając uwagi na długą kolejkę ciągnącą się daleko w ciemności. Kiedy skończyłam, nie mogłam się powstrzymać, żeby nie podnieść głowy.

Patrzył na mnie młody mężczyzna, którego twarz była atrakcyjna w ten sam zwierzęcy sposób, co jego stopa. Śniade policzki pokrywał trwały cień zarostu, grube brwi zrastały się nad nosem. Pod cienką guayaberą dało się zauważyć mięśnie szerokich ramion, które poruszały się, gdy chcąc przekazać datek dla biednych, pochylił się, by wrzucić zwitek banknotów do pudełka.

Później mówił, że obdarzyłam go rozanielonym uśmiechem. Dlaczego by nie? Spotkałam kogoś, kto był drugim po Jezusie największym szczęściem mojego życia - swojego ziemskiego pana młodego. Walka się skończyła, miałam swoją odpowiedź, chociaż nie

taką, jakiej się spodziewałam. Na wielkanocną mszę ubrałam się we wspaniałą żółtą sukienkę, we włosy wpięłam kwiat płomienia Afryki. Pojawiłam się wcześniej, żeby przygotować się do śpiewania *Alleluja* z innymi dziewczętami, a on czekał już na mnie koło schodów na chór.

Wszystko było przesądzone, mimo że miałam dopiero szesnaście lat, a nawet mimo tego, że nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Kiedy wróciłam do szkoły, siostra Asunción powitała mnie przy bramie. Świdrowała wzrokiem moją twarz, ale ja nie pozwoliłam twarzy przybrać wyrazu, który zdradziłby odpowiedź.

- Usłyszałaś? - spytała, ujmując obie moje dłonie w swoje.
- Nie, siostró - skłamałam.

Minął kwiecień, potem nadszedł maj, miesiąc Marii. W połowie tego miesiąca dostałam list. Na kopercie były nabazgrane tylko moje imię i nazwa szkoły: „Inmaculada Concepción”. Siostra Asunción wezwała mnie do swojego biura, żeby przekazać list, co stanowiło niecodzienny środek ostrożności - zazwyczaj monitorowanie naszej korespondencji przez zakonnice ograniczało się do pytania nas o wieści, jakie dostałyśmy z domu. Przyglądała mi się, kiedy odbierałam kopertę. Poczułam ciężar stopy młodego mężczyzny w swojej dłoni. Poczułam pot, ziemię i mydło na delikatnej skórze. Zarumieniłam się po czubki uszu.

- Więc? - spytała siostra Asunción, jakbym ociągała się z odpowiedzią na zadane przez nią pytanie. - Czy usłyszałaś, Patrio Mercedes? - Jej ton był surowy.

Odchrząknęłam, ale i tak nie mogłam mówić. Bardzo nie chciałam jej rozczarować, a jednocześnie czułam, że nie mam za co przeproszać. Mój duch w końcu wstępował w ciało i było więcej, a nie mniej, mnie, żeby chwalić Boga. Duch drżał w moich stopach, ogrzewał ręce i nogi, buzował we wnętrznościach.

- Tak - wyznałam w końcu - usłyszałam.

Na jesieni nie wróciłam do Inmaculada z Dedé i Minervą. Zostałam w domu, pomagałam papie w prowadzeniu sklepu, szylałam sukienki dla Marii Teresy i cały czas wyczekiwałam jego odwiedzin.

Nazywał się Pedrito González, pochodził z sąsiedniego miasteczka, z rodziny od pokoleń zajmującej się rolnictwem. Od małego pracował na polu ojca, nie miał więc formalnego wykształcenia. Mimo to potrafił dodawać duże sumy, pomagając sobie dziesięcioma palcami. Książki czytał powoli, bezgłośnie literując każde słowo i trzymając je przed sobą w sposób pełny czci, jak ministrant podający mszału księdzu odprawiającemu nabożeństwo. Urodził się dla ziemi i było coś w jego mocnym ciele, grubych rękach, kształtnych ustach, co zdawało się czynić go podobnym do okrągłości wzgórz i żyznej, pofałdowanej doliny El Cibao.

Nasuwa się pytanie, dlaczego nieziemskiej, głęboko religijnej istocie, jaką była Patria, podobało się takie stworzenie? Postaram się wytłumaczyć. Czułam tę samą ekscytację co wtedy, kiedy udało mi się pogłaskać dzikiego ptaka albo sprawić, że bezdomny kot jadł mi z ręki.

Nasze zaloty mieściły się w ramach przyzwoitości, nie tak jak Dedé i Jaimita, którzy - jak wynikało z opowieści mamy - przypominali dwa małe pieski potrzebujące nieustannego nadzoru, żeby nie wpaść w kłopoty. Pedrito przychodził po całym dniu pracy w polu - świeżo wypucowany, ze śladami grzebienia w mokrych włosach, w schludnej guayaberze, która wywoływała w nim uczucie dyskomfortu. Czy kochając, zawsze trzeba się stać godnym politowania? Robiłam wszystko, co mogłam, żeby powstrzymać się przed dotykaniem go.

Jedyny raz, kiedy prawie się ugięłam, zdarzył się w święta Bożego Narodzenia. Ślub był zaplanowany na 24 lutego, trzy dni przed moimi siedemnastymi urodzinami. Papa powiedział, że musimy poczekać, aż będę miała siedemnaście lat, ale zgodził się dać mi te trzy dni dyspensy. W innym razie zacząłby się już czas postu, kiedy naprawdę nie wypada brać ślubu.

Szliśmy razem z mamą, papą i moimi siostrami do naszego ko-

ściola parafialnego na pasterkę. Pedrito i ja zostaliśmy w tyle, po-
grążeni w czulej rozmowie. On wysuwał swoje proste deklaracje, a ja
droczyłam się z nim, tak by powtarzał je cały czas. Nie mógł mnie
bardzo kochać, przekonywałam, bo powiedział tylko, że mnie
kocha. Według Minervy ci, którzy darzą się prawdziwą miłością,
mówią do siebie wierszami.

Zatrzymał się i położył ręce na moich ramionach. Ledwo mogłam
dojrzeć jego twarz w tę bezksiężycową noc.

- Nie znajdziesz wyrafinowanego i elokwentnego człowieka w
Pedricie Gonzálezie - powiedział dość gwałtownie - ale znajdziesz
człowieka uwielbiającego cię tak, jak tę żyzną glebę, na której stoimy.

Pochylił się, by zebrać garść ziemi, i przesywał ją do mojej dłoni. A
potem zaczął całować moją twarz, szyję, piersi. Musiałam, musiałam
go powstrzymać! To nie byłoby właściwe, nie w tę noc, kiedy Słowo
stało się Ciałem, a ojciec Ignacio dopiero co ułożył - podczas gdy my
spiesznie szliśmy ścieżką - porcelanowe Dzieciątko w żłobie.

Można by pomyśleć, że nie działo się nic więcej ponad wewnętrzne
dialogi między moim ciałem a duchem, że nie zajmowałam się w
życiu niczym innym. Nic bardziej mylnego! Wystarczy zapytać
kogokolwiek z okolicy, która z siostr Mirabal była najbardziej
otwarta, przyjazna, bezpośrednia, a odpowie: Patria Mercedes. W
dniu mojego ślubu wszyscy mieszkańcy Ojo de Agua zjawili się, aby
życzyć mi szczęścia. Wybuchłam płaczem, czując pierwszy przypływ
tęsknoty za swoją wioską, mimo że przeprowadzałam się do domu
oddalonego od niej zaledwie o piętnaście minut drogi.

Na początku trudno było mi mieszkać w San José de Conuco, z
dala od rodziny, w końcu jednak do tego przywykłam. W południe
głodny Pedrito wracał z pola, marząc o obiedzie. Potem urządzaliśmy
sobie sjęstę i odzywał się w nim inny, żądny zaspokojenia głód. Dni
zaczęły wypełniać się obowiązkami, urodził się Nelson, dwa lata
później przyszła na świat Noris, a niedługo potem po raz trzeci
nosiłam przed sobą rosnący z każdym dniem brzuch. Mówi się tutaj,

że ciąża wzmaga pewne pragnienia i odczucia. Cóż, pierwsze dwie potwierdziły to w banalny sposób: pragnęłam tylko różnych rodzajów jedzenia. Ostatnia ciąża sprawiła jednak, że cały czas martwiłam się o moją siostrę Minervę.

Niebezpieczny był sposób, w jaki wypowiadała się o rządzie. Zdarzało jej się nawet publicznie wyprowadzać prosty cios wymierzony w naszego prezydenta lub we wspierający go Kościół. Pewnego razu sprzedawca, który próbował namówić papę na kupno samochodu, przyjechał do nas drogim buickiem. Zachwalając jego liczne zalety, wspominał, że jest to ulubiony model El Jefe. Minerva od razu wypaliła:

- Kolejny powód, żeby go nie kupować.

Przez jakiś czas cała rodzina drżała o swój los.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego moja siostra tak bardzo się angażowała. Wszyscy wiedzieli, że El Jefe nie był święty, ale spośród innych *bandidos* urzędujących w Pałacu Narodowym ten przynajmniej budował kościoły i szkoły oraz spłacał nasze długi. Każdego tygodnia zdjęcie Trujillo patronującego kolejnemu dobremu przedsięwzięciu ukazywało się w gazetach obok wizerunku arcybiskupa Pittiniego.

Nie da się jednak niczego wyperswadować wcielonej perswazji. Spróbowałam innej taktyki.

- To brudny interes, masz rację. Dlatego my, kobiety, nie powinnyśmy się w to mieszać.

Minerva słuchała z tym wyrazem twarzy, który oznaczał, że czeka tylko, aż skończę.

- Nie zgadzam się z tobą, Patrio - mówiła, a potem w swoim typowym, skrupulatnym stylu rozwodziła się nad tym, dlaczego kobiety muszą wyjść z ciemnych wieków.

Jako że ona tak zrobiła, stroniła od kościoła, przynajmniej do czasu, kiedy mama zrobiła jej scenę. Upierała się, że czuje mocniejszą więź z Bogiem, czytając swojego Rousseau, niż siedząc na mszy i słuchając, jak ojciec Ignacio intonuje nicejskie wyznanie wiary.

- Brzmi to tak, jakby płukał gardło słowami - pokpiwała.

- Martwię się, że tracisz wiarę - powiedziałam do niej. - To nasza perła wielkiej wartości, bez niej jesteśmy niczym.

- Powinnaś bardziej się martwić o swój ukochany Kościół. Nawet ojciec Ignacio przyznaje, że niektórzy księża są na podwójnej liście płac.

- *Ay*, Minervo. - Tylko na tyle mogłam się zdobyć. Poglaskałam się po obolałym brzuchu. Od pewnego czasu czułam wewnątrz siebie ciężar. I przyznaję, słowa Minervy zaczęły mieć na mnie wpływ. Po raz pierwszy usłyszałam martwość w głosie ojca Ignacia, poczułam nudę między czytaniem Ewangelii a komunią i suchy pergaminowy posmak hostii w ustach. Moja wiara zmieniała się, i to mnie przerażało.

- Usiądź sobie - powiedziała Minerva z troską, widząc oznaki zmęczenia na mojej twarzy. - Pozwól mi skończyć liczenie tych włosów.

I za chwilę już płakałam w jej ramionach, ponieważ czułam, jak wylewają wody, perła wielkiej wartości wyslizguje się, i zdałam sobie sprawę, że rodzę coś martwego, co nosiłam wewnątrz siebie.

Po tym, jak straciłam dziecko, czułam dziwną pustkę. Byłam niczym opuszczony dom z tablicą na froncie: *Se Vende*, „Na sprzedaż”. Każda bezdomna myśl mogła wziąć mnie w posiadanie.

Obudziłam się w panice w środku nocy, pewna, że jakiś *brujo** rzucił na mnie czar i dlatego dziecko umarło. Że też przyszło to do głowy Patrii Mercedes, która zawsze trzymała się z dala od takich niskich przesądów!

* *Brujo* (hiszp.) - czarownik.

Zasnęłam i śniło mi się, że jankesi powrócili, ale podpalili nie dom babci, tylko Pedrita i mój. Moje dzieci - cała trójka - stanęły w płomieniach. Zerwałam się z łóżka, krzycząc: „Pożar! Pożar!”.

Zastanawiałam się, czy martwe niemowlę było karą za to, że odrzuciłam powołanie religijne. Przewijałam w głowie całe swoje życie, wciąż od początku, aż do tego momentu, spletając palcami wątki i

tworząc wielki supeł.

Na czas mojej rekonwalescencji wprowadziliśmy się do mamy, która nieustannie usiłowała mnie pocieszać.

- To biedne dziecko, kto wie, czego mu oszczędzono!
- Taka wola Pana - przytakiwałam, ale te słowa nic dla mnie nie znaczyły.

Minerva to zauważyła. Pewnego dnia leżałyśmy obok siebie na hamaku rozpiętym w środku *galería*. Musiała uchwycić mój wzrok wpatrzony w obrazek Dobrego Pasterza mówiącego do swoich owieczek. Obok niego wisiał przepisowy portret El Jefe, podretuszowany tak, by wódz wyglądał lepiej niż w rzeczywistości.

- Nie sądzisz, że tworzą parę? - zauważyła.

W tym momencie rozumiałam jej nienawiść. Moja rodzina nie została osobiście dotknięta przez Trujillo, tak jak przed utratą dziecka Jezus niczego mi nie odebrał. Ale inni cierpieli wielkie straty. Jak rodzina Perozów, w której nie został ani jeden mężczyzna. Albo Martinez Reyna i jego żona zamordowani we własnym łóżku. Albo tysiące Haitańczyków zmasakrowanych na granicy, przez co rzeka, jak mówią, wciąż ma czerwony kolor. *Ay, Dios santo!*

Słyszałam, ale nie wierzyłam. W zaciszu swojego serca, pielęgnując perłę, ignorowałam krzyki rozpacz. Jak nasz kochający, wszechmocny Ojciec mógłby pozwolić na takie cierpienia? Prowokacyjnie spojrzałam w górę na portrety. I dwie twarze zlały się w jedno!

Na początku sierpnia wróciłam z dziećmi do domu, gdzie na nowo podjęłam swoje obowiązki, robiąc dobrą minę do złej gry czy - jak mówią miejscowi - zasłaniając słońce palcem. Powoli zaczęłam się budzić do życia. Co mnie przy nim trzymało? Nie był to Bóg, *no, señor*. Robiłam to dla Pedrita, którego smutek był tak cichy i podobny do zwierzęcego. Żeby go od niego uratować, odłożyłam na bok własne cierpienie.

Każdej nocy dawałam mu swoje mleko, jakby był moim utrac-

nym dzieckiem, a potem pozwalałam robić rzeczy, na które nigdy wcześniej bym się nie zgodziła. „Chodź tutaj, *mi amor*” - szeptałam, prowadząc go do ciemnej sypialni, kiedy przychodził do domu po długim dniu pracy w polu. Później to ja jechałam wierzchem, ujeżdżając go mocno i szybko, aż docierałam gdzieś daleko od mojego zbolełego serca.

Smutek go nie opuszczał. Nigdy o nim nie mówił, ale byłam tego pewna. Którejś nocy, kilka tygodni po pogrzebie dziecka, poczułam, jak Pedrito ukradkiem wymyka się z łóżka. Serce we mnie zamarło. Szukał innego pocieszenia w jednej z krytych strzechą chat wokół naszego ranczo. Chciałam znać pełny wymiar swojej straty, więc bez słów wyszłam za nim na zewnątrz.

Była to jedna z tych pogodnych sierpniowych nocy, kiedy świecący jasno księżyc ma kolor pól gotowych do żniw. Pedrito wyszedł ze schowka na narzędzia z łopatą i małą skrzynką. Oglądał się przez ramię, ostrożnie stawiając kolejne kroki. W końcu zatrzymał się w ustronnym miejscu i zaczął kopać mały grób.

Zrozumiałam, że jego smutek był mroczny i osobliwy. Jeśli chciałabym go powstrzymać, musiałabym zrobić to delikatnie. Przykucnęłam za dużym puchowcem, z pięścią w ustach, słuchając głuchego łoskotu ziemi uderzającej o skrzynię.

Kiedy następnego dnia Pedrito poszedł pracować na polach juki, długo szukałam tego miejsca, ale nie mogłam go odnaleźć.

Ay, Dios, jakże się martwiłam, że zabierze nasze dziecko z uświęconej ziemi. Niewinne biedactwo utknęłoby w czyścicu na całą wieczność! Postanowiłam to sprawdzić, zanim wymogę na Pedricie, żeby odkopał go z powrotem.

Posługując się pretekstem - rzekomo zapomniałam nałożyć niemowlęciu medalik Niepokalanej - zwerbowałam do pomocy kilku *campesinos* i udałam się z nimi na cmentarz. Po przekopaniu ponad metra ziemi ich łopaty natrafiły na małą trumienkę.

- Otwórzcie ją - powiedziałam.
- Niech pani pozwoli nam samym włożyć medal, doña Patria - zaproponowali, chcąc uniknąć wyważania pokrywy. - Lepiej, żeby

pani tego nie oglądała.

- Mimo to chcę - odparłam.

Powinłam była się powstrzymać, powinłam była nie widzieć tego, co zobaczyłam. Moje dziecko pokryte rojem mrówek! Moje dziecko rozkładające się jak zwierzę! Upadłam na kolana, powalona odrażającym fetorem.

- Zamknijcie go - powiedziałam, kiedy już zobaczyłam wystarczająco dużo.

- Co z medalikiem, doña Patria? - przypomnieli mi.

„Niewiele mu to pomoże” - pomyślałam, ale włożyłam wisiołek do środka.

Pochyliłam głowę i - o ile można tak to nazwać - modliłam się. Wypowiedziałam imiona moich sióstr, dzieci, męża, mamy, papy. Właśnie wtedy postanowiłam poświęcić się tym, których kochałam.

Tak oto Patria Mercedes Mirabal de González była znana w całym San José de Conuco, jak również w Ojo de Agua, jako wzorowa katolicka żona i matka. Nabrałam wszystkich! Tak, długo po tym, jak straciłam wiarę, udawało mi się utrzymywać pozory.

To nie ja wpadłam na pomysł, żeby jechać na pielgrzymkę do Higüey. Olsnienia doznała mama. Miało tam miejsce kilka objawień Niepokalanej. Raz, wczesnym rankiem, ukazała się staremu *campesino* idącemu do miasta z czosnkiem, którym obładowany był jego osioł. Potem mała dziewczynka zobaczyła Ją kołyszącą się na służącym już tylko do dekoracji czerpaku zwisającym nad wyschlą studnią, gdzie po raz pierwszy Niepokalana ukazała się w siedemnastym wieku. Arcybiskupowi to objawienie wydało się zbyt dziwaczne, żeby uznać jego autentyczność, niemniej jednak miało przecież miejsce. Nawet El Jefe przypisał działaniu naszej świętej patronki niepowodzenie zbrojnej inwazji przeprowadzonej przez Cayo Confites.

- Jeśli ona mu pomaga... - zaczęła Minerva, ale mama uciszyła ją spojrzeniem, które dla jej dorosłych córek było odpowiednikiem niegdysiejszych uderzeń pantoflem w tylną część ciała.

- My, kobiety w rodzinie, potrzebujemy pomocy Niepokalanej - przypomniała.

Miała rację. Wszyscy widzieli mój publiczny smutek z powodu straty dziecka, ale nikt nie znał tego prywatnego, płynącego z utraty wiary. Problemem Minery był jej niespokojny umysł i buntowniczy duch. „Daj jej ukojenie” - zwykła modlić się za nią mama. Astma Mate stała się bardziej uciążliwa niż kiedykolwiek wcześniej i trzeba było przenieść ją do położonej bliżej szkoły w San Francisco. Tylko u Dedé wszystko było w porządku, ale miała przed sobą ważne decyzje i chciała prosić Niepokalaną o pomoc.

Tak więc nasza piątka czyniła przygotowania do pielgrzymki. Zdecydowałam, że nie wezmę ze sobą dzieci, aby móc się w pełni oddać wyższym sprawom.

- Na pewno wybieracie się na pielgrzymkę? - droczył się z nami Pedrito. Znów był szczęśliwy, w dłoniach czuł jeszcze moje ciało, twarz przybrała bystry wyraz. - Pięć atrakcyjnych kobiet z wizytą u Dziewicy, nie wierzę!

Wszystkie siostry popatrzyły na mnie, oczekując, że skarzę męża za szarganie świętości. Ale ja straciłam swoją dawną surowość w kwestiach pobożnego postępowania. Bóg, który robił sobie z nas nie byle jakie żarty, mógł znieść drobne docinki.

Kokieteryjnie przewróciłam oczami.

- *Ay, sí.* Te koguty z Higüey - rzuciłam.

Pedrito się zachmurzył. Nie był zazdrosnym człowiekiem. Powiem wprost: nie był człowiekiem obdarzonym wyobraźnią, nie zadreślał się więc podejrzeniami i zmartwieniami. Ale jeśli zobaczył albo usłyszał coś, co mu się nie podobało, nawet jeżeli sam dał temu początek, na twarz występowały mu rumieńce, a nozdrza buchały jak u rozjuszonego ogiera.

- Niech pieją, ile im się podoba - kontynuowałam - ja mam swojego przystojnego koguta w San José de Conuco. I swoje dwa małe kurczątko - dodałam.

Nelson i Noris podnieśli głowy, słysząc rozbawienie w moim głosie.

Wyruszyliśmy nowym samochodem - używanym fordem papy, kupionym, jak twierdził, na potrzeby sklepu. Wszystkie jednak wiedziałyśmy, że dokonywał zakupu z myślą o jedynej, poza nim samym, osobie, która potrafiła prowadzić. Miał nadzieję, że ta nagroda pocieszenia szczęśliwie uziemi Minervę w Ojo de Agua.

Ona jednak każdego dnia była w drodze: do Santiago, do San Francisco, do Moci. W interesach, tak przynajmniej mówiła. Dedé, której przyszło samej zajmować się sklepem, narzekała, że ma więcej towaru, niż jest w stanie sprzedać.

María Teresa, która z okazji urodzin El Jefe przez długi weekend przebywała w domu, zabrała się z nami. Żartowałyśmy na temat wszystkich marszów upamiętniających i nudnych przemówień, których sobie oszczędziłyśmy, wyjeżdżając akurat teraz. W samochodzie nie było nikogo, kto by nas podsłuchał, więc mogliśmy rozmawiać swobodnie.

- Biedny papa - powiedziała María Teresa. - Będzie musiał iść sam.

- Papa sobie poradzi, jestem pewna - powiedziała mama ostrym tonem.

Wszystkie popatrzyłyśmy na nią ze zdziwieniem. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego właściwie wyszła z propozycją tej pielgrzymki. Ona, która nie znosiła nawet jednodniowych wypadów. Dręczyło ją coś na tyle poważnego, że zdecydowała się na podróż daleko od domu.

Dotarcie do Higüey zajęło nam sporo czasu, najpierw z powodu korków na drodze do stolicy, gdzie odbywały się uroczystości, potem - słabego stanu bocznych dróg prowadzących na wschód przez wyschłą równinę. Od lat nie siedziałam przez pięć godzin w jednym miejscu. Kiedy jednak śpiewałyśmy, opowiadałyśmy historie i wspominałyśmy różne zdarzenia, czas płynął niepostrzeżenie.

W pewnym momencie Minerva zasugerowała, żebyśmy po prostu umknęły w góry, jak to robili *gavilleros**. Słyszałyśmy opowieści o

campesinos, którzy schronili się tam, by walczyć z amerykańskimi najeźdźcami. Mama była wtedy młodą kobietą, miała ledwie osiemnaście lat.

* *Gavilleros* (hiszp.) - rewolwerowcy, partyzanci.

- Sympatyzowałaś z *gavilleros*, mamó? - spytała Minerva, patrząc we wsteczne lustro i o włos mijając mężczyznę na zbyt wolno jadącym wozie zaprzężonym w woły.

Wszystkie krzyknęłyśmy.

- Był co najmniej kilometr dalej - broniła się Minerva.

- Od kiedy kilka metrów to kilometr - warknęła Dedé. Miała dryg do liczb, nawet w krytycznych sytuacjach.

Mama postanowiła zainterweniować, zanim te dwie wdadzą się w kolejną ze swoich kłótni.

- Oczywiście, że sympatyzowałam z naszymi patriotami. Ale jak mogliśmy stawić czoła jankesom? Zabijali każdego, kto stanął im na drodze. Puścili nasz dom z dymem i nazwali to pomyłką. Nie byli we własnym kraju, więc nie musieli przed nikim odpowiadać.

- Tak jak my, Dominikańczycy, musimy, *eh?* - powiedziała z sarkazmem Minerva.

Mama zamilkła, ale wszystkie wyczuwałyśmy, że miała do powiedzenia coś więcej. W końcu dodała:

- Masz rację, to wszystko łotrzy: Dominikańczycy, jankesi, w ogóle mężczyźni.

- Nie każdy - zaprotestowałam. Musiałam przecież bronić męża.

María Teresa przytaknęła:

- Nie papa.

Mama przez chwilę patrzyła przez okno, na jej twarzy znać było walkę emocji. Potem powiedziała cicho:

- Owszem, wasz ojciec również.

Zaprotestowałyśmy, ale mama nie zmieniła swojego stanowiska - nie wycofała się, ale też nie powiedziała nic więcej.

Teraz wiedziałam już, dlaczego wybrała się na pielgrzymkę.

Miasto było zapełnione gorliwymi pielgrzymami i chociaż pytałyśmy we wszystkich porządnym pensjonatach, nie mogłyśmy znaleźć ani jednego wolnego pokoju. Ostatecznie zadzwoniłyśmy do dalekich krewnych, którzy nie szczędzili nam wymówek za to, że nie zwróciłyśmy się do nich od razu. Tymczasem zrobiło się ciemno. Kiedy jadłyśmy późną kolację, którą nam przygotowali, z okien ich domu dostrzegłyśmy światła kaplicy, gdzie pielgrzymi zebrali się na nocne czuwanie. Poczulałam dreszcz podniecenia, jakbym miała się spotkać z przyjacielem, z którym jestem poróżniona, ale pragnę się z nim pojednać.

Później, leżąc w łóżku, które dzieliłyśmy, przyłączyłam się do mamy odmawiającej wieczorny różaniec. Głos, który słyszałam w ciemności, był pełen desperacji. Przy pierwszej Tajemnicy Bolesnej wypowiedziała pełne imię papy, jakby żądała sprawiedliwości, a nie modliła się za niego.

- Co się dzieje, mamó? - szepnęłam do niej, kiedy skończyłyśmy.

Nie chciała mi powiedzieć, ale kiedy spytałam, czy chodzi o inną kobietę, westchnęła i rzekła:

- *Ay*, Niepokalana, dlaczego mnie opuściłaś?

Zamknęłam oczy i poczułam, jak jej pytanie zbiega się z moim. „Właśnie, dlaczego?” - zadałam w myślach pytanie. Ale na głos powiedziałam:

- Jestem tu, mamó.

Tylko takiego pocieszenia mogłam jej udzielić.

Następnego ranka obudziłyśmy się wcześniej i wyruszyłyśmy do kaplicy, powiedziawszy naszym gospodarzom, że pościmy - nie chciałyśmy sprawiać im więcej kłopotu.

- Zaczynamy naszą pielgrzymkę od kłamstw - zauważyła ze śmiechem Minerva.

Jadłyśmy śniadanie złożone z *pan de agua** i słynnych małych serków z Higüey, obserwując pielgrzymów przez drzwi baru samoobsługowego. Nawet w tych wczesnych godzinach ulice były ich

pełne.

* *Pan de agua* - chleb przyrządzany według portorykańskiej receptury.

Na placu przed małą kaplicą też panował tłok. Dołączyliśmy do kolejki, obok której gromadzili się żebracy potrząsający blaszanymi kubkami lub machający do nas swoimi prymitywnymi kulami inwalidzkimi i laskami. Wnętrze małej, dusznej kaplicy oświetlone było setkami świec wotywnych. Poczułam znajome z dziewczęcych lat zamroczenie. Użyłam skrawka swojej mantyli, żeby otrzeć pot z twarzy, gdy posuwałam się w kolejce za Marią Teresą i Minervą, z mamą i Dedé tuż za swoimi plecami.

Kolejka, ustawiona wzdłuż środkowej nawy, poruszała się wolno w stronę ołtarza, wstępowała po kilku schodkach na podest i kończyła się przed obrazem Niepokalanej. Marii Teresie, Minervie i mnie udało się ścisnąć tak, żeby razem stanąć na podwyższeniu. Zajrzałam do zamkniętej gąbłotki umazanej odciskami palców pielgrzymów dotykających szyby.

Na początku zobaczyłam tylko srebrną ramę wysadzaną szmaragdami, agatami i perłami. Wyglądało to krzykliwie i obłudnie. Potem dostrzegłam bladą kobietę o łagodnych rysach, doglądającą wyłożonego słomą koryta, w którym leżało niemowlę. Za nią, trzymając rękę na sercu, stał mężczyzna w czerwonych szatach. Gdyby nie *halos***, można by ich wziąć za młodą parę z Constanzy, gdzie *campesinos* słyną ze swojej bladej cery.

** *Halos* (hiszp.) - aureole.

- Zdrowaś Mario - zaczęła María Teresa - łaski pełna...

Odwróciłam się i zobaczyłam ludzi stłoczonych na kościelnych ławkach, setki utrudzonych, zadartych głów, i poczułam się tak, jakbym przez całe życie patrzyła nie w tę stronę, w którą należało. Moja wiara się poruszyła. Kopnęła i fiknęła koziołka w moim brzuchu, wracając do życia. Odwróciłam się z powrotem i przyłożyłam rękę do brudnej szyby.

- Święta Mario, Matko Boża... - dołączyłam się.

Wpatrywałam się w Jej bladą, ładną twarz i rzucałam Jej wyzwanie: „Oto jestem, Dziewico. Gdzie Ty jesteś?”.

I usłyszałam, jak mi odpowiada, chrząkaniem, płaczem i szeptem tłumu: „Tutaj, Patrio Mercedes, jestem tutaj, wokół ciebie. Już się objawiłam”.

II

1948-1959

Dedé

1994 i 1948

Spogląda ponad ramieniem kobiety przeprowadzającej z nią wywiad i widzi, jak nowa dziewczyna wyrzuca skórki od banana poza kuchenny składzik. Prosiła ją, żeby tego nie robiła.

- Mamy od tego kosze na śmieci - tłumaczyła.

Jednak młoda pokojówka zawsze patrzy na baryłkowaty pojemnik wskazywany przez Dedé jak na dziwny obiekt, którego używanie przerasta jej możliwości.

- Rozumiesz? - pyta Dedé.

- *Si, señora.* - Dziewczyna uśmiecha się promiennie, jakby udało jej się dobrze wykonać polecenie.

W wieku Dedé trudno jest zatrudnić nowe służące. Ale Tono jest potrzebna w muzeum do odbierania telefonu i oprowadzania po domu wycieczek autokarowych. Była z nimi od zawsze. Tak samo jak Fela, zanim nie sfiksowała po śmierci dziewcząt.

Owładnięta ich duchami, dobre sobie! Ludzie przyjeżdżali nawet z Barahony, żeby porozmawiać z siostrami Mirabal za pośrednictwem tej hebanowoczarnej Sybilli. Patrii zaczęto przypisywać uzdrowienia, María Teresa była świetna na problemy sercowe, a jeśli chodzi o Minervę, stanęła w konkury z Niepokalaną o tytuł patronki spraw beznadziejnych. Cóż za kompromitacja, i to na jej własnym podwórku. Tak jakby ona, Dedé, pochwałała to wszystko. A przecież nie miała o niczym pojęcia. Dowiedziała się, dopiero gdy zadzwonił do niej biskup.

To był piątek, dzień wolny Feli. Kiedy tylko biskup wyszedł, Dedé

skierowała się w stronę szopy za domem. Szarpnęła drzwiami tak, żeby odblokować zamek - zna się takie małe sztuczki - i, *Dios mio!* widok ją poraził. Fela zbudowała ołtarzyk ze zdjęciami dziewcząt wyciętymi z popularnych plakatów, które publikowano każdego listopada. Poniżej stał stół, a na nim świece, obowiązkowe cygareto i butelka rumu. Ale najbardziej przerażający był obraz Trujillo, który kiedyś wisiał na ścianie domu Dedé i Jaimita. Była pewna, że wrzuciła go do śmieci. Co, do diabła, o n tu robił, skoro Fela, jak później utrzymywała, współpracowała tylko z dobrymi duchami?

Dedé domknęła drzwi, pozwalając, by stary zamek znów się zatrzasnął. W głowie miała zamęt. Kiedy Fela wróciła, Dedé zaproponowała jej dwa wyjścia. Albo zakończy cały ten nonsens i uprzątnie szopę, albo... Nie mogła się zmusić, żeby przedstawić alternatywę przygarbionej, białowłosej kobiecie, która tak wiele z nimi przeżyła. Nie było to konieczne. Następnego ranka szopa rzeczywiście opustoszała. Fela przeniosła swój kramik dalej, na koniec drogi, w prawdopodobnie lepsze miejsce - do opuszczonej witryny sklepowej na trasie autobusu do Salcedo.

Minou była wściekła, kiedy dowiedziała się, co Dedé zrobiła Feli. Tak, właśnie w ten sposób to ujęła:

- Co jej z r o b i ł a ś , mamó Dedé?
- Bezczęściła pamięć twojej matki, która była katoliczką, Minou, katoliczką!

Minou nie chciała o tym słyszeć. Dedé opowiedziała jej już za dużo o konflikcie Minery z Kościołem. Czasem nachodzi ją wątpliwość, czy niektórych spraw nie powinna była zataić przed dziećmi. Chce jednak, żeby znały żywe, oddychające kobiety, jakimi były ich matki. Starczy im bohaterek, o których słyszą od wszystkich wkoło.

Teraz Minou zatrzymuje się u Feli za każdym razem, gdy odwiedza swoją ciocię. Dedé dostaje gęziej skórki, słysząc, jak jej siostrzenica oznajmia: „Rozmawiałam dzisiaj u Feli z mamą i ona mówi...”.

Dedé kręci głową, ale zawsze słucha, co stara kobieta ma do powiedzenia.

Najbardziej zdumiało ją, gdy pewnego razu Minou, wróciwszy od

Feli, spytała ją o Virgilia Moralesa.

- Mama mówi, że on ciągle żyje. Czy wiesz, gdzie może być, mamó Dedé?

- Twoja matka ci nie powiedziała? - spytała Dedé sarkastycznie.

- Czy duchy nie znają miejsc pobytu nas wszystkich?

- Wydaje mi się, że coś cię gnębi, mamó Dedé - zauważyła Minou.

- Wiesz, że nie wierzę w cały ten duchowy interes. I myślę, że powinnaś się wstydić. Ty, córka...

Oczy Minou rozbłysły gniewem i Dedé wydało się, że stanęła przed nią Minerva we własnej osobie.

- Jestem sobą. Mam dość bycia córką legendy.

Twarz siostry odpłynęła w dal, szybko jak woda po pochyłości dachu. Dedé wyciągnęła ramiona do swojej przybranej córki. Ciemne od tuszu do rzęs łzy spływały po policzkach Minou. Czy ona, Dedé, nie rozumie, jak to jest być złapaną w pułapkę spuścizny?

- Wybacz mi - szepnęła. - Oczywiście, masz prawo być sobą.

Potem Dedé przyznała, że wie, gdzie teraz mieszka Lío Morales. Ostatnim razem, kiedy była w stolicy, ktoś wskazał jej dom. Wygodny bungalow mieścił się zaledwie parę przecznic od wielkiego, bogatego w zdobienia, dawno już spalonego przez tłumy pałacu dyktatora.

- Więc jaką wiadomość masz przekazać? - spytała Dedé, nadając głosowi możliwie swobodny ton.

- Wiadomość? - Minou ze zdziwieniem podniosła głowę. - Miałam tylko przesłać pozdrowienia i przekazać, że mama wiele o nim myśli.

- Ja też - powiedziała Dedé i szybko wyjaśniła: - Powiedz, że ja też go pozdrawiam.

- Więc kiedy zaczęły się wszystkie problemy?

Głos kobiety przeprowadzającej wywiad każe Dedé powrócić do teraźniejszości. Znowu czuje się tak, jakby ta nieznamiona w jakiś tajemniczy sposób czytała jej w myślach.

- Jakie problemy? - pyta, podnosząc głos.

Uczucia, którymi mogła kiedyś darzyć Lía, nie stały się nigdy dla nikogo problemem, nawet dla niej samej. Zadbała o to.

- Mam na myśli problemy z reżimem. Kiedy się zaczęły? - Kobieta mówi łagodnym tonem, jakby domyślała się, że przekracza próg prywatności.

- Błądzą gdzieś myślami - usprawiedliwia się Dedé.

Czuje się źle, kiedy nie może poradzić sobie z tym, co uważa za swój obowiązek. Bycie *grande dame* pięknej, tragicznej przeszłości. To zadanie ponad jej siły, ponad siły! Ostatecznie teraz na niej jednej spoczywa misja poradenia sobie z okropną, piękną terażniejszością.

- Jeśli to zbyt wiele, możemy przerwać - proponuje kobieta.

Dedé odrzuca propozycję machnięciem ręki.

- Myślałam tylko o tamtych dniach. Wie pani, wszystkim się wydaje, że nasze problemy zaczęły się wtedy, kiedy Minerva zadarła z Trujillo podczas tańca w Dniu Kolumba. Ale prawda jest taka, że prosiła się o kłopoty już dwa albo trzy lata wcześniej. Miałyśmy przyjaciela, młodego mężczyznę o radykalnych poglądach. Być może słyszała pani o Virgiliu Moralesie?

Kobieta mruży oczy, jakby próbując rozpoznać postać w oddali.

- Myślę, że nigdy o nim nie czytałam, nie.

- Był wyrzucany z kraju tak wiele razy, że książki historyczne za nim nie nadążały! W czterdziestym siódmym wrócił na parę lat z banicji. Trujillo ogłosił, że będziemy mieli wolne państwo. Tak samo jak jankesi starał się nam przypodobać. Wszyscy wiedzieliśmy, że robi to tylko na pokaz, ale Lío, tak go nazywaliśmy, mógł przez chwilę dać się zwieść. Tak czy inaczej miał rodzinę w tych okolicach, więc widywaliśmy go często przez te dwa lata, zanim musiał znowu wyjechać.

- I był w bliskich relacjach z Minervą?

Dedé czuje, jak serce zaczyna walić jej w piersiach.

- Był w bliskich relacjach też ze mną i moimi siostrami!

Ledwie to powiedziała, poczuła, że nie powinna była tego robić. Walczy ze zmarłą siostrą o konkurenta, Boże drogi!

- Dlaczego ta przyjaźń stała się początkiem problemów? - Kobieta przechyla głowę z zainteresowaniem.

- Ponieważ Lío przedstawił bardzo realną możliwość walki z reżimem. Myślę, że ta znajomość zmieniła Minervę na zawsze.

„Tak jak mnie” - dodaje w duchu. Tak, Lío wciąż był obecny w jej sercu i pamięci, chociaż upłynęło tyle lat od ich ostatniego spotkania. Za każdym razem, gdy stosowała się do kolejnego szaleńczego wymysłu reżimu, czuła jego smutne, poważne spojrzenie oskarżające ją o poddańczość.

- Jak się literuje jego imię? - Kobieta wyjęła mały notatnik i zaczęła kreślić niewidoczne kółka, próbując nakłonić do pisania niechętny do współpracy długopis. - Odnajdę go!

- Powiem pani, co o nim pamiętam - proponuje Dedé, głaszcząc z rozmarzeniem poły spódnicy. Bierze głęboki wdech. Tak samo, zgodnie z opisem Minou, robi Fela, gdy siostry opanowują jej ciało, by użyć głosu starej kobiety do wydania swoich dyspozycji.

Pamięta gorące, wilgotne popołudnie na początku roku, w którym wyszła za mąż. Ona i Minerva są w sklepie i próbują przebrnąć przez inwentaryzację. Minerva stoi na taborecie, liczy puszki, koryguje obliczenia, dodaje „mniej więcej”, a Dedé powtarza każdą liczbę, zanim ją zapisze. Zwykle Dedé nie może znieść takiej niedokładności. Ale dzisiaj z niecierpliwością czeka na to, by wreszcie skończyć, zamknąć sklep i pojechać do wujka Pepe, gdzie młodzi ludzie schodzą się wieczorem, by grać w siatkówkę.

Będzie tam jej kuzyn Jaimito. Znają się całe życie, ich matki swatały ich i czyniły obiektem złośliwych żartów od czasu, kiedy dwoje niemowląt kładziono w tym samym kojcu podczas rodzinnych spotkań. Ale przez ostatnich kilka tygodni coś zaczęło się zmieniać. Wszystko to, co kiedyś irytowało Dedé w jej rozpieszczonym, gadatliwym kuzynie, wydaje się ostatnio poruszać jej serce. Matczyne aluzje, które wcześniej były wtrącaniem się dorosłych w nie swoje sprawy, teraz jawią się w nowym świetle - wygląda na to, że starsi

znali przeznaczenie. Jeśli wyjdzie za Jaimita, będzie kontynuować życie, które od zawsze daje jej tyle radości.

Minervie najwyraźniej znudziło się podawanie liczb i nieotrzymywanie żadnej odpowiedzi. Stoi dokładnie na linii wzroku Dedé i macha: „Halo, halo”.

Dedé śmieje się jak ktoś, kogo przyłapano na bujaniu w obłokach. To do niej zupełnie niepodobne. Zazwyczaj to Minerva błądzi gdzieś myślami.

- Zastanawiałam się tylko... - Próbuje coś wykombinować. Ale w wymyślaniu kłamstw na poczekaniu też nie jest dobra. To Minerva ma zawsze w zanadrzu jakąś historyjkę.

- Wiem, wiem - mówi Minerva. - Zastanawiałaś się nad teorią względności Einsteina.

Czasem potrafi być zabawna.

- Chcesz skończyć na dzisiaj?

Pełny nadziei wyraz twarzy siostry ujawnia jej własne życzenia. Dedé przypomina im obu:

- Powinnyśmy były skończyć tydzień temu!

- Jakie to głupie - Minerva parodiuje ich pracę - cztery okruszki kajmaku, jedna, dwie, zaraz, zaraz, siedem mrówek maszerujących w ich stronę... - Nagle zmienia ton głosu. - Dwóch gości!

Stoją w drzwiach: Mario, jeden z ich dystrybutorów, a za nim wysoki, bladej mężczyzna w okularach o grubych drucianych oprawkach. Być może doktor, na pewno naukowiec.

- Już zamknięte - oznajmia Dedé, na wypadek gdyby Mario był tu w interesach. - Papa jest w domu.

Ale Minerva zaprasza ich do środka.

- Wejdźcie i uratujcie nas, proszę!

- Co się dzieje? - pyta Mario, śmiejąc się i wchodząc do sklepu. - Za dużo pracy?

- Pracy nieatrakcyjnego rodzaju - mówi Minerva figlarnie.

- Ale musimy to zrobić. Roczny rewanż zamienił nam się w zaległe noworoczne zobowiązanie. - Mówiąc to, Dedé wciąż od nowa złości się na siebie, że nie skończyła pracy wcześniej.

- Może my spróbujemy pomóc? - Naukowiec podchodzi do lady i patrzy na półki za plecami Dedé.

- To mój kuzyn - wyjaśnia Mario. - Przyjechał właśnie ze stolicy, żeby ratować damy w potrzebie.

- Pracujesz na uniwersytecie? - Minerva inicjuje rozmowę.

Młody mężczyzna potakuje, a Mario dalej wychwala kuzyna: Virgilio przyjechał ostatnio z Wenezueli, gdzie otrzymał stopień naukowy. Teraz wykłada na Wydziale Medycyny. W każdy weekend przyjeżdża do rodzinnego Licey.

- Jakie dostojne imię, Virgilio. - Dedé się rumieni. Nie jest przyzwyczajona do zwracania na siebie uwagi w taki sposób.

Powaga znika z oczu młodego mężczyzny.

- Dlatego wszyscy mówią na mnie Lío.

- Nazywają cię Lío, bo zawsze pakujesz się w kłopoty, takie czy inne* - przypomina Mario kuzynowi, który śmieje się dobrodusznie.

* *Lío* (hiszp.) - zamieszanie, bałagan.

- Virgilio Morales... - rozmyśla na głos Minerva. - Twoje imię brzmi znajomo. Znasz Elbę Sanchez i Sinitę Perozo? Studiują na uniwersytecie.

- Oczywiście! - Uśmiecha się, kierując teraz uwagę na Minervę.

Wkrótce są już całkowicie pogrążeni w konwersacji. „Jak to się stało?” - zastanawia się Dedé. Przecież to do niej najpierw zwrócił się ten młody mężczyzna, oferując pomoc.

- Jak się masz, Dedé? - Mario poufale opiera się na ladzie.

Próbował się do niej zalecać kilka miesięcy temu, ale Dedé go odprawiła. Mario po prostu nie jest, nie jest... cóż, nie jest Jaimitem. Ale też żaden z nich nie jest tym młodym doktorem.

- Szkoda, że tego nie skończyliśmy. - Dedé wzdycha, zakładając nakładkę na długopis i zamykając książkę.

Mario przeprosza. Przeszkodzili dziewczętom w pracy. Dedé zapewnia go, że szło im wolno, jeszcze zanim zjawili się goście.

- Może to przez upał - sugeruje Mario, wachlując się swoją panamą.

- Co powiecie na to, żebyśmy wszyscy poszli popływać w lagu-

nie? - rzuca Minerva.

Młodzi mężczyźni chętnie przystają na propozycję, ale Dedé przypomina siostrze:

- A co z siatkówką?

Jaimito będzie jej oczekiwał. A jeśli dzisiejszy wieczór ma się dla niej skończyć towarzystwem María, a tak bez wątplenia się stanie, wolałaby raczej być z mężczyzną, którego ma zamiar poślubić. Skoro już tak się sprawy mają.

- Siatkówka? Czy ktoś powiedział „siatkówka”? - pyta młody naukowiec.

Miło jest zobaczyć uśmiech na jego bladej, poważnej twarzy. Okazuje się, że grał w kilku uniwersyteckich drużynach.

Minerva wpada na następny świetny pomysł. Czemu by nie pograć w piłkę, a potem, kiedy będą zgrzani i spoceni, wskoczyć do laguny?

Dedé podziwia łatwość, z jaką Minerva organizuje wszystkim życie, i naiwność, z jaką przypuszcza, że dostaną pozwolenie od papy - Już wieczory z siatkówką stają się problemem. Papie nie wydaje się, żeby siostry mogły być dla siebie nawzajem dobrymi opiekunkami, zwłaszcza jeśli obie tak chętnie idą w to samo miejsce.

Już w domu, podczas gdy młodzi mężczyźni składają mamie wizytę w galeria, Minerva wyklóca się z ojcem.

- Ależ, papo, Mario jest człowiekiem, z którym prowadzimy interesy, człowiekiem, któremu ufasz. Idziemy do naszego *tio* Pepe, żeby grać w siatkówkę z kuzynami. Czy może być lepsza opieka?

Ojciec ubiera się przed lustrem. Wygląda jakoś młodziej, przystojniej. Wyciąga szyję, spoglądając ponad ramieniem Minery:

- Kim jest ten młody człowiek, który przyszedł z Mariem?

- Jakiś jego kuzyn. Przyjechał tu na weekend - mówi Minerva niezbyt grzecznie.

Dedé zauważa, że Minerva unika wzmianki o tym, że Lío jest związany z uniwersytetem.

W końcu pada ostateczny cios:

- Dlaczego nie pojedziesz z nami, papo?

Oczywiście, że nie pojedzie. Każdego wieczoru obchodzi posia-

dłość, przyjmując od *campesinos* raporty z prac wykonanych danego dnia. Nigdy nie zabiera ze sobą córek. „Męski interes” - mówi zawsze. To do niego się teraz przygotowuje.

- Macie wrócić, zanim zrobi się ciemno - rzuca, marszcząc brwi.

W ten sposób dowiadują się, że dał im pozwolenie: kiedy zaczyna mówić o ich powrocie.

Dedé przebiera się szybko, ale niewystarczająco szybko dla Minervy.

- No chodź! - pośpiesza ją. - Zanim papa zmieni zdanie!

Dedé nie jest pewna, czy zdążyła zapiąć wszystkie guziki, a już kierują się w stronę podjazdu, gdzie młodzi mężczyźni czekają przy swoim samochodzie.

Czuje na sobie wzrok nieznanego. Zdaje sobie sprawę, że wygląda wyjątkowo ładnie w swojej kwiecistej szmizjerce i białych sandałach na obcasie.

Lío uśmiecha się z rozbawieniem.

- Masz zamiar grać w siatkówkę w tym stroju?

Nagle Dedé czuje się głupio, schwytna w swojej frywolności jak kociak zaplątany we włóczkę. Oczywiście, że ona nigdy nie gra. Oprócz Minervy, ubranej na sportowo, w spodnie i tenisówki, wszystkie dziewczęta siedzą w *galeria*, kibicując chłopcom.

- Nie gram - mówi łagodniej, niżby chciała. - Tylko patrzę.

Prawda tych słów uderza ją, gdy widzi siebie stojącą wówczas z tyłu i patrzącą, jak młody mężczyzna otwiera drzwiczki samochodu dla tej, która zechce przy nim usiąść. I wślizgującą się Minervę.

Pamięta sobotni wieczór parę tygodni później.

Jaimito i jego Tygrysy San Francisco grają przeciwko Wilkom Ojo de Agua. Są wyraźnie gorsi. Podczas przerwy Jaimito wchodzi na *galeria* napić się zimnego piwa.

- *Hola, prima** - mówi do Dedé, jakby byli tylko kuzynami.

* *Hola, prima* (hiszp.) - Cześć, kuzynko.

Ciągle udaje, że za nim nie przepada, ale przegląda się w każdej

lustrzanej powierzchni. Teraz jej ręce zaciskają się mocno w kieszeniach nowiutkiej sukienki.

- Chodź z nami zagrać, kuzynko. - Ciągnie ją za ramię. Ostatecznie Minerva od dawna wyciska z siebie siódme poty po stronie Ojo de Agua. - Naszej drużynie przydałoby się wsparcie!

- Ja bym wam wiele nie pomogła - mówi Dedé, chichocząc.

Prawdę mówiąc, zawsze uważała, że sporty, podobnie jak polityka, są domeną mężczyzn. Jej jedyną słabością jest koń Brio, na którym uwielbia jeździć. Minerva złośliwie przytacza Dedé wyniki badań jakiegoś austriackiego psychiatry, dowodzące, że dziewczyny, które lubią jeździć konno, lubią seks.

- Mam dziurawe ręce, jeśli chodzi o siatkówkę.

- Nie musiałybyś grać - flirtuje Jaimito. - Stań tylko po naszej stronie i rozpraszaż te wilki swoją ładną buzią!

Dedé obdarza go promiennym uśmiechem, z którego słynie.

- Bądź miła dla nas, Tygrysów, Dedé. W końcu nagięliśmy zasady dla was, Wilków.

Wskazuje za siebie, gdzie w rogu *galería* Minerva i Lío pograżyli się w rozmowie.

To prawda. Chociaż Lío nie pochodzi z Ojo de Agua, Tygrysy zgodziły się, żeby zagrał w słabszej drużynie. Dedé podejrzewa, że członkowie drużyny rzucili tylko okiem na bladego młodego człowieka w okularach i zdecydowali, że nie stanowi większego zagrożenia. Jednak Lío Morales okazał się zaskakująco sprawny. Wilki Ojo de Agua dorównują teraz umiejętnościom Tygrysom San Francisco.

- Musiał być szybki - dowcipkuje Jaimito - żeby uciekać przed policją i w ogóle.

Już tego pierwszego wieczoru, kiedy przyszedł grać w siatkówkę, Jaimito i jego kumple doskonale wiedzieli, kim jest Virgilio Morales. Byli rozdarci między podziwem a ostrożnością, wynikającą z zagrożenia, które stwarzał, przebywając między nimi.

Wtedy Jaimito odkrywa sposób na przekonanie Dedé do gry.

- Dziewczyny na chłopaków, co wy na to?! - krzyczy, chwytając świeżą butelkę piwa.

Dedé, nawykła do kontrolowania rodzinnego interesu, odnotowuje, że to już jego trzecie duże.

Dziewczęta chichoczą, ulegając pokusie. Ale co, jeśli zabrudzą sukienki, co, jeśli skręcą kostki na wysokich obcasach?

- Więc zdejmijcie buty - radzi Jaimito, przyglądając się kształtnym nogom Dedé - i wszystko, co jeszcze wam przeszkadza!

- Ty! - Jej twarz płonie z rozkoszy. Musi przyznać, że jest dumna ze swoich ładnych nóg.

Niedługo potem chusty wiszą na krzesłach, a pół tuzina szpilek ciśniętych kopniakiem w stronę schodów tworzy stertę u ich podnóża. Podciągnąwszy rękawy sukienek, z włosami mocno związanymi w kucyki, Amazonki - bo tak się ochrciły - z piskiem zachwytu wstępują na śliską wieczorną murawę. Pobudzeni widokiem rozbawionych młodych kobiet, mężczyźni gwizdzą i pohukują, gotowi rozpocząć grę. Cykady wszczynają swoje wibrujące trele, a nietoperze to pikują, to podrywają się do góry, jakby rysowały wykres nabrzmiałej, wrastającej ekscytacji. Niebawem będzie zbyt ciemno, żeby wyraźnie widzieć piłkę.

Kiedy przyjmują pozycje, Dedé zauważa, że nie ma wśród nich jej siostry Minery. Teraz, kiedy potrzebują jej pomocy, najlepszy damski gracz dezertuje! Patrzy w stronę *galeria*, gdzie dwa puste krzesła stojące naprzeciwko siebie przypominają o nieobecnych rozmówcach. Zastanawia się, czy ma iść, czy nie iść na poszukiwania Minery, kiedy wyczuwa skierowany w swoją stronę wzrok Jaimita, który daleko z tyłu, prawie w ciemności, gotuje się do zagrywki. Dedé słyszy głośne uderzenie. Zaskoczona krzykami dziewcząt, podnosi głowę i widzi jarzący się księżyc spadający w jej podniesione ramiona.

Czy rzeczywiście to nie był wypadek? Dedé przywołuje w myślach dokładnie ten moment, kiedy uderzyła piłkę, a ta poszybowała nad głowami wszystkich prosto w ciemny żywopłot, gdzie wylądowała z trzaskiem łamiących się gałęzi, do którego dołączył niespodziewany

krzyk zaskoczonych par.

Czy podejrzewała, że Lío i Minerva są w krzakach, a jej strzał był prostym sposobem na wypłoszenie ich? Ale dlaczego, pyta samą siebie, dlaczego miałyby chcieć ich powstrzymać? Na wspomnienie tego wieczoru serce zaczyna szybko kołatać w jej piersi.

Bzdury, kompletne bzdury wysmaża jej pamięć, mieszając fakty, dodając trochę tego i tamtego. Mogłaby równie dobrze stworzyć interes jak Fela i udawać, że dziewczęta przemawiają przez nią. Lepiej one niż nawiedzający ją duch młodej Dedé i jego zmyślane opowieści o minionych latach.

Była bójka, to pamięta. Lío wyszedł z krzaków z piłką w ręku. Jaimito, poniesiony tymi co najmniej trzema piwami i rosnącym skrępowaniem obecnością chłopaka, posłał wulgarny komentarz. Potem obraz przekrzywia się i zamazuje wspomnienie Lía rzucającego piłką w klatkę piersiową Jaimita, co odbiera mu dech; kuzyna podtrzymywanego przez swoich kumpli; dziewcząt spieszących do swoich szpilek, wujka Pepe schodzącego po schodach i krzyczącego: „Żadnej siatkówki więcej!”.

Ale zanim obu mężczyzn wyprowadzano, doszło między nimi do ostrej wymiany zdań. Jaimito powiedział, że Lío przynosi tylko kłopoty, nazwał go wichrzycielem, który zawiązuje spiski, a potem szuka azylu w jakiejś ambasadzie, zostawiając swoich towarzyszy, by zgnili w więzieniu.

- Narażasz nas wszystkich - oskarżał Jaimito.
- Jeśli opuszczam kraj, to tylko po to, żeby kontynuować walkę.

Nie możemy pozwolić, by policja wszystkich nas zabiła.

Nastąpiła cisza, jak zawsze, gdy ktoś wypowiedział publicznie demaskujący komentarz na temat reżimu. Nigdy nie można było mieć pewności, czy ktoś w grupie nie jest donosicielem. Mówiło się, że każde duże domostwo ma sługę na podwójnej liście płac.

- Powiedziałem: już żadnej siatkówki dzisiaj. - Wujek Pepe patrzył to na jednego, to na drugiego młodego mężczyznę. - Wy dwaj, zachowajcie się, jak przystało na gentlemanów, i uściśnijcie sobie dłonie. No już - zachęcał.

Jaimito wyciągnął rękę. O dziwo, piewca pokoju Lío nie zrobił tego pierwszy. Dedé ciągle ma przed oczami to długie, tyczkowate ciało, z którego powoli uchodzi napięcie, Lía stojącego bez słowa, wreszcie wyciągającego dłoń i mówiącego:

- Byliby nam potrzebni ludzie tacy jak ty, Jaimito.

To ten komplement pozwolił w nadchodzących miesiącach współistnieć - a nawet pomagać sobie w sprawach miłosnych - tym dwóm mężczyznom.

Taki drobny incydent. Głupi wybuch emocji z powodu nieprzepisowej gry. Ale coś sprawia, że Dedé wciąż wraca do tego wieczoru i do tej sprzeczki. I do dni i nocy, które przyszły potem. Coś każe jej wciąż przewijać w pamięci te momenty. Coś. Nie jest już pewna, czy chce się dowiedzieć co.

Niezależnie od tego, co mama mówiła później, na początku była pod wrażeniem Virgilia Moralesa. Siadywała w *galería*, rozmawiając z młodym doktorem: o wizycie Trygvego Lie z ONZ, o demonstracjach w stolicy, czy był rząd w raju, czy też go nie było, a jeśli był, to jak mógł wyglądać. Słuchała i słuchała, dzieliła się swoimi przemyśleniami - mama, która zawsze twierdziła, że całe to gadanie Minery było niezdrowe. A zaraz po tym, jak Lío wychodził, zwykła mawiać: „Cóż za dystyngowany młody człowiek”.

Czasem Dedé czuła się trochę podirytowana. Przecież jej adorator też u nich bywał. Ale nie padło ani słowo o tym wspaniałym młodym człowieku, Jaimicie. Jaki był przystojny w swojej meksykańskiej guayaberze. Jaki przytoczył śmieszny żart o tym, co powiedział kokos do pijanego faceta. Mama знаła go, od kiedy był krągłością na brzuchu jej kuzynki. Co mogła powiedzieć oprócz: „Ten Jaimito!”.

Dedé i Jaimito oddalali się, niezauważeni, kradnąc pocałunki w ogrodzie. Grali w „Ile mięsa, rzeźniku?”. Jaimito udawał, że odpiłowuje ramię Dedé, dzięki czemu mógł dotykać jej ślicznej szyi i odkrytych ramion. Wkrótce słyszeli mamę wołającą ich z *galería*, z naganą w głosie. Raz, kiedy nie pojawili się natychmiast (rzeźnik-

chciał całe zwierzę), mama ograniczyła wizyty Jaimita tylko do śród, sobót i niedziel.

Ale kto mógł kontrolować jedyne syna zaślepionej miłością matki, niekwestionowanego szefa pięciu sióstr! Pojawiał się w poniedziałki, żeby odwiedzić don Enrique, we wtorki i czwartki, żeby pomóc z załadowaniem i rozładowaniem transportu do sklepu, w piątki, żeby przynieść to, co przesyłała jego matka. Mama wzdychała, przyjmując placek kokosowy albo siatkę wiśni z drzewa rosnącego w ich ogrodzie. „Ten Jaimito!”

Któregoś niedzielnego popołudnia Mate czytała mamie na głos gazetę. Dla Dedé nie było tajemnicą, że mama nie zna liter, chociaż ona upierała się przy swojej wersji, że ma zbyt słaby wzrok. Kiedy to Dedé czytała mamie gazetę i docierała do działu wiadomości, uważała, by omijać wszystko, co mogłoby ją zmartwić. Ale tego dnia Mate, nie zastanawiając się, przeczytała informację, że na uniwersytecie odbyła się demonstracja, poprowadzona przez grupę młodych profesorów, z których wszyscy są członkami partii komunistycznej. Wśród wymienionych znalazł się Virgilio Morales! Mama zbladła.

- Przeczytaj to jeszcze raz, powoli - nakazała.

Mate wróciła do artykułu, tym razem zdając sobie sprawę z tego, co czyta.

- Ale to nie jest nasz Lío, prawda?

- Minervo! - krzyknęła mama.

Z pokoju, wciąż trzymając w ręce książkę, wychynęła śmierć nas wszystkich.

- Usiądź, młoda damo. Masz mi coś do powiedzenia?

Minerva odparowała elokwentnie, że mama słyszała poglądy Lía i nawet się z nimi zgadzała.

- Ale nie wiedziałam, że to były poglądy komunistyczne! - zaprotestowała mama.

Tego wieczoru, gdy papa wrócił od swoich męskich interesów związanych z farmą, mama zamknęła się z nim w pokoju. Jej zagniewany głos było słyhać w *galería*, gdzie siedzieli Dedé z Jaimitem. Docierały do nich tylko urywki tego, co mówiła: „Zbyt zajęty

ugananiem się... żeby zatroszczyć się... swojej własnej córki”. Dedé popatrzyła na Jaimita pytającym wzrokiem. Ale on spuścił wzrok.

- Twoja matka nie powinna winić twojego ojca. Mogłaby równie dobrze mieć pretensje do mnie za to, że nic nie powiedziałem.

- Wiedziałeś? - spytała Dedé.

- Co masz na myśli? - Wydawał się zaskoczony jej sugerowaną nieświadomością. - Ty też wiedziałaś. Czyż nie?

Dedé mogła tylko pokręcić głową. Naprawdę nie wiedziała, że Lío był komunistą, wywrotowcem i tym wszystkim, co w okropnych określeniach zarzucano mu w artykule. Nigdy wcześniej nie знаła wroga stanu. Zakładała, że tacy ludzie są wyrachowani i nikczemni, że to kryminaliści z niższych klas. Tymczasem Lío był szlachetnym młodym człowiekiem o wzniosłych ideałach i współczującym sercu. Wróg stanu? A zatem Minerva też nim była. A jeśli ona, Dedé, zastanowiłaby się długo i głęboko nad tym, co słuszne i niesłuszne, bez wątplenia również by się nim stała.

- Nie wiedziałam - zaprzeczyła. Chciała przez to powiedzieć, że dopiero teraz rozumiała to, o czym tak lubiła rozprawiać Minerva: naprawdę żyją w państwie policyjnym.

Nowe wyzwanie wtargnęło w życie Dedé. Zaczęła przeglądać prasę w poszukiwaniu szczególnego typu wiadomości. Szukała kluczowych nazwisk, które wymieniał Lío. Oceniała i analizowała to, co przeczytała.

Jak mogła wcześniej tak wiele nie zauważać? - pytała samą siebie. A wtedy pojawiał się trudniejsze pytanie: co zrobi teraz, kiedy już wie?

Małe rzeczy, zdecydowała. Na przykład postara się zapewnić alibi swojej siostrze. Po tym, jak mama dowiedziała się, kim właściwie jest Lío, zabroniła Minervie przyprowadzać go do domu. Ich zaloty czy przyjaźń, czy cokolwiek to było, zeszyły do podziemia. Za każdym razem, gdy Jaimito zabierał gdzieś Dedé, Minerva jechała z nimi, oczywiście jako przyzwoitka, a po drodze zabierali ze sobą Lía.

Po każdym takim wypadzie Dedé wślizgiwała się do sypialni, którą Minerva dzieliła z Mate, kiedy ich młodsza siostra przyjeżdżała do domu ze szkoły. Kładła się na łóżku i rozpoczynała monolog, próbując uspokoić myśli po wieczornych wydarzeniach.

- Czy ty dzisiaj jadłaś papugę? - pytała Minerva zaspanym głosem z łóżka. Miała nerwy ze stali.

Dedé ponownie wyliczała swoje plany na przyszłość: że wyjdzie za mąż za Jaimita, jaką będą mieli ceremonię, jak będzie wyglądał ich dom, ile będą mieli dzieci - aż Minerva wybuchała śmiechem.

- Nie zaopatrujesz półek w sklepie! Nie planuj tego wszystkiego. Pozwól życiu trochę cię zaskoczyć.

- W takim razie opowiedz mi o tobie i Lío.

- *Ay*, Dedé, jestem taka śpiąca. Poza tym nie ma nic do opowiadania.

To wprawiało Dedé w konsternację. Minerva twierdziła, że nie jest w nim zakochana. Byli towarzyszami w walce - oto nowy sposób, w jaki kobiety i mężczyźni mogli być razem, i nie musiało się to wiązać z romansem. Dedé kręciła głową. Jakkolwiek bardzo chciała zrozumieć ten nieznaną układ, z tego, co wiedziała, mężczyzna był mężczyzną, a kobieta kobietą i towarzyszył temu specjalny ładunek, którego nie można nazwać rewolucją. Złożyła powściągliwość swojej siostry na karb jej tendencji do niezależności.

Za sprawą Minery i Lía, którzy cały czas im towarzyszyli, romans Dedé z Jaimitem uzyskał ekscytującą oprawę. Gdy nie udało im się znaleźć miejsca, gdzie można by „bezpiecznie” spędzić wieczór - w słowniku Dedé pojawiło się nowe, elektryzujące słownictwo opisujące zagrożenie - najczęściej wsiadali do chevroleta ojca Jaimita albo forda papy. Jaimito, Dedé i Minerva widoczni, Lío ukryty na tylnym siedzeniu. Jeździli nad lagunę, a gdy mijali posterunek wojskowy, serce Dedé waliło jak oszalałe. Przez jakiś czas rozmawiali razem, potem Minerva i Lío ściszały głosy i odtąd jedynymi dźwiękami dochodzącymi z tylnych siedzeń były te, które dobywały się też z przodu. Przejęte szeptem i ciche chichotanie.

Być może dlatego Jaimito godził się na te niebezpieczne wypadki.

Jak większość ludzi unikał wszystkiego, co mogło mu przysporzyć kłopotów. Ale musiał wyczuć, że podczas gdy inne chwytły nie działają, nielegalne praktyki ujmują i rozluźniają Dedé. Obecność Lía dodawała jej śmiałości, by pozwolić sobie z Jaimitem na więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

Jednak Dedé musiała znać plan, inaczej jej odwaga pruła się jak rząd ściągów niezakończony dobrym, mocnym supełem. Nie mogła znieść pojawiających się w gazetach informacji o obławach, które policja robiła w całym kraju. Nie mogła znieść słuchania górnolotnej mowy, której nie rozumiała. A przede wszystkim nie mogła znieść tego, że jej głowa jest tak zajęta, podczas gdy jej ręce są bezużyteczne.

Pewnego wieczoru spytała Lía wprost:

- W jaki sposób macie zamiar osiągnąć swoje cele?

Z zakamarków pamięci Dedé przywołuje długi wywód na temat praw *campesinos*, nacjonalizacji przemysłu cukrowniczego i przejęcia amerykańskich imperialistów. Chciała czegoś praktycznego, czego mogłaby użyć, żeby odpędzić swoje nasilające się lęki. „Po pierwsze, chcemy obalić dyktatora w ten i ten sposób. Po drugie, przygotowaliśmy rząd tymczasowy. Po trzecie, mamy zamiar powołać komitet złożony z prywatnych obywateli, żeby nadzorowali wolne wybory”. Taki wykład by zrozumiała.

- *Ay, Lío* - powiedziała w końcu, zawiedziona dysproporcją między wielkimi nadziejami a nikłym planowaniem. - Skąd bierzesz swoją odwagę?

- Ależ, Dedé - odparł - to nie odwaga. To zdrowy rozsądek.

Zdrowy rozsądek? Siedzieć i marzyć, aż dopadnie cię tajna policja! Nie chcąc go napominać, Dedé powiedziała, że podoba jej się jego podkoszulek. Przesunął po nim ręką, patrząc przy tym gdzieś daleko.

- Należał do Freddy'ego - wyjaśnił mocnym głosem.

Freddy'ego, jego towarzysza, dopiero co znaleziono powieszono w więziennej celi. Rzekomo popełnił samobójstwo. Dedé wydawało

się dziwne, że Lío nosi koszulkę zmarłego człowieka, a jeszcze dziwniejsze, że się do tego przyznaje. Pod wieloma względami był dla niej zagadką.

Imię Lía zaczęło się regularnie pojawiać w prasie. Jego partię opozycyjną zdelegalizowano. „Partia homoseksualistów i kryminalistów” - oskarżały gazety. Pewnego popołudnia policja przyszła do rezydencji Mirabalów i wypytywała o Virgilia Moralesa.

- Chcemy tylko, żeby wyjaśnił jedną małą sprawę - tłumaczyli funkcjonariusze.

Mama oczywiście przysięgała, że nie widziała Virgilia Moralesa od miesięcy i co więcej, nie miał wstępu do jej domu.

Dedé bała się i złościła za to na siebie. Była coraz mniej pewna tego, czego chce. A z niepewnością Dedé nigdy nie żyło się łatwo. Zaczęła wątpić we wszystko: w to, że powinna wyjść za Jaimita i mieszkać w Ojo de Agua, że powinna się czesać na lewą stronę, że powinna dziś jak zwykle zjeść na śniadanie chleb z masłem czekoladowym.

- Czy jesteś w swoim momencie miesiąca, *m'ija*? - spytała mama kilkakrotnie, kiedy Dedé zaczynała się o coś kłócić.

- Oczywiście, że nie, mamó - odpowiadała rozdrażnionym tonem.

Zdecydowała, że nie będzie już więcej czytać gazet. Odwracały kota ogonem. Reżim stawał się obłąkany, wprowadzano najbardziej niedorzeczne przepisy. Na każdego, kto ubiera się w spodnie i koszulki koloru khaki, nałożono wysoki mandat. Teraz niezgodne z prawem stało się noszenie marynarki od garnituru przewieszzonej przez ramię. Lío miał rację: to był absurdalny i szalony reżim. Musiał zostać obalony.

Kiedy jednak odczytała listę nowych przepisów Jaimitowi, nie doczekała się reakcji, której się spodziewała.

- Więc? - powiedział, kiedy skończyła czytać i podniosła wzrok.
- Czy to nie śmieszne? Mam na myśli, że to niedorzeczne, sza-

leńczo zabawne.

W przeciwieństwie do swojej złotoustej siostry Dedé nie potrafiła elokwentnie zonglować argumentami. I, na litość boską, jakich argumentów musiałaby użyć, aby wytłumaczyć te absurdalne szaleństwo!

- Dlaczego jesteś taka zdenerwowana, moja kochana?

Dedé wybuchła płaczem.

- Nie rozumiesz?

Trzymał ją w ramionach, kiedy płakała. A potem tłumaczył swoim władczym, krzepiącym głosem. Stroju khaki używa wojsko, więc musiano wprowadzić rozróżnienie w ubiorze. W marynarce przewieszanej przez ramię można ukryć pistolet, a ostatnio rozeszło się wiele plotek o spiskach przeciwko El Jefe.

- Widzisz, najdroższa?

Ale Dedé nie widziała. Mocno zacisnęła powieki i wypowiadała mętne życzenie, żeby wszystko dobrze się skończyło.

Któregoś wieczoru, niedługo po tej rozmowie, Lío oświadczył im, że kiedy tylko jego kontakt wystara się o azyl, on i kilku jego towarzyszy wyjadą na emigrację. Minerva nie mogła wydobyć z siebie słowa. Nawet Jaimito, który nie dałby zgniętego banana za tak ryzykowną politykę, współczuł Lío w jego trudnej sytuacji.

- Gdyby tylko zechciał się zdystansować i skończyć z tą całą agitacją - dowodził później w rozmowie z Dedé - mógłby zostać i powoli wypracowywać swoje zmiany w kraju. A tak? Jaki z niego dla wszystkich pożytek, skoro będzie tak daleko?

- On nie wierzy w kompromisy - broniła go Dedé. Złość, z którą to powiedziała, zdziwiła ją samą. Czowała się w jakiś sposób umniejszona przez poświęcenie Lía. *Ay*, jakżeby chciała stać się takim wielkim i odważnym człowiekiem. Ale nie potrafiła. Była zawsze tą, która liczy gwiazdy.

Jaimito próbował przekonać Dedé do swojego toku myślenia.

- Czy nie rozumiesz, moje serce, że całe życie wymaga kompromisu? Ty musisz iść na kompromis ze swoją siostrą, twoja matka z twoim ojcem, morze i ląd muszą iść na kompromis co do linii brze-

gowej, która czasem się zmienia. Nie widzisz tego, moje życie?

- Widzę - zgodziła się w końcu Dedé, zaczynając już iść na kompromis z mężczyzną, którego miała poślubić.

Pamięta noc, kiedy Lío się ukrył.

Była to też noc, w którą ostatecznie zgodziła się poślubić Jaimita.

Za jego namową poszli na spotkanie Partii Dominikańskiej w San Francisco. Członkostwo w partii było obowiązkiem, chyba że, tak jak Lío, chciało się przysporzyć kłopotów sobie i swojej rodzinie. Nie trzeba dodawać, że sam Lío z nimi nie poszedł. Minerva niechętnie wybrała się z Dedé i Jaimitem jako przyzwoitka, przy okazji zabierając do podstemplowania swoją *cédula**.

* *Cédula* (hiszp.) - dokument, karta.

Wieczór był śmiertelnie nudny. Wysoko postawione kobiety z partii odczytywały fragmenty *Rozważań moralnych*, okropnej książki opublikowanej właśnie przez doinę Marię. Każdy wiedział, że żona dyktatora nie napisała w niej ani słowa, ale wszyscy uprzejmie klaskali. Wszyscy oprócz Minervy. Dedé szturchnęła ją ramieniem i wyszeptwała:

- Pomyśl o tym jak o ubezpieczeniu na życie.

O ironio, wprawiała się w przyszłym zawodzie!

Wrócili prosto do domu, porażeni parodią, w której uczestniczyli. Usiedli we troje w *galería* i zgasili lampę gazową, żeby nie przyciągać owadów. Jaimito rozpoczął swoje - jak to nazywała Minerva - „przesłuchanie”.

- Czy twój przyjaciel zaproponował ci, żebyś z nim pojechała? - Miał na tyle wycucia, żeby w domu Mirabalów nie wymawiać na głos imienia Lía.

Nastała cisza, po czym Minerva odpowiedziała:

- Lío - wymówiła jego imię wyraźnie, bez tchórzliwego zniżania głosu - jest tylko przyjacielem i nie, nie prosił mnie, żebym z nim jechała. A gdyby prosił, nie zrobiłabym tego.

Dedé znów zastanowiła rezerwa jej siostry wobec Lía. Oto

Minerva ryzykuje życie dla tego młodego człowieka, dlaczego po prostu nie przyzna, że jest w nim zakochana?

- Szukali go dzisiaj u mnie w domu - wyszeptał Jaimito. Dedé poczuła, jak napinają się mięśnie jej ramion. - Nie chciałem was martwić, ale zabrali mnie na posterunek i zadali kilka pytań. Dlatego nalegałem, żebyśmy dzisiaj wszyscy tam poszli. Musimy zacząć stwarzać pozory.

- Czego od niego chcieli? - Tym razem Minerva ściszyła głos.

- Nie powiedzieli. Ale pytali, czy kiedykolwiek proponował mi jakieś zakazane materiały. Tak to nazwali.

Jaimito zrobił długą pauzę, w czasie której kobiety drżały ze zniecierpliwienia.

- Co powiedziałeś? - Szept Dedé przestał być szeptem.

- Powiedziałem im, że owszem, proponowałem.

- Co zrobiłeś?! - krzyknęła Minerva.

- Przyznaję się - głos Jaimita przybrał żartobliwy ton. - Powiedziałem im, że dawał mi świerszczyki. Wiecie, jacy są ci strażnicy. Wnioskując z tego, co pisali o nim w gazetach, wszyscy myślą, że jest ciotą. W najgorszym razie zyskał sobie dziś u nich przynajmniej odrobinę szacunku.

- Przesadziłeś! - Minerva westchnęła, wstając. W jej głosie było znużenie, ale i wdzięczność. Ostatecznie Jaimito nadstawił karku za człowieka, którego poglądy polityczne uważał za ryzykowne. - Jutro prawdopodobnie przeczytamy w gazetach, jakim to maniakiem seksualnym jest Virgilio Morales.

Dedé pamięta nagłe odrętwienie, które nastąpiło po odejściu jej siostry, inne niż zwykła cisza. Potem Jaimito wrócił do tematu Minervy i Lía. Było to prawie tak, jakby ci dwoje stali się dla niego cieniem obrazującym jego najgłębsze, najbardziej skryte pragnienia.

- Myślisz, że ona coś ukrywa? - zapytał Dedé Jaimito. - Myślisz, że przekroczyli rzekę Yaque?

- Ay, Jaimito! - zbesztala go ostro za samo sugerowanie czegoś takiego na temat jej siostry.

- Nie rozprawiali o białym koniu Napoleona na tylnym siedze-

niu!

Jaimito odgarniał teraz włosy Dedé, żeby uzyskać dostęp do białych, ukrytych części jej szyi.

- Tak samo jak my nie rozmawialiśmy o białym koniu Napoleona na przednim siedzeniu - przypomniała Dedé, delikatnie go odpychając. Pocałunki wywoływały fale przyjemności, które, jak się obawiała, mogły wyrzucić do góry dnem okręt jej samokontroli. - A nie przekroczyliśmy rzeki Yaque i nie mamy takiego zamiaru!

- Nigdy, mój skarbie, nigdy? - spytał urażonym tonem. Poklepywał kieszenie w poszukiwaniu czegoś. Dedé czekała, domyślając się, co będzie dalej. - Nic nie widzę w tych ciemnościach - poskarżył się. - Czy mogłabyś zapalić lampę, najdroższa?

- I obudzić wszystkich? Nie!

Serce Dedé waliło jak oszalałe. Chciała odwlec chwilę, w której padnie jego pytanie. Musiała to przemyśleć. Upewnić się, że dokonuje właściwego wyboru.

- Ale mam coś, co chcę ci pokazać, moja miła - głos Jaimita był pełen ekscytacji.

- Wyjdźmy na zewnątrz tylnymi drzwiami. Możemy wsiąść do samochodu papy i włączyć światło wewnątrz. - Dedé nie potrafiłaby go rozczarować.

Potyając się, dotarli do podjazdu, gdzie w ciemności rysował się wielki, czarny, zwalisty kształt forda. Mama nie będzie mogła ich dojrzeć z okna swojej sypialni wychodzącego na front domu. Dedé łagodnie otworzyła drzwi pasażera i włączyła lampkę w suficie. Jaimito wślizgnął się na siedzenie kierowcy, usiadł naprzeciw niej i szczyrzył zęby w uśmiechu. Ten wyraz jego twarzy przypominał Dedé jeszcze czasy, kiedy nieznośny kuzyn wrzucił jej za bluzkę jaszczurkę. Uśmiechał się w ten sam sposób, gdy do niej podchodził, z rękami za plecami.

- Moja owieczko - zaczął, sięgając po jej dłoń.

Słyszała bicie własnego serca. Jej rozpieszczony, śmieszny, zabawowy mężczyzna. Och, w jak wiele kłopotów się pakowała.

- Co tam masz, Jaimicie Fernándezie? - spytała, kiedy położył jej

na dłoni pierścionek. Ten sam, który dostała jego matka w dniu swoich zaręczyn, a który podczas rodzinnych wizyt pokazywano Dedé niezliczenie wiele razy. Na środku złotego filigranowego kwiatka umieszczony był mały diament. - *Ay, Jaimito.* - Poruszyła kamieniem tak, żeby odbiło się w nim światło. - Jest cudowny.

- *Moje serce* - powiedział - *wiem, że muszę prosić ojca o twoją rękę. Ale niezależnie od tego, co mówi Minerva, jestem nowoczesny. Wierzę, że kobietę powinno się pytać pierwszą.*

To wtedy usłyszeli ciche, ostrzegawcze chrząknięcie z tyłu samochodu. Popatrzyli na siebie zdezorientowani.

- *Kto tam jest?* - krzyknął Jaimito. Odwrócił się, klęcząc na przednim siedzeniu.

- *Spokojnie, to tylko ja* - wyszeptał Lío. - *Zgaście, proszę, światło.*

- *Jezu Chryste!*

Jaimito był wściekły, ale zrobił, o co go proszono. Usiadł znów prosto, z twarzą zwróconą w stronę przedniej szyby, jakby byli tam tylko on i jego dziewczyna, pogrążeni w intymnej rozmowie.

- *Słuchajcie, przepraszam* - tłumaczył Lío. - *Trwa oblawa. Dom Maria jest otoczony. Mój transport do stolicy pojawi się o świcie pod drzewem. Do tego czasu muszę się gdzieś ukryć.*

- *Więc przychodzisz tutaj i narażasz na niebezpieczeństwo całą tę rodzinę!* - Jaimito obrócił się na swoim siedzeniu, gotów udusić tego bezmyślnego człowieka.

- *Miałem nadzieję przekazać to Minervie.*

Dłoń wsunęła kopertę między nich. Zanim Jaimito zdążył zareagować, Dedé przejęła ją i włożyła do kieszeni.

- *Zajmę się tym* - obiecała.

- *Zrobiłeś to, po co przyjechałeś, i nie zostaniesz tutaj. Sam cię zawiozę.*

Chevrolet ojca Jaimita był zaparkowany z przodu domu, przy głównej bramie.

- *Jaimito, posłuchaj, pomyśl rozsądnie.* - Szepty Lía brzmiały upiornie, jak odłączony od ciała głos dochodzący z ciemnego wnętrza

samochodu. - Jest oczywiste, że jeśli będziesz jechał w środku nocy, zatrzymają cię i przeszukają samochód.

Dedé się z nim zgodziła. Kiedy Jaimito w końcu dał się przekonać, odprowadziła go drogą do jego samochodu.

- Więc co myślisz, moja miłości? - spytał, kiedy całowała go na pożegnanie.

- Myślę, że powinieneś pojechać do domu i pozwolić mu uciec, tak jak sobie zaplanował.

- Mówię o moich oświadczeniach, Dedé - zaskamlał Jaimito jak urażony chłopiec.

Tak naprawdę nie zapomniła o oświadczeniach, chodziło raczej o ich nieuchronność. Byli na siebie skazani, od kiedy razem lepili kulki z błota, bawiąc się jako niemowlęta w ogródku. Wszyscy to mówili. Nie było wątpliwości - czy na pewno? - że spędzą razem resztę życia.

Pocałował ją mocno, jego ciało nalegało, żeby jej ciało dało odpowiedź, lecz w głowie Dedé roilo się od pytań.

- Tak, moje kochanie, oczywiście, ale musisz jechać. Nie chcę, żeby cię zatrzymano po drodze.

- Nie martw się o mnie, moja droga - powiedział dzielnie Jaimito, podbudowany jej troską. Ale odjechał niedługo po ostatnim przeciągłym pocałunku.

Gdy Dedé została sama, wciągnęła haust chłodnego powietrza i popatrzyła w gwiazdy. Tej nocy jednak ich nie liczyła. Obracała pierścionek wokół palca, patrząc w stronę samochodu stojącego na środku podjazdu. Lío tam był, bezpieczny! I wiedziała o tym tylko ona, Dedé. Nie, nie powie Minervie. Chciała zachować tajemnicę dla siebie, przynajmniej tej jednej nocy.

W sypialni, którą kiedyś dzieliła z Patrią, lampa jarzyła się słabym światłem. Dedé wyjęła list z kieszeni i przyglądała się luźno zaklejonej kopercie. Spróbowała ją otworzyć i udało jej się to bez trudu. Wysunęła list i z wahaniem zaczęła czytać, mówiąc sobie po każdym akapicie, że zaraz przestanie.

Lío namawiał Minervę, by z nim wyjechała! Mogłaby przyjechać do stolicy pod pretekstem obejrzenia wystawy w ambasadzie Ko-

lumbii, a potem odmówić opuszczenia budynku. O podjęcie takiego ryzyka prosi jej siostrę! Przecież ambasady były teraz otoczone, wszyscy uchodźcy przechwytywani i wtrącani do więzień, gdzie większość z nich przepadała bez wieści. Dedé nie mogła narazić siostry na takie niebezpieczeństwo. Zwłaszcza jeśli Minerva, jak sama utrzymywała, nawet nie kocha tego człowieka.

Dedé zdjęła z lampy klosz i drżącą dłonią przyłożyła list do płomienia. Papier się zapalił. Popioły trzepotały jak ćmy, by w końcu opaść na podłogę, tworząc warstewkę pyłu. Po prostu rozwiązała problem. Gdy spojrzała w lustro, zaskoczył ją dziki wyraz własnej twarzy. Pierścionek na jej palcu zabłysnął gorączkowym przypomnieniem. Zaczesała włosy do góry w ciasny kucyk i włożyła koszulę nocną. Zdmuchnęła płomień lampy i zapadła w niespokojny sen, trzymając poduszkę jak mężczyznę w ramionach.

ROZDZIAŁ 6

Minerva

1949

Czego pragniesz, Minervo Mirabal?

Lato

Wiem, jakie zaczęły krążyć o mnie plotki, gdy parę ostatnich lat mieszkałam w domu. Ponoć nie lubię mężczyzn. To prawda, że nigdy nie zwracałam większej uwagi na tych z sąsiedztwa. Co nie znaczy, że ich nie lubiłam. Po prostu nie zdawałam sobie sprawy, że mam przed sobą to, czego pragnę.

Po pierwsze, zawsze siedziałam z nosem w książkach. Czytałam w nich o miłości, która kiedyś nadejdzie. Mężczyzna, którego pokocham, będzie wyglądał jak poeta z frontyspisu: blady i smutny, z piórem w ręku.

Po drugie, papa odstraszał mężczyzn. „Jesteś moim skarbem” - mawiał, klepiąc się po kolanie, jakbym była dziewczynką w fartuszkach, a nie dwudziestotrzyletnią kobietą w luźnych spodniach, których nie pozwalał mi nosić poza domem.

- Papo - protestowałam. - Jestem na to za stara.

Pewnego dnia zaproponował, że spełni każdą moją prośbę, jeśli usiądę mu na kolanach.

- Wystarczy, że podejdiesz i wyszepczesz mi ją do ucha - namawiał nieco bełkotliwym, pijackim głosem.

Zrobiłam, o co prosił, i natychmiast zażądałam nagrody.

- Chcę studiować na uniwersytecie, papo, proszę.

- Już, już - powiedział to tak, jakbym za bardzo się czymś gorączkowała. - Nie chciałybyś przecież zostawić swojego starego papy, prawda?

- Ale papo, masz mamę. - Nie dawałam za wygraną.

Jego twarz spochmurniała. W następnym ciszy oboje usłyszeliśmy, jak mama krząta się przed domem, w pobliżu miejsca, gdzie siedzieliśmy. María Teresa była w szkole, Dedé dopiero co wzięła ślub, Patria właśnie po raz drugi została matką. A ja, dorosła kobieta, siedziałam oto na kolanach ojca.

- Twoja matka i ja... - Urwał. Po chwili dodał: - Potrzebujemy cię tutaj.

Od kiedy trzy lata temu ukończyłam Inmaculada, siedziałam w domu jak w klatce i z nudów chciało mi się wyć. Najgorsze były dla mnie wypełnione nowinkami ze stolicy listy od Elsy i Sinity. Chodziły na wykłady z teorii błędu, od których włosy siostry Asuncióń stanęłyby dęba pod czepkiem. Widziały Tin-Tana w filmie *Tender Little Pumpkins* i były w klubie country, żeby posłuchać Albertiego z zespołem. Poza tym w stolicy było tylu atrakcyjnych mężczyzn!

Kiedy papa przynosił ich listy z poczty w Salcedo, z zazdrości nie mogłam usiedzieć w miejscu. Wskakiwałam do jeepa i z rykiem silnika ruszałam w stronę wsi, mocno dociskając pedał gazu, jakby prędkość mogła mnie wyzwolić. Jechałam dalej i dalej, udając przed sobą, że uciekam do stolicy. Ale coś zawsze kazało mi zawrócić samochód i skierować się z powrotem do domu, coś, co dostrzegałam kątem oka.

Pewnego popołudnia, podczas jednej z szaleńczych ucieczek, pędziłam małymi bocznymi drogami, które oplatały pajęczą siecią naszą posiadłość. Nieopodal północno-wschodnich kakaowcowych zagajników zobaczyłam forda zaparkowanego przed małym żółtym domkiem. Próbowałam odgadnąć, która z rodzin *campesinos* tam mieszka, ale nie mogłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek ją poznała.

Postanowiłam więc często jeździć tą drogą i mieć oczy szeroko otwarte. Za każdym razem, gdy prowadziłam forda papy, podbiegały do mnie obdarte dziewczynki, wyciągały rączki i prosiły o miętusy.

Przyglądałam się im. Trzy wbiegały na drogę za każdym razem, kiedy słyszały samochód, czwartą trzymała czasami na rękach najstarsza. Cztery dziewczynki, odnotowałam, trzy w majteczkach i nagie niemowlę. Pewnego razu zatrzymałam się na poboczu drogi i spojrzałam w ich mirabalowe oczy.

- Kim jest wasz ojciec? - spytałam bez ogródek.

Chwilę wcześniej były odważnymi, hałasującymi dziećmi. Ale zaczeponie przez obcą panią w samochodzie zwiesiły głowy i teraz one patrzyły na mnie kątem oka.

- Macie brata? - spytałam delikatniej.

- *No, señora* - wybąkały, a ja poczułam słodycz zemsty. A jednak papa nie będzie miał syna, którego tak pragnął!

Po chwili sennym krokiem wyszła z domu kobieta - najwyraźniej dopiero co wyjęła z włosów wałki, a na twarzy wciąż miała za dużo czegoś nieokreślonego. Kiedy mnie zobaczyła, zasmuciła się. Zbeształa dzieci, jakby po to się właśnie zjawiała.

- Mówiłam, żebyście nie zaczepiały przejezdnych.

- W niczym nie przeszkadzają - broniłam ich, głaszcząc policzek niemowlęcia.

Kobieta lustrowała mnie wzrokiem. Podejrzewam, że przeprowadzała inwentaryzację, ustalając za pomocą prostej arytmetyki, co mam ja, czego ona nie ma. Być może kilka dni później wymusi na papie jakąś nową obietnicę.

Wszędzie, gdzie spojrzałam, widziałam te cztery obdarte dziewczynki spoglądające na mnie głęboko osadzonymi oczami, takimi samymi jak papy i moje. „Daj mi, daj mi!” - wołały. Ale kiedy pytałam: „Czego chcecie?”, milczały, stojąc z otwartymi ustami i nie wiedząc, od czego zacząć.

Gdyby one spytały mnie o to samo, też wpatrywałabym się w nie bez

słowa.

Czego chcę? Sama już nie wiedziałam. Na trzy lata utknęłam w Ojo de Agua i byłam jak Śpiąca Królewna z bajki. Czytałam, narzekałam i kłóciłam się z Dedé, ale cały ten czas chrapałam w najlepsze.

Spotkanie Lía było jak przebudzenie. Wszystkie prawdy, które wpojono mi w dzieciństwie, opadły jak warstwy pościeli, gdy usiadzie się na łóżku. Teraz, kiedy pytałam siebie: „Czego pragniesz, Minervo Mirabal?”, byłam wstrząśnięta odkryciem, że nie znam odpowiedzi.

Wiedziałam tylko, że się nie zakocham, choć uważałam Lía za w pełni godnego mojego uczucia. „Co z tego? - walczyłam ze sobą. - Co jest ważniejsze, miłość czy rewolucja?” Ale cichy głos ciągle powtarzał: „Obie, obie, chcę obie”. Mój umysł wędrował po osnowie w przód i w tył, utkane w nocy „tak” za dnia prując w „nie”.

Jak zwykle bywa, życie zadecydowało samo. Lío wyznał, że szuka azylu poza granicami kraju. Odczułam ulgę, że okoliczności rozwiążą sprawy między nami.

Mimo to kiedy odjechał, byłam urażona tym, że nawet się nie pożegnał. Potem zaczęłam się martwić, czy cisza z jego strony nie oznacza, że został złapany. Widziałam go w wyobraźni, kątem oka. Nie wyglądał dobrze. Jego ciało było posiniaczone i złamane, jakby przeżył wszystkie te tortury w La Fortaleza, o których mi kiedyś opowiadał. Byłam pewna, że przecucia mnie nie mylą i że ostatecznie nie udało mu się uciec.

Oczywiście uwadze mamy nie uszło widoczne na mojej twarzy napięcie. Martwiły ją też moje silne bóle głowy i ataki astmy. Pewnego popołudnia postawiła diagnozę: „Potrzebujesz odpoczynku”, i wysłała mnie do łóżka w najchłodniejszej części domu - pokoju papy. Jego samego nie było, pojechał foldem na swój codzienny obchód farmy.

Leżałam w mahoniowym łóżku, przewracając się z boku na bok i nie mogąc zasnąć. Potem stało się coś, czego nie planowałam. Wstałam i sprawdziłam, czy da się otworzyć drzwi od szafy. Były zablokowane, co mnie nie zdziwiło, bo żelazne elementy zawsze się zacinały. Używając spinki do włosów, podważyłam jedną z we-

wewnętrznych sprężyn i drzwi odskoczyły.

Przesunęłam dłonią po ubraniach papy, jego zapach rozszedł się po całym pokoju. Popatrzyłam na jego nowe, modne guayabery i zaczęłam przeglądać zawartość kieszeni. W środkowej kieszeni marynarki znalazłam zwitek papierów. Wyciągnęłam go.

Recepty na lekarstwa, rachunek za słomkowy kapelusz, w którym obnosił się po farmie, prezentując nowy, dumny wizerunek. Rachunek z El Gallo na sześć metrów dziewczęcej bawełnianej tkaniny w kratkę, zaproszenie z Pałacu Narodowego na jakieś przyjęcie. W końcu cztery zaadresowane do mnie listy od Lia!

Przeczytałam je zachłannie. Nie dostał ode mnie odpowiedzi na propozycję opuszczenia kraju (jaką propozycję?). Zorganizował mi przewóz do ambasady Kolumbii. Prosi, żebym dała mu znać przez jego kuzyna María. Czeką na moją odpowiedź - następny list. Ciągłe żadnej odpowiedzi - skarżył się w trzecim. W ostatnim pisał, że wylatuje tego popołudnia samolotem poczty dyplomatycznej. Rozumiał, że w tym momencie był to dla mnie zbyt śmiały krok. Może kiedyś, w przyszłości. Mógł tylko mieć nadzieję.

Nagle wydało mi się, że przegapiłam doskonałą okazję. Moje życie byłoby szlachetniejsze, gdybym pojechała z Liem. Ale jak mogłam dokonać wyboru, skoro nie wiedziałam nawet, że przed nim stoję? Zapomniałam o swoich wcześniejszych rozterkach i zaczęłam winić za wszystko papę: za jego młodą kobietę, sprawianie bólu mamie, odcięcie mnie od świata, podczas gdy on używał życia.

Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że z trudem włożyłam listy do kopert, by następnie wepchnąć je do swojej kieszeni. Jego rachunki i korespondencję odłożyłam na miejsce. Zostawiłam uchylone drzwi od szafy. Chciałam, żeby wiedział, że został nakryty.

Kilka minut później prulam jeepem przed siebie, nie powiadomiwszy o niczym mamy. Co miałabym jej powiedzieć? Że jadę znaleźć mojego nic niewartego ojca i przywlec go do domu?

Dobrze wiedziałam, gdzie go szukać. Ostatnio papie wiodło się tak

doskonale, że kupił drugi samochód. Byłam cholernie pewna, że nie dogląda pól, skoro pojechał fordem, a nie jeepem. Skierowałam się prosto do żółtego domku.

Kiedy tam dotarłam, cztery dziewczynki trwożnie podniosły głowy. Przecież mężczyzna, którego zawsze oczekiwały, już tam był. Jego samochód stał zaparkowany z tyłu domu, tak by nie można go było dojrzeć z drogi. Skręciłam na nieutwardzoną ścieżkę i wjechałam w forda, odrywając zderzak i tłukąc tylną szybę. Potem trąbiłam tak długo, aż pojawił się w drzwiach, bez koszulki i wściekły.

Spojrzał tylko na mnie i zbladł najbardziej, jak może zblednąć człowiek o oliwkowej cerze. Przez dłuższą chwilę milczał.

- Czego chcesz? - wydusił w końcu.

Usłyszałam płacz dziewczynek i zdałam sobie sprawę, że moja twarz też jest mokra od łez. Kiedy się zbliżył, ostrzegawczo nacisnęłam klakson i gwałtownie wycofałam się ze ścieżki na drogę. Nadjeżdżający zza zakrętu pikap zmienił kierunek i wpadł do rowu - banany, pomarańcze, mango i juka rozsypały się po całej drodze. To mnie bynajmniej nie zatrzymało. Dodałam gazu.

Kątem oka widziałam, jak jego sylwetka staje się coraz mniejsza, aż w końcu znika.

Kiedy wróciłam do domu, mama czekała w drzwiach. Popatrzyła na mnie i już wiedziała.

- Następnym razem nie opuścisz tego domu, nim nie powiesz, dokąd się wybierasz.

Obie miałyśmy świadomość, że nie jest to prawdziwa nagana. Nawet nie spytała, gdzie byłam.

Gdy papa wrócił tego wieczoru do domu, z jego twarzy biła wściekłość. Zjadł kolację w milczeniu, sugerującym, że obchód farmy nie poszedł dobrze. Wstałam od stołu tak szybko, jak tylko mogłam, żeby nie wzbudzić w mamie jeszcze większych podejrzeń. Wytłumaczyłam, że boli mnie głowa, i skierowałam się do swojego pokoju.

Po chwili usłyszałam pukanie. Zza drzwi rozległ się rozkazujący

głos papy:

- Chcę cię zobaczyć na zewnątrz.

Obmyłam twarz, przeczesalam dłonią włosy i wyszłam.

Poprowadził mnie wzdłuż podjazdu, obok wgniecionego forda, aż do ciemnego ogrodu. Księżyc wyglądał niczym cienka, świetlista maczeta torującą sobie drogę przez skrawki chmur. W jego ostrym świetle zobaczyłam, jak papa zatrzymuje się i odwraca w moją stronę. Zawsze byłam wysoka, a on skurczył się z wiekiem, więc teraz stanęliśmy ze sobą twarzą w twarz.

Nagle, bez ostrzeżenia, jego dłoń uderzyła mój policzek. Nigdy wcześniej nie podniósł na mnie ręki. Zatoczyłam się do tyłu, oszłamiona bardziej myślą, że mnie uderzył, niż bólem, który eksplodował w mojej czaszce.

- To, żeby ci przypomnieć, że jesteś winna swojemu ojcu trochę szacunku!

- Niczego nie jestem ci winna - powiedziałam. Mój głos był równie pewny i rozkazujący jak jego. - A mój szacunek straciłeś.

Skulił się i wydał z siebie westchnienie. Ku swojemu zaskoczeniu odczułam to mocniej niż wymierzony przez niego policzek. Zrozumiałam, że jestem o wiele silniejsza od papy, że mama jest silniejsza. To on był najsłabszy z nas wszystkich i to jemu najtrudniej żyło się z nikczemnymi wyborami, których dokonał.

Potrzebował naszej miłości.

- Schowałem je, żeby cię chronić - powiedział.

Początkowo nie wiedziałam, o czym mówi. Potem zdałam sobie sprawę, że widocznie odkrył zniknięcie listów z kieszeni swojej marynarki.

- Słyszałem o co najmniej trzech znajomych Virgilia, po których ślad zaginął.

A więc chciał zrzucić całą moją wściekłość na karb tego, że przywłaszczył sobie korespondencję od Líi. A ja wiedziałam, że jeśli mamy nadal mieszkać pod jednym dachem, będę musiała udawać, że to było prawdziwą przyczyną naszego konfliktu.

Eleganckie zaproszenie znalezione przeze mnie w kieszeni papy wywołało kolejną awanturę, którą tym razem wszczęła mama. Była to inwytacja na prywatne przyjęcie wydawane przez samego Trujillo w jednej z jego zacisznych rezydencji, oddalonej od nas o trzy godziny drogi. W dopisanej odręcznie notatce generał wyrażał życzenie, by *señorita* Minerva Mirabal nie omieszkała przybyć.

Teraz, kiedy papa stał się bogaty, zapraszano go na wiele oficjalnych przyjęć i uroczystości. Zawsze mu towarzyszyłam, ponieważ mama odmawiała swojego udziału.

- Kto chciałby oglądać starą kobietę? - wymawiała się.

- Daj spokój, mamó - protestowałam. - Jesteś w kwiecie wieku.

Pięćdziesięciojednoletnia *mujerona**.

* *Mujerona* (hiszp.) - matrona.

Pstryknęłam palcami, jakby to mogło pobudzić ją do życia. Jednak prawdę mówiąc, mama wyglądała staro, starzej nawet niż papa w swoim nowiutkim, szykownym kapeluszu, lnianej guayaberze, wysokich czarnych butach i z wytworną laską, która była bardziej przejawem jego zarozumiałości niż realną podporą. Włosy mamy przybrały popielatą barwę, a ona zaczesywała je w surowy kok, który podkreślał znużony życiem wyraz jej twarzy.

Jednak tym razem mama chciała, żebym i ja została w domu. Wystraszył ją dopisek na zaproszeniu, które przestało być oficjalnym aktem, a nabrało osobistego charakteru. Istotnie po ostatnim wielkim przyjęciu pewien pułkownik, znajomy Jaimita, odwiedził jego rodzinę i pytał o wysoką, atrakcyjną kobietę, która towarzyszyła don Enrique. Zwróciła uwagę El Jefe.

Mama chciała poprosić doktora Lavandiera, żeby wystawił mi zwolnienie. Ostatecznie migreny i ataki astmy nie były przeciw prawu, czyż nie?

- Trujillo jest prawem. - Papa zniżył głos do szeptu, jak to się wówczas zwykło robić, wymawiając budzące postrach imię.

Wreszcie mama ustąpiła, lecz z zastrzeżeniem, że pojedą z nami Pedrito i Patria, aby się mną zaopiekować, a także Jaimito i Dedé - by upewnić się, że tamci wywiążą się z zadania. María Teresa błagała,

żeby i ona mogła pojechać, ale mama nie chciała o tym słyszeć. Wystawić następną młodą, niezamężną córkę na niebezpieczeństwo? *No, señorita!* Poza tym Marii Teresie nie wolno było chodzić na nocne przyjęcia, aż do *quinceanera*** w przyszłym roku.

** *Quinceanera* - tradycyjna uroczystość z okazji piętnastych urodzin dziewczyny, będących symbolicznym wejściem w dorosłość.

Biedna Mate płakała i płakała. Obiecałam więc, że w nagrodę pocieszenia dostanie ode mnie pamiętkę. Na ostatnim przyjęciu w hotelu Montana rozdano nam wszystkim papierowe wachlarze z wizerunkiem Niepokalanej po jednej stronie i El Jefe pod drugiej. Gdy Maria Teresa siadała naprzeciw mnie, trzymając w ręku wachlarz, wciąż prosiłam ją, żeby go obracała. Czasem nie mogłam znieść widoku sondującego spojrzenia El Jefe, a czasem cudnej twarzy Niepokalanej.

Jako że przyjęcie miało się odbyć za tydzień, papa musiał naprawić forda. Dyrektor lokalnego oddziału Rolników Trujillo nie mógł przyjechać do domu El Jefe jeepem. Osobiście nie uważałam tego za niestosowne, ale jako ta, która uszkodziła cacko papy, nie miałam prawa głosu.

Podczas gdy ford był w warsztacie, woziłam papę do San Francisco, na wizyty u lekarza. To przykre, ale im stawał się bogatszy, tym bardziej podupadał na zdrowiu. Pił zbyt dużo, nawet ja to widziałam. Miał osłabione serce i podagrę, która czasem niemal uniemożliwiała mu chodzenie. Doktor Lavandier przyjmował go dwa razy w tygodniu. Zawoziłam papę, a sama odwiedzałam Dedé i Jaimita w ich nowym sklepie - lodziarni, gdzie czekałam aż do chwili, kiedy można go będzie odebrać.

Pewnego ranka papa kazał mi jechać samej do domu. Po wizycie musiał jeszcze załatwić jakieś sprawy. Powiedział, że Jaimito odwiedzie go później.

- Możemy załatwić je razem - zaproponowałam.

Kiedy odwrócił wzrok, domyśliłam się, co zamierza. Kilka dni wcześniej odwiedziłam żółty domek, który okazał się opustoszały i

zabity deskami. Wszystko jasne! Papa nie zerwał z tą kobietą, a jedynie przeniósł ją ze wsi do miasta.

Siedziałam, patrząc przed siebie i nie mówiąc ani słowa.

W końcu się przyznał.

- Musisz mi wierzyć. Jadę tylko zobaczyć swoje dzieci. Nie jestem już związany z ich matką.

Odczekałam chwilę, by dojść do siebie.

- Chcę się z nimi spotkać - powiedziałam. - W końcu to moje siostry.

Widziałam, że poruszyło go to, że je uznałam. Wyciągnął w moją stronę ramiona, ale ja nie byłam gotowa na jego uściski.

- Wróć, żeby cię odebrać.

Jechaliśmy wąskimi uliczkami, mijając szeregi zadbanych małych domków. W końcu zatrzymaliśmy się przed jednym z nich - ślicznym, turkusowym, z gankiem i wykończeniami pomalowanymi na biało. Cztery dziewczynki w identycznych sukienkach z bładożółtej bawełny w kratkę czekały już na papę. Dwie najstarsze musiały mnie rozpoznać, bo ich twarze spoważniały, kiedy wysiadłam z samochodu.

W chwili kiedy papa stanął na chodniku, rzuciły się w jego stronę, po czym zanurzały ręce w jego kieszeniach, wygrzebując z nich miętusy. Poczulałam ukłucie zazdrości, widząc, że zachowują się przy papie tak samo, jak to robiłyśmy ja i moje siostry.

- To moja duża dziewczynka Minerva - przedstawił mnie. Potem zaprezentował mi córki, kładąc po kolei rękę na głowie każdej z nich.

Najstarsza, Margarita, miała jakieś dziesięć lat, każda następna była około trzech lat młodsza od poprzedniej, aż do niemowlęcia ze smoczkiem wiszącym na brudnej wstążce związanej u szyi. Papa wszedł do domu z kopertą, a ja czekałam na ganku, zadając dzieciom pytania, na które z nieśmiałości nie odpowiadały.

Kiedy odchodziliśmy, zobaczyłam, że matka przygląda mi się zza drzwi. Skinęłam na nią, żeby wyszła.

- Minerva Mirabal - przedstawiłam się, wyciągając dłoń.

Kobieta zwiesiła głowę i wymamrotała swoje imię, Carmen, na-

zwiska nie dosłyszałam. Zauważyłam, że nosi tani pierścionek o regulowanej wielkości, taki, jakie dzieci kupują na rogu ulicy od sprzedawcy cukierków. Zastanawiałam się, czy chce uchodzić za poważaną, zamężną damę w tej jednej z przyjemniejszych dzielnic San Francisco.

Kiedy wracaliśmy do Ojo de Agua, próbowałam przypomnieć sobie, co takiego mogło dziesięć lat temu wepchnąć papę w ramiona innej kobiety. Patria, Dedé i ja właśnie wyjechałyśmy do Inmaculada Concepción, María Teresa miała jakieś cztery lata.

Być może, myślałam, papa tęsknił za nami tak bardzo, że poszedł szukać młodej kobiety, która by nas zastąpiła? Wpatrywałam się w niego, a on ciągle na mnie zerkał.

- To było bardzo szlachetne z twojej strony - rzekł, uśmiechając się niepewnie.

- Co się stało, to się nie odstanie - powiedziałam - ale dlaczego to zrobiłeś, papo?

Zacisnął dłoń na lasce tak mocno, że aż zbielały mu kłykcie.

- *Cosas de los hombres* - odparł. Rzeczy, które robią mężczyźni. Więc to go miało usprawiedliwić, tego macho!

Nim zdążyłam zadać następne pytanie, papa spytał:

- Dlaczego zrobiłaś to, co właśnie zrobiłaś?

Chociaż byłam znana z ciętej riposty, nie mogłam znaleźć żadnej odpowiedzi, aż przypomniałam sobie jego słowa.

- Rzeczy, które robią kobiety.

W chwili gdy to powiedziałam, doznałam olśnienia.

Przez całą drogę do domu widziałam ich kątem oka: mężczyzn pochylających się na polach, mężczyzn jeżdżących na koniach, mężczyzn siedzących przy drodze na przechylonych do tyłu krzesłach, skubiących łodygi trawy - i w końcu wiedziałam doskonale, że patrzę na to, czego pragnę.

Taniec w Dniu Kolumba

12 października

Zanim udaje nam się znaleźć miejsce bankietu, jesteśmy spóźnieni o godzinę. Całą drogę papa, Pedrito i Jaimito opracowują szczegóły swojej wersji wydarzeń.

- Ty powiesz, że wyjechaliśmy wcześniej rano, by mieć mnóstwo czasu, a potem ty powiesz, że nie znaliśmy drogi - przydziela poszczególne kwestie zięciom papa. - A ty - odwraca się w stronę tylnego fotela, na którym siedzę - nie będziesz się odzywać.

- Nie trzeba niczego ustalać, kiedy mówi się prawdę - przypominam im. Ale nikt mnie nie słucha. Bo niby dlaczego? Prawdopodobnie myślą, że to ja ich w to wplątałam.

Prawda jest inna. Przybyliśmy do San Cristobal późnym popołudniem, wynajęliśmy pokój w hotelu i się przebraliśmy. Nasze sukienki były wygniecione, bo trzymałyśmy je na kolanach przez cały dzień podróży.

- Im gorzej się prezentujesz, tym lepiej dla ciebie - stwierdziła Patria, słysząc moje biadolenie.

Wyglądałam, jakbym przyjechała tu na ośle.

Potem wróciliśmy do samochodu i jechaliśmy całe wieki. Jako człowiek, który z a w s z e wie, dokąd jedzie, Jaimito nie mógł się po prostu zatrzymać i zapytać o kierunek. Wkrótce zgubiliśmy się na bocznych drogach gdzieś w okolicach Bani. W punkcie kontrolnym *guardia* ostatecznie przekonał Jaimita, że jedziemy w złą stronę. Zawróciliśmy, godzinę spóźnieni.

Jaimito parkuje forda na końcu długiego podjazdu, przodem do drogi.

- Na wypadek, gdybyśmy musieli odjeżdżać w pośpiechu - mówi ściszym głosem. Cała ta wyprawa zamieniła go w kłębek nerwów. Jak zresztą nas wszystkich.

Droga do wnętrza domu to prawdziwa wspinaczka. Po każdym kilku stopniach jesteśmy poddawani kontroli i musimy pokazywać zaproszenie. Podjazd jest dobrze oświetlony, więc przynajmniej widzimy kałuże, zanim w nie wdepniemy. Prawie cały dzień padało, jak to zwykle w październiku przed huraganem. Wszyscy uważają, że w tym roku deszcze są bardziej ulewne niż kiedykolwiek wcześniej.

Zgodnie z moją teorią bóg grzmotu Hurakan zawsze źle się zachowuje, gdy zbliża się święto konkwistadora, który wybił wszystkich jego czcicieli, Indian Taino. Kiedy wspinając się po podjeździe, sugeruję to Patrii, ta obdarza mnie swoją miną zbolalej Madonny.

- *Ay, Minerva, por Dios, uważaj dziś na to, co mówisz.*

Manuel de Moya chodzi tam i z powrotem przy wejściu. Znam go z ostatniego przyjęcia i, oczywiście, ze zdjęć w gazetach. „Sekretarz stanu” - mówią ludzie, puszczając oko. Wszyscy wiedzą, że jego prawdziwym zadaniem jest wyławianie młodych dziewcząt dla El Jefe. Nie wiem, jak dał się na to namówić. Manuel de Moya ponoć tak umiejętnie radzi sobie z kobietami, że gdy idą do łóżka z Dobroczyńcą Ojczyzny, prawdopodobnie są przekonane o tym, że podążają za przykładem Niepokalanej.

Papa zaczyna się tłumaczyć, ale don Manuel mu przerywa:

- To do niego niepodobne. Ambasador Hiszpanii czeka. - Spogląda na zegarek, a potem podnosi go do ucha, jakby spodziewał się, że wskazówki wyszepeczą mu miejsce pobytu El Jefe. - Nie widzieliście po drodze żadnych samochodów?

Papa kręci głową, a na twarzy ma wyraz przesadnego zatroskania.

Don Manuel pstryka palcami i kilku oficerów podbiega po instrukcje. Mają trzymać straż, podczas gdy on będzie eskortować Mirabalów do ich stołu. Dziwimy się temu specjalnemu traktowaniu, a papa błaga don Manuela, żeby się tak nie kłopotał.

- To - mówi sekretarz, oferując mi ramię - sama przyjemność.

Przechodzimy długim korytarzem, aż do dziedzińca obwieszonego lampionami. Na nasz widok tłum milknie. Lider zespołu podnosi się z miejsca, a kiedy zdaje sobie sprawę, że to nie Trujillo, siada z powrotem. Luis Alberti - tylko po to, by być na każde zawołanie - przeniósł się tu ze stolicy z całą swoją orkiestrą. Casa de Caoba to ponoć ulubiona rezydencja bankietowa El Jefe, w której przebywa też zawsze jego obecna faworyta. Na kilku ostatnich przyjęciach po damskich toaletach krążyła ekscytująca plotka, że aktualnie dom nie jest zajęty.

Pozostał tylko jeden wolny stolik, naprzeciw podwyższenia. Don

Manuel wysuwa każdemu krzesło, ale kiedy chcę usiąść obok Patrii, mówi:

- Nie, nie, El Jefe zaprasza panią do siebie.

Wskazuje stojący na podeście środkowy stół, gdzie kilku dygnitarzy z żonami pozdrawia mnie skinieniem głowy. Patria i Dedé wymieniają wystraszone spojrzenia.

- To naprawdę wielki zaszczyt - dodaje, widząc moje wahanie.

Papa wciąż stoi naprzeciw nas.

- Idź, córko. Każesz don Manuelowi czekać.

Rzucam papie gniewne spojrzenie. Gdzie się podziały wszystkie jego zasady?

Rozglądam się wokół ze swojego nowego punktu obserwacyjnego przy podwyższonym stole. Święto odkrycia Ameryki uczczono, dekorując cały dziedziniec tak, by przypominał jeden ze statków Kolumba. Na każdym stoliku leży zmyślna dekoracja - mała karawela z żaglami z bibuły i masztem z zapalonych świeczek. Doskonała pamiątka dla Mate. Mierzę wzrokiem rozmiary karaweli i uznaję, że nie zmieści się w mojej torebce.

Dedé łapie moje spojrzenie, po chwili przypominając sobie o uśmiechu, bo musimy sprawiać wrażenie zadowolonych. Dotyka swojego kieliszka i bardzo delikatnie kiwa głową. „Nie pij niczego, co ci zaproponują” - przypomina mi tym gestem. Słyszałyśmy różne historie. Młode kobiety znarkotyzowane, a potem zgwałcone przez El Jefe. Ale jak ona to sobie wyobraża? Że El Jefe odurzy mnie tutaj, przed całym tłumem?! A potem co? Manuel de Moya zaciągnie mnie do czekającego na zewnątrz czarnego cadillaca. Albo nie, będą dwa, prawie identyczne czarne cadillaki. Ale to już inna historia. Ochrona wprowadziła nowy środek ostrożności - dublera mającego zmylić potencjalnych zamachowców. Wodzę oczami za Dedé, a kiedy spogląda na mnie, wnoszę kieliszek w beztroskim toaście.

Raptem, jakby ten gest stanowił sygnał, wszyscy zrywają się na równe nogi, unosząc kieliszki. Przy wejściu robi się zamieszanie, roi się od dziennikarzy, trzaskają lampy błyskowe. Tłum tłoczy się wokół El Jefe, nie widzę go więc aż do chwili, gdy jest już prawie przy

naszym stoliku. Wygląda młodziej, niż go zapamiętałam z naszego przedstawienia pięć lat temu, włosy ma przyciemnione, figurę szczuplejszą. To na pewno całe to *pega palo*, specjalny wywar, który gotuje mu jego brujo, a który Trujillo pije, by utrzymać potencję seksualną.

Po toaście ambasador Hiszpanii odznacza tego znakomitego potomka wielkiego konkwistadora kolejnym medalem. Przez moment szuka wolnego miejsca na przepełnionej szarfie przebiegającej przez jego pierś. Chapita - Kapsel - tak nazywają go chłopcy z podziemia. Lío powiedział mi, że przezwisko pochodzi z dzieciństwa El Jefe, który miał w zwyczaju nawlekać na sznurek kapsle od butelek, by wyglądały jak medale.

Wreszcie siadamy przy talerzach zimnej *sancocho**. O dziwo, El Jefe nie zajmuje miejsca obok mnie. Coraz mniej rozumiem, w jakim celu posadzono mnie dziś przy tym stoliku. Po swojej lewej stronie słyszę Manuela de Moyę, snującego wspomnienia z Nowego Jorku, gdzie pracował jako model. Opowiada, jak Trujillo spotkał go na jednej ze swoich wypraw do Stanów, które odbywa regularnie, by zamówić buty podwyższające, wybielacze skóry, kremy, satynowe szarfy i pióra rzadkich ptaków zdobiące później jego dwurożne napoleońskie kapelusze. Modela zatrudnił z miejsca. Wysoki, wytworny, mówiący po angielsku biały Dominikańczyk miał być ozdobą jego świty.

* *Sancocho* - tradycyjna zupa z ryżem, czerwoną fasolą i mięsem.

Siedzący po mojej prawej ręce starzejący się senator z San Cristobal chwali zupę i wskazuje na atrakcyjną blondynkę obok Trujillo.

- Moja żona - pyszni się. - W połowie Kubanka.

Nie wiedząc, co powiedzieć, kiwam głową i przechylam się, żeby podnieść serwetkę, którą opuściłam, kiedy wstawałam na powitanie El Jefe. Pod stołem Trujillo czyjaś dłoń penetruje wewnętrzną część kobiecego uda. Po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że to ręka El Jefe pieszcząca żonę senatora.

Stoły przesunięto do tyłu, zaczyna grać muzyka, a ja zastanawiam się, dlaczego po prostu nie przeniosą przyjęcia do środka. Wieje silny wiatr, zapowiadający deszcz. Raz na jakiś czas podmuch przewraca kieliszek albo karawelę i słychać głośny łoskot. Rozstawieni wokół żołnierze sięgają po broń.

Zgodnie z ceremoniałem parkiet pozostaje pusty, dopóki jako pierwszy nie zatańczy na nim El Jefe.

Podnosi się z krzesła, a ja jestem tak pewna, że wybierze mnie na swoją partnerkę, że przez moment czuję rozczarowanie, kiedy zwraca się do żony ambasadora Hiszpanii. Zaczynam rozumieć, co miał na myśli Lío, gdy mnie ostrzegał: ten reżim potrafi uwodzić. Bo inaczej jakim sposobem cały naród padłby na kolana przed tym małym człowiekiem?

Boże, miej Lía w opiece! Gdzie teraz może być? Czy otrzymał obiecany przez ambasadę azyl, czy też został złapany i uwięziony w La Fortaleza, jak nieustannie podpowiadają mi przecucia? Czuję pulsujący ból głowy, nasilający się, w miarę jak moja wyobraźnia błądzi w poszukiwaniu miejsc, w których mógłby się bezpiecznie schronić.

- Czy mogę mieć ten zaszczyt? - Manuel de Moya stoi obok mnie.

- *Ay*, don Manuelu, tak mnie boli głowa. - Poniekąd cieszę się, że znalazłam pretekst, by zasadnie mu odmówić.

Grymas irytacji przebiega przez twarz sekretarza, który jednak w mgnieniu oka wraca do swoich doskonałych manier.

- W takim razie musimy przynieść pani *calmante*.

- Nie, nie. - Odrzucam propozycję machnięciem ręki. - Minie, jeśli posiedzę tutaj w ciszy.

Podkreśliłam słowa „w ciszy”. Nie chcę rozmawiać z don Manuellem o swoim bólu głowy.

Kiedy odchodzi, wyszukuję wzrokiem nasz stolik. Patria podnosi brew, jakby pytając: „Jak się trzymasz?”. Dotykam czoła i na chwilę zamykam oczy. Wie, jak bardzo ostatnio cierpię z powodu bólów głowy. „Napięcie” - mawia mama i odsyła mnie ze sklepu na dodat-

kowe drzemki.

Patria podchodzi do mojego stołu z całą paczuszką calmante. Prawdziwa z niej matka. W torebce ma zawsze chusteczkę, na wypadek gdyby ktoś kichnął, miętusa, żeby sprawić radość dziecku, różaniec, gdyby ktoś chciał się pomodlić.

Zaczynam opowiadać jej o tym, jakie figle-migle widziałam pod stołem, ale wszechobecny Manuel de Moya znowu zjawia się obok nas. Przyprowadził kelnera ze szklanką wody i dwiema aspirynami na małej srebrnej tacy. Otwieram dłoń i pokazuję swoje tabletki. Don Manuelowi rzędzie mina.

- Ale za to potrzebuję wody - mówię, żeby okazać trochę wdzięczności.

Podaje mi szklankę z takim namaszczeniem, że cała ta wdzięczność rozpuszcza się jak tabletki w moim żołądku.

Później, przy stoliku, słucham, jak prowadzi jałową rozmowę ze starym senatorem o różnych dolegliwościach, na które obaj cierpią. Od czasu do czasu sprawdza, czy nie minął mi ból głowy. W końcu, za trzecim razem, odpowiadam zgodnie z jego oczekiwaniami:

- Spróbujmy wiejskiego lekarstwa - mówię, a jego pytanie, co to za lekarstwo, upewnia mnie w tym, że nie można mu ufać. Po kilku tańcach czuję, że rzeczywiście, jak mawiają *campesinos, un davo saca otro davo** - klin klinem. Pobudzający rytm *Fiesty* Albertiego zagłusza uderzenia pulsującego bólu w mojej głowie. I, cokolwiek by o nim mówić, Manuel de Moya jest świetnym tancerzem. Cały czas się śmieję, odrzucając do tyłu głowę. Kiedy spoglądam na nasz stół, Patria przygląda mi się, nie do końca pewna, co ma sądzić o moim zachowaniu.

* *Un davo saca otro davo* (hiszp.) - dosł. paznokieć wyrывa paznokieć.

Potem wszystko dzieje się bardzo szybko. Zaczyna się powolne bolero i czuję, jak mój partner prowadzi mnie w stronę Trujillo, który tańczy właśnie z atrakcyjną jasnowłosą żoną starego senatora. Kiedy się z nimi zrównujemy, Manuel de Moya puszcza moją dłoń.

- Czy możemy złożyć wizytę? - pyta mnie, ale to El Jefe potakuje.

Blondynka wydyma wargi, traktując to jako afront.

- Wizyta to nie długi pobyt - zwraca się do El Jefe, puszczając do niego oko nad ramieniem Manuela de Moi.

Przez chwilę stoję z opuszczonymi rękami, czując tę samą treść co przed pięcioma laty. El Jefe chwyta moją dłoń.

- Czy mogę mieć przyjemność?

Nie czeka na odpowiedź, tylko przyciąga mnie do siebie. Czuję dławiący zapach jego wody kolońskiej.

Uścisk ma męski i zaborczy, jednak nie tańczy dobrze. Przesadna stanowczość i zbyt dużo figur. Parę razy następuje mi na stopę i nie przeprasza.

- Bardzo dobrze pani tańczy - mówi z galanterią. - Ale w końcu kobiety z El Cibao są najlepszymi tancerkami i kochankami - szepcze, wzmacniając uścisk.

Czuję na uchu jego wilgotny oddech.

- Czy ostatnia pańska partnerka była z El Cibao? - pytam. Jeśli zachęcę go do rozmowy, będzie musiał trochę się odsunąć. Powstrzymuję się, by nie powiedzieć: „Cóż, wizyta to nie długi pobyt”.

Odsuwa mnie na długość ramienia, jego oczy wędrują po moim ciele, studiując je prostacko.

- Mówię o narodowym skarbie w moich ramionach - szepcze, uśmiechając się.

Śmieję się głośno, dotychczasowy strach pierzcha, a poziom pewności siebie niebezpiecznie się podnosi.

- Nie nazwałabym siebie narodowym skarbem.

- Dlaczego nie, taki klejnot? - W jego oczach skrzy się ciekawość.

- Wydaje mi się, że tracę czas w Ojo de Agua.

- Być może moglibyśmy sprowadzić panią do stolicy - mówi łobuzerskim tonem.

- Właśnie do tego próbuję namówić papę. Chcę iść na uniwersytet - wyznaję, nastawiając tego człowieka przeciw własnemu ojcu. Jeśli El Jefe zechce, żebym studiowała, papa będzie musiał mi pozwolić. - Zawsze pragnęłam studiować prawo.

Obdarza mnie pobłażliwym uśmiechem dorosłego, który słyszy oburzającą prośbę z ust swojego dziecka.

- Kobieta taka jak pani prawniczką?

Gram na jego próżności, prawdopodobnie stając się tym samym jedną z wielu marionetek El Jefe.

- Dał pan kobietom prawa wyborcze w czterdziestym drugim. Popierał pan założenie kobiecego oddziału Partii Dominikańskiej. Zawsze był pan orędownikiem kobiet.

- No proszę - wyszczerza zęby w nieprzyzwoitym uśmiechu - kobieta wolnomyślicielka. Więc chce pani studiować w stolicy, hmm?

Potakuję stanowczo, ale w ostatniej chwili łagodzę gest, przekrzywiając głowę.

- Mógłbym wtedy widywać regularnie nasz narodowy skarb. Być może udałoby mi się zdobyć ten klejnot, jak El Conquistador zdobył nasz kraj.

Gra zaszła za daleko.

- Obawiam się, że nie można mnie zdobyć.

- Ma już pani *novio**? - pyta. Jedyne takie może być wytłumaczenie. Ale nawet jeśli byłabym zaręczona, to tylko czyniłoby podbój bardziej interesującym. - Kobieta taka jak pani ma pewnie wielu wielbicieli.

* *Novio* (hiszp.) - narzeczony.

- Nie jestem nimi zainteresowana, póki nie skończę aplikacji.

Po jego twarzy przemyka grymas zniecierpliwienia. Nasze *tête-à-tête* nie przebiega standardowo.

- Uniwersytet nie jest dziś miejscem dla kobiet.

- Dlaczego nie, El Jefe?

Wydaje się zadowolony, że przymilnie zwróciłam się do niego tytułem Wodza. Jesteśmy teraz tak pochłonięci rozmową, że niemal nie tańczymy. Czuję na sobie spojrzenia tłumu.

- Jest pełen komunistów i agitatorów, którzy chcą obalić rząd. To oni są odpowiedzialni za cały ten bałagan w Luperón. - Wygląda teraz groźnie, jakby sama wzmianka wystarczyła, by zgromadzić przed nim jego wrogów. - Ale daliśmy tym nauczycielom porządną lekcję!

Złapali go, na pewno!

- Virgilio Morales! - wrywa mi się. Nie mogę uwierzyć własnym uszom.

Jego twarz tężeje, spojrzenie staje się podejrzliwe.

- Zna pani Virgilia Moralesa?

Kompletna ze mnie idiotka! Jak ochronię teraz jego i siebie?

- Jego rodzina też pochodzi z El Cíbao - mówię, ostrożnie dobierając słowa. - Wiem, że syn wyklada na uniwersytecie.

Jego wzrok oddala się coraz bardziej. W tajnym laboratorium swego umysłu El Jefe destyluje znaczenie zasłyszanych słów. Widzi, że się motam.

- Więc zna go pani?

- Nie, osobiście nie - mówię cichym głosem i od razu wstydę się za te słowa. Widzę teraz, jak łatwo to się dzieje. Poddajesz się w małych rzeczach i zaraz już służysz temu rządowi, maszerujesz w jego paradach, śpisz w jego łóżku.

El Jefe się odpręża.

- Nie jest dla pani odpowiednim towarzystwem. On i inni zamienili campus w obóz propagandowy. Właściwie zastanawiam się nad zamknięciem uniwersytetu.

- *Ay*, El Jefe, nie - błagam go. - Mamy najstarszy uniwersytet w Nowym Świecie. To byłby taki cios dla kraju!

Wydaje się zdziwiony moją gwałtowną reakcją. Patrzy na mnie przeciągle, a potem znów się uśmiecha.

- Być może pozostanie otwarty, jeśli to miałyby panią do nas przyciągnąć.

A potem robi to dosłownie - przyciąga mnie do siebie, tak blisko, że czuję twardość w okolicach jego krocza przyciśniętego do mojej sukienki.

Odsuwam go delikatnie, tak by rozluźnił uścisk, ale on przybliży mnie do siebie jeszcze bardziej. Czuję, jak krew buzuje mi w żyłach, wzbiera we mnie gniew. Odpycham go nieco bardziej stanowczo, a on znów agresywnie przyciska mnie do swojego ciała. W końcu wrywam się na tyle energicznie, że musi mnie puścić.

- O co chodzi? - pyta oburzonym tonem.
- O pańskie medale - skarżę się, wskazując na szarfę przewieszoną przez jego pierś. - Ranią mnie.

Za późno, zapomniałam o jego przywiązaniu do tych chapitas.

Wbija we mnie wzrok, a potem zdejmuje szarfę przez głowę i kładzie ją na otwartej dłoni. Pomocnik zabiera ją szybko, z nabożnym szacunkiem. El Jefe uśmiecha się cynicznie.

- Przeszkadza pani może coś jeszcze w moim stroju? Chętnie to zdejmę.

Szarpie mnie za nadgarstek, wulgarnie nacierając na mnie kroczem, a ja widzę swoją rękę wznoszącą się - w zwolnionym tempie i zupełnie poza kontrolą umysłu - a następnie opadającą na zdziwioną, wypomadowaną i umalowaną twarz.

A wtedy gwałtowna ulewa spada na nas ścianą deszczu. Wiatr zrywa ze stołów obrusy, roztrzaskując o ziemię to, co na nich leży. Świece gasną. Słychać piski zaskoczonych gości. Kobiety trzymają nad głowami swoje wysadzone koralikami torebki, starając się osłonić walące się konstrukcje fryzur.

Po chwili do stolika przyskakuje Manuel de Moya, dając wytyczne strażnikom, żeby eskortowali Trujillo do środka. Obsługa rozciąga nad nami plandekę.

- *Qué cosa*, El Jefe - lamentuje don Manuel, jakby to on był winny kaprysom natury.

Trujillo nie spuszcza ze mnie wzroku, podczas gdy pomocnicy poprawiają spływający z jego twarzy puder. Zirytowany odtrąca ich ręce. Przygotowuję się na to, że zaraz wyda rozkaz: „Zabierzcie ją do La Fortaleza”. Czuję osobliwą mieszaninę strachu i podekscytowania na myśl o tym, że zobaczę Lía, o ile oczywiście on też został zatrzymany.

El Jefe ma jednak wobec mnie inne plany.

- Niepokorna ta mała *cibaena**! - Uśmiecha się znacząco, pocierając policzek, po czym odwraca się do don Manuela. - Tak, tak,

przejdziemy do środka.

* *Cibaena* (hiszp.) - mieszkanka El Cibao.

Trujillo okrążają jego goryle, a ja biorę nogi za pas, żeby umknąć przed deszczem, przedzierając się przez morze gości wlewające się do wnętrza domu. Dostrzegam Dedé i Patrię, które rozglądają się we wszystkich kierunkach jak wartownik na bocianim gnieździe.

- Jedziemy - komenderuje Patria, chwytając mnie za ramię. - Jaimito czeka w samochodzie.

- Nie podoba mi się to ani trochę - mówi papa, kręcąc głową. - Nie powinniśmy wychodzić bez zgody El Jefe.

- Jego zamiary są zbyt oczywiste, papo. - Pod nieobecność mamy to Patria, jako najstarsza z nas, ma najwięcej do powiedzenia. - Zostając tutaj, narażamy Minervę.

Pedrito patrzy w górę na ulatujące lampiony.

- Przyjęcie i tak się kończy, don Enriquer. Ten deszcz to doskonała wymówka.

Papa wzrusza ramionami.

- Wy, młodzi, wiecie, co robicie.

Podbiegamy do zadaszonego wejścia, mijając stół, na którym ostała się jeszcze karawela. Nikomu nie będzie jej brakowało, myślę, chowając stateczek w fałdach spódnicy. I wtedy sobie przypominam.

- *Ay*, Patrio, moja torebka. Zostawiłam ją na stole.

Biegniemy po nią z powrotem, ale nasze poszukiwania nie przynoszą rezultatu.

- Pewnie ktoś już ją zabrał do środka. Odeślą ci ją. Z domu El Jefe nic nie zginie - przypomina Patria. Karawela zaczyna ciążyć mi w ręku.

Gdy znów dobiegamy do wejścia, ford stoi przy bramie z włączonym silnikiem, a pozostali czekają już w środku. Wyjeżdżamy na autostradę, gdzie z rosnącym strachem przypominam sobie moment, w którym wymierzyłam Trujilio policzek. Nikt o tym nie wspomniał, więc zapewne nikt niczego nie widział. Biorąc pod uwagę, jak bardzo są już zdenerwowani, postanawiam nie dokładać im zmartwień i nie dzielić się tą historią. A żeby zająć myśli czymś innym, przeglądam w

pamięci zawartość swojej torebki, usiłując ustalić, co dokładnie straciłam: stary portfel z paroma pesos, moją *cédula*, co będę musiała zgłosić, kupioną w domu towarowym El Gallo jasnoczerwoną pomadkę Revlon, подарowaną mi przez Lía małą puszkę po kremie Nivea z prochami męczenników z Luperón, którzy zginęli bynajmniej nie na morzu.

Nagle uświadamiam sobie, co jeszcze się tam znajduje - włożone do kieszonki w podszewce listy od Lía.

Całą drogę do domu czytam je w myślach, podkreślając najbardziej obciążające fragmenty, jakbym była oficerem wywiadu. Siostry po moich obu stronach chrapią w najlepsze. Kiedy opieram się o Patrię, pragnąc ulgi snu, moja noga natrafia na coś twardego. Zapala się we mnie iskra nadziei, że może ostatecznie torebka nie zginęła. Sięgam w dół, lecz znajduję tylko małą karawelę zatopioną w fałdach mojej wilgotnej sukienki.

Kłątwa deszczu

Deszcz pada cały ranek, bębni w okiennice, zagłusza odgłosy wewnątrz domu. Zostaję w łóżku, nie chcąc wstawać i stawiać czoła posępnemu dniowi.

Samochód z chlupotem wjeżdża na podjazd. Z salonu słychać zagniewane głosy. Gubernator de la Maza właśnie wraca z przyjęcia. Nasza nieobecność została odnotowana, a opuszczanie jakiegokolwiek zgromadzenia, nim zrobi to Trujillo, jest oczywiście niezgodne z prawem. El Jefe był wściekły i przetrzymał wszystkich do rana - być może po to, by podkreślić naszą nieobecność.

Co robić? Słyszę ich zaaferowane głosy. Papa odjeżdża z gubernatorem, żeby wysłać do El Jefe telegram z przeprosinami. W tym czasie ojciec Jaimita dzwoni do wpływowego przyjaciela, próbując się dowiedzieć, jak można ugasić ten pożar. Pedrito składa wizytę teściom don Petána, jednego z braci Trujillo, którzy są przyjaciółmi jego rodziny. Innymi słowy, chwytny się wszelkich sposobów.

Jedynie, co możemy teraz zrobić, to czekać, słuchając, jak deszcz

pada na dach domu.

Kiedy papa wraca, wygląda o jakieś dziesięć lat starzej. Nie możemy go zmusić, żeby usiadł albo chociaż opowiedział, co właściwie się stało. Cały dzień niespokojnie chodzi po domu, pouczając nas, co powinniśmy zrobić, jeśli go zabiorą. Gdy upływają godziny, a *guardias* nie pojawiają się w drzwiach, uspokaja się odrobinę, zjada trochę swoich ulubionych parówek wieprzowych, pije więcej, niż powinien, i o zmroku wyczerpany kładzie się do łóżka. Mama i ja czuwamy. Za każdym razem, kiedy grzmi, podskakujemy, jakby żołnierze otworzyli ogień w stronę domu.

Następnego dnia, wczesnym rankiem papa wychodzi sprawdzić, jakie szkody w uprawie kakaowców poczyniła ostatnia burza, a tymczasem dwóch żołnierzy podjeżdża jeepem pod dom. Gubernator de la Maza chce natychmiast widzieć papę i mnie.

- Ją też? - Mama wskazuje w moją stronę. - Dlaczego?

Oficer wzrusza ramionami.

- Jeśli ona jedzie, to ja też - oznajmia mama, ale żołnierz już odwrócił się do niej plecami.

W pałacu gubernatora oczekuje nas don Antonio de la Maza, wysoki, przystojny mężczyzna o zmartwionym wyrazie twarzy. Otrzymał rozkazy, żeby wysłać papę do stolicy na przesłuchanie.

- Chciałem przeprowadzić je tutaj - rozkłada dłonie - ale rozkazy przyszły z samej góry.

Papa w zamyśleniu kiwa głową. Nigdy nie widziałam go tak wystraszonego.

- My... wysłaliśmy telegram.

- Jeśli on pójdzie, to ja też - oświadcza mama, naprężając całą swoją okazałą sylwetkę.

Tego ranka *guardias* ostatecznie musieli pozwolić jej pojechać. Stała na podjeździe, odmawiając zejścia z drogi.

Don Antonio bierze mamę pod rękę.

- Będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli podporządkujemy się

rozkazom. Prawda, don Enrique?

Papa wygląda tak, jakby miał się zgodzić na wszystko.

- Tak, tak, oczywiście. Zostań tutaj i zajmij się domem.

Obejmuje mamę, która rozkleja się, łkając w jego ramionach. To tak, jakby długie lata wstrzymywania się od łez właśnie dobiegły końca.

Kiedy przychodzi moja kolej, całuję papę na pożegnanie, czego nie robiłam od czasu oziębienia naszych stosunków.

- Opiekuj się matką, słyszysz? - szepcze mi do ucha i dodaje jednym tchem: - Chcę, żebyś dostarczyła pieniądze naszemu klientowi w San Francisco. - Spogląda na mnie porozumiewawczo. - Należy się pięćdziesiąt pesos na początku i na końcu miesiąca, aż do mojego powrotu.

- Wróci pan, zanim się pan zorientuje, don Enrique - zapewnia go gubernator.

Spoglądam na mamę, żeby sprawdzić, czy cokolwiek podejrzewa. Ona jednak jest zbyt przygnębiona, by zwracać uwagę na transakcje finansowe papy.

- Jeszcze coś - zwraca się papa do gubernatora. - Dlaczego wezwał pan też moją córkę?

- Nie ma się czym martwić, don Enrique. Chcę tylko uciąć sobie z nią krótką pogawędkę.

- Więc mogę powierzyć ją pańskiej opiece? - pyta papa, patrząc gubernatorowi prosto w oczy. Mężczyzna nie rzuca słów na wiatr.

- Jak najbardziej. Biorę na siebie odpowiedzialność.

Don Antonio daje *guardias* sygnał skinieniem głowy. Audiencja skończona. Papa zostaje wyprowadzony z pokoju. Słuchamy ich kroków w korytarzu, póki nie zagłuszy ich dochodzący z zewnątrz szum ulewnego deszczu.

Mama patrzy na don Antonia jak zwierzę gotowe do ataku, gdy jego młode jest zagrożone. Gubernator siada na skraju biurka i posyła mi przyjazny uśmiech. Spotkaliśmy się parę razy na okolicznościowych imprezach, wliczając w to oczywiście kilka ostatnich bankietów.

- *Señorita* Minerva - zwraca się do mnie, prowadząc nas w stronę krzeseł, które właśnie podsunął strażnik - wierzę, że może pani pomóc swojemu ojcu.

- *Desgraciado!* - powtarza w kółko mama. Nigdy nie słyszałam, by takie słowa wychodziły z jej ust. - Skurwysyn! I on nazywa siebie człowiekiem honoru!

Próbuję ją uspokoić. Ale przyznam, że lubię, gdy ma w sobie tyle ikry.

Jeździmy po zalanym deszczem San Francisco, załatwiając ostatnie sprawy, zanim pojedziemy do stolicy, żeby złożyć petycję o zwolnienie papy. Podwożę mamę pod *clínica*, gdzie wysiada, by kupić mu zapas leków, a sama kieruję się do *barrio**.

* *Barrio* (hiszp.) - sąsiedztwo.

Ale turkusowy domek z białymi wykończeniami nie stoi tam, gdzie stał. Zdesperowana rozglądam się na wszystkie strony, gdy nagle natrafiam wzrokiem na najstarszą dziewczynkę, która brodzi w ulicznych kałużach, trzymając nad głową kawałek kory palmowej. Widok jej mokrej, podartej sukienki sprawia, że moje serce też rozdziera się na strzępy. Najwyraźniej została posłana po sprawunki, bo w wolnej dłoni trzyma torebkę dziewczynki z biednego domu - zawiązany na węzeł gałgan. Kiedy naciskam klakson, zatrzymuje się, strwożona. Prawdopodobnie przypomina sobie, jak trąbiąc wściekle, staranowałam samochód naszego ojca.

Gestem zapraszam ją do środka.

- Próbuję znaleźć twoją matkę - mówię, kiedy wdrapuje się na siedzenie.

Patrzy na mnie, na jej buzi maluje się strach, taki sam, jak parę godzin temu widniał na twarzy papy.

- Którędy? - pytam, wyjeżdżając na ulicę.

- Tędy. - Pokazuje ręką.

- W prawo?

Spogląda na mnie, nie rozumiejąc. Czyli nic rozróżnia kierunków.

Zastanawiam się, czy potrafi czytać.

- Jak się literuje twoje imię, Margarito? - Sprawdzam ją.

Wzrusza ramionami. Notuję w głowie, że kiedy wrócę, muszę zadbać, by te dziewczynki zostały zapisane do szkoły.

Kilka zakrętów i jesteśmy przed turkusowym domkiem. Matka wybiega na ganek, podnosząc kołnierz sukienki, by osłonić szyję przed zacinającym deszczem.

- Czy z don Enrique wszystko w porządku?

Zaczynam wątpić, czy zapewnienia ojca o zerwaniu z tą kobietą były prawdziwe. Przywiązanie, które pojawia się w jej oczach, świadczy o tym, że łączy ich więcej niż tylko pamięć przeszłości.

- Został odwołany w pilnych interesach - mówię ostrzejszym, niż zamierzałam, tonem. I wręczam jej kopertę, dodając już łagodniej: - Masz tu na cały miesiąc.

- Jesteś taka dobra, że o nas myślisz.

- Chcę cię prosić o przysługę - mówię, chociaż nie miałam zamiaru robić tego teraz.

Przygryza wargę, jakby wiedziała, czego ta prośba będzie dotyczyć.

- Carmen María, do usług - mówi cichutko.

Jej córka patrzy na nią z jawnym zdumieniem. Najwyraźniej przywykła do o wiele sroższego oblicza swojej matki.

- Te dziewczęta nie chodzą do szkoły, prawda?

Kręci głową.

- Mogę je zapisać po powrocie?

Na jej twarzy pojawia się ulga.

- Rób, jak uważasz - mówi.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że bez wykształcenia my, kobiety, mamy jeszcze gorsze perspektywy.

Myślę o swoich własnych udaremnionych planach. Elsa i Sinita, które właśnie zaczynają trzeci rok studiów, już teraz otrzymują oferty od najlepszych przedsiębiorstw.

- Masz rację, *señorita*. Spójrz na mnie: nigdy nie dostałam szansy. - Otwiera puste dłonie, a potem, patrząc na swoją najstarszą

córkę, dodaje: - Chcę czegoś lepszego dla moich dziewczynek.

Biorę ją za rękę, a później, wiedziona naturalnym odruchem, robię coś jeszcze. Przytulałam ją, tak jak przez cały ostatni miesiąc nie przytulałam papy.

Na szczęście na czas naszej podróży do stolicy deszcz ustaje. Dotarłszy na miejsce, zatrzymujemy się przy każdym z trzech hoteli, których nazwy wypisał nam na kartce don Antonio de la Maza. Jeśli nie wysunięto żadnego oficjalnego zarzutu, papa nie jest przetrzymywany w więzieniu, a jedynie w areszcie domowym w jednym z tych właśnie hoteli. Gdy w ostatnim z nich, Presidente, słyszymy, że nie przyjęto żadnego Enrique Mirabala, mama wygląda, jakby miała się rozpłakać. Jest późno i gabinety pałacu są już zamknięte, decydujemy się więc wynająć pokój na tę noc.

- Mamy specjalną zniżkę na tygodniowy pobyt - zachęca chudy mężczyzna o pociągłej, smutnej twarzy.

Spoglądam na mamę, żeby poznać jej opinię, ale ona, jak zwykle w miejscach publicznych, nie wyraża jej ani słowem. Właściwie tego popołudnia, kiedy przyjechał don Antonio, pierwszy raz widziałam mamę, która staje w swojej obronie, a właściwie w obronie mojej i papy.

- Nie wiemy, czy zostaniemy tu cały tydzień - mówię mu. - Nie jesteśmy pewne, czy mojemu ojcu postawiono zarzuty.

Patrzy na mnie, potem na moją matkę, a potem znów na mnie.

- Proszę skorzystać z tej oferty - sugeruje cichym głosem. - Zwrócę różnicę, jeśli zostaną panie krócej.

Najwidoczniej młody recepcjonista wie, że te sprawy nigdy nie rozwiązują się szybko. Zgodnie z jego wskazówkami wypełniam formularz rejestracyjny, mocno przyciskając długopis. Wyjaśnił, że pismo musi przebić się przez wszystkie cztery kopie. Jedna jest dla policji, druga dla Kontroli Wewnętrznej, trzecia dla WSW - Wojskowych Służb Wywiadowczych. Mężczyzna nie jest pewny, dokąd trafia ostatnia kopia.

Przez cały ten piekielny dzień przechodzimy z jednego gabinetu Komendy Głównej Policji do drugiego. Wynagradzają nam to tylko jednostajne uderzenia deszczu o dach - brzmi to tak, jakby stary Hurakan smagał budynek za wszystkie zbrodnie, które tu popełniono.

W końcu trafiamy do Biura Osób Zaginionych, żeby zgłosić „zniknięcie” Enrique Mirabala. Panuje tu tłok. Większość ludzi przybyła kilka godzin przed otwarciem, by zarezerwować sobie miejsce w kolejce. Cały długi dzień przysłuchuję się kolejnym sprawom przedstawianym przy biurku przesłuchań. To wystarczy, żeby mnie zdenerwować. Od czasu do czasu stoję przy oknie i przemywam twarz deszczówką. Ale ten rodzaj bólu głowy nie przechodzi tak po prostu.

U schyłku dnia jesteśmy w końcu pierwsi w kolejce. Przed nami załatwia sprawę starszy mężczyzna zgłaszający zaginięcie jednego z trzynastu swoich synów. Pomagam mu wypełnić formularz, ponieważ, jak tłumaczy, nie zna się na literach.

- Jest pan ojcem trzynastu synów? - pytam z niedowierzaniem.
- *Sí, señora* - potakuje z dumą stary człowiek.

Ledwo się powstrzymuję, żeby nie zadać mu pytania, które mam na końcu języka: „Z ilu różnych matek?”. Ale w obliczu jego nie-szczęścia wszystko inne wydaje się błędne. Docieramy do części, w której ma wymienić wszystkie swoje dzieci.

- Jakie jest imię najstarszego? - pytam, unosząc długopis.

- Pablo Antonio Almonte.

Zapisuję pełne imię i wtedy coś mnie uderza.

- Przecież tak ma na imię zaginiony syn. Czy nie mówił pan, że jest trzeci w kolejności?

Stary człowiek odpowiada półgłosem, że chcąc przechytryć reżim, nadał wszystkim trzynastu synom to samo imię. Jeśli któryś z nich zostanie złapany, on może przyrzec, że to nie ten, którego szukają!

Śmieję się z pomysowości tego biednego chłopca, który właśnie znalazł się w potrzasku. Zaprzęgam do pracy własną pomysowość, wykorzystując imiona, które znam ze swoich lektur, ponieważ nie chcę oczywiście nadawać synom prawdziwych dominikańskich imion i przysporzyć komuś kłopotów. Głównemu oficerowi czytanie ich zabiera sporo czasu.

- Fausto? Dmitri? Pushkin? Co to za imiona?

Zostaję wezwana do pomocy, bo stary mężczyzna nie potrafi przeczytać tego, co napisałam. Kiedy kończę, podejrzliwy oficer wskazuje na mężczyznę, który skwapliwie przytakiwał przy każdym odczytywanym imieniu.

- Proszę je teraz powtórzyć.

- Pamięć nie ta - skarży się - Jest ich za dużo.

Oficer mruży oczy.

- W takim razie jak pan się zwraca do synów?

- *Bueno, oficial* - mówi przebiegły mężczyzna, nerwowo obracając w dłoniach swoje sombrero - do wszystkich mówię „*m'ijo*”.

„Synu” - oto jak się zwraca do każdego z nich.

Uśmiecham się słodko, a oficer z piersią udekorowaną odznaczeniami stroszy piórka. Chce przejść do następnej rozgrywki.

- Zrobimy, co w naszej mocy, *compay** - obiecuje, stemplując formularz i ochoczo inkasując „opłatę” ze zwiniętych pesos.

* *Compay* (hiszp.) - przyjaciel.

Teraz nasza kolej, ale niestety główny oficer ogłasza, że biuro kończy pracę za pięć minut.

- Czekaliśmy tak długo - błagam.
- Ja też czekałem całe swoje życie, żeby panią spotkać, *señorita*.

Zatem proszę nie łamać mi serca i wrócić jutro.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, flirtując. Tym razem nie odpowiadam uśmiechem.

Strzeliłam sobie w stopę, pomagając staremu don Juanowi. Przez to, że poświęciłam tyle czasu jego sprawie, straciliśmy dziś szansę załatwienia swojej.

Mama wzdycha, kiedy mówię jej, że będziemy musiały wrócić jutro.

- *Ay, m'ijita*. Walczyłabyś za każdego, prawda?
- To wszystko jedna walka, mamó.

Wczesnym rankiem następnego dnia budzi nas łomotanie do drzwi pokoju. Czterech uzbrojonych po zęby strażników informuje mnie, że zostanę zabrana do komendy głównej na przesłuchanie. Próbuje uspokoić mamę, ale mnie samej ręce trzęsą się tak bardzo, że nie mogę zapiąć sukienki.

Przy drzwiach mama informuje strażników, że jeśli ja idę, to ona też. Ale ci tutaj są gorzej wychowani od tych z północy. Kiedy wychodzi za mną na zewnątrz, strażnik zagradza jej drogę bagnetem.

- To zbyt cenne - mówię, podnosząc bagnet. Pochylam się i całuję rękę matki. - Mamó, *la bendición** - proszę, tak samo jak w dzieciństwie przed odjazdem do szkoły.

Teraz już mama szlocha.

- *Dios te bendiga*** - Pociąga nosem, a potem przypomina mi: - Uważaj na swój sama-wiesz-co!

* *Bendición* (hiszp.) - błogosławieństwo.

** *Dios te bendiga* (hiszp.) - Niech cię Bóg błogosławi.

Zdaję sobie sprawę, że nie ma już na myśli tylko mojego niewy-
parzonego języka.

Znów jestem w Komendzie Głównej Policji, w gabinecie, do którego
wczoraj nie wchodziłyśmy. Pomieszczenie znajdujące się na naj-
wyższym piętrze jest przestronne i jasne. Musi tu urzędować ktoś
ważny.

Wytworny, siwy mężczyzna podchodzi do mnie zza biurka.

- Witam - mówi, jakby to była wizyta towarzyska.

Przedstawia się: generał Federico Fiallo. A potem wskazuje na
stojącego za mną człowieka, którego nie zauważyłam, wchodząc. Nie
wiem, jak mogłam nie dostrzec kogoś takiego. Ten przysadzisty mulat
wyglądem przypomina ropuchę. W jego ciemnych okularach o
lustrzanej powierzchni widzę własną przestraszoną twarz.

- Don Anselmo Paulino - przedstawia go generał.

Każdy słyszał o Magicznym Oku - człowieku, który w walce na
noże stracił jedno oko, ale tym drugim w magiczny sposób dostrzega
rzeczy niewidoczne dla innych. Kilka lat temu Trujillo uczynił go
swoją prawą ręką, jako że chętnie wykonuje „ochroniarską” robotę.

Pusty żołądek podchodzi mi do gardła. Biorę się w garść, przy-
pominając sobie po kolei wszystkie cierpiące twarze tych, których
widziałam wczoraj na dole.

- Czego ode mnie chcecie?

Generał uśmiecha się życzliwie.

- Każę pani stać, *señorita* - mówi przepraszająco, ignorując py-
tanie. Uprzejmość znika w momencie, gdy pstryka palcami i szorstko
strofuje *guardias* za to, że nie wystawili krzeseł dla jego gości. Kiedy
już ropucha i ja siedzimy, generał odwraca się do swojego biurka. -
Proszę traktować mnie jak swojego obrońcę. Młode damy są kwiatem
naszego narodu.

Otwiera przed sobą teczkę. Z miejsca, gdzie siedzę, dostrzegam
różowy hotelowy formularz rejestracyjny. Potem kilka kartek papieru,
w których rozpoznaję listy od Lía z mojej torebki.

- Jestem tu, by zadać pani kilka pytań w związku z młodym

mężczyzną, którego, jak wierzę, pani zna. - Patrzy mi prosto w oczy. - Chodzi o Virgilia Moralesa.

Postanawiam zaryzykować i powiedzieć prawdę, chociaż wcześniej nie czułam się na to gotowa.

- Tak, znam Virgilia Moralesa.

Magiczne Oko siedzi na brzegu krzesła, na jego szyi ukazują się żyły.

- Skłamałaś El Jefe - odzywa się. - Twierdziłaś, że go nie znasz. Zaprzeczysz?

- Zaraz, zaraz, don Anselmo - łagodni starszy generał. - Nie chcemy przecież przestraszyć młodej damy.

Ale Magiczne Oko nie zauważa tak subtelnych różnic.

- Odpowiedz mi - rozkazuje.

Zapala cygaro. Dym wydobywa się z jego nozdrzy jak ciemny krwotok z nosa.

- Tak, zaprzeczyłam, że go znam. Nie chciałam - znów ostrożnie dobieram słowa - zrobić przykrości El Jefe.

Namiastka przeprosin. Na nic więcej nie mogą liczyć.

Generał Fiallo i Paulino wymieniają znaczące spojrzenia. Zastanawiam się, jak może dojść do jakiegokolwiek porozumienia między tym lękliwym wzrokiem a spojrzeniem ukrytym za ciemnymi okularami.

Generał wyjmuje z teczki jedną z kartek i wpatruje się w nią.

- Jaki charakter ma pani znajomość z Virgiliem Moralem, *señorita* Minerva?

- Jesteśmy przyjaciółmi.

- No, no - rzuca karcąco, jakbym była upartym dzieckiem. - To są listy miłosne.

Podnosi stertę papierów. *Dios mio*, czy w tym kraju wszyscy, poza mną samą, czytali moją korespondencję?

- Musi mi pan uwierzyć, byliśmy tylko przyjaciółmi. Gdybym się w nim zakochała, opuściłabym kraj, jak o to prosił.

- Prawda - przyznaje generał.

Spoogląda na Magiczne Oko, który gasi cygaro o podeszwę buta, a

następnie wkracza do akcji.

- Czy nie byłaś świadoma, *señorita* Minerva, że Virgilio Morales jest wrogiem stanu?

Wkłada z powrotem do ust wygaste cygaro.

- Nie zaangażowałam się w żadną spiskową działalność, jeśli o to chodzi. Był tylko przyjacielem, jak powiedziałam.

- I nie masz z nim teraz kontaktu? - kontynuuje przesłuchanie Magiczne Oko.

Zbulwersowany generał podnosi brew. Ostatecznie to jego przestronny gabinet, jego najwyższe piętro, jego ładna więźniarka.

Prawda jest taka, że napisałam do Lía, kiedy znalazłam jego listy, ale Mario nie mógł dostarczyć mojej wiadomości, bo po dziś dzień nikt nie wie, gdzie Lío przebywa.

- Nie, nie mam kontaktu z Virgiliem Moralesem - adresuję tę wypowiedź do generała, mimo że pytanie padło z ust Magicznego Oka.

- To chciałem usłyszeć - oznajmia generał, po czym zwraca się do kolegi: - Mam jeszcze jedną drobną sprawę do przedyskutowania z panią, don Anselmo. Niezwiązaną z bezpieczeństwem.

Generał uśmiecha się uprzejmie, gdy go odprawia. Magiczne Oko przez sekundę patrzy na generała zza swoich ciemnych okularów, po czym wstaje i wycofuje się w kierunku drzwi. Uświadamiam sobie, że ani razu nie odwrócił się do nas plecami.

Generał Fiallo zaczyna teraz rozprawiać o czasach, gdy odbywał służbę na posterunku w El Cibao, o pięknie tego regionu, o urokliwej katedrze na rynku. Zastanawiam się, dokąd to wszystko zmierza, kiedy otwierają się drzwi znajdujące się naprzeciw tych, którymi weszliśmy. Pojawia się w nich Manuel de Moya, wysoki i elegancki, noszący fular niczym księżę Walii.

- Dzień dobry, dzień dobry - mówi radośnie sekretarz stanu, jakbyśmy wszyscy właśnie wybierali się na safari. - Jak leci? - Zaciera ręce. - Don Federico, jak się miewasz?

Przez chwilę trwa wymiana uprzejmości, a potem don Manuel spogląda na mnie z aprobatą.

- Zatrzymałem Paulina, gdy wychodził, i zamieniłem z nim słowo na korytarzu. Wygląda na to, że *señorita* Minerva była chętna do współpracy. Tak się cieszę - zwraca się do mnie serdecznie. - Nie znoszę widoku dam w opałach.

- Musi być panu z tym ciężko - zauważam.

Nie wyczuwa sarkazmu w moim głosie.

- Więc myślała pani, że uczyni El Jefe przykrość, przyznając się do przyjaźni z Virgilem Moralesem?

Kiwam głową.

- Jestem pewny, że nasz Dobroczyńca niezmiernie by się ucieszył, słysząc, że jego zadowolenie leży pani na sercu.

Czekam. Znając tych ludzi, spodziewam się, że to jeszcze nie wszystko z ich strony.

- Rozumiem, że don Antonio już z panią rozmawiał?

- Tak, rozmawiał - odpowiadam.

- Mam nadzieję, że przemyśli pani ponownie jego propozycję. Generał Fiallo z pewnością zgodziłby się ze mną - generał Fiallo kiwnął głową, jeszcze zanim uczyniono jakąkolwiek wzmiankę o tym, na co się zgadza - że prywatne spotkanie z El Jefe byłoby najszybszym i najefektywniejszym sposobem wyjaśnienia całego tego nieporozumienia.

- *Si, si, si* - zgadza się generał Fiallo.

- Chciałbym dziś wieczorem zaprowadzić panią na osobistą wizytę do jego apartamentu w El Jaragua - ciągnie sekretarz. - Pominąć całą tę biurokrację.

Czyni gest w kierunku generała, który uśmiecha się idiotycznie w odpowiedzi na afront. Wbijam wzrok w Manuela de Moyę, jakbym chciała przygwoździć go do ściany.

- Prędzej wyskoczę przez okno, niż dam się zmusić do zrobienia czegoś, co splamiłoby mój honor.

Don Manuel wsuwa rękę do kieszeni i przemierza pokój.

- Staralem się, jak mogłem, *señorita*. Ale potrzebuję odrobiny chęci do współpracy. Nie może wszystko być tak, jak pani sobie życzy.

- Jestem gotowa przyznać się do swojego niewłaściwego postępowania osobiście przed El Jefe - godzę się ku zdziwieniu sekretarza - ale z pewnością nie ma przeciwwskazań, bym zabrała ze sobą rodziców, jeśli zechcą ponieść ze mną konsekwencje mojego błędu.

Manuel de Moya kręci głową.

- Minervo Mirabal, jest pani kobietą skomplikowaną jak... jak... -
Wyrzuca ręce w powietrze, nie potrafiąc dokończyć porównania.

Z pomocą przychodzi mu generał:

- Jak El Jefe jest mężczyzną.

Obaj patrzą na siebie, rozważając coś z widocznym trudem.

Skoro nie chcę mu się oddać, Trujillo może nas przyjąć dopiero za trzy tygodnie. O ile dobrze rozumujemy, jesteśmy z mamą aresztowane, ponieważ nie wolno nam opuścić hotelu i poczekać w domu. Pedrito i Jaimito byli tu z tuzin razy, to składając petycję, to odwiedzając wpływowego przyjaciela. Dedé i Patria przyjeżdżają na zmianę, by dotrzymywać nam towarzystwa i przynosić posiłki.

Kiedy wreszcie nadchodzi wyznaczony dzień spotkania, pojawia się w pałacu wcześniej, żeby zobaczyć się z papą, którego właśnie zwolniono. Przedstawia sobą żałosny widok. Twarz ma wychudzoną, głos drżący, niegdyś szykowna guayabera jest zabrudzona i wisi na nim, za duża o kilka rozmiarów. Wszyscy troje padamy sobie w objęcia. Ma kościste ramiona.

- Jak cię traktowali? - pytamy.

Spojrzenie papy jest dziwnie nieobecne.

- Tak, jak można się było spodziewać - mówi. Zauważam, że nie patrzy nam w oczy, kiedy odpowiada.

Dedé i Patrii udało się wcześniej dociec, że papa był w więziennym szpitalu. Diagnoza jest „poufna”, lecz dotąd wszyscy przypuszczaliśmy, że odezwały się jego wrzody. Teraz dowiedzieliśmy się od papy, że w środę po aresztowaniu dostał w celi ataku serca, ale aż do poniedziałku nie pozwolono mu zobaczyć się z lekarzem.

- Czuję się o wiele lepiej. - Kiedy to mówi, chudymi dłońmi

marszczy fałdy spodni. - O wiele, wiele lepiej. Mam tylko nadzieję, że muzyka nie zepsuła juk, kiedy mnie nie było.

Spoglądamy na siebie, a potem na papę.

- Jak to, Enrique? - pyta mama łagodnie.

- Za każdym razem, kiedy odbywa się przyjęcie, połowa roślin gnije w ziemi. Musimy przestać karmić wieprze. To wszystko ludzkie zęby.

Mogę tylko udawać, że to, co mówi papa, ma sens. Ale mama sprowadza go na ziemię, otaczając czułością.

- Wieprze chowają się bardzo dobrze na owocach palmy, a juki nie hodowaliśmy, od kiedy ta tutaj była małą dziewczynką. Pamiętasz, Enrique, jak podczas żniw nie spaliśmy do rana?

W oczach papy pojawiają się przebłyски pamięci.

- Pierwszego roku chciałaś mi się spodobać, więc włożyłaś ładną sukienkę i poszłaś tak na pola. Zanim skończyliśmy, wyglądała jak parciany worek na juki! - Patrzy prosto na nią i uśmiecha się.

Mama odpowiada uśmiechem, w jej oczach błyszczą łzy. Odnajduje palcami jego dłoń i ściska ją mocno, jakby prowadziła papę od chwili, gdy go straciła, do wcześniejszych lat.

Gdy wchodzimy, El Jefe nie zadaje sobie trudu, żeby podnieść głowę. Z pomocą kilku wystraszonych asystentów brnie przez stos papierów, wodząc dłońmi o pomalowanych paznokciach za słowami, które są mu czytane na głos. Późno nauczył się rozpoznawać litery, oto cała zagadka. Ponieważ odmawia czytania czegokolwiek, co ma więcej niż stronę, w sąsiednich gabinetach zatrudnieni są urzędnicy, którzy zapoznają się z raportami, a następnie skracają ich treść do najistotniejszych paragrafów.

Za nim na ścianie widnieje sławne motto: „MOIMI NAJLEPSZYMI PRZYJACIÓŁMI SĄ MĘŻCZYŹNI, KTÓRZY PRACUJĄ”. „A co z kobietami, które z tobą spiąją?” - pytam w myślach.

Manuel de Moya wskazuje nam nasze miejsca naprzeciwko wielkiego mahoniowego biurka. Biurka zorganizowanego człowieka,

gdzie wszystko jest ułożone w schludne sterty, a przy jednej krawędzi, tuż za listwą z przypisanymi im brzęczykami, w szeregu stoi kilka telefonów. Na ścianie tykają wiszące obok siebie zegary. Trujillo musi śledzić godzinę w kilku krajach jednocześnie. Dokładnie naprzeciw mnie stoją szale, takie jak te, które trzyma Sprawiedliwość, a na każdej tacce leży zestaw kości do gry.

Trujillo gryzmoli ostatni podpis, ruchem ręki wyprasza asystentów z pokoju i odwraca się do sekretarza stanu. Don Manuel otwiera skórzaną teczkę i odczytuje El Jefe list z przeprosinami podpisany przez całą rodzinę Mirabalów.

- Widzę, że *señorita* Minerva złożyła swój podpis - zauważa, jakby mnie tu nie było. Odczytuje nazwisko mamy i pyta, czy jest krewną Chiciego Reyesa.

- Chiche jest moim wujkiem! - wykrzykuje mama. Ti'o Chiche zawsze chwalił się tym, że zna Trujillo z czasów młodości, gdy razem służyli w wojsku. - On pana uwielbia, El Jefe. Zawsze powtarza, że nawet wtedy był pan urodzonym przywódcą.

- Mam wiele ciepłych uczuć dla don Chiciego - mówi Trujillo, przyjmując hołdy z jawnym zadowoleniem. Podnosi zestaw kości z tacki, zaburzając równowagę szal. - Przypuszczam, że nie opowiadał wam ich historii?

Mama uśmiecha się wyrozumiale. Nigdy nie pochwałała hazardu, który tak kocha „ten cały Chiche”.

- Chiche za dużo oszukuje - wypala papa. - Nie grywam z nim.

Spojrzenie mamy przewierca go na wylot. Udało jej się złapać nasze jedyne koło ratunkowe na tym wzburzonym morzu, a papa własnoręcznie odciął od niego linę.

- Zakładam, że lubisz hazard, don Enrique? - zwraca się chłodno do papy Trujillo.

Ten zerka na mamę, bojąc się przyznać w jej obecności.

- Wiem, że go lubisz - przekomarza się mama. Odwraca uwagę El Jefe, udając, że naszym prawdziwym kłopotem jest jej niesforny mąż.

Trujillo wraca do kości w swoich dłoniach.

- Ten Chiche! Ukradł fragment kości z krypty Kolumba i kazał je dla mnie wykonać, kiedy zostałem mianowany dowódcą sił zbrojnych.

Mama udaje, że jest pod wrażeniem, ale tak naprawdę nigdy specjalnie nie lubiła przysparzającego kłopotów wuja: każdego miesiąca bójka na noże albo kłopoty finansowe, albo kłopoty z żoną, albo kłopoty z kochanką, albo po prostu kłopoty.

Trujillo odkłada kości z powrotem na pustą tackę. To wtedy zauważam, że dwie strony się nie równoważą. Oczywiście mój bez nadziejny wujek dał swojemu kumpłowi dociążone kości.

- To wszystko ludzkie zęby - mruczy papa. Z przerażoną miną wpatruje się w małe sześciany wykonane z ludzkiej kości.

Mama patrzy na męża, kręcąc głową.

- Proszę mu wybaczyć, El Jefe. Nie ma się dobrze. - Jej oczy napęlniają się łzami, dotyka ich chustką, którą cały czas obraca w dłoni.

- Don Enrique wydobrzeje, jak tylko spędzi kilka dni w domu - mówi Trujillo. - Ale niech to będzie nauką dla was wszystkich. - Odwraca się do mnie. Przymilny uśmiech z bankietu zniknął. - Zwłaszcza dla pani, *señorita*. Prosiłem gubernatora de la Mazę, żeby raz w tygodniu zgłaszała się pani do niego w San Francisco.

Zanim zdążę odpowiedzieć, wtrąca się mama:

- Pragnieniem mojej córki jest tylko być dobrą, lojalną obywatelką.

El Jefe spogląda na mnie, czekając na deklarację. Postanawiam mówić o tym, czego naprawdę chcę.

- El Jefe, czy pamięta pan, o czym mówiliśmy podczas tańca?

Czuję na sobie spojrzenie mamy.

Duma El Jefe jest urażona.

- Mówiliśmy o wielu rzeczach.

- Mam na myśli swoje marzenie, żeby studiować prawo.

W zadumie gładzi palcami krótkie, szpeceniaste wąsy. Jego wzrok pada na kości. Powoli usta El Jefe wykrzywiają się w chytrym uśmiechu.

- Mam pomysł. Pozwolę pani rzucić kośćmi o ten przywilej. Jeśli pani wygra, pani marzenie się spełni. Jeśli ja wygram, spełni się moje.

Łatwo się domyślić, czego chce. Ale jestem całkiem pewna, że go pokonam, teraz, gdy odkryłam jego sekret.

- Rzucę - mówię drżącym głosem.

Trujillo śmieje się i odwraca do mamy.

- Chyba macie następnego Chiciego w rodzinie.

Szybko sięgam po cięższe kości i potrząsam nimi w dłoni. El Jefe obserwuje wahające się szale, jednak bez mojego zestawu nie może rozpoznać swojej dociążonej pary.

- Śmiało - zachęca, przyglądając mi się z bliska - wyższy wynik wygrywa.

Z całej siły potrząsam kośćmi w dłoni.

Wyrzucam dublet i spoglądam na Trujillo, próbując opanować radość.

Patrzą na mnie swoim zimnym, stalowym wzrokiem.

- Ma pani mocną rękę, zdążyłem się przekonać. - Gładzi policzek, w który uderzyłam, uśmiechając się ostrym jak brzytwa uśmiechem, mającym utrzyć mi nosa. Potem, zamiast użyć kości leżących na drugiej tacy, sięga po zestaw od mojego wujka. Obchodzi się z nimi umiejętnie. Toczą się, znów wypada dublet.

- Albo oboje dostajemy to, czego chcemy, albo na razie jesteśmy kwita - mówi.

- Kwita - odpowiadam, patrząc mu w oczy. - Na razie.

- Podpisz ich zwolnienia - zwraca się do sekretarza. - Pozdrowienia dla don Chiciego - mówi do mamy.

Potem zostajemy ukarani machnięciem ręki.

Patrzą na przechylone szale, kiedy odkłada kości. Przez chwilę wyobrażam sobie, że są dobrze zbalansowane - jego życzenie po jednej stronie, moje po drugiej.

Gdy opuszczamy miasto, pada mżawka, która nim docieramy do Villa Altagracia, zamienia się w regularną ulewę. Zamykamy okna, ale w

samochodzie robi się tak parno i wilgotno, że musimy je znów otworzyć, żeby widzieć, co jest na zewnątrz.

Dedé i Jaimito zostali w stolicy, by kupić towary do swojej nowo otwartej restauracji. Lodziarnia okazała się klapą, tak jak zapowiadała to Dedé, gdy jakiś czas temu rozmawialiśmy sam na sam. Pedrito musiał wrócić wczoraj, żeby zająć się bydłem unieruchomionym na zalanych polach - opiekuje się teraz dwiema farmami: swoją i naszą. Wobec tego jedziemy tylko ja, mama, Patria i oczywiście papa, mamroczący pod nosem na tylnym siedzeniu.

Przy Pino Herrado deszcz pada rześście. Zatrzymujemy się w małej *cantina*, by poczekać, aż osłabnie. Mama nawet nie mrugnie okiem, kiedy papa zamawia kieliszek rumu. Po naszej audiencji u El Jefe jest zbyt zmartwiona, żeby robić mu wyrzuty.

- Prosiłaś się o to, *m'ija* - wypomina mi.

Siedzimy w ciszy, słuchając deszczu padającego na kryty strzechą dach, poddając się dławiącemu, fatalistycznemu, otępiającemu przeczuciu. Zaczęło się coś, czego nikt z nas nie jest w stanie zatrzymać.

W Piedra Blanca deszcz tylko kropi. Przed nami jacyś mężczyźni naprawiają zalany most, więc zatrzymujemy się i zsuwamy szyby, żeby popatrzeć. Podchodzą do nas *marchantas**, by zaoferować swoje towary. Skuszeni smakiem małej, słodkiej pomarańczy, którą podają nam do spróbowania, kupujemy ich cały worek, już obranych i przekrojonych na pół. Później musimy się zatrzymać, żeby obmyć w przydrożnych kałużach lepiące się ręce.

* *Marchantas* (hiszp.) - sprzedawcy, kupcy.

W Bonaó znowu nastaje gwałtowny deszcz i wycieraczki na przedniej szybie nie nadążają usuwać zalewających nas fal wody. Zaczynam się zastanawiać, gdzie spędzimy noc, jeśli wciąż będzie padać tak obficie po zapadnięciu zmroku.

Mijamy La Vegeę, deszcz jest teraz słabszy, ale nic nie wskazuje na to, żeby miał ustąpić. Cały grzbiet kraju jest mokry. Na zachodzie ciemne chmury spowijają szczyty gór aż do Constanzy i unoszą się dalej nad całą Kordylierą, po odległe tereny Haiti.

Mocę zalewa równocześnie deszcz i mrok. Gdy ją mijamy, widzimy zapadające się palmowe dachy, tonące w grząskiej glebie ziarna, przemoczone jakarandy tracące swoje kremowe kwiaty. Kilka kilometrów za Salcedo światła wydobywają z ciemności stare, ociekające wodą drzewo pieprzowe, które utraciło większość owoców. Skręcam na nieutwardzoną drogę, mając nadzieję, że nie utkniemy w błocie, chlapiącym, jak słyszę, o podwozie samochodu.

Tutaj, w Ojo de Agua, też pada. Oko Wody! Nazwa miasta zdaje się znacząca, zważywszy na pogodę. Na północy, w stronę Tamboril i górskiej drogi do Puerto Plata, deszcz obmywa każdą *bohio* i *conuco**, i jeszcze dalsze obszary, nad Atlantykiem, gdzie gubi się w falach, które kołyszają kości męczenników śpiących najgłębszym ze snów. Przejechaliśmy prawie całą długość wyspy i możemy potwierdzić, że każdy jej kraniec jest mokry, każda rzeka występuje z brzegów, każda beczka na deszczówkę pełna aż po krawędź, każda ściana obmyta z napisów, których zresztą i tak nikt nie umie przeczytać.

* *Bohio* (hiszp.) - chatka; *conuco* (hiszp.) - małe gospodarstwo rolne.

ROZDZIAŁ 7

María Teresa

1953-1958

1953

Wtorek rano, 15 grudnia
Fela przepowiada deszcz

Czuję się tak, jakbym sama umierała!

Nie mogę uwierzyć, że przyszła na mszę pogrzebową ze swoimi dziewczynkami, dodając jeszcze kilka policzków do swojego i tak mocnego ciosu. Jedna z nich wygląda, jakby była tylko parę lat młodsza ode mnie, więc tak naprawdę nie można powiedzieć: „Ay, biedny papa, pogubił się na koniec i wszedł za drzewa palmowe”. Zrywał kokosy, kiedy był zdrow, w pełni sił i doskonale wiedział, co robi.

Spytałam Minervę, kto je zaprosił. W odpowiedzi usłyszałam, że one też były córkami papy.

Nie mogę przestać płakać! Przychodzą do nas moi uroczy kuzyni, a ja wyglądam strasznie. Ale nie dbam o to. Naprawdę.

Nienawidzę mężczyzn. Szczerze ich nienawidzę.

Środa wieczór, 16 grudnia

Znów płaczę, przez co niszczę nowy pamiętnik od Minervy.

Trzymała go dla mnie jako prezent na Święto Trzech Króli, ale

zauważyła, jak bardzo byłam zasmucona na pogrzebie papy, i pomyślała, że to mi teraz najbardziej pomoże.

Minerva zawsze mówi, że gdy pisze, z jej serca spada ciężar i czuje się lepiej, ale ja nie jestem pisarką tak jak ona. Poza tym obiecałam sobie, że już nigdy nie będę prowadzić pamiętnika po tym, jak przed laty musiałam pochować swój Pamiętniczek. Jestem jednak wystarczająco zdesperowana, żeby chwycić się każdego sposobu.

Poniedziałek, 21 grudnia

Mam się odrobinę lepiej. Potrafię nie myśleć o papie i całym tym smutku nawet przez kilka minut.

Wigilia

Za każdym razem, gdy patrzę na miejsce papy przy stole, moje oczy napęlniają się łzami. Trudno się w takim stanie spożywa dania wigilijne. Cóż za gorzki koniec roku.

Pierwszy dzień świąt

Wszyscy się staramy. Dzień jest deszczowy, wiatr cały czas wieje wśród kakaowców. Fela mówi, że to zmarły nas woła. Po tym, co śniło mi się ostatniej nocy, jej słowa przyprowadzają mnie o ciarki.

Dopiero co złożyliśmy papę w trumnie na stole, kiedy pod dom podjeżdża limuzyna. Wysiadają z niej moje siostry, łącznie z tą bandą, która mieni się moimi siostrami - wszystkie ubrane jak na przyjęcie weselne. Okazuje się, że to ja biorę ślub, ale nie mam pojęcia, kim jest pan młody.

Biegam po domu, próbując znaleźć swoją ślubną sukienkę, kiedy słyszę, jak mama krzyczy, żebyśmy sprawdziła w trumnie papy!

Słysząc dźwięk klaksonu, więc zdobywam się na odwagę i podnoszę wieko. W środku znajduję piękną satynową suknię - w częściach. Podnoszę jeden rękaw, za nim drugi, potem gorset, a na końcu dolne elementy. Ogarnia mnie wściekłość na myśl o tym, że musimy jeszcze zszyć je wszystkie ze sobą.

Kiedy sięgam już dna, papa się do mnie uśmiecha.

Rzucam wszystkie te części, jakby były skażone, i budzę cały dom krzykami.

(Tak się boję. Zastanawiam się, co to znaczy. Planuję zapytać Felę, ona wie, jak interpretować sny).

Niedziela popołudniu, 27 grudnia

Dzisiaj przypada Święto Jana Ewangelisty, dobry dzień na wróżby. Rano daję Feli swoją filiżankę po kawie. Odwracają i pozwala fusom spłynąć po ściankach, a potem odczytuje znaki.

Ponaglę ją. Czy widzi jakichś nadchodzących *novios*?

Kilka razy obraca filiżankę w dłoni. Wskazuje na miejsce, gdzie plamy zlewają się ze sobą, i mówi, że to para braci. Rumienię się, bo zgaduję, że wie o Bercie i Raúlu. Znowu powoli obraca filiżankę. Mówi, że widzi mężczyznę w służbowym stroju i w kapeluszu. A potem *capitaleno** - wnioskuje ze sposobu, w jaki stoi.

* *Capitaleno* (hiszp.) - mieszkaniec stolicy.

Siedzę jak na szpilkach, uśmiecham się mimo całego smutku, proszę Felę o więcej.

- Będziesz musiała wypić następną filiżankę kawy, *señorita* - mówi, odkładając ją na bok. - Wszyscy twoi adoratorzy nie zmieszczą się w jednej.

Berto i Mate?

Mate i Raúl?

Na zawsze????????????????????

Ojo de Agua, Salcedo

30 grudnia 1953

Dwudziesty trzeci rok Ery Trujillo

Generalissimo Doctor Rafael L. Trujillo
Dobroczyńca naszego kraju

Wielmożny i Ukochany El Jefe,

wiedząc, jak wielkim szacunkiem mój mąż Enrique Mirabal darzył Pańską wielmożną osobę, a teraz poniekąd mniej udręczona nieodwracalną stratą mojego niezapomnianego compañoero, piszę, by poinformować Waszą Ekscelencję o jego śmierci w poniedziałek, czternastego dnia tego miesiąca.

Pragnę wykorzystać te okazje, by zapewnić o niegasnącej lojalności mojego męża wobec Pańskiej osoby i zarazem zaręczyć, że zarówno ja, jak i moje córki będziemy iść w jego ślady jako wierne i oddane obywatelki. Zwłaszcza teraz, w tym mrocznym dla nas momencie, liczymy na Pańskie światło, które poprowadzi nas przez wzburzone morze obecnej sytuacji, a także na wspaniałomyślną ochronę oraz mądrą radę aż do dnia, gdy wydamy ostatnie tchnienie naszej egzystencji.

Z pozdrowieniami od mojego wuja Chiciego, z największym szacunkiem

Mercedes Reyes de Mirabal

Środa późnym popołudniem, 30 grudnia

Wraz z mamą spędziłyśmy większość popołudnia, tworząc szkic listu, który według sugestii wujka Chiciego powinna napisać. Minerva nie było, żeby pomóc. Trzy dni temu pojechała do Jarabacoa. Tio Fello wyciągnął ją z domu tuż po świętach, uznawszy, że jest bardzo chuda i smutna, a górskie powietrze doda jej wigoru. Co do mnie, kiedy jestem przygnębiona, po prostu jem, wyglądam zatem, wedle słów wujka Fella, jak okaz zdrowia.

Nie żeby Minerva mogła okazać się pomocna. Nie jest tak dobra w

kwiecistym wyrażaniu uczuć jak ja. W październiku musiała wygłosić mowę na cześć El Jefe w ratuszu Salcedo. Zgadnij, kto ją za nią napisał? Podziałało, i to jak. Nagle dostała pozwolenie na studiowanie prawa. Od czasu do czasu Trujillo trzeba kadzić, to dlatego wujek Chiche zasugerował, że ten list może pomóc.

Jutro ładnie go przepiszę, a potem mama złoży podpis, taki, jak ją nauczyłam.

Zachód słońca

Spytałam Felę, nie podając żadnych imion, czy zna sposób, którego mogę użyć, by rzucić urok na wybraną złą osobę.

Powiedziała, że trzeba zapisać imię tej osoby na kartce, złożyć ją i wsunąć do lewego buta, bo lewą stopą Ewa zmiażdżyła głowę węża. Potem kartkę należy spalić, a popiół rozsypać w pobliżu znieawidzonej osoby.

Wiem, co zrobię: posypię nim cały list.

- Co by się stało, gdybym włożyła kartkę z imieniem do prawego buta?

- Prawy but jest na problemy z kimś, kogo się kocha.

Spacerowałam więc wkoło, odprawiając podwójny urok.

W jednym bucie miałam Rafaela Leonidasa Trujillo, w drugim - Enrique Mirabala.

Czwartek wieczór, 31 grudnia

Ostatni dzień tego starego, złego roku

Dziś mogę pisać tylko smutne rzeczy.

Spoglądam w gwiazdy, jest tak cicho, tak tajemniczo. Jakie to wszystko ma właściwie znaczenie?

(Nie lubię tego sposobu myślenia, typowego dla Minery. Pogłębia moją astmę).

Chcę poznać sprawy, nawet te, których istoty nie rozumiem.

Ale byłabym szczęśliwa i bez odpowiedzi, gdybym miała kogoś,

kogo mogłabym kochać.

A zatem jest ludzkiego życia celem
By bratniej duszy szukać niestrudzenie

Zacytowałam to Minervie, zanim wyjechała do Jarabacoa, lecz ona odłożyła *Klejnoty poezji hiszpańskiej* i zacytowała mi inny wiersz tego samego poety:

Niech ograniczenia miłości nie położą czaru
Na poważne ambicje mojego umysłu

Nie mogłam uwierzyć, że ten sam człowiek napisał obie te strofy. Nie było jednak wątpliwości - podpisane: José Martí, dalej daty i reszta. Minerva zwróciła uwagę, że wiersz, który ona przytoczyła, powstał później, „kiedy wiedział, co się liczy”.

Może to ona ma rację, ostatecznie do czego prowadzi miłość?
Wystarczy spojrzeć, co się stało z mamą i papą, i to po tylu latach.
Dziś mogę pisać tylko smutne rzeczy.

1954

Piątek wieczór, 1 stycznia

Byłam naprawdę okropna.

Ja, młoda dziewczyna w *luto**, która dopiero co położyła ojca do grobu.

* *Luto* (hiszp.) - żałoba.

Pocałowałam B. w u s t a ! Wziął mnie za rękę i poprowadził za palmową zasłonę.

O, zgrozo! O, bezwstydzie! O, odrazo!
Proszę, zawstydz mnie, o Boże.

Piątek wieczór, 8 stycznia

R. wpadł dziś z wizytą, a potem siedział i siedział. Wiedziałam, że

czeka, aż mama zostawi nas samych. Rzeczywiście, w końcu wstała, czyniąc aluzję, że już czas pomyśleć o kolacji, ale R. nie zareagował. Mama wyszła, a on zaraz do mnie doskoczył: jak to się stało, że B. mnie pocałował? Byłam taka wściekła na B., że powiedział o nas, chociaż obiecał, że tego nie zrobi. Powiedziałam R., że jeśli nigdy więcej nie zobaczę twarzy jego i jego głupiego brata, to będzie dla mnie *perfecto!*

Niedziela wieczorem, 10 stycznia

Minerva właśnie wróciła z bardzo wyjątkowym sekretem.

Najpierw ja zwierzyłam się jej z mojego, tego dotyczącego B., a ona śmiała się i powiedziała, że jest za mną tak daleko w tyle. Jej nikt nie pocałował od lat! Jak widać, bycie powszechnie szanowanym ma też swoje złe strony.

Cóż, możliwe, że niedługo czeka ją coś więcej niż pocałunek. Poznała kogoś bardzo wyjątkowego w Jarabacoa. Okazuje się, że ta wyjątkowa osoba też studiuje prawo w stolicy, chociaż jest od niej dwa lata wyżej. Jest coś jeszcze, czego on wciąż nie wie. Minerva jest od niego o pięć lat starsza. Wywnioskowała to z czegoś, co powiedział, ale jej zdaniem jest niespodziewanie dojrzały jak na dwudziestotrzylatka.

- Jest tylko jeden problem - dodała Minerva, lekko i błyskotliwie, jakby miała wszystko pod kontrolą. - Biedny chłopak jest już zaręczony z kimś innym.

- Dwulicowy drań. - Wciąż tak bardzo boli mnie to, co zrobił papa. - Nie może być naprawdę dobrym człowiekiem. Daj sobie z nim spokój!

Ale Minerva broni tego gogusia, którego dopiero co poznała. Mówi, że lepiej, by rozglądał się teraz, zanim podejmie decyzję na całe życie.

Chyba ma rację. Wiem, że sama rozejrzę się bardzo uważnie, za nim zamknę oczy i oddam się prawdziwej miłości.

Czwartek, 14 stycznia

Minerva znowu stosuje swoje stare sztuczki. Owija ręcznik wokół radia i leży pod łóżkiem, słuchając zakazanych stacji.

Dziś spędziła tak kilka godzin. Transmitowano przemówienie tego Fidela, który próbował obalić dyktatora Kuby. Minerva zapamiętała długie fragmenty. Zamiast poezji ciągle recytuje: „Potępiajcie mnie, nie dbam o to. Historia mnie uniewinni!”.

Mam wielką nadzieję, że teraz, kiedy Minerva znalazła kogoś wyjątkowego, ustatkuje się. To znaczy zgadzam się z jej ideami i w ogóle. Myślę, że ludzie powinni być dla siebie życzliwi i dzielić się tym, co mają. Ale nigdy, przenigdy nie wzięłabym do ręki pistoletu i nie zmuszałabym ludzi do tego, by przestali być chciwi.

Minerva nazywa mnie swoją *petit bourgeois*. Nawet jej nie pytam, co to znaczy, bo znowu skarci mnie za to, że nie kontynuuję nauki francuskiego. Zamiast tego zdecydowałam się na angielski - ponieważ jest nam bliżej do Stanów Zjednoczonych niż do Francji.

Hello, my name is Mirabal. I speak a little English. Thank you very much.

Niedziela po południu, 17 stycznia

Minerva właśnie pojechała z powrotem do swojej szkoły w stolicy. Zwykle to ja jestem tą, która płacze, gdy ludzie odjeżdżają, ale tym razem wszyscy pociągali nosami. Nawet Minervie łzy stanęły w oczach. Myślę, że wszyscy jeszcze smucimy się z powodu śmierci papy, co potęguje każdy, nawet najmniejszy smutek.

Dedé i Jaimito zostają na noc z Jaimem Enrique i małym Jaimem Rafaellem (Jaimito zawsze „sygnuje” swoich synów własnym imieniem). Jutro jedziemy do San Francisco. Wszystko ustalone. Będę studiować dziennie, w tygodniu mieszkać z Dedé i Jaimitem, a w weekendy wracać do domu, żeby dotrzymywać mamie towarzystwa.

Czuję wielką ulgę. Po tym, jak wpadliśmy w kłopoty z rządem i

papa zaczął tracić pieniądze, wiele zadzierających nosa dziewcząt traktowało mnie okropnie. Tam, w dormitorium, każdej nocy do snu kołysał mnie własny płacz, a to oczywiście tylko pogłębiło moją astmę.

Ta umowa jest też korzystna dla Dedé i Jaimita, bo mama będzie im płacić za moje utrzymanie. Mówiąc o kłopotach finansowych... Tych dwoje nie miało szczęścia już po raz drugi: to, co stało się z lodziarnią, teraz przytrafiło się restauracji. Zważywszy na to, Dedé i tak radzi sobie najlepiej, jak to możliwe. Cała Pani Sonrisa*.

* *Sonrisa* (hiszp.) - uśmiech.

Sobotnia noc, 6 lutego
W domu na weekend

Cały dzień zszedł mi na przygotowaniach. W następną niedzielę, w święto zakochanych, Minerva przyjedzie z wizytą i przywiezie ze sobą tego wyjątkowego kogoś, kogo poznała w Jarabacoa!!!

„Manolo chce was poznać” - napisała do nas i dodała: - „Tylko dla twoich oczu: ucieszy cię wiadomość, że zerwał zaręczyny”.

Ponieważ to ja jestem tą, która czyta mamie całą naszą korespondencję, mogę pominąć wszystko, co Minerva oznaczy na marginesie wielkim OKIEM.

Prawdopodobnie niszczy cały nasz system komunikacji, bo uczyć mamę czytać. Namawiałam ją do tego od lat, ale ona odpowiadała:

„Po prostu nie mam głowy do liter”. Przypuszczam, że przekonało ją to, że po śmierci papy i moim wyjeździe do szkoły musiała prowadzić podupadający interes praktycznie sama.

Przy stole była mowa o tym, że Dedé i Jaimito mogliby wrócić tutaj i odciążyc trochę mamę. Dedé zażartowała, że mają duże doświadczenie z niedomagającym biznesem. Jaimito, jak zauważyłam, w najmniejszym stopniu nie uznał tego za śmieszne.

Zrobi jej scenę, kiedy wrócimy do San Fran.

Niedziela rano, 14 lutego

Oczekujemy Minervy i Manola lada chwila. Mama mówi, że nie mogę usiedzieć na miejscu, jakby to mój *beau* przyjeżdżał!

Przyrządzenie całego obiadu było na mojej głowie. Mama mówi, że to dobry trening przed prowadzeniem swojego własnego domu. Błagała mnie jednak, żebym przestała przychodzić do niej z każdym pomysłem, bo traci apetyt od jedzenia tylu wyimaginowanych dań.

Tak oto wygląda moje ostateczne menu (weź pod uwagę, że dziś jest święto zakochanych, więc motywem przewodnim jest czerwień):

Salatka z pomidorów i papryczek z przybraniem z hibiskusa

Pollo a la criolla (w mojej walentynkowej wersji będzie dużo sosu pomidorowego)

Moros y cristianos - z przewagą fasoli, dla uzyskania czerwono-brązowego koloru

Marchewki - ułożę plasterki w małe serduszka

Arroz eon leche*

* *Pollo a la criolla* - danie z kurczaka z pomidorami, cebulą i papryką; *moros y cristianos* - tradycyjna potrawa kubańska z czerwonej fasoli i czarnego ryżu; *arroz eon leche* - ryż na mleku podawany na deser.

- bo znasz słowa tej piosenki:

Arroz con leche

Ożenić się chce

Z mądrą dziewczyną

Która szyje

Która ceruje

Która odkłada igłę

Na właściwe miejsce!

Noc

Manolo wprost pokochał moją kuchnię! Ten człowiek zjadł dwie dokładki, przerywając sobie tylko po to, żeby powiedzieć, jakie wszystko jest pyszne. Mama cały czas do mnie mrugała.

Jego inne dobre cechy? Pomyślmy. Jest wysoki i bardzo przy-
stojny, i taki romantyczny. Przez cały czas posiłku trzymał Minervę za
rękę pod stołem.

Jak tylko pojechali do stolicy, Dedé, mama i Patria zaczęły za-
kładać się o to, kiedy będzie ślub. „Wyprawimy go tutaj”. *Ay, sí*,
to już postanowione, Dedé i Jaimito sprowadzą się z powrotem do
Ojo de Agua. Mama powiedziała im, że mogą zamieszkać w naszym
domu, bo ona chce wybudować sobie wygodniejszy, „nowoczesny”,
przy głównej drodze. W ten sposób nie będzie czuć się taka samotna,
kiedy wszystkie jej pisklęta wyfruną. „Teraz została tylko moja
malutka” - mówi, uśmiechając się do mnie.

Och, pamiętniczku, jak ja nie znoszę, kiedy zapomina, że mam już
osiemnaście lat.

Poniedziałek wieczór, 15 lutego
Z powrotem w San Fran

Ciągle mam nadzieję, że w moim życiu niedługo pojawi się ktoś
wyjątkowy. Ktoś, kto potrafi rozpaść moje serce płomieniami miłości
(*Klejnoty Mate Mirabal!*). Próbuję złożyć idealnego mężczyznę ze
wszystkich chłopców, których znam. To trochę jak sporządzanie
menu:

Dołeczki w policzkach Manola

Bajkowoniebieskie oczy Raúla

Kręcone włosy i uśmiech Berta

Piękne ręce Erasma

Szerokie ramiona Federica

Ładne *fundillos** Carlota (tak, my, dziewczyny, też je zauważamy!)

* *Fundillos* (hiszp.) - pośladki.

A na koniec to tajemnicze coś, czego brakuje do uzyskania wyniku
- jak uczyliśmy się na matematyce - będące czymś więcej niż sumą
bardzo wymiętych składników.

Poniedziałek wieczór, 1 marca
San Fran

Jak doskonale wiesz, pamiętniczku, zaniedbałam cię z u p e ł n i e . Mam nadzieję, że nie przerodzi się to w zły nawyk. Nie byłam jednak w nastroju do zwierzeń.

W noc, kiedy Manolo przyszedł na kolację, miałam znów ten zły sen o papie. Tylko że tym razem, kiedy wyjęłam wszystkie części sukienki ślubnej, twarz papy się przeistoczyła i teraz to był Manolo!

To sprawiło, że zaczęłam powątpiewać w tego chłopaka, który przecież próbował zdobyć Minervę, kiedy był jeszcze zaręczony. Teraz jest tym cudownym, ciepłym, kochającym mężczyzną, mówię sobie, ale czy to się w przyszłości nie zmieni?

Chyba dałam się zwieść podejrzeniom, co, jak mówi *padre* Ingcio, jest tak złe, jak dać się zwieść pokusie. Byłam u niego, żeby porozmawiać o swoich niedobrych uczuciach do papy.

„Nie możesz patrzeć na każdego mężczyznę jak na potencjalnego węża” - ostrzegł mnie.

I myślę, że tak nie jest. Tak naprawdę lubię mężczyzn. Chcę poślubić jednego z nich.

Dzień wręczenia dyplomów!!! 3 lipca

Pamiętniczku, domyślałam się, że prawdopodobnie przez te wszystkie miesiące myślałaś, że umarłam. Ale wierz mi, byłam zbyt zajęta, by pisać. Właściwie muszę teraz skończyć notować przepis cioci na kartce, żebym mogła się zająć kreśleniem podziękowań. Trzeba je szybko przelać na papier, inaczej umkną mi wszystkie te grzecznościowe sformułowania wyrażające wdzięczność - należą także po otrzymaniu prezentów, których się nie potrzebuje, czy takich, które nie do końca się podobają.

Ciocia Flor zrobiła ciasto „Umrzeć, marząc” na moje przyjęcie z okazji ukończenia szkoły (według własnego przepisu inspirowanego drinkiem). Zaciągnęła mnie do mojego pokoju, żebym go zapisała, tak

przynajmniej twierdziła. Wciąż wychwalałam jej dzieło w słowach i - obawiam się - w czynach. *Ay, si*, dwa kawałki i jeszcze trochę. Moje biodra, moje biodra! Może powinnam przechrzcie je na ciasto „Umrzeć tłustym”?

Opowiadając mi, jak utrzepać ciasto, aż będzie odpowiednio spienione („Spraw, żeby wyglądało i było w dotyku jak bańki mydlane”), nagle, prosto z mostu, mówi:

- Musimy porozmawiać, młoda damo.
- Oczywiście, ciociu - odpowiadam cichym głosem. *Tia* jest duża i okazała, a jej grube czarne brwi przerażały mnie od dzieciństwa (kiedyś nazywałam je jej wąsami!).

Mówi, że Berto i Raúl już nie są jak bracia, cały czas się kłócą. Chce, żebym zdecydowała, którego wybieram, a drugiemu kazała iść jeść owoce tamaryndowca.

- Więc - pyta - który to będzie?
- Żaden - wypalam, bo nagle widzę, że tym, co mnie zraża do każdego z nich, jest ewentualna teściowa.
- Żaden! - Siada na skraju mojego łóżka. - Żaden? Co? Czy jesteś za dobra dla moich chłopców?

Środa po południu, 7 lipca

Podziękowania ciągle nienapisane:

Dedé i Jaimito - moje ulubione perfumy (Matador's Delight).
A także kupon na nową płytę Luisa Albertiego, kiedy następnym razem pojedziemy do stolicy.

Minerva - tomik poezji napisany przez jakąś Gabrielę Mistral (?) i śliczny złoty pierścionek z opalem, moim szczęśliwym kamieniem, osadzonym między czterema perłami.

Musimy dopasować rozmiar w stolicy. Oto rysunek:



Manolo - ramka z kości

śloniowej na moje zdjęcie

dyplomowe.

„I twojego wybranego *beau*, kiedy przyjdzie czas!” - powiedział, puszczając oczko. Lubię go coraz bardziej.

Tio Pepe i *tia Flor*, Raúl, Berto - przesłodka mała toaletka z nakryciem z tego samego materiału co moja narzuta na łóżko.

Wujek zrobił stolik, a ciocia uszyła nakrycie. Może ostatecznie nie jest taka zła! Jeśli chodzi o Raúla, zaproponował mi swój pierścień absolwencki i chciał, żebyśmy byli *novios*. Niedługo potem Berto złapał mnie w ogrodzie ze swoimi „magnetycznymi ustami”. Powiedziała im obu, że chcę, abyśmy byli przyjaciółmi, i obaj odparli, że rozumieją - jest zbyt wcześnie od śmierci papy. (Tyle że nie wspominałam żadnemu z nich o tym młodym prawniku Justo Gutiérrezie, którego poznałam w piątek. Zajmuje się przeniesieniem spadku. Jest taki uprzejmy i w najmiłszy ze sposobów mówi: „Proszę podpisać tutaj”).

Patria i *Pedrito* - pudło grające, które odtwarza cztery melodie: *Bitewny krzyk wolności*, *Moje małe niebo*, *Nie ma nikogo jak matka* i jeszcze jeden tytuł, którego nie umiem wymówić - jest w obcym języku. No i święty Krzysztof na podróże, które będę odbywać.

Tio Tilo i *tia Eufemia*, *María*, *Milagros*, *Marina* - kolczyki z muszli i do kompletu bransoletka, których za nic nie założę! Zastanawiam się, czy ciocia Eufemia próbuje mnie przekłąć, żeby jej trzy córki - stare panny - miały większe szanse. Wszyscy wiedzą, że dziewczyna, która nosi muszle, zostaje sama.

Chyba wszyscy prócz cioci Eufemii.

Mama - teczka z monogramem z El Gallo, którą będę zabierać do stolicy. Postanowione: od jesieni uczęszczam na uniwersytet z *Minervą*. Mama dała mi też swój stary medalion ze zdjęciem papy. Nie otworzyłam go ani razu. Przeraża mnie, przywołuje ten zły sen. Przepisała na mnie należną część spadku - dziesięć tysięcy dolarów!!! Zachowam je na przyszłość i oczywiście na ubrania, ubrania i jeszcze raz ubrania.

Nawet Fela dała mi prezent. Saszetkę magicznych proszków, żeby odpędzić złe oko, kiedy wyjadę do stolicy. Spytałam, czy to działa też

jako eliksir miłości. Usłyszała to Tono i powiedziała: „W czyimś życiu jest mężczyzna”. Wtedy Fela, która pomagała mi przyjść na świat i zna mnie na wylot, wybuchła śmiechem.

„Mężczyzna? W jej sercu jest ich cały cmentarz! Więcej tam pogrzebanych uczuć niż...”

Obie stały się ostrożne, od kiedy dowiedzieliśmy się o parobku. Tak, nasz zaufany Prieto za butelkę rumu i kilka pesos raportował służbom bezpieczeństwa wszystko, co słyszał w domu Mirabalów. Powiedział nam o tym wujek Chiche.

Oczywiście nie możemy zwolnić Prieta, bo wyglądałoby na to, że mamy coś do ukrycia. Dostał za to awans - tak mu powiedzieliśmy - i zamiast na podwórzu będzie pracował w chlewie.

Teraz jego donosy ograniczą się najwyżej do „chrum, chrum, chrum”.

Piątek wieczór, pełnia księżyca, 9 lipca

Justo María Gutierrez

Don Justo Gutierrez i doña María Teresa Mirabal de Gutierrez
Mate i Justico na zawsze!!!

Sobota wieczór, 18 września

Jutro wyjeżdżamy do stolicy. Zastanawiam się, pamiętniczku, czy brać cię ze sobą. Jak widzisz, nie szło mi za dobrze regularne pisanie. Mama chyba ma rację - jestem okropnie niestała we wszystkim, co robię.

Swoją drogą będzie tyle nowych widoków i doświadczeń, warto by mieć pamiętkę. Ale gdy się nad tym zastanowić, możliwe, że będę zbyt pochłonięta zajęciami, by pisać. Poza tym co, jeśli nie znajdę dobrej kryjówki i wpadniesz w niepowołane ręce?

Och, pamiętniczku drogi, przez cały tydzień na nic nie mogę się zdecydować! Tak, nie, tak, nie. Konsultowałam z każdym po kolei pół tuzina spraw. Czy powinnam brać czerwone szpilki,

jeśli nie mam jeszcze pasującej do nich torebki? Co z moją granatową sukienką z muszelkowym kołnierzykiem, która jest trochę za ciasna pod pachami? Czy pięć piżamek i koszul nocnych wystarczy, skoro lubię zakładać świeżą każdego wieczoru?

Byłam zdecydowana co do jednego.

Justo był miły i powiedział, że rozumie. Prawdopodobnie potrzebuję czasu, żeby uporać się ze śmiercią ojca. Milczałam. Dlaczego każdemu mężczyźnie, którego nie mogę obdarzyć uczuciem, wydaje się, że kochałabym go, gdyby papa nie umarł?

*Poniedziałek po południu, 27 września
Stolica*

Co za wielkie, ekscytujące miejsce! Każdego dnia, gdy spacerujemy po mieście, chodzę z otwartą buzią, jak *campesino* z kawału. Tak dużo wielkich, eleganckich domów z wysokimi murami i *guardias*, i samochody, i ludzie ubrani według najnowszych trendów, które widziałam w „Vanidades”.

W tym mieście trudno jest jednak uniknąć niebezpieczeństw, toteż nie wychodzę zbyt często, o ile nie ma ze mną Minervy albo któregoś z jej przyjaciół. Wszystkie ulice noszą nazwy członków rodziny Trujillo, co jest trochę dezorientujące. Minerva opowiedziała mi anegdotę o tym, jak dojechać do parku Julii Moliny z ulicy El Jefe: „Jedziesz drogą El Jefe przez most jego najmłodszego syna do ulicy najstarszego, potem skręcasz w lewo w aleję jego żony, idziesz nią, aż dotrzesz do parku jego matki, i jesteś na miejscu”.

Każdy dzień zaczynamy od sprawdzenia w gazecie *El Foro Público*. To rubryka towarzyska prowadzona przez Lorenza Ocumaresa - nie znam się na tym, ale nazwisko jest chyba zmyślone. W rzeczywistości piszą ją urzędnicy w Pałacu Narodowym, a jej cel to „służyć powiadomieniu” każdego, kto nadepnął na ogon wściekłego psa, jak mówi się w naszych stronach. Minerva twierdzi, że wszyscy w stolicy zaglądną najpierw do tej rubryki, a dopiero później do działu wiadomości. Doszło do tego, że zamykam oczy, kiedy odczy-

tuje mi rubrykę, drżąc na myśl, że padnie nasze nazwisko. Ale od czasu przemowy Minery i listu mamy (i mojego zaklęcia w bucie) nie mieliśmy żadnych kłopotów z reżimem.

To przypomina mi o tym, że muszę znaleźć dla ciebie lepszą kryjówkę, pamiętniczku. Nie jest bezpiecznie nosić cię w torebce, gdy idę ulicą jego matki albo aleją jego synka.

Niedziela wieczór, 3 października

Dziś przed rozpoczęciem zajęć maszerowaliśmy w pochodzie. Nasze *cédulas* zostały podstemplowane, kiedy wracaliśmy przez bramy. Bez podstemplowanych dokumentów nie przyjęliby nas na uniwersytet. Musimy też podpisać deklarację lojalności.

Były nas setki, kobiety maszerowały razem, wszystkie w białych sukienkach, jakbyśmy były jego pannami młodymi, w białych rękawiczkach i kapeluszach o dowolnym kolorze. Musiałyśmy podnosić prawe ręce i zaszutować, kiedy mijałyśmy trybunę honorową.

Wyglądało to jak z kroniki filmowej Hitlera albo tego Włocha, którego nazwisko brzmi podobnie do fettuccine.

Wtorek wieczór, 12 października

Tak jak przewidywałam, nie ma wiele czasu, żeby zapełniać twoje strony, pamiętniczku. Jestem w i e c z n i e zajęta. Poza tym pierwszy raz od wieków Minerva i ja znów mieszkamy w jednym pokoju, który wynajmujemy od doñi Chelito. Zawsze więc pojawia się pokusa, żeby to Minervę uczynić swoją powierniczką. Ale czasem ona wcale się do tego nie nadaje - jak teraz, kiedy namawia mnie, żebym została przy swoim pierwotnym wyborze, którym jest prawo.

Rzeczywiście chciałam kiedyś zostać prawniczką jak moja siostra, lecz prawda jest taka, że zawsze wybucham płaczem, gdy ktoś się ze mną kłóci.

Minerva uparła się jednak, żebym dała prawu szansę, więc zgodziłam się chodzić z nią na wykłady przez cały tydzień. Jestem pewna,

że albo umrę z nudów, albo od tego, że mój mózg został powiązany w supły! Na zajęciach z kryminalistyki ona i wykładowca, mały, podobny do sowy mężczyzna, doktor Balaguer, wdawali się w długą dyskusję. Wszyscy inni studenci ziewali i wymieniali spojrzenia, unosząc brwi. Ja sama nie mogłam nadążyć za tą dwójką. Dzisiaj było o tym, czy w przypadku morderstwa *corpus delicti* to nóż, czy zabity człowiek, którego zwłoki są prawdziwym dowodem zbrodni. Chciało mi się krzyknąć: „Kogo to obchodzi?!”.

Później Minerva spytała mnie, jakie są moje wrażenia. Powiedziałam jej, że jutro zapisuję się na Wydział Filozofii i Literatury - co według niej zawsze robią dziewczyny, które chcą przede wszystkim wyjść za mąż. Ale nie jest na mnie zła. Mówi, że przynajmniej spróbowałam i to się liczy.

Środa w nocy, 13 października

Tego wieczoru wyszliśmy na spacer z Manolem, Minervą i Armandem Grullónem, ich przeuroczym przyjacielem ze studiów.

Kiedy dotarliśmy do Malecón, okazało się, że cały teren jest zamknięty. Była to ta godzina, o której El Jefe wybiera się na wieczorny *paseo* przy falochronie. Tak właśnie prowadzi posiedzenia gabinetu: chodząc żwawo i przepytując jednego z ministrów, który następnie wycofuje się, z ulgą ustępując miejsca następnemu w kolejce.

Manolo zaczął żartować, że jeśli El Jefe poczuje wstręt do któregoś z nich, nie musi się nawet fatygować i wysyłać go do La Piscina na pożarcie rekinom. Wystarczy, że zepchnie go z falochronu!

Naprawdę się przestraszyłam, że mówi w ten sposób publicznie, gdy wokół roi się od strażników i potencjalnych szpiegów, którzy mogą się czaić wszędzie. Boję się, co jutro znajdziemy w *El Foro Público*.

Niedziela w nocy, 17 października

El Foro Privado

Widziani na spacerze w El Jardin Botanico
bez przyzwoitki
Armando Grullón
i
María Teresa Mirabal
Mate i Armando, na zawsze!!!

Objął mnie, a potem próbował wsunąć mi język do buzi. Musiałam powiedzieć: „NIE!”. Słyszałam od innych dziewcząt mieszkających u doñi Chelito, że z tymi mężczyznami w stolicy trzeba być ostrożną.

Poniedziałek rano, 18 października

Ostatniej nocy znów wrócił ten sen. Zmartwiło mnie to, tym bardziej że nie miałam go już od tak dawna - myślałam, że poradziłam sobie z tym, co zrobił papa.

Tym razem to Armando zamienił się z nim twarzą. Byłam tak przerażona, że obudziłam Minervę. Dzięki Bogu, nie krzyczałam i nie wyrwałam ze snu całego domu. Jakież to by było kompromitujące!

Minerva tylko trzymała mnie za rękę, tak jak to robiła, gdy byłam małą dziewczynką i miałam atak astmy. Powiedziała, że ból odejdzie, kiedy znajdę mężczyznę swoich marzeń. To już niedługo - czuje to w kościach.

Ale ja jestem pewna, że tym, co czuje, jest jej własne szczęście z Manolem.

1955

Niedziela po południu, 20 listopada
Ojo de Agua

Pamiętniczku, nawet nie pytaj, gdzie byłam przez ostatni rok! Zresztą ja ciebie też bym nie znalazła, uwierz mi. Kryjówka u doñi Chelito była zbyt dobra. Dopiero kiedy pojechaliśmy spakować

rzeczy Minery w związku z jej przewodzątką, przypomniałam sobie o tobie, ukrytym w szafie pod deskami podłogowymi.

Dziś jest wielki dzień. Pada od świtu, co wyklucza plan Minery, żeby pójść do kościoła na piechotę, jak to zrobiła Patria, i spotkać się ze wszystkimi *campesinos*, których zna, odkąd była małą dziewczynką. Ale wiesz, jaka jest moja siostra. Uważa, że powinniśmy po prostu wziąć ze sobą parasole!

Mama twierdzi, że Minerva powinna się cieszyć, bo deszczowy ślub to dobra wróżba. „Błogosławieństwa w łożu małżeńskim” - mówi, uśmiechając się i przewracając oczami.

Minerva jest szczęśliwa. Jest taka szczęśliwa. Deszcz nie deszcz, cały ten dzień jest szczęśliwy.

W takim razie dlaczego czuję smutek? Wszystko się zmienia, po prostu to wiem, mimo że Minerva mówi inaczej. Już teraz wyprowadziła się z Manolem do doñi Isabel, a ja zostałam sama u doñi Chelito z nowymi współlokatorkami, których prawie nie znam.

- Nigdy nie myślałam, że dożyję tego dnia - oznajmia Patria, siedząc w bujanym fotelu i doszywając jeszcze kilka satynowych pąków róży do korony welonu. Dwudziestodzieciuletnia Minerva była przez ludzi tak konserwatywnych jak moja siostra Patria uważana za skazaną na staropanieństwo.

Pamiętaj, że ona sama wyszła za mąż w wieku szesnastu lat. -

Gracias, Virgencita - mówi, spoglądając w górę na sufit.

- Masz na myśli: *Gracias*, Manolo - poprawia ją ze śmiechem Minerva.

Wtedy wszyscy zaczynają rozmawiać o tym, że jestem następną, zastanawiać się, kim będzie mój wybranek, i zachęcają: „No, powiedz coś”, dopóki nie wybucham płaczem.

*Niedziela wieczór, u grudnia
Stolica*

Właśnie wróciliśmy z marszu celebrującego otwarcie Wystawy Światowej i bardzo bolą mnie stopy. Na dodatek cały tył sukienki

mam przemoczony od potu. Jedyną pociechą jest to, że jeśli mnie było tak gorąco, „księżniczka” Angelita musiała chyba skwierczeć.

Wyobraź sobie: nosić w ten upał suknię wysadzaną rubinami, diamentami i perłami, okoloną czterdziestoma sześcioma metrami futra z rosyjskiej łąsiczki. Trzeba było sześciuset skór, żeby wykonać to obszycie! Wszystko to opisywano w gazetach, chyba po to, byśmy wszyscy umarli z wrażenia.

Manolo nie chciał, żeby Minerva maszerowała. Na pewno dostałaby zwolnienie, bo jest w ciąży. Tak - tych dwoje nie czeka, aż Minerva skończy studia. Jednak ona zadeklarowała, że nie pozwoli wszystkim swoim *compañeras* nieść tego krzyża, nie dźwigając go sama. Nawet nie ma mowy.

Musieliśmy maszerować ponad cztery kilometry. Kiedy mijaliśmy trybunę honorową księżniczki Angelity, pochylaliśmy głowy. Gdy znalazłam się na jej wysokości, zwolniłam nieco, żeby móc się jej przyjrzeć. Jej peleryna była obszyta bardzo wysokim futrzanym kołnierzem, a tuziny pomocników wachlowały ją z prawej i lewej strony. Widziałam tylko nadąsaną, całkiem ładną, błyszczącą od potu twarz.

Gdy tak na nią patrzyłam, poczułam niemal współczucie. Zastanawiałam się, czy wie, jak zły jest jej ojciec, czy raczej wciąż myśli o nim jak o Bogu, tak jak kiedyś ja o papie.

1956

Piątek w nocy, 27 kwietnia
Stolica

Moje roczne wystąpienie. Nie będę kłamać - jeśli wyglądasz znacznie szczuplej, pamiętniczku, to dlatego, że byłeś moim dostawcą kartek na każdą okazję. Papier do korespondencji, listy zakupów, notatki z zajęć. Chciałabym z taką łatwością gubić kilogramy. Przeszłam na ścisłą dietę, żeby wcisnąć się w wyjściową suknię. Jutro jadę do Minery, która pomoże mi ułożyć przemowę.

Sobota po południu, 28 kwietnia
Stolica

Czcigodni Rektorze, Profesorowie, Koledzy ze studiów, Przyjaciele, Rodzino. Jestem naprawdę, do głębi serca wzruszona...

Minerva kręci głową.

- Zbyt wylewne - mówi.

Pragnę wyrazić moją szczerą wdzięczność za ten wielki honor, którym mnie zaszczyliciliście, wybierając na Miss Uniwersytetu nadchodzącego roku...

Niemowlę znów zaczyna płakać. Marudzi całe popołudnie.

Myślę, że złapało przeziębienie. Podczas tutejszego sezonu deszczowego wszyscy chorują. Oczywiście istnieje też możliwość, że małej Minou nie do końca podoba się moja przemowa!

Dolożę wszelkich starań, by być godnym uosobieniem wielkich wartości, które ten pierwszy uniwersytet w Nowym Świecie reprezentował przez czterysta lat, kiedy był latarnią morską wiedzy i kopalnią mądrości dla najznakomitszych umysłów, mających tyle szczęścia, by przejść przez bramy tej natchnionej społeczności...

Minerva stwierdza, że to już zbyt długi fragment bez obowiązkowej wzmianki o sama-wiem-kim. Mała Minou uciszyła się, dzięki Bogu.

Jakże miło ze strony Minery, że mi pomaga, mimo iż jest tak zajęta opieką nad swoim niemowlęciem i uczeniem się prawa. Mówi, że cieszy ją mój przyjazd. Dzięki temu nie tęskni za Manolem, który znów nie mógł w ten weekend wyrwać się z Monte Cristi.

Ale przede wszystkim moja najserdeczniejsza wdzięczność należy się naszemu prawdziwemu Dobroczyńcy, El Jefe Rafaelowi Leonidasowi Trujillo, Mistrzowi Edukacji, Światłu Antyli, Pierwszemu Nauczycielowi, Niosącemu Światło dla swojego Narodu.

- Nie przesadz z tym - radzi Minerva. Przypomina mi, że po tej ostatniej sprawie z Galindezem adresatem będzie nieprzychylna publiczność.

Znów ma rację. W kampusie jest głośno o tej strasznej historii. W każdym tygodniu ktoś niespodziewanie znika, ale tym razem

przytrafiło się to wykładowcy uniwersytetu. Poza tym Galindezowi udało się już uciec do Nowego Jorku i wszyscy myśleli, że jest bezpieczny. Jednak jakimś sposobem El Jefe dowiedział się, że profesor pisze książkę wymierzoną w reżim. Posłał agentów oferujących mu za nią dużo pieniędzy - podobno dwadzieścia pięć tysięcy dolarów - ale Galindez odmówił. Wiadomo tylko, że pewnego wieczoru wracał do domu i po drodze zniknął. Od tego czasu nikt go nie widział ani o nim nie słyszał.

Myśl o Galindezie przygnębia mnie tak bardzo, że nie chcę już być królową niczego. Ale Minerva nie przyjmuje tego do wiadomości. Mówi, że ten naród nie brał udziału w żadnym głosowaniu od dwudziestu sześciu lat i tylko te małe głupie wybory podtrzymują nikłą pamięć o demokracji.

- Nie możesz zawieść swoich wyborców, Królowo Mate!

My, kobiety uczęszczające na ten uniwersytet, jesteśmy szczególnie wdzięczne za możliwość zdobywania wyższego wykształcenia подарowaną nam przez reżim.

Minerva upiera się, żebym to dorzuciła.

Mała Minou znowu zaczyna się wydzierać.

- Tęskni za swoim *papi* - stwierdza Minerva. I jakby na dowód prawdziwości słów swojej mamy, dziewczątka rzuca potężne zakłęcie płaczu, które sprowadza delikatne pukanie doñi Isabel do drzwi sypialni.

- Co robicie mojemu skarbowi? - pyta, wchodząc. Doña Isabel zajmuje się małą, kiedy Minerva przesiaduje na wykładach. Jest jedną z tych ładnych kobiet, które pozostają ładnymi niezależnie od tego, jak bardzo się zestarzeją. Kręcone białe włosy jak czepek z falbankami i oczy łagodne jak opal. Wyciąga ręce do niemowlęcia. - Mój skarbie, czy one cię torturują?

- O czym ty mówisz? - rzuca Minerva, przekazując wyjące zawiniątko i pocierając uszy. - Ten mały tyran torturuje nas!

Piątek wieczór, 26 lipca
Stolica

Jestem beznadziejna w prowadzeniu pamiętnika. W poprzednim roku tylko jeden wpis, w tym - ani słowa, a przecież upłynęło już ponad sześć miesięcy. Przekartkowałam swój stary pamiętnik i muszę przyznać, że bardzo głupio wyglądają te wszystkie „kochane pamiętniczki” i jakże „zakonspirowane” inicjały, których nikt nie będzie w stanie rozszyfrować choćby za sto lat!

Wydaje mi się jednak, że wkrótce będę potrzebować towarzystwa, ponieważ od teraz jestem naprawdę zdana na siebie. Minerva jutro kończy studia i przeprowadza się do Monte Cristi, gdzie będzie mieszkać z Manolem. Ja na resztę lata pojedę do domu - chociaż nie jest to ten dom, który zawsze znałam, tylko nowy, budowany przez mamę przy głównej drodze. Na jesieni mam wrócić, żeby zupełnie sama przebrnąć przez ostatni rok edukacji.

Czuję się osamotniona, smutna i bardziej *jamonita** od świni.

Oto mam prawie dwadzieścia dwa lata i żadnej prawdziwej miłości w zasięgu wzroku.

* *jamonita* (hiszp.) - tęga, otyła.

Sobota w nocy, 27 lipca
Stolica

Ten dzień zapowiadał się tak szczęśliwie. Minerva odbierała swój dyplom! Z tej okazji zebrał się cały Mirabalowo-Reyesowo-Fernándezowo-Gonzálezowo-Tavárezowy klan. To było dla nas ważne wydarzenie: Minerva jako pierwsza w całej naszej rodzinie (wliczając w to wszystkich mężów, poza Manolem) ukończyła uniwersytet.

Cóż to był za wstrząs, kiedy wręczono jej tytuł naukowy, ale bez licencji na praktykę. Oto wszyscy myśleliśmy, że El Jefe przekonał się do naszej rodziny, i to do tego stopnia, że nawet umożliwił Minervie zapisanie się na Wydział Prawa. A tak naprawdę uknuł plan, polegający na tym, by pozwolić jej

studiować przez pięć długich lat tylko po to, by na koniec uczynić ten tytuł bezużytecznym. Jak okrutnie!

Manolo był wściekły. Myślałam, że wmaszeruje prosto na podium i zamieni słowo z rektorem. Minerva zniosła to najlepiej z nas wszystkich. Powiedziała, że teraz będzie mieć więcej czasu dla rodziny. Sposób, w jaki spojrzała przy tym na Manola, każe mi się domyślać, że coś jest między nimi nie tak.

Niedziela wieczorem, 28 lipca
Ostatnia noc w stolicy

Sesja egzaminacyjna dobiegła końca i jutro powinnam wyruszyć z mamą do Ojo de Agua. Ale dziś rano plany się zmieniły: jako że nowy dom nie jest jeszcze wykończony, a w starym - do którego wprowadzili się już Dedé i Jaimito z chłopcami - byłoby nam ciasno, Minerva spytała mnie, czy nie zechciałabym przyjechać do niej i pomóc w prowadzeniu gospodarstwa. Manolo wynajął mały dom i nie będą musieli dłużej mieszkać z jego rodzicami. Wiem już, że przeżywają jakiś kryzys, więc zgodziłam się przyjechać.

Poniedziałek w nocy, 29 lipca
Monte Cristi

Podczas dzisiejszej podróży atmosfera była przeraźliwie napięta. Manolo i Minerva większość czasu rozmawiali tylko ze mną, chociaż zdarzały się momenty, gdy zaczynali coś omawiać zniżonymi głosami. Brzmiało to jak wskazówki dla poszukiwaczy skarbów czy coś w tym rodzaju. „Indianin ze wzgórza ma swoją pieczarę wyżej na końcu tej drogi”. „Orzeł uwił gniazdo w dziurze po drugiej stronie tej góry”. Tak bardzo cieszyłam się, że ze sobą rozmawiają, że bawiłam się z małą Minou na tylnym siedzeniu, udając głuchą.

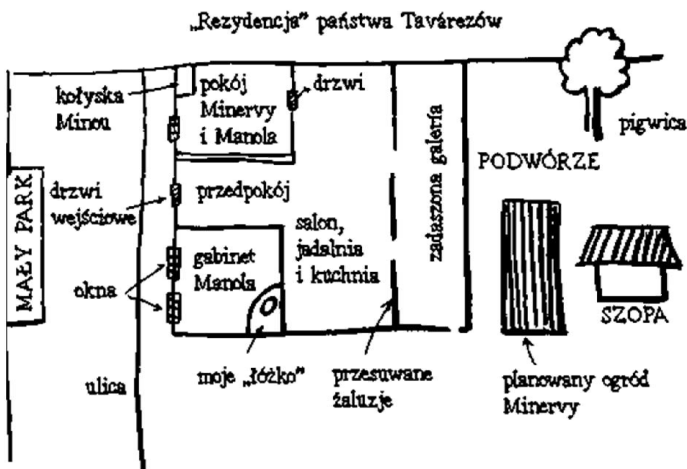
Dojechaliśmy do miasta wczesnym popołudniem i zatrzymaliśmy się przed tą małą c h a t k ą . Poważnie, nie jest nawet w połowie tak ładna jak ta na farmie, gdzie mieszkała w i a d o m a k o b i e t a , a

którą pokazała mi kiedyś Minerva.

Przypuszczam, że Manolo nie mógł zorganizować nic lepszego, biorąc pod uwagę, że są bez grosza.

Próbowałam nic zdradzać się ze swoim rozczarowaniem, żeby nie przygnębiać Minervy. Ale jakie ona zrobiła przedstawienie. Jakby to był jej wymarzony dom czy coś. Jeden, dwa, trzy pokoje - liczyła z wystudiowanym zachwycie. Dach z cynku tak dobrze się sprawdzi podczas deszczu. Jakie wielkie podwórze, w sam raz na ogród, a ta duża szopa z tyłu na pewno się przyda do przechowywania rzeczy.

Niestety, spektakl ominął Manola. Chwilę po tym, jak wypakował rzeczy z samochodu, odjechał. „Interesy” - powiedział, kiedy Minerva spytała, dokąd się wybiera.



Czwartek w nocy, 15 sierpnia
Monte Cristi

Manolo wciąż późno wraca do domu. Okna pokoju, w którym śpię, a który w ciągu dnia służy za gabinet, wychodzą na ulicę, więc zawsze wiem, kiedy przychodzi. Później z ich sypialni dochodzą podniesione

głosy.

Dziś wieczorem szyłyśmy z Minervą zasłony w największym pokoju, gdzie jest kuchnia, salon, jadalnia i wszystko inne. Zegar wybił ósmą, a Manola ciągle nie było. Nie wiem dlaczego, ale kiedy bije zegar, jeszcze mocniej odczuwa się czyjaś nieobecność.

Nagle usłyszałam rozdzierający szloch. Moja dzielna Minerva! Mogłam tylko zacząć płakać razem z nią.

Minou wyciągnęła rączkę ze swojego kojca, oferując mamie moją starą lalkę, którą jej oddałam.

- Okej - powiedziałam. - Wiem, że coś się dzieje. Inna kobieta, tak? - spróbowałam zgadnąć.

Minerva szybko pokiwiała głową. Zauważyłam, że drżą jej ramiona.

- Nienawidzę mężczyzn - oznajmiłam, głównie próbując przekonać samą siebie. - Naprawdę ich nienawidzę.

Niedziela po południu, 25 sierpnia
Boże, robi się gorąco w MC

Małżeństwo Manola i Minervy staje na nogi. Zajmuję się dzieckiem, żeby dać im czas dla siebie, a oni chodzą razem na spacer, trzymając się za ręce jak nowożeńcy. W niektóre noce wymykają się na spotkania, wtedy widzę światła w szopie. Zazwyczaj zabieram małą do rodziców Manola, gdzie spędzam czas z nimi i ich synami bliźniakami, a potem wracam do domu w towarzystwie jednego z nich, Eduarda. Zachowuję do niego dystans. Pierwszy raz w życiu postępuję tak w stosunku do wystarczająco miłego, wystarczająco przystojnego młodego mężczyzny. Jak powiedziałam, mam ich d o s y ć .

Sobota rano, 7 września

Nowe ciepłe uczucie pojawiło się w naszym małym domku. Tego ranka Minerva weszła do kuchni, żeby przygotować Manolowi *cafecito*, a na jej twarzy malowała się jakaś słodycz. Otoczyła mnie

od tyłu ramionami i wyszeptała do ucha:

- Dziękuję, Mate, dziękuję. Walka z powrotem nas do siebie zbliżyła. Ty nas zbliżyłaś.

- Ja? - Zdziwiłam się, chociaż równie dobrze mogłam spytać: „Jaka walka?”.

Sobota przed wschodem słońca, 28 września

To będzie długi wpis... Wreszcie przytrafiło mi się coś ważnego. Prawie nie zmrzyłam oka, a jutro - właściwie to dzisiaj, bo już prawie świta - wracam do stolicy, gdzie zaczynają się zajęcia. Mineerva ostatecznie przekonała mnie, że powinnam zdobyć stopień naukowy. Po tym jednak, co jej się przytrafiło, raczej nie mam złudzeń co do tego, jak się kończy studiowanie na uniwersytecie.

Tak czy inaczej, jak zawsze przed podróżą nie mogłam usnąć, przewracałam się z boku na bok, w myślach pakując i rozpakowując walizki. Musiałam w końcu zasnąć, bo znów miałam ten sen o papie. Tym razem po wyjęciu wszystkich części sukni ślubnej zajrzałam do trumny, gdzie znajomi mężczyźni jeden po drugim pojawiali się przed moimi oczami i znikali. Ostatnim był papa, ale gdy na niego patrzyłam, zaczął stopniowo blaknąć, aż trumna stała się pusta. Zerwałam się z łóżka, zapaliłam lampę i usiadłam, nasłuchując dziwnie ożywionego bicia własnego serca.

Niebawem okazało się, że to, co wzięłam za bicie serca, było desperackim pukaniem w okiennice. Usłyszałam nagłący szept:

- Otwórz!

Zebrałam się na odwagę i rozwarłam okno na oścież. Na początku nie mogłam dostrzec osoby stojącej na zewnątrz.

- Czego chcesz? - spytałam niezachęcającym tonem.

Mężczyzna się zawahał.

- Czy to nie jest dom Manola Taváreza?

- Manolo śpi. Jestem siostrą jego żony. Jak mogę ci pomóc? -

Teraz w smudze światła padającej z pokoju ukazała się najprzystojniejsza męska twarz, jaką kiedykolwiek widziałam. Zdawało mi się,

że przypominam ją sobie ze snu.

- Mam przesyłkę do doręczenia - powiedział. - Czy mogłabyś mnie wpuścić? - Kiedy to mówił, cały czas oglądał się przez ramię na samochód stojący tuż przed frontowymi drzwiami.

Nie zastanawiałam się długo. Pobiegłam do przedpokoju, odrygłowałam drzwi i otworzyłam je w samą porę, by mógł wtaszczyć do holu długą drewnianą skrzynię wyniesioną z przyczepy samochodu. Szybko zamknęłam drzwi i ruchem głowy wskazałam gabinet. Wniósł skrzynię do środka, rozglądając się wokół za miejscem, gdzie można by ją schować.

Ostatecznie zdecydowaliśmy się na przestrzeń pod łóżkiem polowym, na którym spałam. Jeszcze w trakcie naszych działań dziwiłam się sama sobie, jak łatwo dałam się zaangażować w misję tego obcego człowieka, nie wiedząc nawet, na czym polegała.

Potem pytał mnie o najdziwniejsze rzeczy. Czy jestem małą siostrzyczką Motyla? Powiedziałam mu, że jestem siostrą Minery. Zauważ, że pominęłam „małą”.

Patrzył na mnie badawczo, próbując o czymś zdecydować.

- Nie jesteś jedną z nas, prawda?

Nie wiedziałam, jakich „nas” ma na myśli, ale w jednej chwili zrozumiałam, że chcę być częścią wszystkiego tego, co on.

Kiedy wyszedł, nie mogłam spać - myślałam o nim. Beształam się za to, że nie sprawdziłam, czy nosi obrączkę. Wiedziałam jednak, że nawet gdyby był żonaty, nie zrezygnowałabym z niego. Właśnie wtedy zaczęłam wybaczać papie.

Przed chwilą wstałam i wyciągnęłam tę ciężką skrzynię spod łóżka. Była zabita gwoździami, ale z jednej strony udało mi się lekko uchylić pokrywę. Przysunęłam bliżej lampę i zajrzałam do środka. Prawie ją upuściłam, kiedy zrozumiałam, na co patrzę - wystarczająco dużo pistoletów, żeby zacząć rewolucję!

Poranek - niedługo wyjeżdżam...

Manolo i Minerva wszystko mi wyjaśnili.

Formuje się narodowe podziemie. Wszystkim i wszystkiemu nadano kryptonimy. Manolo to Enriquillo, na cześć wielkiego wodza Indian Taino, a Minerva to oczywiście Motyl. Gdybym powiedziała: „tenisówki”, wiedziałbyś, że mówimy o amunicji. „Ananasy” na piknik to granaty. Koziół musi umrzeć, żebyśmy zjedli go podczas pikniku. (Rozumiesz? To jak sekretny język).

Po całej wyspie porzucane są grupy. Okazuje się, że Palomino (mężczyzna, którego poznałam w nocy) jest inżynierem wykonującym projekty w całym kraju, więc naturalną koleją rzeczy to on dostarcza przesyłki między grupami.

Od razu powiedziałam Minervie i Manolowi, że chcę się przyłączyć. Czulałam, jak od całego tego podekscytowania skraca mi się oddech, ale ukryłam to przed siostrą. Bałam się, że zaraz będzie chciała mnie chronić i powie, że byłabym równie pomocna, szyjąc bandaże i wkładając je do skrzyń z zaopatrzeniem, później zakopywanych w górach. Nie chcę być więcej traktowana jak dziecko. Chcę być godna Palomina. Nagle wszyscy znani mi chłopcy, z ich miękkimi dłońmi i łatwym życiem, wydają mi się podobni do ładnych lalek, z których wyrosłam i które przekazałam Minou.

Poniedziałek rano, 14 października
Stolica

Straciłam całe zainteresowanie studiami. Chodzę na zajęcia tylko po to, żeby zachować przykrywkę studentki drugiego roku. Moją prawdziwą tożsamością jest teraz Motyl (numer 2), czekający we dnie i w nocy, o każdej godzinie na kontakt z północy.

Wyprowadziłam się od dońi Chelito, wymawiając się tym, że potrzebuję więcej prywatności, by oddać się pracy. Tak naprawdę nie jest to kłamstwo, tyle że wykonywana przeze mnie praca nie jest tą, o której ona pomyślała. Moja komórka przydzieliła mnie razem z Sonią, też studentką uniwersytetu, do mieszkania znajdującego się nad lokalnym sklepikiem. Jesteśmy punktem koncentracyjnym, co oznacza, że przesyłki przychodzące do stolicy z północy są dostarczane

tutaj. A zgadnij, kto je przynosi? Mój Palomino. Jaki był zaskoczony za pierwszym razem, kiedy zapukał, a ja otworzyłam drzwi!

Mieszkanie znajduje się w skromnej części miasta, gdzie mieszkają biedniejsi studenci. Myślę, że niektórzy z nich domyślają się, co Sonia i ja robimy, i dlatego trzymają się od nas z daleka. Na pewno są i tacy, którzy posądzają nas o najgorsze, o co można posądzić dwie kobiety goszczące mężczyzn o każdej porze dnia i nocy. Zawsze każę im zostawać na czas *cafecito*, by sprawiać wrażenie, że są prawdziwymi gośćmi. Przychodzi mi to zupełnie naturalnie. Zawsze lubiłam mężczyzn -gościć ich, poświęcać im uwagę, słuchać, co mają do powiedzenia. Teraz mogę użyć swoich talentów na potrzeby rewolucji.

Ale interesuje mnie tylko jeden z nich, mój Palomino.

Wtorek wieczór, 15 października

Cóż za sposób na spędzenie dwudziestych drugich urodzin!

(Gdyby tylko Palomino przyjechał dziś z przesyłką).

Byłam trochę markotna, przyznaję. Sonia przypomina mi, że musimy się poświęcać dla rewolucji. Dziękuję, Soniu. Jestem pewna, że to pojawi się w mojej *critica* na końcu miesiąca. (Boże, wydaje się, że zawsze mam obok siebie jakąś Minervę będącą lepszą osobą niż ja).

W każdym razie muszę zapamiętać ten schemat, zanim spalimy wzorzec:

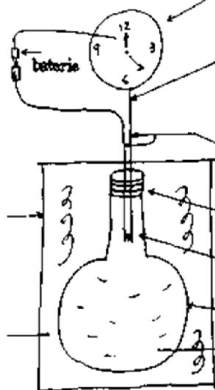
Kiedy wskazówka
minutowa wykona
pełne okrążenie,
przewód nagrzej się
i podпали proch
strzelniczy oraz
benzynę, co spowoduje
eksplozję.

Jeden z drutów przyintowany jest do
górnjej wskazówki, żeby mogła się obracać.

Ten drut powinien być połączony --
od tyłu -- ze wskazówką godzinową,
ponieważ pozwala ustawić maksymalne
opóźnienie zapłonu na jedną godzinę.
Unikać kontaktu z metalem, bo to
zamyknełoby obieg, co jest zadaniem
wskazówki minutowej.

puszka -- uszczelniona
woskiem

benzyna najwyższej
jakości (dodać gazu
do zapalniczki,
by zagwarantować
zapalność)



drut miedziany -- cienki

korek -- uszczelniony woskiem

przewód grzejny (0,06 mm -- 0,14 mm)

lekka butelka

proch strzelniczy -- wysokiej jakości

Czwartek w nocy, 7 listopada

Dzisiaj miałyśmy niespodziewanego gościa. Byłyśmy w trakcie tworzenia schematów dołączanych do zestawów bomb („nakrętek”), kiedy usłyszałyśmy pukanie do drzwi. Wierz mi, obie z Sonią podskoczyłyśmy, jakby wybuchł jeden z papierowych pocisków. Mamy ustaloną drogę ewakuacyjną, która prowadzi przez tylne okno, ale Sonia zachowała zimną krew i spytała: „Kto tam?”. A była to doña Hita, nasza właścicielka, która wpadła na krótką wizytę.

Poczułyśmy taką ulgę, że nie pomyślałyśmy o tym, by sprzątnąć schematy ze stołu. Ciągle się martwię, że mogła zauważyć, co robimy, ale Sonia mówi, że ta kobieta ma na myśli inny rodzaj nielegalnej działalności. Napomknęła, że gdybyśmy kiedykolwiek miały kłopoty, zna kogoś, kto może nam pomóc.

Cała poczerwieniałam, więc doña Hita na pewno zachodziła w głowę, jak taka sam-wiesz-kto może być tak zawstydzona na wzmiankę o sam-wiesz-czym!

Czwartek wieczór, 14 listopada

Palomino pojawia się c z ę s t o i nie zawsze ma ze sobą przesyłkę do doręczenia. Rozmawiamy i rozmawiamy. Sonia zawsze przeprosza i wychodzi, żeby załatwić jakąś pilną sprawę. Jest naprawdę o wiele miłszą osobą, niż początkowo sądziłam. Dzisiaj zostawiła nam arroz con leche w - ekhm, ekhm! - jednej małej misce. A jak wiadomo, poślubi się osobę, z którą się podzieli tym deserem.

Śmieszna historia. Doña Hita wpadła na schodach na Palomina i nazwała go Don Juanem! Założyła, że jest naszym opiekunem, bo to on pojawia się u nas najczęściej. Śmiałam się, kiedy mi to opowiadał, ale twarz mi płonęła na samą myśl. Nie rozmawialiśmy jeszcze o naszych uczuciach do siebie.

Nagle stał się zupełnie poważny i te piękne piwne oczy zaczęły się przybliżać. Pocałował mnie, na początek delikatnie i zapoznawczo...

O Boże, jestem taka zakochana!

Sobota w nocy, 16 listopada

Palomino znów mnie dziś odwiedził. W końcu zdradziliśmy sobie nasze prawdziwe imiona, chociaż myślę, że on znał moje.

Leandro Guzmán Rodríguez - jak to ładnie brzmi. Potem każde z nas długo opowiadało drugiemu o swoim życiu. Położyliśmy je obok siebie i przyglądaliśmy się im.

Okazuje się, że jego rodzina pochodzi z San Francisco, niedaleko od miejsca, gdzie mieszkałam z Dedé, kiedy kończyłam szkołę podstawową. Cztery lata temu przyjechał do stolicy, żeby skończyć doktorat. To dokładnie wtedy, kiedy ja przyjechałam, by zacząć swoje studia! Musieliśmy tańczyć obok siebie na Festiwalu Merengue w 1954 roku. On tam był, ja tam byłam.

Usiedliśmy zdumieni. Wtedy nasze ręce się spotkały i dłoń przylgnęła do dłoni, splatając ze sobą drogi naszego życia.

Niedziela w nocy, 1 grudnia

Palomino został na noc - oczywiście na połowym łóżku

w „zbrojowni”! Nie mogłam zmrużyć oka, mając świadomość, że przebywamy pod jednym dachem.

Zgadnij, czyje imię zapisane na kartce nosiłam w prawym bucie przez cały dzień?

Nie przyjedzie teraz przez kilka tygodni - będzie trenował w górach, coś w tym rodzaju, nie za bardzo może powiedzieć. Potem dostarczy nam ostatnią przesyłkę. Przed końcem miesiąca musimy opuścić to miejsce. W okolicy było zbyt wiele nalotów i Manolo się martwi.

À propos: zbrojownię zaczęłyśmy nazywać pokój, w którym przechowujemy wszystkie przesyłki i w którym, przy okazji, trzymam ciebie, wciśniętego między belkę a futrynę drzwi. Lepiej, żebym cię nie zapomniała, kiedy będziemy się wyprowadzać. Już widzę doñę Hitę, jak cię znajduje, otwiera, myśląc, że odkryje całą listę moich klientów, a zamiast tego - Boże, przebacz! - jej wzrok pada na schemat bomby. Może pomyślałaby, że to jakiś rodzaj wynalazku do przeprowadzania aborcji!

Po raz setny w ciągu ostatnich kilku miesięcy zastanawiam się, czy powinnam cię spalić.

Niedziela po południu, 15 grudnia

Ten weekend był trudniejszy niż ostatnie dwa miesiące razem wzięte. Jestem zbyt zdenerwowana, by pisać. Palomino nie pojawił się, jak się spodziewałam, i nie mam z kim o tym porozmawiać, ponieważ Sonia wyjechała już do La Romana. Za kilka dni wybieram się do domu, a wszystkie przesyłki muszą zostać dostarczone i odebrane, zanim wyjadę.

Przypuszczam, że zaczynam panikować. Wszystko szło jak z płatka przez tyle miesięcy i jestem pewna, że teraz coś się wydarzy. W mojej głowie wciąż pojawia się myśl, że doña Hita doniosła władzom o schemacie, który zostawiłyśmy na widoku, kiedy zaskoczyła nas wizytą. Potem martwię się, że Sonię aresztowano, gdy opuszczała miasto, a ja zostanę schwytaana po tym, jak dojdzie

ostatnia przesyłka.

Jestem kłębkim nerwów. Nigdy nie udaje mi się być dzielną, kiedy zostaję zupełnie sama.

Poniedziałek rano, 16 grudnia

Nie spodziewałam się wczoraj Palomina, kiedy więc usłyszałam samochód zatrzymujący się przed budynkiem, pomyślałam: „TO ONI!”. Byłam gotowa uciekać tylnym oknem, z pamiętnikiem w dłoni, ale Bogu dzięki, najpierw podbiegłam do frontowego, żeby się upewnić. To był on! Skacząc po dwa stopnie naraz, wybiegłam na ulicę i zaczęłam go przytulać i całować, jakbym była taką kobietą, za jaką biorą mnie sąsiedzi.

Skrzynie, które przywiózł, ułożyliśmy w zbrojowni, a potem staliśmy przez chwilę z dziwnym smutkiem w oczach. Dzieło zniszczenia, na które patrzyliśmy, klóciło się z tym, co było w naszych sercach. To wtedy wyznał mi, że nie podobała mu się myśl o mnie samej w mieszkaniu. Każdą chwilę spędzał, martwiąc się o mnie tak bardzo, że nie mógł z wystarczającą czujnością oddawać się sprawom rewolucji.

Moje serce drgnęło, gdy to powiedział. Przyznaję, że dla mnie miłość jest większa od walki, a może raczej miłość jest większą walką. Nigdy nie potrafiłabym zrezygnować z Leandra dla jakiegoś wyższego ideału, tak jak, mam wrażenie, zrobiliby Minerva i Manolo, gdyby musieli dokonać największego poświęcenia. Dlatego ostatniej nocy dotknęło mnie, och, jak głęboko, gdy powiedział, że on czuje tak samo.

1958

*Święto zakochanych, 14 lutego
Pochmurny poranek, jest nadzieja na deszcz.*

*Błogosławieństwa w moim małżeńskim łóżu, jak zawsze mówi
mama.*

Doña Mercedes Reyes Viuda Mirabal
ogłasza ślub swojej córki
Marii Teresy Mirabal Reyes

z

Leandrem Guzmánem Rodríguezem

synem

don Leandra Guzmána i doñi Any Rodríguez de Guzmán

14 lutego

roku Pańskiego 1958

dwudziestego ósmego roku Ery Trujillo

o czwartej po południu

w kościele Świętego Jana Ewangelisty

w Salcedo

Motyl i Palomino - teraz!

María Teresa i Leandro - na zawsze!

Patria

1959

Zbuduj swój dom na skale, powiedział, czyni moją wolę. I chociaż spadnie deszcz, wzbiorą potoki i zerwą się wichry, dom dobrej żony się ostoi.

Zrobiłam tak, jak powiedział. W wieku szesnastu lat wyszłam za mąż za Pedrita Gonzáleza i osiedliliśmy się na resztę naszego życia. Albo tak mi się zdawało przez osiemnaście lat.

Mój syn wyrósł na mężczyznę, ciało mojej córki stało się długie i smukłe, podobne do mimozy kwitnącej na końcu drogi. Pedrito zyskał ogólne poważanie, stał się ważnym człowiekiem w okolicy. A ja, Patria Mercedes? Jak każda kobieta przywiązana do swojego domu rozplynęłam się w tym, co kochałam, czasem wrywając się na północ, żeby zaczerpnąć powietrza. Całonocna samotna podróż do koleżanki, inaczej ułożone włosy, czasem żółta sukienka - takie rzeczy mam na myśli.

Tak, zbudowałam swój dom na skale.

Czy raczej pradziadek Pedrita zbudował go ponad sto lat temu, po jego śmierci zamieszkał w nim najstarszy syn i tak z pokolenia na pokolenie. Ale Patria Mercedes prawdziwie była w tych belkach, w tych zgrabnie wykończonych naświetlach, w tych szerokich deskach na podłodze i w skrzypiących drzwiach otwierających się na starych zawiasach.

Moje siostry były tak inne! Pobudowały swoje domy na piasku i nazywały ten brak równowagi przygodą.

Minerva mieszkała w mizernym - jak go opisała Mate - domku, w zapomnianym przez Boga mieście Monte Cristi. To cud, że jej dzieci nie poumierały na infekcje.

Mate i Leandro w pierwszym roku małżeństwa zmieniali miejsce zamieszkania już dwa razy. Nazywają siebie najemcami - miejskim określeniem skwaterów, którym tak współczujemy tutaj, na wsi.

Dedé i Jaimito stracili wszystko tak wiele razy, że trudno nadażyć za ich częstymi przeprowadzkami. Teraz mieszkają w naszym starym domu w Ojo de Agua, podczas gdy mama wybudowała sobie nowoczesny wiejski domek przy głównej drodze do Santiago, z aluminiowymi żaluzjami w oknach i wewnętrzną łazienką - nazywaną przez nią „pokojem sanitarnym”.

Co do mnie, Patrii Mercedes, jak już mówiłam - osiedliłam się na całe życie w swoim solidnym, wzniesionym na skale domu. I upłynęło osiemnaście lat.

W osiemnastym roku małżeństwa grunt mojej pomyślności zaczął nieznacznie usuwać mi się spod nóg. Tylko tak, jak oddech niemowlęcia powoduje ruch powietrza albo jak można zauważyć pęknięcie włosa - rzecz niemal niemożliwa, chyba żeby doszukiwać się problemów.

W sylwestra zgromadziliśmy się w nowym domu mamy w Comico - siostry i wszyscy mężowie, pierwszy raz od ślubu Marii Teresy, który odbył się w lutym tego roku. Zostaliśmy do późna, bardziej niż Nowy Rok świętując to, że jesteśmy razem. Żeby nie martwić mamy, nie wspominaliśmy o polityce. Również dlatego, że ostatnio Jaimito stanowczo zabronił Dedé pakowania się w kłopoty, które najwyraźniej chcieli ściągnąć na siebie Minerva i pozostali.

Mimo to wszyscy modliliśmy się o zmianę w nadchodzącym roku. Sprawy przybrały zły obrót do tego stopnia, że nawet ludzie, którzy, tak jak ja, nie chcieli mieć nic wspólnego z polityką, myśleli o niej

cały czas. Mnie do zmierzenia się z rzeczywistością zmusiło niedawne wejście w dorosłość mojego syna. Powierzyłam go Bożej opiece, poprosiłam też świętego Józefa i Niepokalaną, by na niego uważali, ale mimo to ani na chwilę nie przestawałam się martwić.

Było po pierwszej w nocy, kiedy Pedrito, Noris i ja zaczęliśmy się szykować do powrotu. Nelson został u babci, mówiąc, że chce oddać się przyjemności noworocznej rozmowy ze swoim wujostwem. Kiedy jechaliśmy do domu, zobaczyłam światło w oknie młodej wdowy i zrozumiałam, że rozmowa nie będzie jedyną przyjemnością, jakiej odda się dziś mój syn. Plotka niesie, że zasiewa nie tylko pole swojego ojca. Poprosiłam Pedrita, żeby porozmawiał z Nelsonem, ale wiadomo, jacy są mężczyźni. Jest dumny z syna, że okazał się macho, jeszcze zanim stał się dorosłym mężczyzną.

Przespaliśmy nie więcej niż kilka godzin, gdy sypialnię zalało światło. Najpierw pomyślałam, że to zstępujące anioły z płonącymi mieczami jaśniejącymi w dłoniach, wzniczające potężnymi skrzydłami wszystko naokoło. Kiedy jednak się dobudziłam, zdałam sobie sprawę, że to samochód ze światłami skierowanymi w okno naszej sypialni.

Ay, Dios mio! Obudziłam Pedrita szturchnięciem i wyskoczyłam z łóżka, przerażona, że coś się stało Nelsonowi. Mój mąż uważa, że jestem przesadnie opiekuńcza, ale od czasu, gdy trzynaście lat temu straciłam dziecko, najbardziej boję się, że będę musiała złożyć w ziemi kolejne. Myślę, że nie potrafiłabym po raz drugi sobie z tym poradzić.

To byli Minerva, Manolo, Leandro i, tak, Nelson - wszyscy bardzo pijani. Z trudem powstrzymywali podekscytowanie do momentu wejścia do środka. Okazało się, że nastavili Radio Rebelde, by posłuchać noworocznych wiadomości, i powitało ich triumfalne ogłoszenie. Fulgencio Batista uciekł! Fidel, jego brat Raúl i Ernesto, którego nazywają Che, wkroczyli do Hawany i uwolnili kraj. *Cuba libre! Cuba libre!*

Minerva zaczęła śpiewać nasz hymn, a pozostali jej zawtórowali. Próbowalam ich uciszać, ale otrzeźwieli dopiero wtedy, kiedy przy-

pomniałam im, że my nie jesteśmy jeszcze libre. Koguty już piał, gdy wyszli, by głosić nowinę wśród przyjaciół z okolicy. Nelson chciał iść z nimi, lecz postawiłam na swoim. W przyszłym roku, kiedy skończy osiemnaście lat, będzie mógł przebywać poza domem aż do zbiorów kakao, a do tego czasu... Był zbyt zmęczony, by się kłócić. Zaprowadziłam go do pokoju i jakby wciąż był dzieckiem, rozebrałam i otuliłam do snu.

Pedrito jednak ciągle chciał świętować. A kiedy ogarną go silne emocje, zna tylko jeden sposób na ich wyrażenie, o ile jestem w pobliżu.

Posiadł mnie, ale upłynęło kilka tygodni, nim coś mnie tknęło. Lubię jednak myśleć, ze względu na to, że moje cykle ustały w styczniu, iż Raúl Ernesto rozpoczął swoją niestrudzoną batalię o przyjsie na świat pierwszego dnia tego pełnego nadziei nowego roku.

Kiedy powiedziałam Pedritowi, że spóźniam się już dwa miesiące, odparł:

- Myślisz, że to możliwe, abyś przechodziła tak wcześnie zmianę? - Tak jak wspomniałam, od trzynastu lat nie przynosiłam owocu. - Pozwól, że tam pójde i zobaczę, co znajdę - dodał, prowadząc mnie za rękę do naszej sypialni. Nelson wyszczerzył zęby w uśmiechu. Rozumiał już, na czym polegają sjesty.

W ten sposób upłynął następny miesiąc bez krwawienia.

- Pedrito - powiedziałam - jestem w ciąży. Wiem to na pewno.

- Jak to się mogło zdarzyć, *mami*? - droczył się. - Jesteśmy gotowi na wnuki.

Wskazał na dorosłego syna i córkę, którzy grali w domino, podsłuchując nasze sekrety.

Noris poderwała się z krzesła.

- *Ay, mami*, czy to prawda?

Czternasto-, a wkrótce piętnastolatka, w końcu wyrosła z lalek i miała przed sobą dwa, trzy, kto wie, może dziesięć lat, zanim pojawi się jej własne potomstwo. (Jak te kobiety dziś czekają, wystarczy

spojrzeć na Minervę!). Ale Noris była taka jak ja, chciała się czemuś oddać, a w swoim trudnym wieku wyobrażała sobie, że tym czymś mogą być tylko dzieci.

- Dlaczego nie sprawisz sobie własnego? - dokuczał jej Nelson, szturchając siostrę, chociaż mówiła mu już tysiąc razy, że szturchanie ją boli. - Może Marcelino chce zostać tatusiem?

- Przestań! - zakwiliła Noris.

- Przestań - przedrzeźniał ją. Czasami zastanawiałam się, jak mój syn mógł być z kobietą, a potem wracać do domu i tak niechlubnie dręczyć siostrę.

Pedrito popatrzył gniewnie.

- Jeśli ten Marcelino się do ciebie zbliży, nawet się nie zorientuje, kiedy oberwie.

- Pomóżcie mi wybrać imię - zaproponowałam, żeby odwieść ich od głupiej kłótni.

Spojrzałam w dół na swój brzuch, jakby nasz Pan mógł wypisać imię na mojej bawełnianej podomce. I nagle zdało mi się, że przemawia moimi ustami. Sama z siebie nigdy nie pomyślałabym o nazwaniu swojego syna na cześć rewolucjonisty.

- Ernesto - powiedziałam. - Nazwę go Raúl Ernesto.

- Ernesto? - Noris się skrzywiła.

Za to Nelson się rozpromienił, co mnie zirytowało.

- Będziemy mówić na niego zdrobniale „Che”.

- Che! - powtórzyła Noris, wybierając mniejsze zło. - Ale co to za imię?

Jak powiedziałam, to sam Bóg musiał przeze mnie przemówić, bo wtedy jeszcze się bałam. Nie o siebie, tylko o tych, których kochałam. Czasem byłam chora ze strachu o swoje siostry, Minervę i Mate, ale teraz, gdy mieszkały daleko, zasłaniałam słońce palcem i postanawiałam nie widzieć otaczającego mnie zewsząd światła. O Pedrita się nie martwiłam. Wiedziałam, że jedną rękę zawsze będzie trzymał w swojej ziemi, a drugą na mnie. Nie zabrnąłby daleko w kłopoty,

gdybym z nim nie poszła. Ale mój syn, mój pierworodny!

Bóg widzi, że próbowałam go osłonić. Bez skutku. Ciągłe włączył się za swoim *tio* Manolem i nowym *tio* Leandrem, światowymi mężczyznami, którzy studiowali na uniwersytecie i imponowali mu bardziej niż jego mieszkający na wsi ojciec. Kiedy tylko miał okazję, jechał do stolicy, „żeby zobaczyć *tia* Mate i małą Jacqueline”, albo do Monte Cristi, „żeby odwiedzić *tia* Minervę, Minou i nowo narodzonego Manolita”. Tak, wschodził nowy plon Mirabalów. To było drugie możliwe wyjaśnienie mojej ciąży - sugestia. Ostatecznie, zawsze kiedy przez jakiś czas przebywałyśmy z siostrami pod jednym dachem, miałyśmy cykle zsynchronizowane jak zegarki.

Znałam swojego syna. Teraz chciał się stać mężczyzną poza sypialnią, gdzie już się sprawdził. Z tego, co zrozumiałam, wdowa mogłaby otworzyć szkołę. Ale nie miałam jej niczego za złe, bynajmniej. Delikatnie przeprowadziła mojego syna z chłopięctwa w męstwo, a była to jedna z rzeczy, których matka prawdopodobnie nie potrafi zrobić.

Pomyślałam więc o tym, w jaki sposób Nelson mógłby być w stolicy pod nadzorem, tak by nie był puszczony samopas z kobietami albo swoimi zbuntowanymi wujami. Zwróciłam się do ojca de Jesús Lópeza, naszego nowego księdza, który obiecał spytać ojca Fabręgo, czy dałoby się zapisać Nelsona do Santo Tomás de Aquino w stolicy. Było to seminarium, które jednak nie nakładało obowiązku wstępowania w szeregi duchowieństwa.

Na początku Nelson nie chciał iść do „szkoły dla maminsyneków, którzy pragną zostać księżmi”, ale parę tygodni przed rozpoczęciem zajęć, gdy przyszła pora obsiać pola juki, zmienił nastawienie. Lepiej jest opuścić ogrody rozkosznych przyjemności, niż być zmuszonym sadzić rośliny od świtu do zmierzchu. Poza tym mógłby spędzać wolne weekendy w domu swojej cioci Marii Teresy i wujka Leandra.

Nie mówiąc o tym, że niektórzy z tych przyszłych księży okazali się wcale nie maminsynkami. Rozprawiali o *pudenda** i *cunnilingus*, jakby mówili o ciele i krwi Chrystusa. Skąd wiem? Pewnego dnia Nelson po powrocie do domu zadał mi pytanie, co znaczą te słowa,

przekonany, że pochodzą z języka liturgii.

* *Pudenda* (łac.) - zewnętrzne narządy płciowe kobiet.

Młodzi ludzie w tych czasach nie zawracają sobie głowy łaciną.

Następnym, najtrudniejszym ze wszystkich krokiem było przekonanie jego ojca. Pedrito nie rozumiał, dlaczego mielibyśmy wydawać pieniądze na mieszczącą się w stolicy szkołę z internatem.

- Najlepszą szkołę ma tu, ze mną, ucząc się o swoim *patrimonio***.

** *Patrimonio* (hiszp.) - dziedzictwo.

Nie miałam serca, by zasugerować, że nasz syn może nie zechcieć zostać farmerem jak jego ojciec. Ostatnio Nelson zaczął wspominać mi o tym, że wybiera się na uniwersytet.

- Tylko na rok, papi - błagałam. - To będzie dobre zwieńczenie jego edukacji. Poza tym - dodałam - teraz seminarium jest dla niego najlepszym miejscem.

To była prawda. Johnny Abbes García, szef Wojskowych Służb Wywiadowczych, łapał młodych mężczyzn na ulicach, farmach i w biurach, jak Herod małych chłopców w całej Judei. Kościół, ze względu na to, że odmawiał angażowania się w sprawy doczesne, pozostał jedynym azylem.

Pedrito skrzyżował ręce na piersi i poszedł na swoje pola kakaowców. Widziałam, jak przechadza się między drzewami. Szedł tam zawsze, gdy chciał się nad czymś zastanowić, tak jak ja muszę upaść na kolana, żeby poznać, co kryje się w mojej własnej głowie. Wrócił, stanął w drzwiach z dłońmi wspartymi o futrynę zbudowaną ponad sto lat temu przez jego pradziadka i pokiwał głową.

- Może jechać.

I wskazując gestem na rozciągające się za jego plecami zielone pola, które uprawiali przed nim jego pradziadek, dziadek i ojciec, dodał:

- Jeśli ta ziemia nie potrafi go zatrzymać, ja nie zmuszę go, by został.

Dzięki życzliwej pomocy ojca de Jesúsa we wrześniu tego roku Nelson rozpoczął naukę w Santo Tomas de Aquino. „Z dala od

krzywdy” - pomyślałam.

Przez chwilę mogło się wydawać, że oboje jesteśmy bezpiecznie ukryci za sprawą bożej miłości.

Potem ogarnęła mnie panika. Około Wielkanocy mój Nelson zaczął opowiadać, jak to zamierza dołączyć do wyzwolicieli, kiedy - jak fama niesie - inwazja z Kuby uderzy o nasze brzegi.

Posadziłam go przed sobą i przypomniałam, czego uczyli nas ojcowie Kościoła: Bóg o wszystko zadba.

- Obiecaj mi, że będziesz się trzymał z dala od kłopotów! - Kłęczałam przed nim na kolanach. Nie mogłam znieść myśli, że stracę syna. - *Por Dios* - błagałam.

- *Ay*, mamó, nie martw się! - Patrzył na mnie zmieszany, pochylając głowę. Dał mi jednak nieprzekonującą obietnicę, że będzie unikał kłopotów.

Mimo to martwiłam się nieustannie. Poszłam do ojca de Jesúa po radę. Dopiero co ukończył seminarium i był pełen nowych pomysłów. Może będzie umiał wytłumaczyć wszystko w języku młodzieży, którym mogłabym przemówić do rozsądku synowi.

- *Padre* - powiedziałam, całując krucyfiks, który mi podał - czuję się zagubiona. Nie wiem, czego Bóg od nas oczekuje w tych trudnych czasach.

Nie śmiałam być zbyt krytyczna. Wszyscy wiedzieliśmy, że niejeden ksiądz donosi WSW, jeśli powie się coś przeciw reżimowi.

Mimo to nie porzuciłam Kościoła, tak jak zrobiły Minerva i María Teresa. Od czasu, kiedy miałam wizję Niepokalanej, wiedziałam, że Duch Święty jest blisko, a kościoły to jedynie szklane domy czy też stacje na naszej drodze przez to kamieniste życie. Dom Ojca był natomiast rezydencją wielką jak samo niebo i trzeba było tylko rzucać w okno małe kamyki prósb: „Otwórz! Pomóż mi, Boże!”, by zostać wpuszczonym do środka.

Padre de Jesús nie wyrecytował mętnych zapewnień i nie posłał mnie do domu, poklepawszy po głowie. Nic z tych rzeczy. Widziałam,

jak cierpiał w duchu, kiedy stojąc przede mną, zdjął okulary i pole-
rował je tak długo, jakby w ogóle nie dało się ich oczyścić.

- Patrio, moje dziecko - powiedział, co wywołało uśmiech na
mojej twarzy, bo nie mógł być więcej niż pięć, sześć lat starszy od
mojego Nelsona. - Musimy czekać. Musimy się modlić. - Spojrzał mi
w twarz. - Ja też jestem zagubiony, więc nie mogę wskazać ci drogi.

Dygotałam, jak od wiatru, który wpada do zakrystii i wprawia w
migotanie świece wotywny. Szczerłość tego księdza dotknęła mnie
bardziej niż zapewnienia. Uklękliśmy w tym małym, nagrzanym od
słońca probostwie i modliliśmy się do Niepokalanej. Była cały czas
przy Jezusie, dopóki nie powiedział jej wprost: „Matko, muszę zająć
się sprawami mojego Ojca”. A ona pozwoliła mu odejść, choć to
złamało jej serce, bo mimo że był Bogiem, wciąż był też jej synem.

Nabierałam odwagi. Zbliżałam się do niej powoli niczym chodzący
bokiem krab, najlepszą dla siebie drogą - pomagając przy małych
rzeczach.

Wiedziałam, że Minerva, Manolo i Leandro szykują coś wielkiego.
Nie miałam pewności co do zaangażowania Marii Teresy, która
utknęła w domu ze swoją nowo narodzoną córeczką Jacqueline. Jeśli
chodzi o pozostałych, wyczuwałam to w pełnej napięcia ciszy, która
zapadała, kiedy zjawiałam się podczas jednej z ich rozmów. Nie
zadawałam pytań. Przypuszczam, że bałam się tego, czego mogę się
dowiedzieć.

Wtedy jednak Minerva przyszła do mnie ze swoim sześciomie-
sięcznym Manolitem, prosząc, żebym się nim zaopiekowała.

- Zaopiekować się nim? - Ja, która ceniałam swoje dzieci wyżej
niż własne życie, nie mogłam uwierzyć, że moja siostra mogłaby z
jakiegokolwiek powodu porzucić syna. - Dokąd się wybierasz? -
spytałam zaniepokojona.

Zapadła znajoma, pełna napięcia cisza, po czym Minerva z waha-
niem, jakby upewniając się z każdym słowem, że nie mówi nic ponad
konieczność, wybąkała:

- Będę często w drodze. Raz w tygodniu pojawię się tu, żeby wziąć udział w pewnych spotkaniach.

- Ale Minervo, twoje własne dziecko... - zaczęłam, lecz wyczytałam z jej twarzy, że to poświęcenie, które uważała za konieczne, kosztowało ją wiele bólu. Dodałam więc: - Bardzo chętnie zaopiekuję się moim chrześniakiem!

Manolito uśmiechnął się i ufnie wtulił w moje ramiona. Jak wspaniale, że za pięć miesięcy będę tak samo trzymać w objęciach swoje dziecko. Wtedy właśnie powiedziałam Minervie, że jestem w ciąży i będę miała syna.

Tak bardzo cieszyła się z mojego szczęścia. Tak bardzo!

- Od kiedy jesteś jasnowidzem, że wiesz, że to syn? - zaciekawiała się po chwili.

Wzruszyłam ramionami. Podałam jej najlepszy powód, jaki przyszedł mi do głowy:

- Mam wybrane imię dla chłopca.

- Jak zamierzasz go nazwać?

Zrozumiałam, że wybrałam akurat tę przyczynę, by dać jej do zrozumienia, iż jestem z nią - nawet jeśli tylko duchem.

- Raúl Ernesto - odparłam, obserwując jej twarz.

Patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę i powiedziała, nie owijając w bawełnę:

- Wiem, że chcesz trzymać się z dala od kłopotów, i szanuję to.

- Jeśli przyjdzie taki czas... - zaczęłam.

- A przyjdzie - zapewniła.

Minerva i Manolo zaczęli co tydzień przyjeżdżać z Monte Cristi do Ojo de Agua, każdorazowo przemierzając prawie całą długość wyspy. Teraz, gdy zatrzymywano ich w drodze, mieli dobre wytłumaczenie dla swoich podróży. Mówili, że jadą do Conuco, do Patrii González, by odwiedzić chorowitego syna. W Monte Cristi było bardzo gorąco, niemal pustynnie, i doktor zalecił chłopcu zdrowsze powietrze.

Za każdym razem, kiedy tu byli, Leandro przyjeżdżał ze stolicy, a

kędzierzawy Nino i jego ładna żona Dulce - z San Francisco. Spotykali się z Cucą, Fafą i dziewczyną o imieniu Marién, chociaż czasami zwracali się do siebie inaczej, wymyślonymi imionami.

Potrzebowali miejsca do spotkań, więc zaproponowałam im naszą farmę. Na polanie, między kakaowcami a gajami bananów, pod krytym strzechą dachem Pedrito postawił kilka trzcinowych krzeseł i hamaków, żeby robotnicy mieli gdzie odpocząć lub odbyć sjęstę w gorącej porze dnia. Minerva i jej grupa przesiadywali tam godzinami, rozmawiając. Raz czy dwa, gdy zaczęło padać, zaprosiłam ich do środka, ale odmawiali, wiedząc, że z mojej strony była to tylko uprzejmość. Czułam dla nich wdzięczność za to, że oszczędzali mi ewentualnych kłopotów. Gdyby przyszli oficerowie WSW, Pedrito i ja zawsze mogliśmy przysiąc, że nie wiedzieliśmy nic o tych spotkaniach.

Problem pojawiał się, kiedy Nelson przyjeżdżał ze szkoły do domu. Zachodził tam, pragnąc brać udział we wszystkim, co knuli jego wujowie. Jestem pewna, że tylko z szacunku do mnie trzymali go z dala od swoich spraw. Robili to w taki sposób, by nie urazić dumy młodego mężczyzny. Traktowali go więc po koleżeńsku: posyłali po więcej lodu albo *cigarrillos*, prosili: „Nelson, *hombre*, czy nie mógłbyś zabrać samochodu do Jimmy'ego i zobaczyć, co jest nie tak z tą chłodnicą, bo jeszcze tej nocy musimy wrócić do stolicy?”. Pewnego razu wysłali biednego chłopaka aż do Santiago po baterie do krótkofalówki.

Kiedy wrócił, spytałam go:

- Co tam się dzieje, Nelson?

Wiedziałam, ale chciałam usłyszeć, ile on wie.

- Nic, mamo - odpowiedział.

W końcu ciężar powierzonej tajemnicy stał się dla niego nieznośny. Na początku czerwca postanowił mi się zwierzyć.

- Spodziewają się jej w tym miesiącu - wyszeptał. - Tak, inwazji!
- dodał, widząc wzruszenie na mojej twarzy.

Skąd ono się wzięło? Otóż mój Nelson do samego końca czerwca miał być w stolicy, z dala od krzywdy. Musiał dużo się uczyć, jeśli

chciał na czas skończyć szkołę i od jesieni uczęszczać na uniwersytet. Uknuliśmy własny spis, który musieliśmy trzymać w tajemnicy przed jego ojcem - aż do dnia poprzedzającego rozpoczęcie zajęć uniwersyteckich.

Teraz to ja miałam wyjechać. Mama nie mogła uwierzyć, kiedy spytałam, czy może przez te cztery dni zająć się Manolitem.

- Jak to, przecież za pięć miesięcy rozwiązanie - protestowała. - Nie powinnaś podróżować!

Wy tłumaczyłam, że jadę z ojcem de Jesúsem i grupą z Salcedo i że te rekolekcje są mi potrzebne do odnowienia wiary. Wybieraliśmy się na północ, do Constanzy. Powiedziałam, że górskie powietrze dobrze zrobi mojemu dziecku. Poza tym słyszałam, że droga jest porządna. Nie dodałam, od kogo (od Minervy) ani w jakich okolicznościach. Oddziały patrolowały całe pasmo Kordyliery, na wypadek gdyby potencjalni *guerrillas*, biorąc przykład z Kubańczyków, zechcieli się tam ukryć.

- *Ay*, Niepokalana, ty wiesz, dokąd prowadzisz moje córki. - Mama powiedziała tylko tyle. Pogodziła się z tym, że drogi jej pociech są dziwne, a wybory samowolne. I tak zajmie się Manolitem. Noris też.

Chciałam, żeby moja mała pojechała ze mną na rekolekcje, ale nie miało to sensu. Siostra Marcelina zaprosiła Noris na swoją *quinceañera* i za dużo było do zrobienia w najbliższych dniach. „Ale to dopiero za dwa tygodnie, *mi amor*” - namawiałam córkę. A zaprojektowałyśmy już i wykroiłyśmy jej sukienkę, kupiłyśmy satynowe pantofelki i sprawdziłyśmy, jak uczesze włosy. „*Ay, mami!* - zaskomlała. - *Por favor*”. Nie wiedziała, jak mogłam nie rozumieć, że przygotowania do przyjęć były ich najprzyjemniejszą częścią.

Jak bardzo różniła się ode mnie w jej wieku! Przede wszystkim mama wychowała nas w staromodny sposób i nie mogłyśmy chodzić na tańce aż do czasu *quinceaños*. Ja stosowałam nowoczesne metody: nie trzymałam córki w klatce, nie uczyłam ślepego posłu-

szeństwa. Wciąż jednak miałam nadzieję, że wykorzysta swoje skrzydła, by wzbić się bliżej boskiej postaci Błogosławionej Dziewicy, zamiast trzepotać nimi, krążąc wokół spraw niewartych jej uwagi.

Modliłam się o nią, ale podobnie jak wcześniej Pedrito swojemu synowi, musiałam dać jej wolność. Jeśli Niepokalana uznała, że to jeszcze nie czas, by moja mała uwielbiła Boga, ja na pewno nie byłam w stanie namówić jej na rekolekcje ze „starymi paniami” i „gromadą księży o brzydkim oddechu” (Panie, wybacz jej!).

Byłyśmy grupą około trzydziestu „dojrzałych” kobiet - jak nas określił ojciec de Jesús, niech go Bóg błogosławi. Zaczęłyśmy się spotykać kilka miesięcy wcześniej, żeby przedyskutować tematy, które poruszyły nas podczas czytania Ewangelii, i żeby wykonać chrystusową pracę w *bohíos* i *barríos*. Z czasem nadałyśmy sobie nawet nazwę: Chrześcijańska Grupa Kulturalna, i rozproszyłyśmy się po całym terenie Cibao. Czterech księży, w tym ojciec de Jesús, zapewniało nam duchowe przewodnictwo. Były to nasze pierwsze wspólne rekolekcje i bratu Danielowi udało się nakłonić braci z organizacji misyjnej Maryknoll, żebyśmy mogli skorzystać z ich domu w górach. Tematem rekolekcji było odkrywanie roli Marii w naszym życiu. Mimowolnie liczyłam na to, że z ust ojca de Jesús, brata Daniela lub któregoś z pozostałych duchownych padnie odpowiedź na moje pytanie, czego Bóg oczekuje ode mnie w tych trudnych czasach.

- Ha! Twój Kościół będzie milczał, aż nadejdzie królestwo - prowokowała mnie zawsze Minerva. Religia stała się ostatnio jedyną moją własnością, z której nie chciała ani kawałka. - Ani piśnie, żeby pomóc uciśnionym.

Co mogłam powiedzieć, skoro sama też dbałam przede wszystkim o własną skórę. Napisałam list do ojca Fabręgo w Santo Tomas.

Drogi Ojcze,

*pozdrowienia w imieniu Pana przesyła matka jednego z
Ojca podopiecznych, kończącego teraz czwarty rok, Nel-
sona Gonzáleza - chłopca zdolnego, jak Ojciec sam napisał*

w ostatnim raporcie, ale niecelującego w samokontroli. Abym mogła mieć pewność, że uczy się pilnie i trzyma z dala od kłopotów, proszę, by Ojciec nie pozwalał mojemu synowi opuszczać murów szkoły, chyba że na wyjazd do domu. Jest chłopcem ze wsi, nienawykłym do pokus miasta, i nie chciałabym, żeby wplatał się w złe towarzystwo.

Niech ten list pozostanie jedynie do Ojca wiadomości.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

Patria Mercedes

Nelson jednak dowiedział się o liście od tej małej pleciugi, swojej cioci ze stolicy. To nie w porządku, mówił, że nie pozwalałam mu stać się mężczyzną. Ja jednak trzymałam się swego. Wołałam, żeby został przy życiu, na zawsze będąc chłopcem, niż żeby był martwym mężczyzną.

María Teresa też czuła się dotknięta. Pewnej soboty przyjechała zabrać Nelsona na weekend, a dyrektor nie wydał jej na to pozwolenia.

- Nie ufasz mi? - spytała mnie wyzywająco.

Teraz musiałam ukoić już dwie dusze rozżłoszczone z powodu mojego rzekomego braku zaufania.

- Nie chodzi o ciebie, Mate... - zapewniłam. Nie dodałam, że wiem od Nelsona, iż Leandro, Manolo i Minerva są zaangażowani w poważny spisek.

- Nie martw się, potrafię się zaopiekować twoim dzieckiem. Mam teraz mnóstwo doświadczenia. - Mate trzymała w ramionach śliczną Jacqueline, przyciskając twarz do małej główki i obsypując ją pocałunkami. - Poza tym w stolicy nie dzieje się nic, w co Nelson mógłby się zaangażować, wierz mi. Cała Jaragua jakby wymarła. Olympia pokazuje od miesiąca ten sam film. Ludzie nawet nie wychodzą z domów. - Wtedy z jej ust padło to zdanie: - Nie ma j e s z c e czego świętować.

Spojrzałam jej w oczy i spytałam:

- Ty też, Mate?

Przytuliła mocniej swoją córeczkę. Wyglądała tak dzielnie. Prawie

nie mogłam uwierzyć, że to nasza mała, wrażliwa Mate, do której Noris była taka podobna.

- Tak, jestem z nimi. - Wówczas z jej twarzy zniknął dziarski wyraz i znowu była moją małą siostrzyczką, która boi się *el cuco* i klusek w swojej zupie. - Obiecuj, że jeśli cokolwiek mi się stanie, zajmiesz się Jacqueline.

Wyglądało na to, że będę wychowywać wszystkie dzieci swoich siostr!

- Wiesz, że bym to zrobiła. Jest jedną z nas, prawda, *amorcito**?

Wzięłam niemowlę na ręce i mocno przytuliłam. Jacqueline popatrzyła na mnie z tym zdumieniem właściwym maluchom, ciągle myślącym o świecie niczym o wielkim placu zabaw, na którym są bezpieczne jak w łonie matki.

* *Amorcito* (hiszp.) - kochanie.

Nasz wyjazd był planowany na maj, miesiąc Marii, ale wobec dochodzących teraz zewsząd pogłosek o inwazji, El Jefe ogłosił stan wyjątkowy. Przez cały maj nikt nigdzie nie jeździł bez specjalnego pozwolenia WSW. Nawet Minerva ugrzęzła w Monte Cristi. Pewnego dnia Manolito, który niemal od miesiąca nie widział matki, wyciągnął do mnie rączki ze swojego łóżeczka i powiedział: „Mama, mama”. Trudno będzie się z nim rozstać, gdy już skończy się to piekło na ziemi.

W połowie czerwca wszystko przycichło. Wyglądało na to, że inwazja w końcu nie nastąpi. Stan wyjątkowy został odwołany, więc znów przystąpiliśmy do planowania naszych rekolekcji.

Kiedy dotarliśmy do Constanzy, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Dorastałam w najbardziej zielonej, malowniczej dolinie na wyspie, ale do piękna, które jest na wyciągnięcie ręki, człowiek z czasem przywyka. Constanza wyglądała inaczej, była jak odległe miejsce przedstawione na obrazku z puzzli, które chce się jak najszybciej poukładać. Próbowałam pomieścić ten widok w sobie, ale nie mogłam. Fioletowe góry sięgające pierzastych chmur, sokół szybu-

jący po spokojnym błękitnym niebie, Bóg przeczesujący palcami słonecznych promieni zielone pastwiska, takie jak w psalmach.

Do naszego domu rekolekcyjnego, oddalonego nieco od wioski, szło się ścieżką przez nakrapiane kwiatami zbocza wzgórz. *Campe-sinos* wyszli przed swoje chaty i obserwowali nasz przemarsz. Byli to ładni ludzie, złotoskórzy, jasnoocy, którzy jednak odnosili się do nas z rezerwą, jakby wcześniej tą drogą przeszedł ktoś mniej przyjazny. Pozdrowiliśmy ich, a ojciec de Jesús wytłumaczył, że przyjechaliśmy tu na rekolekcje, więc jeśli mają jakieś specjalne prośby do Boga, chętnie pomodlimy się w ich intencji. Patrzyli na nas w milczeniu i kręcili przecząco głowami.

Każdy z uczestników został umieszczony w jednej z wąskich cel, w których stały koje, na ścianach wisiały krucyfiksy, a na drzwiach zbiorniki z wodą święconą. Mnie wydawało się, że mieszkam w pałacu, tak wielką radość sprawiał mi ten wyjazd. Spotkania i posiłki odbywały się w dużym, przewiewnym pokoju z wielkim oknem widokowym. Siadywałam plecami do tego oszałamiającego widoku, żeby Jego Stworzenie nie odводziło mnie od Jego Słowa. Od świtu do zmierzchu, w dzień i w nocy gromadziliśmy się w kaplicy i razem z zakonnicami odmawialiśmy różaniec.

Poruszyło się we mnie dawne pragnienie, by poświęcić się życiu religijnemu. Czułam, jak się unoszę, odurzona transcendencją, przelewającą się niczym fontanna. Dzięki Bogu, miałam w łonie dziecko przypominające mi o życiu, które już wybrałam.

Stało się to ostatniego dnia naszych rekolekcji.

Dokładnie 14 czerwca - jak mogłabym kiedykolwiek zapomnieć ten dzień!

Byliśmy wszyscy w dużym pokoju, odbywaliśmy nasz popołudniowy *cursillo**. Brat Daniel mówił o ostatniej chwili doczesnego życia Marii, Wniebowzięciu. Nasza Błogosławiona Matka została wzięta do nieba, nie tylko jej dusza, lecz także ciało. Co o tym myślimy? Siedząc w kole, odpowiadaliśmy jedno po drugim, przy czym

każdy wyrażał zdanie, że dla zwykłego śmiertelnika to wielki zaszczyt. Kiedy przyszła kolej na mnie, powiedziałam, że tak było po prostu sprawiedliwie. Jeśli nasze dusze mogły wejść do wiecznej chwały, z pewnością ciężko pracujące ciała matek, zasługiwały na więcej. Poglaskałam się po brzuchu i pomyślałam o małym duszku istoty spowitej w miękkie tkanki mojego łona. Mój syn, mój Raúlito. Pragnęłam go jeszcze bardziej, kiedy w moich ramionach nie było kojącego tęsknotę Manolita.

* *Cursillo* (hiszp.) - krótki kurs.

Następne, co pamiętam, to że Jego królestwo zstąpiło prosto na dach domu rekolekcyjnego. Eksplozja za eksplozją rozdzierały powietrze. Budynek trząsł się w posadach. Okna drżały, dym wsącał się do środka, przynosząc okropny zapach. Brat Daniel krzyczał:

- Padnijcie na ziemię, zakryjcie głowy składanymi krzesłami!

Oczywiście myślałam tylko o tym, jak ochronić swoje nienarodzone dziecko. Przedarłam się do małej wnęki, gdzie stał posąg Niepokalanej i prosząc o wybaczenie, przewróciłam ją razem z piedestałem. Dobiegający z zewnątrz potężny wybuch zagłuszył huk upadku. Wczołgałam się do środka, trzymając przed sobą swoje składane krzesło, tak by zatykało otwór, i cały czas modląc się, żeby Pan nie wystawiał mnie na próbę, zabierając mi dziecko.

Bombardowanie skończyło się po chwili, ale chaos, który potem nastąpił, zdawał się trwać godzinami. Słyszałam jęki, jednak gdy opuściłam krzesło, nie mogłam nic dostrzec w wypełnionym dymem pomieszczeniu. Piekły mnie oczy i zdałam sobie sprawę, że ze strachu zmoczyłam spodnie. „Panie - modliłam się - Panie Boże, oddal ten kielich”. Gdy powietrze w końcu się oczyściło, zobaczyłam na ziemi kotłowisko odłamków szkła, gruzów i stłoczonych tu i ówdzie ciał. Zwaliła się ściana i wykładana kafelkami podłoga była cała potłuczona. Po drugiej stronie, w miejscu, gdzie kiedyś było okno, przez wyszczerbioną dziurę widać było zbocze góry przypominające wzburzone morze ognia.

W końcu nastąpiła pełna grozy cisza, przerywana tylko odległymi wystrzałami z pistoletów i niedalekim odgłosem śpiącego się z sufitu

tynku. Ojciec de Jesús zgromadził nas w najbardziej osłoniętym rogu, gdzie oszacowaliśmy nasze szkody. Okazało się, że skaleczenia były mniej poważne, niż się zdawało na pierwszy rzut oka, i ograniczały się, chwała Bogu, jedynie do małych rozcięć od odłamków szyby. Te najgorsze zabandażowałyśmy, podałyśmy własne halki. Potem dla duchowego ukojenia brat Daniel poprowadził nas w różańcu. Gdy wystrzały znów zaczęły się zbliżać, nie ustawialiśmy w modlitwie.

Usłyszeliśmy krzyki. Czterech, potem pięciu zamaskowanych mężczyzn wpadło na teren posiadłości i pędziło w naszym kierunku. Za nimi - z maczetami i karabinami maszynowymi - zbliżali się ci sami *campesinos*, których widzieliśmy po drodze, oraz tuzin lub więcej *guardias*. Ścigani, skuliwszy się, biegli zygzakiem w stronę gwarantującego osłonę domu.

Dotarli do tarasu. Widziałam teraz wyraźnie ich zakrwawione i rozgorączkowane twarze. Jeden z nich był ciężko ranny i kulejący, drugi miał chustkę zawiązaną wokół czoła. Trzeci krzyczał do pozostałych, żeby padli, i jeden rzeczywiście rzucił się na taras.

Ale drugi musiał nie usłyszeć, bo wciąż biegł w naszą stronę. Spojrzałam mu w twarz. Był chłopcem, nie starszym od Noris. Może dlatego krzyknęłam:

- Padnij, synu! Padnij!

Nasze spojrzenia spotkały się w momencie, kiedy kula trafiła go prosto w plecy. Zobaczyłam zdziwienie na jego młodej twarzy, kiedy uciekało z niego życie, i pomyślałam: „O mój Boże, to jeden z nas!”.

Kiedy schodziłam z góry, byłam inną kobietą. Mogłam mieć ten sam słodki wyraz twarzy, ale teraz nosiłam w sobie nie tylko własne dziecko, lecz także tego martwego chłopca.

Mój martwo urodzony trzynastolatek. Mój zamordowany kilka godzin temu syn.

Plakałam całą drogę powrotną. Spojrzałam przez pokryte pajęczyną pęknięcie okno podziurawionego kulami samochodu na braci, siostry, synów, córki, na nich wszystkich, moją rodzinę. Potem

spróbowałam spojrzeć w górę na naszego Ojca, lecz Jego twarz zasłaniał ciemny dym okrywający szczyty gór.

Zmusiłam się do modlitwy, żeby nie płakać. Ale brzmiała ona tak, jakbym chciała wszczać kłótnię.

„Nie zamierzam siedzieć wygodnie i patrzeć, jak moje dzieci giną, nawet jeśli tak zdecydowałeś w swojej wielkiej mądrości, Panie”.

Czekali na mnie na drodze wjazdowej do miasta: Minerva, María Teresa, mama, Dedé, Pedrito, Nelson. Przerazona Noris pochlipowała. Wtedy właśnie dostrzegłam w niej przemianę: jej dusza w końcu dojrzała i zaczęła mieć swoje cykle. Kiedy wysiadłam z samochodu, przybiegła do mnie z wyciągniętymi ramionami, jakby zobaczyła osobę wzbudzoną z martwych. Wszyscy uznali mnie za zmarłą po tym, co usłyszeli w radiu na temat bombardowań.

Ale nie, Patria Mercedes wróciła, żeby im wszystkim powiedzieć, powiedzieć im wszystkim.

Tylko że nie mogłam mówić. Byłam w stanie szoku, w pewnym sensie oplakiwałam tego martwego chłopca.

Następnego dnia pisano o tym we wszystkich gazetach. Czterdziestu dziewięciu mężczyzn i chłopców zginęło męczeńską śmiercią w górach. My widzieliśmy tych jedynych czterech, którzy ocalili. Tylko po to, by zostać poddanym torturom, o których nie chcę myśleć.

Zrozumieliśmy, że druga fala sił inwazji uderzyła o północne wybrzeża, kiedy sześć dni później zobaczyliśmy lecące nisko samoloty podobne do szerszeni. A potem czytaliśmy w gazetach, że jedna łódź z dziewięćdziesięcioma trzema osobami na pokładzie została zbombardowana, zanim zdążyła dobić do brzegu, drugiej zaś - z sześćdziesięcioma siedmioma - udało się tam dotrzeć, ale armia z pomocą *campesinos* dopadła tych biednych męczenników.

Nie prowadziłam rachunku zabitych. Trzymałam dłoń na brzuchu, koncentrując się na tym, co żywe.

Mniej niż miesiąc przed rozwiązaniem brałam udział w sierpniowym

zgromadzeniu naszej Chrześcijańskiej Grupy Kulturalnej w Salcedo. Było to pierwsze spotkanie od czasu fatalnych rekolekcji. Ojciec de Jesús i brat Daniel cały lipiec przebywali w stolicy, gdzie naradzali się z innymi księżmi. Na zgromadzenie w Salcedo zaprosili tylko kilku dawnych członków, uznawszy ich - jak zrozumiałam później - za gotowych na Kościół wojujący, zmęczonych Kościołem matkującym, w którego spódnicy się wcześniej chowali.

Wybrali trafnie. Byłam gotowa, mimo swoich wielkich rozmiarów i równie wielkiego ciężaru.

W chwili gdy weszłam do tego pokoju, poczułam, że Pan Jezus jest odtąd pośród nas w nowy, inny sposób. Skończyła się religijna gadanina o tym, jak święty Zenon uczynił dzień słonecznym na wesele czyjejś wnuczki albo jak święta Łucja uleczyła zapalenie spojówek krowy. W tym pokoju cisza była naznaczona furią aniołów zemsty podsycających swój blask, zanim uderzą.

Księża zdecydowali, że nie mogą czekać wiecznie, aż papież i arcybiskup zmienią zdanie. To był właściwy czas, albowiem Pan powiedział, że przychodzi zarówno z mieczem, jak i z pługiem, by uwolnić zgnębionych.

Nie mogłam uwierzyć, że mówi to ten sam ojciec de Jesús, który kilka miesięcy wcześniej nie był w stanie odróżnić swojej wiary od strachu! Ale przecież w tym małym pokoju przebywała ta sama Patria Mercedes, która kiedyś nie skrzywdziłaby muchy, a teraz krzyczała: „Amen dla rewolucji!”.

I tak urodziliśmy się w duchu mściwego Pana, przestaliśmy być Jego owieczkami. Nasza nowa nazwa brzmiała Akcja Religijno-Kulturalna. Zwracam uwagę, że „akcja” jest pierwszym słowem! A jaka była nasza misja?

Wyłącznie zorganizowanie potężnego narodowego podziemia.

Szerzyliśmy Słowo Boże wśród *campesinos*, którym tak namąceno w głowach, że ścigali swoich własnych wyzwolicieli. Ostatecznie Fidel nigdy nie odniósłby zwycięstwa na Kubie, gdyby nie *campesinos*, którzy go karmili, ukrywali, kłamali dla niego, wreszcie stawali przy jego boku.

Głosiliśmy, że wszyscy jesteście braćmi i siostrami w Chrystusie. Nie można gonić z maczetą chłopca i wejść do królestwa niebios. Nie można pociągnąć za spust i myśleć, że znajdzie się choćby ucho igielne, przez które wejdzie się do wieczności.

Mogłabym tak bez końca.

Ojciec de Jesús wyszedł ze mną, gdy skończyło się spotkanie. Kiedy spojrział na mój brzuch, na jego twarzy pojawił się wyraz skruchy, ale mimo wszystko spytał, czy znam kogoś, kto chciałby dołączyć do naszej organizacji. Musiał słyszeć o spotkaniach, które Minerva i Manolo prowadzili na naszej posiadłości.

Pokiwałam głową.

- Znam takich co najmniej sześcioro - powiedziałam, doliczając Pedrita i Nelsona do moich dwóch sióstr i ich mężów. - A za miesiąc dołączy do nich siódma. Tak, kiedy urodzi się mój syn, będę tam, rekrutując każdego *campesino* z Ojo de Agua, Conuco i Salcedo do armii naszego Pana.

- Patrio Mercedes, jak ty się zmieniłaś!

W odpowiedzi pokręciłam głową i nie musiałam mówić nic więcej. Śmiał się, przecierając okulary sutanną i zakładając je na nos. Wreszcie widział wyraźnie, tak jak ja.

Kiedy następnym razem zgromadzili się w cieniu strzechy, przyszedłam do nich, trzymając w ramionach moją liczącą sobie tydzień nagrodę.

- Hola, Patria! - zawołali mężczyźni. - Masz tam niezłego macho!

Kiedy zabrali go z moich ramion, żeby mu się przyjrzeć, mój syn wydarł się na całe gardło. Od początku był z niego mały krzykacz.

- Jak nazwiesz tego wrzeszczącego małego mężczyznę?

- Raúl Ernesto - rzekła Minerva znacząco, dumna ze swojego siostrzeńca.

Przytaknęłam i uśmiechnęłam się w odpowiedzi na ich komplementy. Nelson odwrócił wzrok, kiedy na niego spojrzałam. Prawdopodobnie obawiał się, że przyszedłam po to, by go stamtąd zabrać.

- A teraz zapraszam do środka - powiedziałam. - Chcę o czymś porozmawiać. - Myślał, że zwracam się do niego, ale ja wodziłam wzrokiem naokoło, obejmując nim całą grupę. - Chodźcie.

- Nie przejmuj się nami. - Minerva machnęła ręką, odmawiając zaproszenia.

- Chodźcie do środka, szybko. Tym razem mówię poważnie - dodałam.

Wymienili się spojrzeniami. Jakaś nuta w moim głosie kazała im wierzyć, że stałam się jedną z nich. Zabrali swoje napoje i poszli za mną do domu tak posłusznie, jakbym wyprowadzała z niewoli gromadę dzieci.

Teraz to Pedrito zaczął się martwić. I było to zmartwienie, które uderzało w najczulszą strunę jego serca.

Tego samego miesiąca, w którym odbyło się nasze spotkanie w probostwie ojca de Jesúa, władze wprowadziły nowe prawo. Osobę złapaną na udzielaniu schronienia wrogom reżimu, nawet jeśli sama nie była zaangażowana w spisek, osadzano w więzieniu, a wszystko, co miała, stawało się własnością rządu.

Jego ziemia! Ziemia, którą uprawiali przed nim jego ojciec, dziadek i pradziadek. Jego dom, w którym, jak w arce z belek, mógł dostrzec ślady swojego pradziadka.

Nie pokłóciliśmy się tak przez osiemnaście lat małżeństwa. Tej nocy w sypialni człowiek, który nigdy wcześniej nie podniósł na mnie głosu, wyładował wściekłość swoich trzech przodków:

- Musisz być szalona, *mujer**, żeby zapraszać ich do domu! Chcesz, żeby twoi synowie stracili ojcowiznę? Czy tego właśnie chcesz?

* *Mujer* (hiszp.) - kobieta.

Jakby w odpowiedzi na słowa swojego taty, Raúl Ernesto zaczął płakać. Podałam mu pierś i jeszcze długo po tym, jak skończył, kołysałam w ramionach, chcąc obudzić czułość w jego ojcu. Przypomnieć mu, że jest też coś dla niego.

Ale on mnie nie chciał. Pierwszy raz w życiu zostałam odtrącona przez Pedrita Gonzáleza. Dotknęło mnie to mocno, zraniło do głębi moje serce. Przechodziłam przez okres pustki, którą czuje się po urodzeniu dziecka, gdy przychodzi pragnienie, by wziąć je z powrotem w siebie. Jedynym pocieszeniem jest wówczas ojciec, który wraca do środka, zadomawiając się ponownie.

- Gdybyś widział to, co ja na tej górze - zaklinałam go, płacząc jak zwykle na myśl o tym martwym chłopcu. - *Ay*, Pedrito, jak możemy być prawdziwymi chrześcijanami, odwracając się od naszych siostr i braci...

- Twoim podstawowym obowiązkiem jest dbanie o swoje dzieci, swojego męża i swój dom! - Jego twarz zakryła chmura gniewu, tak że nie mogłam dojrzeć za nią mężczyzny, którego kochałam. - Już od miesięcy pozwalam im korzystać z tego miejsca. Niech od teraz spotykają się na ziemi Mirabalów!

To prawda, nasza rodzinna farma byłaby rozsądną alternatywą, ale teraz mieszkali tam Dedé i Jaimito. Nagabywałam już Dedé, lecz wróciła bez zgody Jaimita.

- Przecież sam też wierzysz w to, co oni robią, Pedrito - przypominałam mu.

I nagle coś we mnie wstąpiło. Zapragnęłam skrzywdzić stojącego przede mną mężczyznę. Chciałam złamać tę mniejszą wersję Pedrita i uwolnić człowieka o wielkim sercu, którego poślubiłam. I dlatego to powiedziałam: jego pierworodny nie chce swojej ojcowizny. Nelson złożył już podanie o przyjęcie na studia, które rozpocznie jesienią. Co więcej, byłam pewna, że należy do ruchu oporu, tak jak jego wujostwo.

- To na niego będziesz donosił WSW?

Pedrito przeciągnął po twarzy swoimi dużymi dłońmi i z rezygnacją pochylił głowę.

- Boże, pomóż mu, Boże, pomóż mu - mamrotał, aż poczułam w sercu, że źle postąpiłam, raniąc go w ten sposób.

Później, w ciemności odszukał mnie jednak ze swoim dawnym głodem. Nie musiał mówić, że odtąd jest z nami. Poznałam to po

zuchwalstwie, z jakim wziął mnie ze sobą do miejsca, gdzie przed nim spotykali swoje kobiety jego pradziadek i dziadek.

Tak oto nasz dom stał się główną siedzibą ruchu oporu.

To tutaj, za zamkniętymi drzwiami i okiennicami, Akcja Religijno-Kulturalna połączyła się z grupą, którą Manolo i Minerva utworzyli ponad rok temu. Było nas około czterdzieścioro. Wybraliśmy komitet centralny, na którego prezesa początkowo typowano Minervę, ona jednak ustąpiła na rzecz Manola.

W tym samym salonie, w którym Noris zaczęła już przyjmować gości, nasz ruch nadał sobie nazwę. Jakże oni się spierali! Niczym szkolne koleżanki kłócące się o to, która weźmie którą za rękę! Niektórzy optowali za wydumanym mianem, które pomieściłoby wszystkie najważniejsze punkty naszego programu: Rewolucyjna Partia Dominikańskiego Zjednoczenia. W końcu Minervie udało się uciszyć wrzawę i skierować serca na to, co najważniejsze. Zaproponowała, żebyśmy naszą nazwą oddali cześć pamięci mężczyzn, którzy zginęli w górach.

Drugi raz w swoim skromnym życiu Patria Mercedes (vel Motyl 3) wykrzyknęła: „Amen dla rewolucji!”.

I tak pośród ścian, na których wisiały niezliczone portrety, w tym jeden El Jefe, założony został Ruch 14 Czerwca. Naszą misją było: przeprowadzić rewolucję, nie czekać na ratunek z zewnątrz.

Na tym samym pokrytym plastikowym laminatem stole, gdzie jedliśmy rodzinne śniadania i na którego blacie wciąż widniały plamy po jajkach, konstruowane były bomby. „Nakrętki” - tak się nazywały. Największym wstrząsem był dla mnie widok Marii Teresy zręcznie operującej ostrzem igły, używającej szczypczyków i małych nożycek, żeby skrócić ze sobą cienkie druciki.

Na tej samej bambusowej leżance, gdzie mój Nelson jako mały chłopiec bawił się drewnianym pistoletem, który zrobił dla niego dziadek, siedzieli teraz ojciec de Jesús i mój dorosły syn, licząc amunicję do browningów M1897, które za kilka tygodni zostaną nam

przekazane w ustalonym miejscu. Ilander, którego nazywaliśmy Orłem, zorganizował ten zrzut z pomocą emigrantów.

Na tym samym bujanym fotelu, w którym kołysałam do snu każde z moich dzieci, zobaczyłam Minervę patrzącą przez wizjer karabinka M1 - miesiąc temu nie odróżniłabym go od strzelby. Kiedy spojrzałam na jej cel za oknem, krzyknęłam tak, że aż drgnęła: „Nie, nie, nie w mimozę!”.

Odesłałam Noris do babci w Conuco. Uzasadniłam to remontem w jej pokoju. I w pewnym sensie była to prawda, bo właśnie w jej sypialni zebraliśmy skrzynie. To pośród jej wykonanych szydełkiem różowych pudli, małych buteleczek z perfumami i zdjęć z *quin-ceañera* ukryliśmy nasz arsenał różnorodnej broni: trzy rewolwery kalibru 38 ACP marki Smith & Wesson, sześć karabinków M1 kalibru 30 ACP, cztery pistolety maszynowe M3 i pistolet maszynowy Thompson kalibru 45 ACP ukradziony *guardia*. Wiem to, bo Mate i ja same sporządzałyśmy listę - ładnym charakterem pisma, którego nauczyły nas zakonnice, byśmy mogły wynotowywać fragmenty Biblii.

Na tych samych żyznych polach, które Gonzálezowie uprawiali od pokoleń, Pedrito, jego syn i jeszcze kilku mężczyzn zakopali skrzynie, kiedy już je załadowaliśmy i zapieczętowaliśmy. Straszliwy ładunek ukryli pośród korzeni kakaowców. Pedrito wydawał się teraz pogodzony z ryzykiem, które podejmował. Powiedział mi potem, że to też był rodzaj uprawiania ziemi, taki, który mógł dzielić z Nelsonem. Z tych nasion destrukcji już niedługo - bardzo niedługo - będziemy zbierać plon wolności.

Na tym samym stoliku kawowym, o który Noris kiedyś wybiła sobie ząb, szamocząc się z bratem, zostały rozrysowane plany ataku. 21 stycznia, w Święto Marji Dziewicy, patronki Dominikany, wszystkie grupy zgromadzą się tu, żeby odebrać broń i otrzymać ostatnie instrukcje.

W tych ostatnich dniach 1959 roku przemierzałam hol, pokoje dzieci, salon i tylną *galeria*, po czym wychodziłam na podwórze, martwiąc się, czy postąpiłam słusznie, narażając swoją rodzinę.

Ciągle stała mi przed oczami siedziba Maryknoll w górach, jej zawalający się dach, jej ściany sypiące się jak w domu głupca zbudowanym na piasku. Gdy ogarniał mnie strach, budynek z tej wizji zamieniał się w mój własny, rozpadający się w gruzy dom.

Chodząc tak, budowałam go z powrotem modlitwą, zawieszałam drzwi na skrzypiących zawiasach, przybijałam gwoździami deski podłogowe, dopasowywałam naświetla. „Boże, pomóż nam - modliłam się. - Boże, pomóż nam”. Prawie zawsze trzymałam w ramionach Raúlita i podczas gdy on płakał wniebogłosey, ja starałam się uspokoić i jego, i siebie.

III

1960

Dedé

1994 i 1960

Dedé spostrzega, że ogród pogrąża się w ciszy, a ciemne rozkwitające kwiaty wydają intensywniejszą, bo niezdominowaną kolorem i światłem woń. Twarz kobiety przeprowadzającej wywiad powoli zatracza rysy, stając się plamą cienia.

- „Opadają nocy cienie, *campesino* żegna pole, tułacz pyta o schronienie” - recytuje Dedé.

Kobieta zrywa się z krzesła, jakby właśnie ją wypraszano.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno.

- Ależ skąd, to nie była *indirecta**. - Dedé śmieje się, dając kobiecie znak, żeby usiadła z powrotem. - Mamy jeszcze kilka minut.

* *Indirecta* (hiszp.) - aluzja.

Nieznajoma siada na brzegu krzesła, trafnie przeczuwając, że właściwy wywiad jest już skończony.

- Ten wiersz przychodzi mi zawsze na myśl o tej porze dnia - tłumaczy Dedé. - Minerva często go recytowała w ostatnich miesiącach ich życia, kiedy ona, Mate i Patria mieszkały u mamy. Mężowie byli w więzieniu - dodaje, bo na twarzy kobiety znać zaskoczenie na wieść o tej zmianie adresu. - Wszyscy oprócz Jaimita.

- Na szczęście.

- To nie szczęście było przyczyną - mówi Dedé bez ogródek - tylko to, że nie zaangażował się bezpośrednio.

- A pani?

Dedé kręci głową.

- W tamtych czasach my, kobiety, byłyśmy podporządkowane

swoim mężom.

Co za głupia wymówka. Wystarczy spojrzeć na Minervę.

- Ujmę to tak - dodaje Dedé. - Ja byłam podporządkowana mężowi. Ja się nie zaangażowałam.

- Potrafię to zrozumieć - wpada jej w słowo kobieta, jakby chciała uchronić Dedé przed jej własnymi wątpliwościami. - W Stanach wciąż tak jest. Większość znanych mi kobiet, kiedy ich mąż dostaje pracę, załóżmy, w Teksasie, przeprowadza się do Teksasu.

- Nigdy nie byłam w *Tejas* - odpowiada w zamyśleniu Dedé. Po tym, jakby chcąc się zrehabilitować, dodaje: - Nie angażowałam się do pewnego czasu.

- Jakiego czasu? - pyta kobieta.

Dedé przyznaje to na głos:

- Kiedy było już za późno.

Kobieta odkłada notes i długopis. Szpera w torbie w poszukiwaniu kluczy i nagle przypomina sobie, że zostawiła je w popielniczce samochodowej, by móc je szybko znaleźć! Ciągłe coś gubi. Mówi to z dumą. Podaje kilka ostatnich przykładów, posługując się przy tym swoim nieporadnym hiszpańskim.

Dedé niepokoi się, że ta kobieta za nic nie trafi po ciemku z powrotem na główną drogę. Jest szczuplutka, a na twarz opadają jej niesforne kosmyki. Gdzie się podziały lakiery do włosów? Włosy jej siostrzenicy Minou wyglądają tak samo. Cała ta awantura wokół jakiejś warstwy w kosmosie, a tymczasem kobiety tu, na Ziemi, wyglądają jak kosmitki.

- Może pojedzie pani za mną do zakrętu przy drzewie pieprzowym? - proponuje.

- Pani prowadzi?

Zawsze są tacy zaskoczeni. I to nie tylko Amerykanie uważający ten kraj za zacofany - taki, w którym Dedé powinna wciąż jeździć powozem z mantylą na głowie - lecz także jej siostrzeńcy i siostrzenice, a nawet synowie, podśmiewający się z jej małego subaru.

Proszę, proszę, jaka nowoczesna kobieta z tej ich mamy. „Ale jest tak wiele innych kwestii, w których się nie zmieniłam” - myśli Dedé. Podczas wycieczki do Hiszpanii, którą wygrała w zeszłym roku, próbował się z nią spoufalić pewien Kanadyjczyk, i mimo że od rozwodu upłynęło już dziesięć lat, Dedé zwyczajnie nie potrafiła pozwolić sobie na tę małą przygodę miłosną.

- Poradzę sobie sama - zapewnia kobieta, patrząc w niebo. -
Wow, jest już prawie ciemno.

Zapadła noc. Od strony drogi słyszą dźwięk samochodu pędzącego zapewne w stronę jakiegoś domu. Kobieta żegna się z Dedé i razem przechodzą przez mroczniejący ogród na drugą stronę posiadłości, gdzie stoi wynajęty datsun.

Widzą zbliżające się auto, które po chwili skręca na podjazd, oślepiając je przednimi światłami. Dedé i kobieta stoją bez ruchu, jak to robią zwierzęta złapane w smugę światła rzucaną przez nadjeżdżający samochód.

- Kto by to mógł być? - zastanawia się głośno Dedé.
- Pewnie pani następne *compromiso**? - podsuwa kobieta.

* *Compromiso* (hiszp.) - spotkanie, zobowiązanie.

Dedé przypomina sobie o swoim kłamstwie.

- Tak, oczywiście - odpowiada, wpatrując się w ciemność. -
Buenas! - woła.

- To ja, mamó Dedé! - odkrzykuje Minou.

Drzwiczki samochodu się zatrząskują, a Dedé aż podskakuje. Słysząc zbliżające się w ich stronę spieszne kroki.

- Co tu robisz, u licha? Mówiłam ci tysiące razy! - beszta swą siostrzenicę Dedé. Nie dba już o to, że zdradza się ze swoim kłamstwem.

Minou, tak jak wszystkie pozostałe siostrzenice, wie, że Dedé nie znosi, kiedy jeżdżą po zmroku. Gdyby tylko ich matki zechciały poczekać do następnego ranka ze swoim powrotem tą opuszczoną górską drogą, żyłyby dzisiaj i same mogłyby opowiedzieć córkom o

niebezpieczeństwach nocnych podróży.

- *Ya, ya*, mamó Dedé. - Minou pochyła się, żeby pocałować ciocię. Odziedziczyła wzrost po obojgu rodzicach, więc jest o głowę wyższa od Dedé. - Tak jakoś wyszło, wyjechałam godzinę temu.

Następuje pauza, podczas której Minou wyraźnie waha się, czy wypowiedzieć kolejne zdanie. Dedé domyśla się dlaczego: jej siostrzenica jest pewna, że czekają następna reprimenda.

- Byłam u Feli.

- Jakieś wiadomości od dziewcząt? - pyta enigmatycznie Dedé, czując za sobą obecność zaciekawionej kobiety.

- Może najpierw usiądźmy - proponuje Minou. Jest w jej głosie coś, czego Dedé nie potrafi do końca rozgryźć. Zepsuła całe powitanie, strofując siostrzenicę już od momentu, kiedy ta wysiadła z samochodu.

- Wejdz, wejdz, oczywiście. Wybacz swojej starej ciotce brak manier. Napijmy się *limonada*.

- Właśnie wychodziłam - przypomina gospodyni kobieta. I dodaje, zwracając się do Minou: - Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy...

- Właściwie nawet się nie poznałyśmy - zauważa z uśmiechem Minou.

Dedé przeprasza za tę gafę i przedstawia kobietę siostrzenicy. Następuje przedziwny językowy miszmasz wyrazów wdzięczności. Jej rozmówczyni nie posiada się ze szczęścia, wdzięczna opatrności za to, że zesłała jej spotkanie zarówno z siostrą, jak i z córką bohaterki Ruchu 14 Czerwca. Dedé czuje zażenowanie. Powinna była od razu to uciąć. W przeciwieństwie do ich ciotki dzieci nie zniosą przesadnej wylewności tego rodzaju.

Ale Minou zanosi się śmiechem.

- Proszę nas jeszcze odwiedzić - zachęca.

A Dedé, czując się w obowiązku podtrzymać zaproszenie, dodaje:

- Zna już pani drogę.

- Pojechałam do Feli - zaczyna Minou, siedząc przy świeżej lemoniadzie.

Dedé widzi, że jej siostrzenica stara się opanować emocje. Zastanawia się, co się mogło wydarzyć. Ponagla Minou, tym razem delikatnie:

- Powiedz mi: co dziewczęta miały dziś do przekazania?

- Nic - odpowiada Minou wciąż niepewnym głosem. - Nie przyszły. Fela mówi, że musiały w końcu odnaleźć spokój. Dziwnie się tego słuchało. Czułam smutek zamiast radości.

To była ostatnia, choć przecież tak wątła więź łącząca ją z matką. A więc stąd cały ten dziwny stan, konstatuje Dedé. Nagle uderza ją pewna myśl, już wie, dlaczego dziś po południu Fela doświadczyła tej przerwy w „dostawie energii”.

- Nie martw się - Dedé poklepuje siostrzenicę po dłoni - są ciągle w pobliżu.

Minou rzuca swojej ciotce groźne spojrzenie.

- Znowu stroisz sobie żarty?

Dedé kręci głową.

- Przysięgam, były tu. Całe popołudnie.

Minou obserwuje ciotkę, próbując się dopatrzeć śladów ironii. W końcu mówi:

- No dobrze. Czy mogę zadać ci dowolne pytanie, tak jak Feli?

Dedé śmieje się nerwowo.

- Proszę.

Minou waha się przez chwilę, a potem jakby nigdy nie zadaje pytanie, które, jak podejrzewa Dedé, każdy chciał jej kiedyś zadać, ale nie zrobił tego przez grzeczność. Tylko to nowe wcielenie Minery mogło kazać jej zmierzyć się z kwestią, której sama unikała:

- Zawsze się nad tym zastanawiałam: skoro byliście wszystkie tak sobie bliskie, dlaczego z nimi nie pojechałaś?

Oczywiście doskonale pamięta to słoneczne popołudnie, kiedy kilka dni przed nowym rokiem Patria, Mate i Minerva przyjechały do niej z

wizytą.

Przygotowywała w ogrodzie nową grządkę, ciesząc się rzadko spotykaną ciszą, która zapanowała w pustym domu. Pokojówka miała dzień wolny, a Jaimito, jak zwykle w niedzielne popołudnie, pojechał na wielką *gallera** do San Francisco, tym razem zabierając ze sobą wszystkich trzech chłopców. Nie spodziewała się ich do późna. Siostry, mieszkające teraz w stojącym przy głównej drodze domu mamy, zauważyły zapewne z jego okien furgonetkę Jaimita, w której nie było Dedé, pośpieszyły więc do niej z tą niezapowiedzianą wizytą.

* *Gallera* (hiszp.) - arena walk kogutów.

Kiedy usłyszała samochód zatrzymujący się przed frontem domu, zaczęła rozważać pomysł ukrycia się w kakaowcowym zagajniku. Zamieniała się w odludka.

- Nawet moja matka zauważyła, że nie jesteś już taka sama jak dawniej, że nie ma w tobie życia - skarżył się Jaimito kilka wieczorów wcześniej.

Rzadko zatrzymywała się teraz u doñi Leili z nową, wyhodowaną przez siebie odmianą hibiskusa albo zrobionymi bez użycia półproduktów *pastelitos***.

Pani Sonrisa całkiem pogubiła swoje uśmiechy. Dedé wbiła w męża przenikliwe spojrzenie, jakby mogła wydobyć z apodyktycznego, staroświeckiego macho, którym się stał, młodzieńca ze swoich snów.

** *Pastelitos* (hiszp.) - ciastka.

- Tak mówi twoja matka?

Napomknął o tym, siedząc w pantoflach w *galería* i rozkoszując się chłodnym wieczorem. Zanim odpowiedział, pociągnął ostatni łyk rumu ze szklanki.

- Tak mówi moja matka. Mogłabyś przynieść mi jeszcze jedną, *mami*?

Wyciągnął do niej dłoń ze szklanką, a Dedé posłusznie poszła do zamrażalnika na tyłach domu, gdzie wybuchła płaczem.

Chciała usłyszeć, że o n to zauważył. Już same te słowa wiele by zmieniły, niezależnie od tego, co jej dolegało. Ona sama nie potrafiła tego nazwać.

Kiedy więc tego popołudnia zobaczyła swoje siostry idące ścieżką, poczuła czysty strach. To tak, jakby nadchodziły trzy Mojry, dzierżące w dłoniach nożyce, gotowe przeciąć nić, dzięki której życie Dedé nie rozpadło się jeszcze na części.

Wiedziała, dlaczego przyszły.

Jesienią Patria zwróciła się do niej z dziwną prośbą. Pytała, czy Dedé mogłaby zakopać jakieś skrzynie na polach kakaowców za ich starym domem.

To ją zaskoczyło.

- Dlaczego, Patrio? Kto cię do tego namówił?

Patria wyglądała na zbitą z tropu.

- Wszystkie jesteśmy zaangażowane, jeśli to masz na myśli. Ale mówię teraz w swoim imieniu.

- Rozumiem.

Choć tak naprawdę rozumiała tyle, że za tym wszystkim stoi Minerva. I agituje. Nie ma wątpliwości, że przysłała Patrię, zamiast przyjść sama, bo nie były z Dedé w dobrych stosunkach.

Upłynęły lata, od kiedy walczyły ze sobą otwarcie - chyba jeszcze za czasów Lía? - ale ostatnio znów doszło między nimi do ostrej wymiany zdań.

Co mogła odpowiedzieć? Musiała najpierw porozmawiać z mężem. Patria popatrzyła na nią z rozczarowaniem, a Dedé zaczęła się bronić:

- No co? Mam to zrobić za plecami Jaimita? Postąpiłabym nieuczciwie. To on uprawia tę ziemię i jest za nią odpowiedzialny.

- Czy nie możesz sama zdecydować i powiedzieć mu po wszystkim?

Dedé patrzyła na siostrę z niedowierzaniem.

- Ja tak zrobiłam - ciągnęła Patria. - Dołączyłam do ruchu, a potem namówiłam Pedrita, żeby dołączył do mnie.

- Cóż, moje małżeństwo jest inne - odparła Dedé. Uśmiechnęła się, żeby zamaskować rozdrażnienie pobrzmiewające w tym zdaniu.

- A jakie jest twoje małżeństwo? - Patria popatrzyła na nią tym pełnym słodczy wzrokiem, który zawsze potrafił dostrzec, co się kryje za uśmiechami siostry.

Dedé odwróciła oczy.

- Chodzi o to, że nie jesteś ostatnio sobą - kontynuowała Patria, dotykając dłoni siostry. - Wydajesz się taka, sama nie wiem... zamknięta w sobie. Coś jest nie tak?

To troska w jej głosie, bardziej nawet niż samo pytanie, zaprowadziła Dedé z powrotem do opuszczonego miejsca gdzieś wewnątrz niej, w którym pragnęła dawać miłość i otrzymywać ją w zamian, w pełnej mierze. Kiedy już tam dotarła, straciła nad sobą panowanie. Mimo że próbowała posłać Patrii jeden ze swoich dzielnych uśmiechów, Pani Sonrisa wybuchła płaczem.

Po wizycie Patrii Dedé rzeczywiście porozmawiała z Jaimitem. Tak jak się spodziewała, w odpowiedzi usłyszała nieugięte „nie”. Natomiast z pewnością nie spodziewała się wybuchu wściekłości o to, że w ogóle wzięła pod uwagę taką prośbę. Siostry Mirabal lubią rządzić swoimi mężczyznami, stwierdził Jaimito, i w tym tkwi problem. Ale w tym domu to on nosi spodnie.

- Przrzeknij, że będziesz trzymać się od nich na dystans! - Zwykle, gdy się zdenerwował, podnosił jedynie głos. Tym razem jednak złapał ją za nadgarstki i pchnął na łóżko, tylko po to, jak później tłumaczył, żeby się opamiętała. - Przrzeknij!

Teraz, kiedy o tym myśli, Dedé stawia sobie to samo pytanie, które zadała jej Minou: dlaczego? Dlaczego nie pojechała ze swoimi siostrami? Miała dopiero trzydzieści cztery lata. Mogła zacząć nowe życie. Tylko że, przypomina sobie, tak by się nie stało. Nie zaczęłyby od początku. Zginęłyby z nimi na tej opuszczonej górskiej drodze.

Niemniej jednak tej nocy, kiedy w uszach dzwoniło jej jeszcze od krzyku Jaimita, Dedé była gotowa zaryzykować życie. To swojego małżeństwa nie potrafiła położyć na szali. Zawsze była uległym środkowym dzieckiem, przyzwyczajonym do podążania za czymś

przykładem. Stojąc koło altu, śpiewała altem, przy sopranie była sopranem. Oto Pani Sonrisa, pogodna i uległa. Związała swoje życie z dominującym mężczyzną i dlatego cofnęła się przed wyzwaniem, które rzuciły jej siostry.

Wysłała Patrii liścik: „Wybacz, Jaimito się nie zgodził”.

I przez następne tygodnie unikała swoich sióstr.

A potem zjawily się tu wszystkie trzy, jak ekipa ratunkowa przybywająca z misją ocalenia.

Serce Dedé waliło jak szalone, kiedy je witała.

- Jak cudownie was widzieć! - Uśmiechnęła się. Pani Sonrisa zawsze była „uzbrojona” w uśmiechy. Grając na zwłokę, poprowadziła ich do ogrodu, pokazując to jedną, to inną nową roślinę. Jakby to było spotkanie towarzyskie. Jakby przyjechały zobaczyć, jak się mają krzewy jaśminu.

Usiadły na patio, dzieląc się nowinkami. Wszystkie dzieci zapadały na przeziębienia. Mała Jacqueline chorowała raz w miesiącu. Patria znowu całe noce czuwała przy Raúlicie. Chłopiec ciągle nie spał w nocy. Amerykański doktor, którego porady czytała, pisał, że winni kolek dziecka są jego rodzice. Bez wątplenia Raúlitto wychwytywał całe napięcie, które panowało w domu. Skoro mowa o wychwytywaniu: Minou brzydko nazwała Trujillo. Lepiej nie mówić jak. Musiała podsłuchać rodziców. Powinni być ostrożniejsi. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby w posiadłości był jeszcze jeden parobek taki jak Prieto.

Strach pomyśleć. Zapadła niezręczna cisza. Dedé zbierała się w sobie. Spodziewała się, że Minerva będzie ją teraz żarliwie namawiać na wykorzystanie rodzinnej farmy jako magazynu amunicji. Przemówiła jednak Mate, mała siostrzyczka, która wciąż zaplatała włosy w warkocze i ubierała siebie i swoją córeczkę w podobne sukienki.

Powiedziała, że są tutaj, ponieważ ma się wydarzyć coś wielkiego, naprawdę wielkiego. Jej oczy były po dziecięcemu szeroko otwarte z zachwyty.

Minerva przytknęła palec wskazujący do gardła i przeciągnęła po nim, wywieszając przy tym język. Patria i Mate zachichotały nerwowo.

Dedé nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Całkiem zwariowały!

- To poważna sprawa - przypomniała im. Jakaś furia, która nie miała nic wspólnego z tą poważną sprawą, spowodowała, że jej serce zaczęło bić gwałtownie.

- Żebyś wiedziała - przytaknęła ze śmiechem Minerva. - Kozioł umrze.

- Za mniej niż trzy tygodnie! - dodała Mate głosem lekko zdyszczanym z podniecenia.

- W święto Niepokalanej! - wykrzyknęła Patria, czyniąc znak krzyża i podnosząc oczy ku niebu. - *Ay*, Niepokalana, strzeż nas.

Dedé wskazała na swoje siostry.

- Macie zamiar zrobić to same?

- Wielkie nieba, nic! - powiedziała Mate, przerażona na samą myśl. - Grupa Akcji wykona właściwy wyrok, ale poszczególne komórki będą wyzwać przydzielone im rejony. My przejmujemy Salcedo Fortaleza.

Dedé już chciała przypomnieć swojej młodszej siostrze o tym, że boi się pajaków, robaków i makaronu w zupie, ale pozwoliła Mate mówić dalej.

- Widzisz, stanowimy komórkę. Zazwyczaj jedną tworzą trzy osoby, ale w naszej mogłyby być cztery. - Mate popatrzyła na Dedé z nadzieją. Jakby, cholera, zapraszały ją do drużyny siatkarskiej!

- Wiem, trochę to niespodziewane - przyznała Patria. - Ale nie będzie tak jak ze skrzyniami, Dedé. Zdaje się, że to pewne.

- To jest pewne - potwierdziła Minerva.

- Nie decyduj teraz - ciągnęła Patria, jakby obawiała się pochopnej decyzji Dedé. - Przemyśl to, prześpij się z tym. Mamy spotkanie w następną niedzielę w moim domu.

- *Ay*, wszystkie cztery, jak za dawnych czasów! - Mate klasnęła w dłoń.

Dedé czuła, że udziela jej się zapał sióstr. Wtedy natknęła się na

stałą przeszkodę:

- A Jaimito?

Znów niezręczna cisza. Siostry spojrzały po sobie nawzajem.

- Nasz kuzyn też jest zaproszony. - Minerva mówiła tym tonem, którego używała zawsze, gdy wspominała o Jaimicie. - Ale to ty wiesz najlepiej, czy warto go pytać.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - warknęła Dedé.

- Chcę przez to powiedzieć, że nie wiem, jakie są poglądy polityczne Jaimita.

Duma Dedé została urażona. Niezależnie od ich problemów Jaimito był jej mężem, ojcem jej dzieci.

- Jaimito nie jest trujillistą, jeśli to sugerujesz. Nie bardziej niż... był nim papa.

- Na swój sposób papa był trujillistą - oświadczyła Minerva.

Wszystkie siostry popatrzyły na nią wzburzone.

- Papa był bohaterem! - Dedé kipiała ze złości. - Umarł z powodu tego, co przeszedł w więzieniu. Ty powinnaś o tym wiedzieć. To ciebie próbował ochronić!

Minerva kiwnęła głową.

- To prawda. Jego mottem było zawsze: „Nie drażnić lwa”. To ludzie tacy jak on, Jaimito i pozostali przestraszeni *fulanitos** umacniali diabła we władzy przez te wszystkie lata.

* *Fulanitos* (hiszp.) - nijacy, niezdecydowani, przeciętniacy.

- Jak możesz tak mówić o papie? - Dedé bezwiednie podniosła głos. - Jak możecie jej pozwolić mówić tak o papie? - Próbowała przeciągnąć siostry na swoją stronę.

Mate zaczęła płakać.

- Nie po to tu przyszliśmy - przypomniała Patria Minervie, która podeszła do balustrady werandy i patrzyła stamtąd na ogród.

Dedé przeczesła wzrokiem podwórze, z lekką obawą, że jej siostra i tam może doszukać się winy. Ale krotony kwitły bujniej niż kiedykolwiek, a różnobarwne bugenwille, na co w tym roku nie liczyła, uginały się pod ciężarem różowych kwiatów. Każda schludna grządka była oczyszczona z chwastów. Wszystko jak należy. Tylko w

miejscu tej najnowszej, przy której ostatnio pracowała, ziemia była jakby rozdarta. Grządka przedstawiała sobą niepokojący widok: otwarta, brunatna rana pośród dawno posadzonych roślin.

- Chcemy, byś do nas dołączyła. Dlatego tu jesteś. - Minerva skierowała na siostrę pełne tęsknoty spojrzenie.

- Kiedy ja nie mogę. - Głos Dedé drżał. - Jaimito myśli, że to samobójstwo. Powiedział mi, że będzie musiał mnie zostawić, jeśli się w to wplączę.

W końcu to z siebie wydusiła. Dedé poczuła gorący rumieniec wstydu na policzkach. Chowała się za obawami swojego męża, kierując pogardę na niego, zamiast przyjąć ją na siebie.

- Nasz drogi kuzyn - zaczęła sarkastycznie Minerva, ale powstrzymało ją spojrzenie Patrii.

- Każdy ma swoje powody, dla których podejmuje decyzje - ucięła Patria, rozładowując napiętą atmosferę - i musimy to uszanować.

„Błogosławieni czyniący pokój” - pomyślała Dedé, ale nie mogła sobie za nic przypomnieć, jaka była obiecana im nagroda.

- Cokolwiek zdecydujesz, zrozumiemy - dorzuciła Patria, patrząc kolejno na swoje siostry.

Mate przytaknęła, ale dla Minery lepsze było zawsze wrogiem dobrego. Kiedy wsiadała do samochodu, przypomniała Dedé:

- W następną niedzielę u Patrii około trzeciej. W razie gdybyś zmieniła zdanie - dodała.

Dedé, patrząc, jak odjeżdżają, czuła dziwną mieszaninę strachu i radości. Klęczenie na nowej grządce pomogło jej zapanować nad drżeniem kolan. Zanim skończyła wyrównywać ziemię i układać granicę z małych kamyczków, miała już gotowy plan.

Dopiero dużo później zdała sobie sprawę, że zapomniała włożyć ziarna w glebę.

Zostawi go.

W porównaniu z tą decyzją udział w tajnym spotkaniu u Patrii był

co najwyżej małym kroczkiem naprzód, poczynionym już po tym, jak odwróciła się w przeciwnym kierunku. Przez cały tydzień doskonaliła swój plan. Trzepiąc materace, odkazając listwy podłogowe, by odstraszyć czerwone mrówki, krojąc cebulę, przygotowując chłopców na śniadanie mangú* i kaząc im pić herbatę z *limonsillo*, która miała zapobiec panującemu ostatnio przeziębieniu - knuła intrygę. Delektowała się swoim sekretem smakującym wybornie jak wolność, kiedy pozwalała, żeby w ciemnej sypialni przygniótł ją swoim ciężarem, i czekała, aż skończy.

* Mangú - tradycyjna dominikańska potrawa z gotowanych zielonych bananów z dodatkiem podsmażanej cebuli, salami, sera, jaj lub awokado.

Następnej niedzieli, gdy Jaimito będzie na swojej gallerà, Dedé pojedzie na spotkanie. Po powrocie jej mąż znajdzie liścik na swojej poduszce:

Czuję się tak, jakbym została pogrzebana żywcem. Muszę wydostać się na wolność. Nie mogę dłużej odgrywać tej parodii.

Ich wspólne życie runęło w gruzach. Jego bezgraniczne oddanie zmieniło się w kapryśną dyktaturę sporadycznie przeplataną okresami wielkiej skruchy, które byłyby namiętnością, gdyby było w nich mniej jego żądz i więcej jej pragnień. Zgodnie ze swoją naturą Dedé robiła wszystko, co w jej mocy, by zaprowadzić harmonię. Sama była pochłonięta kolejno: przyjściem na świat każdego z ich synów, rodzinnymi komplikacjami po uwięzieniu papy, smutnym końcem jego życia, ich własnymi licznymi niepowodzeniami w biznesie. Być może Jaimito czuł się załamany tymi porażkami i wymawianiem mu, jak próbowała im zapobiec. Pił już nie tylko w towarzystwie, lecz także w samotności.

Obwiniane siebie było dla niej naturalne. Może nie kochała go wystarczająco. Może czuł, że przez większą część ich małżeńskiego życia towarzyszyła im obecność kogoś trzeciego.

Lío! Co się z nim stało? Dedé kilka razy pytała Minervę o ich dawnego przyjaciela, starając się, by brzmiało to możliwie naturalnie. Ale ta nic nie wiedziała. Słyszała tylko, że Lío dotarł do Wenezueli,

gdzie grupa uchodźców przygotowywała się do inwazji.

Aż ostatnio, wcale niepytana, wyjawiała Dedé, że ich dawny przyjaciel żyje i ma się dobrze.

- Przełącz na Radio Rumbos, 99 na twoim pokrętle.

Minerva drażniła się z nią, wiedząc, że Jaimito będzie wściekły, jeśli nakryje żonę na słuchaniu zakazanej stacji.

Pewnej nocy buntowniczo nastrojona Dedé zostawiła Jaimita śpiącego ciężkim snem po seksie i wykradła się do dalekiego krańca ogrodu, do małej chatki, gdzie trzymała narzędzia. Tam, siedząc w ciemnościach na worku wypełnionym kawałkami kory, którymi obkładała swoje orchidee, Dedé powoli nastawiła pokrętko na tranzystorowym radiu swojego synka. Usłyszała trzaski zakłóceń, a potem upajający się sobą głos: „Potępiajcie mnie, nie dbam o to. Historia mnie uniewinni!”.

Dedé szybko się przekonała, że w tych pozaprogramowych godzinach przemówienie Fidela odtwarzano cały czas. Mimo to noc po nocy wracała do chatki, dzięki czemu dwa razy doczekała się nagrody w postaci brzęącego nieznajomo, niewyraźnego głosu kogoś, kto został przedstawiony jako *comrade* Virgilio. Mówił swoim górno-łotnym stylem, który nigdy do niej nie trafiał. Mimo to wciąż wracała do chatki, bo te nocne eskapady wiele dla niej ostatnio znaczyły. Były jej sekretnym buntem, głodem jej serca, jej małym, jednoosobowym podziemiem.

Teraz, planując swoje odejście, Dedé próbowała wyobrazić sobie zaskoczenie Lía na wieść o tym, że dołączyła do swoich sióstr. Przekonałby się, że ona też należy do tych odważnych. Jego smutne, poważne oczy, których wspomnienie przez tyle lat nosiła w pamięci, nagle wydały jej się tymi patrzącymi na nią z lustra. „Muszę wydostać się na wolność. Nie mogę dłużej odgrywać tej parodii”.

W miarę jak zbliżał się ten dzień, Dedé opadały coraz większe wątpliwości, zwłaszcza kiedy myślała o swoich synach.

Enrique, Rafael, David - jak miałyby ich zostawić?

Jaimito nigdy nie pozwoli, by zostali przy niej. Nie tyle był wobec nich zaborczy, ile wręcz rościł sobie do nich prawa, jakby byli częścią jego samego. Wystarczy spojrzeć, jak ich nazwał - swoim imieniem i nazwiskiem! Jaime Enrique Fernandez, Jaime Rafael Fernandez, Jaime David Fernandez. Na własność mieli jedynie swoje drugie imiona, które z konieczności stały się pierwszymi.

Nie chodziło tylko o to, że nie mogła znieść utraty synów, chociaż już myśl o tym budziła wystarczające przerażenie, by skłonić ją do zawrócenia z obranej drogi. Nie mogła ich też porzucić. Kto wtedy stanie między nimi a podniesioną ręką, gdy ich ojciec straci nad sobą panowanie? Kto przyrządzi im mangú tak, by im smakowało, kto ich porządnie ostrzyże, kto usiądzie z nimi w ciemności, kiedy się boją, a następnego ranka nie wspomni o tym ani słowem?

Potrzebowała rozmowy z kimś, kto nie był jej siostrą. Z księdzem! Ostatnio pojawiała się w kościele rzadko. Wojownicze kazania wygłaszane od pewnego czasu z ambony były jak wielki hałas w miejscu, do którego przychodzi się, żeby posłuchać kojącej muzyki. Teraz jednak ów hałas zdawał się harmonizować ze stanem jej ducha. Może ten nowy ksiądz, *padre de Jesús*, znajdzie dla niej odpowiedź.

Postanowiła pojechać do kościoła w piątek z nowymi sąsiadami mamy, don Bernardem i jego żoną doña Belén, starszymi Hiszpanami, którzy przez lata mieszkali na południu, w San Cristobal. Jak tłumaczył don Bernardo, przenieśli się na wieś w nadziei, że tutejsze powietrze pomoże doñi Belén. Coś było nie tak z tą wątłą, starszą kobietą: zapominała najprostszyc rzeczy, na przykład do czego służy widelec, jak się zapina guziki sukienki, czy zjada się miąższ mango, czyjego pestki. Don Bernardo zabierał ją do Salcedo na kolejną serię badań w klinice.

- Wrócimy dopiero późnym popołudniem. Mam nadzieję, że nie będzie to dla pani stanowiło wielkiej niedogodności - powiedział. Mężczyzna był zdumiewająco uprzejmy.

- Ani trochę - zapewniła go Dedé. Mogą ją po prostu wysadzić przy kościele.

- Co będzie pani tam robić cały dzień? - Doña Belén miała niepokojącą skłonność do nagłych przebłysków pełnej świadomości, zwłaszcza gdy sprawa jej nie dotyczyła.

- Prace społeczne - skłamała Dedé.

- Wy, siostry Mirabal, macie taką prospołeczną postawę - zauważył don Bernardo. Bez wątpienia myślał o Minervie albo swojej ulubienicy Patrii.

Trudniej było uspić podejrzenia Jaimita.

- Jeśli chcesz jechać do Salcedo, zabiorę cię tam jutro - powiedział, wszedłszy do sypialni, kiedy ubierała się tego piątkowego ranka.

- Jaimito, *por Dios!*

Zabronił jej już zadawać się z siostrami, czy teraz miał zamiar odwieść ją od towarzyszenia starszej kobiecie w drodze do lekarza?

- Od kiedy to tak ci leży na sercu los doñi Belén? - spytał, a potem wysunął argument, o którym wiedział, że wzbudzi w niej poczucie winy: - I co, zostawisz chłopców, kiedy są chorzy?

- Tylko się przeziębili, na miłość boską. I jest tu z nimi Tinita.

Zdziwiony jej ostrym tonem Jaimito zamrugał oczami. Czy naprawdę, zastanawiała się Dedé, przejmowanie dowodzenia jest tak proste?

- W takim razie rób, jak uważasz! - Znacząco pokiwał głową, zaciskając dłonie w pięści. - Ale pamiętaj, że robisz to bez mojego pozwolenia!

Jaimito nie odmachał jej na pożegnanie. W jego wyglądzie było coś groźnego, co ją zaniepokoiło. Dedé powtarzała sobie jednak, że nie musi się bać. Ma zamiar go zostawić. Nie może o tym zapominać.

Przez cały ranek co pół godziny pukała do drzwi probostwa, ale nikt nie otwierał. W przerwach między nieudanymi próbami próżnowała w sklepach, przypominając sobie wygląd Jaimita tego ranka i czując, że słabnie w swoim postanowieniu. W południe, kiedy wszystko było zamknięte, usiadła w cieniu drzewa i karmiła gołębice okruskami

kupionego wcześniej ciasta. W pewnej chwili wydawało jej się, że widzi pikap Jaimita, więc zaczęła obmyślać historię, która wytłumaczyłaby jej nieobecność przy boku doñi Belén w klinice.

Wczesnym popołudniem zauważyła zieloną furgonetkę podjeżdżającą do bram probostwa. Ojciec de Jesús siedział w fotelu pasażera, inny mężczyzna prowadził, trzeci wyskoczył z paki, otworzył bramę na podwórze i zamknął ją, kiedy pojazd wjechał do środka.

Dedé przebiegła przez ulicę. Zostało niewiele czasu do spotkania z don Bernardem i doña Belén w klinice, a ona musiała porozmawiać z tym księdzem. Cały dzień jej myśli krążyły wokół jednego pytania, pojawiające się na przemian odpowiedzi „tak” i „nie” wirowały coraz szybciej, aż od tego niezdecydowania poczuła zawroty głowy. Czekać na ławce, obiecała sobie, że odpowiedź księdza zadecyduje o wszystkim raz na zawsze.

Pukała kilkakrotnie, nim ojciec de Jesús w końcu podszedł do drzwi. Bardzo przeproszał, rozładowywał ciężarówkę i do teraz nie słyszał pukania.

- Proszę, proszę wejść. Zaraz się panią zajmę.

Poprosił, by usiadła w ciasnym przedsiionku, do czasu gdy on skończy przyjmować dostawę. Dedé słyszała odgłosy dochodzące z przyległego pokoju. Kiedy odchodził, spojrzała ponad jego ramieniem i zauważyła sosnowe skrzynie, do połowy okryte brezentem. Ich kolor i kształt przywołał w niej wspomnienie pewnego incydentu, który miał miejsce w domu Patrii ostatniej jesieni. Dedé przyjechała, żeby pomóc w malowaniu pokoju dziecięcego. Weszła do sypialni Noris, szukając jakichś starych płacht, którymi mogłaby zakryć podłogę, a tam, za rzędem sukienek, stało ukrytych kilka skrzyń, takich samych jak te. Do pokoju weszła Patria i jękając się nerwowo, zaczęła tłumaczyć, że w środku jest pełno nowych narzędzi. Niedługo potem, gdy Patria prosiła ją o zakopanie skrzyń, Dedé zrozumiała, jakiego rodzaju były to narzędzia.

Mój Boże, *padre* de Jesús to jeden z nich! Będzie ją namawiał, by przyłączyła się do walki. To oczywiste. Jej oddech stał się płytki, kolana zaczęły drżeć i wtedy zrozumiała, że nie podoła wyzwaniu.

Jaimito był tylko wymówką. Bała się, najzwyczajniej w świecie, tak samo jak bała się zmierzyć ze swoimi silnymi uczuciami do Lía. Zamiast tego poślubiła Jaimita, chociaż zawsze wiedziała, że nie kocha go wystarczająco. Potem nieustannie wytykała mu niepowodzenia w biznesie, podczas gdy to ona doprowadziła do największego bankructwa.

Wytlumaczyła sobie, że przecież nie może się spóźnić na spotkanie. Wybiegła z probostwa, zanim ksiądz wrócił, i zjawiła się w klinice, kiedy doña Belén walczyła jeszcze z guzikami sukienki.

Przerazająca cisza poraziła ją od samego progu.

Na podjeździe nie było jego pikapa, ale przecież często zdarzało mu się wyskoczyć po pracy na drinka z kolegami. Jednakże ta cisza była zbyt głęboka i wszechogarniająca, by mogła ją spowodować nieobecność tylko jednej osoby.

- Enrique! - krzyczała, biegając od pokoju do pokoju. - Rafael! David!

Sypialnie chłopców były puste, szuflady otwarte, przetrząśnięte. „O mój Boże, o mój Boże”. Dedé czuła narastającą panikę.

Tinita, która pracowała u nich od czasu narodzin Jaimego Davida, czyli od czterech lat, przybiegła zaalarmowana krzykiem pani domu.

- Ależ, doña Dedé - powiedziała, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. - To tylko don Jaimito zabrał chłopców.

- Dokąd? - wykrztusiła z trudem Dedé.

- Do doñi Leili, jak sądzę. Spakował torby... - Stała z półotwartymi ustami, zażenowana tym, że jest świadkiem prywatnej sceny, której wolałaby nie oglądać.

- Jak mogłaś mu pozwolić, Tinito? Jak mogłaś?! Chłopcy są przeziębieni! - krzyczała, jakby to było przyczyną jej rozpacz. - Każ Salvadorowi siodłać klacz - rozkazała. - Szybko, Tinito, szybko! - dodała, widząc, że pokojówka stoi z opuszczonymi rękami.

Całą drogę do mamy Dedé przebyła szaleńczym cwałem. Było już ciemno, gdy skręciła na drogę wjazdową. We wszystkich oknach

domu paliły się światła, na podjeździe stały zaparkowane samochody: Minerva i Manolo właśnie przyjechali z Monte Cristi, Mate i Leandro - ze stolicy. No tak, to przecież ten wielki weekend. Ale wszystkie myśli o spotkaniu wyparowały Dedé z głowy.

Podczas jazdy powtarzała sobie, że musi zachować spokój, żeby nie denerwować mamy. Ale gdy tylko zsiadła z konia, krzyknęła:

- Potrzebuję samochodu! Szybko!
- *M'ija, m'ija*, co się stało? - dopytywała się mama.
- Nic, mamó, naprawdę. Tylko Jaimito zabrał chłopców do San Francisco.

- Ale co w tym złego? - Wyraz podejrzliwości, który pojawił się na twarzy mamy, sprawiał, że jej zmarszczki wydawały się głębsze. - Czy coś w tym złego?

W tym czasie Manolo podjechał samochodem pod drzwi, a Minerva trąbiła już klaksonem.

Po drodze Dedé opowiedziała im o tym, jak wróciła do domu i nie zastała tam chłopców.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - spytała Minerva. Szperała w torebce w poszukiwaniu papierosów, których nie mogła palić przy mamie. Ostatnio złapała paskudny kaszel.

- Groził, że mnie zostawi, jeśli zwiążę się z waszą grupą.
- Przecież się nie związałaś - zauważył Manolo.
- Może Dedé ma taki zamiar. - Minerva odwróciła się, kierując twarz ku tylnemu siedzeniu. W przyćmionym świetle Dedé nie mogła odgadnąć jej wyrazu. Koniec papierosa żarzył się jak jasne, badawcze oko. - Czy chcesz do nas dołączyć?

Dedé wybuchła płaczem.

- Muszę się po prostu do tego przyznać: nie jestem jak wy, przynajmniej nie do końca. Mogłabym się stać odważna, ale musiałabym mieć obok siebie kogoś, kto każdego dnia by mnie do tego zachęcał. Nie przychodzi mi to naturalnie.

- Tak jak żadnemu z nas - skonstatowała półgłosem Minerva.
- Dedé, jesteś bardzo odważna - zapewnił uprzejmy jak zwykle Manolo. A ponieważ byli już na przedmieściach San Francisco, dodał:

- Będziesz mi musiała powiedzieć, gdzie mam skręcić.

Zatrzymali się za pikapem zaparkowanym przed okazałym otynkowanym domem doñi Leili i Dedé poczuła ulgę. Przez otwarte drzwi frontowego patio zobaczyła chłopców oglądających telewizję. Już po wyjściu z samochodu Minerva otoczyła Dedé ramieniem.

- Manolo ma rację, wiesz? Jesteś bardzo odważna.

Potem skinęła głową w stronę Jaimita, który agresywnie blokował im wejście, i dodała:

- Jedna walka naraz, siostró.

- Przybyli wyzwoliciiele! - rozemocjonowany głos Jaimita brzmiał niewyraźnie.

Przybycie Dedé z Minervą i Manolem prawdopodobnie potwierdziło jego podejrzenia.

- Czego chcesz? - zapytał, zaciskając obie dłonie na framudze drzwi.

- Moich synów - odpowiedziała Dedé, wchodząc na ganek. Z Minervą u boku czuła się pewniej.

- M o i synowie - oświadczył - są tam, gdzie powinni być, cali i zdrowi.

- Dlaczego się nie przywitasz, kuzynie? - zbeształa go Minerva.

Jaimito przywitał się szorstko, był oschły nawet wobec Manola, którego zawsze darzył sympatią. Razem zainwestowali spadek swoich żon w ten niedorzeczny projekt - jak to było? - hodowanie cebuli na jakimś zapomnianym przez Boga pustynnym terenie, gdzie nie chcieli mieszkać nawet Haitańczycy. Dedé ich ostrzegała.

Ale ciepło Manola potrafiło roztopić każdy lód. Przywitał swojego dawnego partnera biznesowego uściskiem, zwracając się do niego per *compadre**, chociaż żaden z nich nie był ojcem chrzestnym dziecka drugiego. Wprosił się do środka, poczochnął chłopcom włosy i zawołał:

* *Compadre* (hiszp.) - słowo, którym ojciec chrzestny określa ojca swojego chrześniaka, a jednocześnie sam jest tak nazywany przez rodziców dziecka.

- Doña Leila! Gdzie pani się podziewa?!

Chłopcy, ma się rozumieć, niczego nie podejrzewali. Obdarzyli matkę i ciotkę zdawkowymi całusami, cały czas wbijając wzrok w ekran, na którym *el gato* Tom i *el ratoncito* Jerry byli w trakcie jednej ze swoich potyczek.

Doña Leila wyszła ze swej sypialni, gotowa podjąć gości. Wyglądała kokieteryjnie w świeżej sukience i z siwymi włosami upiętymi za pomocą grzebieni.

- Manolo, Minerva! *Que placer!*** - wykrzykiwała, ale to synową przytulała cały czas.

** *Que placer!* (hiszp.) - Cóż za przyjemność!

A więc nie powiedział nic swojej matce. „Nie śmiałyby” - pomyślała Dedé. Doña Leila hołubiła swoją synową do tego stopnia, że czasem Dedé martwiła się, czy pięć córek teściowej w końcu jej nie znienawidzi. Ale prawda był taka, że uwielbiały swoją kuzynkę i bratową, która zachęcała je do małych aktów buntu przeciwko ich sprawującemu władzę absolutną bratu. Siedem lat temu, kiedy umarł don Jaime, Jaimito gorliwie przejął rolę głowy rodziny.

Nawet jego matka mówiła, że jest wręcz gorszy od swojego ojca.

- Siadajcie, proszę, siadajcie. - Doña Leila wskazywała na najwygodniejsze krzesła, nie puszczając jednak ręki Dedé.

- Mamo - wytłumaczył Jaimito - musimy omówić nasze prywatne sprawy. Porozmawiamy na zewnątrz - zwrócił się do Manola, unikając wzroku matki.

Doña Leila wybiegła na zewnątrz, żeby ocenić wygląd ganku. Zapaliła lampy ogrodowe, wyniosła wygodne bujane krzesła, podała gościom napoje i nalegała, żeby Dedé przekąsiła *pastelito* - wyglądała zbyt szczupło.

- Nie każ się namawiać - powtarzała.

W końcu zostali sami. Jaimito zgasił światła na ganku, wołając do mamy, że to z powodu zlatujących się owadów. Dedé przypuszczała jednak, że w ciemności łatwiej było mu mówić o ich problemach.

- Myślisz, że nie wiem, co zamierzałaś zrobić? - W jego głosie narastało wzburzenie.

- Potrzebujesz jeszcze *cervecita**, *m'ijo*? - krzyknęła doña Leila ze środka.

* *Cervecita* (hiszp.) - piwko.

- Nie, nie, mamó - odpowiedział Jaimito zniecierpliwionym tonem, po czym zwrócił się do pozostałych: - Mówiłem Dedé, że nie chcę, by się w to mieszała.

- Zapewniam cię, że nigdy nie była na żadnym z naszych spotkań - przerwał mu Manolo. - Masz moje słowo.

Jaimito zamilkł. Oświadczenie Manola osadziło go w miejscu. Jednak zaszedł już za daleko, by tak łatwo przyznać się do błędu.

- Cóż, a co z jej spotkaniami z *padre* de Jesús? Wszyscy wiedzą, że jest zagorzałym komunistą.

- Nie jest - zaproponowała Minerva.

- Na miłość boską, Jaimito, pojechałam do niego tylko raz - wtrąciła się Dedé. - I to w naszej sprawie, jeśli chcesz znać prawdę.

- Naszej sprawie? - Jaimito przestał się bujać w fotelu. Nagle uszła z niego cała pewność siebie. - A co jest z nami nie tak, *mami*?

„Czy naprawdę jesteś aż tak ślepy? - miała ochotę zapytać. - Przestaliśmy rozmawiać, rozkazujesz mi, zamykasz się w sobie, nie interesujesz się moim ogrodem”. Dedé jednak nie chciała poruszać ich intymnych spraw w obecności siostry i szwagra.

- Wiesz, o czym mówię.

- O czym, *mami*?

- Przestań mówić do mnie „*mami*”, nie jestem twoją matką.

Z kuchni dobiegł głos doñi Leili, która pilnowała pokojówki przy pieczeniu całej tacy przekąsek:

- Jeszcze jedno *pastelito*, Dedé?

- Zachowuje się tak, od kiedy przyjechałem - powiedział Jaimito wyraźnie odprężony. Jego głos złagodniał. - Pytała mnie chyba ze sto razy: „Gdzie jest Dedé? Gdzie jest Dedé?”.

Wyraził to, co czuł, najlepiej, jak umiał.

- Mam taką sugestię, *compadre* - zabrał znów głos Manolo. - Może pojedziecie na miesiąc miodowy w jakieś przyjemne miejsce?

- Chłopcy są przeziębieni - odparła Dedé bez przekonania.

- Jestem pewny, że ich babcia świetnie się nimi zaopiekuje. - Manolo się zaśmiał. - Dlaczego by nie pojechać do... Spędziliście miesiąc miodowy w Jarabacoa?

- Nie, w okolicach Rio San Juan - powiedział Jaimito tonem zdradzającym, że aprobeje plan.

- To my byliśmy w Jarabacoa - przypomniała Manolowi Minerva przez zaciśnięte zęby, dając do zrozumienia, że nie pochwała pojednania, które aranżował. Jej siostrze będzie lepiej samej.

- Mają piękny nowy hotel w Rio San Juan - kontynuował Manolo. - W każdym pokoju jest balkon z widokiem na morze.

- Rozumiem, że ceny są rozsądne? - wtrącił Jaimito. Wyglądało to tak, jakby dwóch mężczyzn znów planowało wspólny interes.

- Więc co o tym sądzicie? - skonkludował Manolo.

Ani Jaimito, ani Dedé nie odezwali się słowem.

- Zatem ustalone - oznajmił Manolo, ale musiał wyczuć ich niezdecydowanie, bo dodał: - Zrozumcie, wszyscy mają problemy. Minerva i ja też przechodziliśmy trudny okres. Ważne jest, żeby kryzys taki jak ten pozwolił wam się do siebie zbliżyć. Czyż nie, *mi amor*?

Minerva wciąż miała się na baczności.

- Niektórzy ludzie nie potrafią dojść do porozumienia.

To zdanie przełamało impas, chociaż z pewnością nie taka była jej intencja. W Jaimicie obudziła się uspiońska ambicja.

- Dedé i ja doskonale potrafimy dojść do porozumienia! Problem pojawia się wtedy, kiedy inni ludzie zaczynają się wtrącać.

„Problem pojawia się wtedy, kiedy otwieram oczy i sama patrzę na świat” - pomyślała Dedé. Ale była zbyt roztrzęsiona wydarzeniami tej nocy i długim tygodniem życia w niepewności, żeby mu zaprzeczać.

I tak weekend, który miał być jak przełom rzeki w życiu Dedé, okazał się podróżą z biegiem nurtu pamięci, odbywaną w wynajętej łodzi. Jaimito płynął od jednej sławnej laguny, którą odwiedzili jako nowożeńcy, do drugiej, zatrzymując się, by wskazać wiosłem na bagno namorzynowe, gdzie Hainowie łowili ryby, a potem ukrywali się przed Hiszpanami. Czy nie słyszała już tego jedenaście lat temu?

Nocami, gdy siedzieli na swoim prywatnym balkonie, a Jaimito obejmował ją ramieniem i szeptał do ucha obietnice, Dedé wpatrywała się w gwiazdy. Ostatnio wyczytała w „Vanidades”, że ich światło dociera do Ziemi latami. Gwiazda, której blask teraz widziała, mogła zgasnąć dawno temu. Jaka pociecha z tego, że je policzy? Lub że dostrzeże na tym ciemnym niebie barana, skoro połowa jego lśniącego rogu może już nie istnieć?

„Falszywe nadzieje” - pomyślała. Noce powinny być całkiem ciemne! Ale nawet to mroczne życzenie wypowiedziała do jednej z gwiazd.

Obława zaczęła się pod koniec następnego tygodnia.

W sobotę, wczesnym rankiem Jaimito zawiózł Dedé z dwoma młodszymi synami do mamy, która poprosiła ją o pomoc przy sadzeniu rabatki wilczomleczka. Tak przynajmniej twierdziła, choć łatwo było się domyślić, że to jedynie pretekst. Po tym, jak w zeszłym tygodniu Dedé w panice wpadła do jej domu, mama zaczęła się o nią martwić. Uznała, że nie będzie zadawać żadnych pytań - zawsze powtarzała, że nie ma zamiaru się wtrącać w sprawy małżeńskie swoich córek. Wystarczy, że przyjrzy się, jak Dedé sadi małe roślinki w ziemi, i już będzie wiedziała, co dzieje się w jej sercu.

Podczas gdy Dedé szła w stronę domu, badając wzrokiem, co jeszcze trzeba zrobić w ogrodzie, chłopcy ścigali się do drzwi.

Otaczała ich wczesnoporanna cisza panująca w posiadłości. Wydawało się dziwne, że mama nie wyszła na zewnątrz, żeby ją przywitać. Wtedy Dedé zauważyła służących zebranych na podwórzu z tyłu domu. Tono oddzieliła się od nich i zaczęła spieszonym krokiem iść w jej kierunku. Jej twarz miała zafrasowany wyraz kogoś, kto zaraz przekaże złą wiadomość.

- Co się stało, Tono? Powiedz mi! - Dedé zdała sobie sprawę, że zaciska palce na ramieniu kobiety.

- Don Leandro został aresztowany.

- Tylko on?

Tono kiwnęła głową. Wstyd przyznać, ale Dedé najpierw poczuła wdzięczność, że jej siostry zostały oszczędzone, a dopiero potem zaczęła się martwić o Leandra.

Wewnątrz domu, na kanapie siedziała Maria Teresa, rozplatając i na powrót zaplatając włosy, z twarzą opuchniętą od płaczu. Obok niej stała mama i powtarzała, że wszystko będzie dobrze. Dedé z przyzwyczajenia ogarnęła wzrokiem pokój w poszukiwaniu chłopców. Dosłyszała, jak w jednej z sypialni bawią się ze swoją małą kuzynką Jacqueline.

- Dopiero co przyjechała - mówiła mama - właśnie miałam posyłać po ciebie chłopaka.

W miejscu, gdzie stał stary dom, nie było linii telefonicznych - co stanowiło kolejną przyczynę, dla której mama przeprowadziła się w pobliże głównej drogi.

Dedé usiadła. Jak zwykle w chwili trwogi kolana odmówiły jej posłuszeństwa.

- Co się stało?

Mate opowiadała swoją historię, zanosząc się szlochem. Jej oddech stał się chrapliwy od astmy, która przypominała o sobie zawsze, gdy Mate była zdenerwowana. Ona i Leandro spali zaledwie od kilku godzin, kiedy usłyszeli pukanie. Nie czekając na odpowiedź, funkcjonariusze WSW wyłamali drzwi ich mieszkania, wpadli jak burza do środka, pobili Leandra i wyprowadzili go na zewnątrz. Potem zaczęli przeszukiwać dom, rozrywając materiał obiciowy na kanapie i krzesłach. W końcu odjechali nowym chevroletem. Mate przerwała, jej oddech stał się zbyt krótki, by mogła mówić dalej.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - pytała wciąż mama. - Leandro to poważny chłopak, inżynier!

Ani Mate, ani Dedé nie wiedziały, co jej odpowiedzieć.

Dedé próbowała dodzwonić się do Minery w Monte Cristi, lecz telefonista powiedział, że linia jest zerwana. Mama, która do tej pory była skłonna uznać wzruszanie ramionami za odpowiedź, teraz patrzyła na córki przeszywającym wzrokiem.

- Co tu się dzieje? I nie wmawiajcie mi, że nic. Wiem, że coś się

dzieje.

Dedé wzdrygnęła się jak dziecko, które wie, że źle się zachowało.

- Mamo - powiedziała, czując, że nadszedł czas, by wyznać prawdę. Wskazała miejsce na kanapie, poklepując je dłonią. - Lepiej będzie, jeśli teraz usiądziesz.

Usłyszawszy zamieszanie na podwórzu, Dedé jako pierwsza wybiegła na zewnątrz. To, co zobaczyła, z początku wydawało się nie mieć żadnego sensu. Wszyscy służący stali na trawniku, Fela z krzyczącym Raúlitem w ramionach. Obok stali, trzymając się za ręce, Noris i Manolito. Oboje płakali. Była tam też Patria, która klęcząc na kolanach, kiwała się w przód i w tył, garściami wrywając trawę z ziemi.

Dedé z trudem pośladała w całość historię, którą opowiadała siostra.

Funkcjonariusze WSW przyjechali po Pedrita i Nelsona, którzy, ostrzeżeni przez sąsiadów, uciekli na wzgórze. Patria otworzyła drzwi i powiedziała im, że mąż i syn udali się do stolicy. Ci mimo to wtargnęli do domu. Przeszukali posiadłość, rozkopali pola i znaleźli ukryte skrzynie załadowane po brzegi obciążającymi materiałami, jak również jedną starszą, pełną jakichś papierów. „Treści podzégające” - tak to nazwali. Ale Patria widziała tylko śliczne pamiątki zapisane dziewczęcym charakterem pisma. Prawdopodobnie Noris chciała zachować coś w tajemnicy przed swoim wścibskim starszym bratem, więc schowała to w zagajniku.

Rozdarli dom na strzępy, wywieźli drzwi, okna i bezcenne mahoniowe belki ze starego ranczo rodziny Pedrita.

- Czułam się tak, jakby na moich oczach demontowano mi życie - mówiła Patria, szlochając.

Wilce, którymi oplotła winorośl, Niepokalana w srebrnej ramie pobłogosławiona przez biskupa Higüey, szafa z małymi kaczuszkami, namalowanymi przez nią za pomocą szablonu, kiedy urodził się Raúlito.

Wszystko to sponiewierane, zniszczone, zbezczeszczone, zruj-

nowane.

Potem podłożyli ogień pod to, co zostało.

A Nelson i Pedrito, ujrawszy pożogę, bojąc się o Patrię i dzieci, zbiegli ze wzgórz, trzymając ręce nad głowami na znak, że się poddają.

- Byłam dobra! Byłam dobra! - wykrzykiwała Patria w niebo.

Otaczały ją grudy nagiej ziemi, obok których w smutnych kępach leżała trawa.

Dedé nie wie, dlaczego to wtedy zrobiła. Przypuszcza, że wiedzona rozpaczą, próbowała za wszelką cenę coś ocalić. Upadła na kolana i zaczęła z powrotem upychać trawę w glebie. Kojącym tonem przypomniiała siostrze o wierze, która zawsze była jej podporą.

- Wierzysz w Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi...

Patria przyłączyła się do niej, powtarzając przez łzy słowa credo:

- Światłość ze światłości, który dla nas, ludzi, i dla naszego zbawienia...

- ...zstąpił z nieba - dopowiedziała Dedé opanowanym głosem.

Nie mogli skontaktować się z Jaimitem, który cały dzień był poza domem, na aukcji tytoniu. Nowy lekarz powiedział, że nie jest w stanie wyrwać się z San Francisco, kiedy wyjaśnili mu, po co go potrzebują. Tłumaczył Dedé, że musi się zająć nagłym wypadkiem, ale ona, jako specjalistka od strachu, domyśliła się, że się bał. Don Bernardo w swojej uprzejmości przyniósł im trochę środków uspokajających doñi Belén. Dedé, niewiele myśląc, podała każdemu niewielką dawkę, nie wyłączając nawet małych dzieci, Tono i Feli, a tym bardziej swoich chłopców. Nad całym domem unosił się paraliżujący strach, wszyscy poruszali się ospali, odurzeni meprobamatem i ostatnimi wydarzeniami. Dedé próbowała bezustannie dodzwonić się do Minery, ale linia była naprawdę, nieodwołalnie nieczynna, a telefonista popadał już w irytację.

W końcu Dedé zastała Minervę w domu matki Manola. Poczwała

wielką ulgę, gdy usłyszała jej głos przez telefon. Nagle zrozumiała, że - zdecydowana czy nie - tak naprawdę nigdy nie miała wyboru. Niezależnie od tego, co postanowi w sprawie swojego udziału w spisku, jej los był związany z losem jej siostr. Będzie cierpieć, jeśli one będą cierpieły. Jeśli umrą, nie będzie chciała dalej żyć bez nich.

Tak, Manola też aresztowano tej nocy. W głosie Minery slychać było napięcie. Bez wątpienia doña Fefita, matka Manola, stała obok niej. Od czasu do czasu Minerva dostawała ataku kaszlu.

- Wszystko w porządku? - spytała Dedé.

Długa pauza.

- Tak, tak - zapewniła Minerva wesołym tonem. - Telefon został odłączony, ale dom stoi. Nie mieli czego ukraść, prócz książek. - Śmiech Minery przerodził się w gwałtowny napad kaszlu.

Dedé zaniepokoiła się o jej zdrowie.

- To tylko alergia - wyjaśniła Minerva.

Kiedy skończyła już zdawać napawającą grozą relację, poprosiła:

- Zawołaj Patrię. Chcę ją o coś spytać.

Dedé powiedziała, że Patria dopiero co się uspokoila, jest pod wpływem leków i może lepiej, żeby nie podchodziła do telefonu.

Wtedy Minerva spytała wprost:

- Nie wiesz, czy uratowała dziecięce tenisówki?

- Ay, Minerva. - Dedé westchnęła. Ich zakodowany język był tak przejrzysty, że nawet ona mogła zgadnąć, o co pytała jej siostra. - Daję ci mamę - ucięła. - Chce z tobą rozmawiać.

Mama błagała Minervę, żeby przyjechała do domu.

- Lepiej, żebyśmy wszystkie były razem.

W końcu z powrotem przekazała słuchawkę Dedé.

- Ty ją przekonaj.

Tak jakby Minerva kiedykolwiek się jej posłuchała!

- Nie mam zamiaru dać się zastraszyć - oświadczyła Minerva, zanim Dedé zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Nic mi nie jest. Czy Patria mogłaby w końcu podejść do telefonu?

Parę dni później Dedé dostała od Minery liścik z desperacką prośbą. Natychmiast potrzebowała pieniędzy. Nachodzili ją wierzy-

ciele. Musiała kupić lekarstwa, ponieważ („Nie mów mamie”) zdiagnozowano u niej gruźlicę. „Nie chciałam cię angażować, ale ponieważ jesteś odpowiedzialna za rodzinne finanse...” Czy mogłaby wypłacić Minervie zaliczkę, którą odliczy w przyszłości od jej udziałów w domu i ziemiach?

Zbyt dumna, żeby zwyczajnie poprosić o pomoc! Dedé wsiadła do pikapa Jaimita. Nie chciała się zatrzymywać u mamy, by tam skorzystać z telefonu, gdyż obawiała się pytań, którymi z pewnością została by obsypana. Zadzwoiła do Minervy z banku z zamiarem zawiadomienia jej, że niedługo przyjedzie z pieniędzmi, ale telefon odebrała zrozpaczona doña Fefita. Tego ranka zabrano Minervę. Mały domek splądrowano i zabito deskami. W tle Dedé usłyszała żalony płacz Minou.

- Jadę po ciebie - obiecała małej.

Dziecko trochę się uspokoiło.

- Czy mama jest z tobą?

Dedé wzięła głęboki oddech.

- Tak, mama tu jest.

Miało to swoje liczne konsekwencje. Później wymawiała się, że miała na myśli swoją mamę. Ale wtedy chciała tylko choć na chwilę ukoić tęsknotę dziecka.

Pojechała na pola tytoniu, pamiętając, że Jaimito miał tam nadzorować zasiew nowej uprawy. Dzwoniąc do Minervy, zastanawiała się, co zrobi jej mąż, kiedy po powrocie do domu odkryje zniknięcie żony i - mało tego - pikapa. Coś jej mówiło, że nie zareaguje swoją zwykłą furią. Mimo woli Dedé musiała przyznać, że podobało jej się to, co widziała: rozkład sił w ich małżeństwie zaczynał się zmieniać na jej korzyść. Gdy wracali z Rio San Juan, wyznała mu w końcu, łkając, że nie potrafi dłużej trwać w tym związku. On też zaszlochał i błagał o drugą szansę. „O setną szansę” - pomyślała. Teraz ulegli biegowi wydarzeń, które stratowały jej prywatne smutki, jej pączkującą nadzieję, rozpościerającą się u jej ramion skrzydła.

- Jaimito! - krzyknęła, ujrawszy go z daleka.

Zaczął biec w jej stronę przez błotniste, dopiero co zaorane pole.

„Cóż za ironia” - pomyślała, obserwując go. Ich drogi, które prawie rozeszły się tydzień temu, teraz znów się schodziły. Ostatecznie rozpoczęli najbardziej dotychczas absorbujące wspólne przedsięwzięcie, i to takie, które w przeciwieństwie do pozostałych musiało się powieść. Ratowanie jej sióstr.

Pokonali krótki dystans do mamy, debatując, jak przekazać jej wiadomości. Miała podwyższone ciśnienie, odkąd Patria przeżyła załamanie nerwowe, wtedy na trawniku. Czy naprawdę od tamtej chwili nie minął nawet tydzień? Wydawało się, że od miesięcy żyją w tym piekle przerażenia i strasznego oczekiwania na najgorsze. Każdego dnia było coraz więcej aresztowań. Listy nazwisk w gazetach się wydłużały.

Kiedy jednak pojawili się przed domem, Dedé zrozumiała, że dłużej już nie da się ochraniać mamy. Kilka czarnych volkswagenów i wóz policyjny zatrzymały się na podjeździe. Porucznik Peña, dowódca północnego oddziału Wojskowych Służb Wywiadowczych, miał rozkaz aresztowania Mate. Mama wpadła w histerię. Przerazona Mate przyłgnęła do niej kurczowo, przeraźliwie szlochając, a mama oznajmiła, że jej najmłodsza córka nie opuści domu bez niej. Dedé słyszała piskliwy głosik Jacqueline wołającej swoją matkę z sypialni.

- Proszę wziąć mnie zamiast niej - błagała porucznika Peñę Patria, klęcząc przy drzwiach. - Zaklinam pana w imię Boga.

Oficer, bardzo otyły mężczyzna, z zainteresowaniem spojrzął w dół na falującą pierś Patrii, rozważając ofertę. Don Bernardo, słysząc krzyki dobiegające z sąsiedniego domu, pojawił się z buteleczką środków uspokajających. Próbował nakłonić Patrię, żeby podniosła się z kolan, ale ona nie chciała lub nie mogła wstać. Jaimito wziął porucznika na stronę. Dedé zobaczyła, jak sięga po portfel, a oficer powstrzymuje go ruchem ręki. „O Boże - pomyślała - źle to wróży, jeśli diabeł odmawia przyjęcia łapówki”.

Wreszcie porucznik Peña powiedział, że zrobi wyjątek i pozwoli mamie pojechać z nimi. Ale na podjeździe, po załadowaniu przera-

zonej Mate do wozu, dał sygnał kierowcy, który odjechał, zostawiając mamę stojącą na drodze. Krzyki wydobywające się z wozu były nie do zniesienia.

Dedé i Jaimito popędzili za Marią Teresą swoim małym pikapem, który chybotął się na różne strony, gdy niebezpiecznie wyprzedzali na zakrętach jadące wolniej pojazdy. Zwykle Dedé strofowała Jaimita za nieostrożną jazdę, teraz jednak zorientowała się, że sama przyciska stopą niewidzialny pedał gazu. Mimo to nie zdołali dogonić wozu policyjnego. Kiedy dotarli do Salcedo Fortaleza i udało im się dostać do gabinetów wyższych urzędników, powiedziano im, że młoda *llorona** z długimi warkoczami została przewieziona do stolicy. Nie mogli zdradzić dokąd.

* *Llorona* (hiszp.) - płaczka.

- Dranie! - wykrzyknął Jaimito, kiedy siedzieli już w pikapie. Uderzał pięścią w winylowe siedzenie. - Nie ujdzie im to na sucho!

To był ten sam znajomy gniew, przed którym Dedé drżała od tyłu lat, ale teraz zamiast strachu czuła przypływ współczucia.

Ani Jaimito, ani nikt inny nie mógł tu nic wskórać. Wzruszyło ją jednak, że stając w obronie walczących kobiet, odnalazł w końcu sposób, by przysłużyć się sprawie.

Gdy patrzyła na męża, przed oczami Dedé stawały jego koguty do walk, które na podwórzu niczym nie różniły się od innych. Kiedy jednak postawiło się je na ringu, podrywały się do życia, wybuchając chmurą piór, raniąc sztyletami pazurów. Widziała, jak oszołomione, utykające, z wydziobanymi oczami wciąż drapią powietrze, atakując przeciwnika, którego już nie widzą. Przypomniała sobie też ze zdziwieniem i pewną dozą obrzydzenia, a nawet z wprawiającym w zakłopotanie seksualnym podnieceniem, jak Jaimito wkładał ich główki do swoich ust, jakby były jakąś ranną częścią jego samego albo - z czego nagle zdała sobie sprawę - jej samej. Częścią, którą przywracał do życia.

W drodze powrotnej do mamy Dedé i Jaimito szykowali plan. Jutro

wczesnym rankiem pojadą do stolicy i złożą wnioski o uwolnienie dziewcząt. W niczym to nie pomoże, ale siedzenie z założonymi rękami byłoby gorsze. Więźniowie, o których nikt się nie upomina, często znikają. O Boże, Dedé nie chciała nawet o tym myśleć!

Czuła się dziwnie, jadąc tak pikapem, mając przed sobą ciemną drogę, a nad głową smukły księżyc i trzymając się z Jaimitem za ręce, jakby, znów młodzi i zakochani, planowali ślubną uroczystość. Dedé niemal spodziewała się, że z tylnych siedzeń wyskoczą Minerva i Lío. Ta myśl poruszyła ją, ale w inny niż zwykle sposób. Tym razem nie rozpamiętywała straconej szansy. Uderzyło ją raczej, jak bardzo tamten czas wydawał się teraz niewinny w porównaniu z przyszłością, która po nim nadeszła. Dedé przelknęła łzy, które uwięzły jej w gardle jak duszący węzeł. Czuła, że jeśli sobie na nie pozwoli, całe jej wnętrze rozpadnie się na kawałki.

Kiedy skręcili na drogę wjazdową, na jej końcu ujrzeli mamę, obok której stały Tono i Patria, próbując ją uciszyć.

- Weź wszystko, wszystko, co mam! Ale oddaj mi moje córki, *por Dios!* - krzyczała.

Dedé wyskoczyła z samochodu, zanim jeszcze całkiem się zatrzymał. Zgadła już, co było nie tak.

- Co się stało, mamó?

- Zabrali Minervę!

Dedé wymieniła spojrzenia z Jaimitem.

- Skąd to wiesz, mamó?

- Nie ma samochodów. - Mama wskazała na drugą stronę podjazdu. Nie było wątpliwości: ford i jeep zniknęły.

Kilku funkcjonariuszy Wojskowych Służb Wywiadowczych, którzy zostali przy domu, spytało ją o klucze. Konfiskowali dwa pojazdy zarejestrowane na nazwisko więźniarki. Minerva! Od czasów papy nikomu nie przyszło do głowy, by postarać się o zmianę dokumentów. Teraz samochody należały do WSW.

- Panie - mama spojrzała w górę, zwracając się do tych samych gwiazd, którymi Dedé już wzgardziła. - Panie, usłysz moje wołanie!

- Chodźmy porozmawiać z Nim w środku - zasugerowała Dedé.

Zauważyła, że krzaki poruszyły się nieznacznie. Byli szpiegowani i odtąd już stale będą.

W sypialni mamy wszyscy uklękli przed dużym wizerunkiem Niepokalanej. To tutaj gromadzili się zawsze w momentach rodzinnych kryzysów - gdy dziecko Patrii urodziło się martwe, gdy krowy dostały zapalenia spojówek, gdy papa został uwięziony i gdy potem umarł, gdy wyszła na jaw prawda o jego drugiej rodzinie.

Teraz znów zebrali się w małym pokoju: Patria, Noris, mama, nawet Jaimito, który z zakłopotaniem trzymał się na uboczu, nienawykły do klękania. Patria poprowadziła różaniec, a gdy jej głos od czasu do czasu załamywał się i niknął, zastępował go inny - mocny i pełny, należący do Dedé. Ale tak naprawdę nie wkładała w to serca. Zastanawiała się, co musi zrobić, zanim rano wyruszą z Jaimitem do stolicy. Chłopców trzeba będzie zostawić u doñi Leili, Minou wysłać do Monte Cristi, zatankować samochód, zapakować dziewczętom, gdziekolwiek teraz były, kilka toreb z rzeczami i dodatkowo jedną sobie oraz Jaimitowi, na wypadek gdyby musieli zostać na noc.

Modlitwa ustała. Teraz wszyscy szlochali cicho, dotykając szat Dziewicy, by zaznać ukojenia. Dedé spojrzała na Matkę Bożą i zauważyła, że zdjęcie Minery i Mate zostało dopiero co zatknięte za ramę, gdzie tkwiły już fotografie Manola, Leandra, Nelsona, Pedrita. Walczyła ze łzami, ale tym razem nie potrafiła ich powstrzymać.

Tej nocy, leżąc u boku Jaimita, Dedé nie mogła usnąć. Nie była to jednak bezsenność poprzedzająca zuchwałę wycieczki do szopy, gdzie słuchała zakazanej stacji. Ta była całkiem innego rodzaju. Czuła, jak powoli nadchodzi. Z mrokiem dziecięcej szafy, odorem benzyny, którego nigdy nie lubiła, uczuciem, że coś niebezpiecznego obłapiają delikatnie, by zobaczyć, co robi. Czuła dojmującą pokusę, żeby po prostu się temu poddać. Pozwolić szaleństwu zapanować nad nią, nim WSW zniszczą wszystko, co kocha.

Ale kto wtedy zająłby się jej synami? I mamą? I kto poradziłby sobie z Patrią, gdyby znów oddaliła się od spokojnych wód i ziolo-

nych niw swojej pobożności?

Dedé nie wolno było uciec. Odwaga! Po raz pierwszy użyła tego słowa w odniesieniu do siebie i zrozumiała dokładnie, co oznacza. I podczas gdy Jaimito chrapał w najlepsze, Dedé wymyślała małe ćwiczenie na nadanie myślom innego toru i umocnienie ducha.

„Skoncentruj się, Dedé! - mówiła do siebie. - Przypomnij sobie bezgwiezdną, chłodną noc podobną do tej. Siedzisz pod drzewem pieprzowym na podwórzu przed domem...” I zaczęła przywoływać z pamięci szczęśliwe wspomnienie, zmuszając się, by poczuć zapach jaśminu, dotyk wieczornego powietrza na skórze, zobaczyć zieloną sukienkę, którą miała na sobie, usłyszeć dzwonienie lodu w szklance rumu papy i toczony półgłosem rozmowy. Ale zaraz! Dedé nie wymyśliła „gry w pamięć” tej nocy, gdy aresztowano dziewczęta. Właściwie w ogóle jej nie wymyśliła. Nauczyła się jej od Minery, kiedy ta, w ostatnich miesiącach swojego życia, już po zwolnieniu z więzienia, mieszkała u mamy z Mate, Patrią i dziećmi.

Każdego dnia Dedé przyjeżdżała tam z wizytą i każdego dnia wdawała się z nią w sprzeczkę. Zaczynało się od próśb, żeby Minerva zachowała się rozsądnie i została w domu, a kończyło na kłótni. Zewsząd docierały plotki, że Trujillo chce jej śmierci. Jako sekretna bohaterka całego narodu stawała się zbyt niebezpieczna. W aptece, w kościele, na *mercado** do Dedé podchodzili sympatycy i szeptali: „Opiekuj się naszymi dziewczętami”. Czasem podsuwali jej pod oczy liściki. „Powiedz Motylom, żeby unikały drogi do Puerto Plata. Nie jest bezpieczna”. „Motyle!” Boże drogi, jak ludzie potrafią idealizować nieszczęście innych!

* *Mercado* (hiszp.) - targ.

Minerva jednak zachowywała się tak, jakby nie dbała o swoje bezpieczeństwo. Argumenty Dedé zbijała, mówiąc, że nie może odstąpić od sprawy, nie będzie się chować w Oj o de Agua i nie da WSW zabić swojego ducha. Poza tym Dedé ulegała nieuzasadnionej hysterii. Teraz, gdy Organizacja Państw Amerykańskich podnosi wrzawę przy każdym uwięzieniu i egzekucji, Trujillo nie zamorduje bezbronnej kobiety i nie wykopie sam sobie grobu. Głupie plotki.

„*Voz del pueblo, voz del cielo*” - zacytowała Dedé. „Głos ludu głosem Boga”.

Pewnego razu, niedługo przed końcem, podczas jednej z ich sprzeczek Dedé wybuchła płaczem.

- Tracę zmysły, zamartwiając się o ciebie, nie widzisz tego? - wyszlochała.

Ale zamiast ustąpić na widok łez Dedé, Minerva zaproponowała jej ćwiczenie.

- Wymyśliłam je w La Victorii, kiedy siedziałam w izolatce - wyjaśniła. - Zaczynasz od wersu piosenki albo wiersza. Potem powtarzasz go, dopóki nie poczujesz, że się uspokajasz. To mój sposób na utrzymanie się przy zdrowych zmysłach. - Minerva uśmiechnęła się smutno. - Spróbuj tego. Pomogę ci zacząć.

Nawet dziś Dedé słyszy, jak jej siostra ochryłym od przeziębienia głosem recytuje napisany w więzieniu wiersz, który prześladował ją przez cały ten ostatni rok. „Opadają nocy cienie, *campesino* żegna pole, tułacz pyta o schronienie...”

Nic dziwnego, że w głowie Dedé ćwiczenie Minervy i jej wiersz o zapadającej nocy zlały się w jedno ze wspomnieniem długich godzin bezsenności, która dręczyła ją przed pierwszą podróżą do stolicy. Ciemna noc rzeczywiście zapadała, jakże niepodobna do tych zapamiętanych z dzieciństwa, łagodnych i rozgwieżdżonych, gdy pod drzewem pieprzowym papa przepowiadał córkom przyszłość, a mama besztala go za picie. Ta była inna, przypominała bardziej wnętrze piekła, którego zapowiedź kazała Dedé przyłgnąć mocniej do Jaimita, aż w końcu ona też usnęła.

Patria

styczeń - marzec 1960

Nie wiem, jak to się stało, że nauczyłam się dźwigać swój krzyż. Mamy tutaj takie powiedzenie: garbus nigdy nie męczy się noszeniem ciężaru na plecach. Straciłam jednocześnie swój dom, męża, syna, spokój umysłu. Ale po kilku tygodniach mieszkania u mamy przyzwyczaiłam się do smutków nagromadzonych w moim sercu.

Najtrudniejszy był pierwszy dzień. Dosłownie szalałam z rozpaczy. Kiedy Dedé i Tono wprowadziły mnie do domu, chciałam tylko położyć się i umrzeć. Słyszałam w oddali płacz dzieci i uspokajające je głosy, Noris szlochającą razem ze swoją ciocią Mate - a cały ich smutek pozwolił mi się oderwać od własnego. Jednak zanim tak się stało, spałam przez długi czas, zdawało mi się, że całymi dniami. Gdy się obudziłam, w moich uszach zabrzmiał głos Dedé, wzywającej imienia Pana.

- „I zmartwychwstał trzeciego dnia...”

Wstałam z łóżka, gotowa zająć się prowadzeniem domu. Poprosiłam o miskę, by wykąpać dziecko, i powiedziałam Noris, że musi coś zrobić ze swoimi włosami, bo wpadają jej do oczu.

Mate i ja wprowadziłyśmy się do sypialni we frontowej części domu, do którego wstawiłyśmy łóżeczko dla obojga naszych dzieci. Umieściłam Noris z Minou i Manolitem w pokoju gościnnym, z którego zawsze korzystała Minerva. Pomyślałam, że mamie będzie najlepiej samej, w jej własnej sypialni.

Ale po północy domownicy zaczęli się zamieniać łózkami, szu-

kając pocieszenia w ciepłe innego ciała. Manolito niezmiennie wczółgiwał się pod moją kołdrę, a zaraz potem rozlegał się płacz Raúlita. Ten mały był zazdrosny nawet przez sen! Zabierałam go do siebie i łóżeczko zostawało puste, bo Jacqueline dawno już leżała przytulona do boku swojej matki. Nad ranem znajdowałam Noris i Minou w pokoju ich babci, objęte i pogrążone w głębokim śnie.

I zmartwychwstał trzeciego dnia...

Trzeciego dnia pobytu u mamy zamiast zmartwychwstania spadło na mnie kolejne ukrzyżowanie. Funkcjonariusze WSW przyszl po Mate.

Upłynęły trzy miesiące, nim dane mi było znów zobaczyć ją, Minervę oraz naszych mężów. Trzy miesiące, nim mogłam przytulić mojego Nelsona.

Jak już mówiłam, udało mi się dojść do siebie. Ale od czasu do czasu w mojej głowie pojawiały się obrazy, których nie mogłam się pozbyć.

Wciąż na nowo widziałam nadchodzących oficerów WSW, Nelsona i Pedrita uciekających tylnym wyjściem, porażoną strachem twarz Noris. Widziałam żołnierzy kłębiących się przy wejściu, słyszałam ciężkie kroki, biegnących ludzi, wrzaski. Patrzyłam na płonący dom.

Widziałam ciasne cele bez światła i prawie bez powietrza. Słyszałam, jak otwierają się drzwi, widziałam obrzydliwe w swoich groźbach, nachalne ręce. Słyszałam trzask łamanych kości, głuchy odgłos zwalającego się ciała. Słyszałam jęki, krzyki, desperackie wołanie.

Och, moje siostry, mój Pedrito, och, moja mała owieczka!

Nosiłam koronę cierniową uplecioną z myśli o moim synu. O jego ciele, które posypywałam talkiem, karmiłam, myłam. Jego ciele teraz złamanym, jakby było niczym więcej niż workiem kości.

„Byłam dobra!” - wykrzykiwałam w niebo, przekreślając całe „dojście do siebie”.

W takich chwilach mama posyłała po Dedé. Kiedy się zjawiała,

odmawiałyśmy razem różaniec. Potem wracałyśmy do naszej starej gry z dzieciństwa: otwierałyśmy Biblię na przypadkowej stronie i odgadywałyśmy swój los z wersetu, na który spadł palec jednej z nas.

I zmartwychwstał trzeciego dnia...

Dziwnie mieszkało się w nowym domu mamy. Były tu wszystkie przedmioty z dawnego domu, ale poprzestawiane w inne miejsca. Czasem łapałam się na tym, że sięgam po klamkę u drzwi, których tam nie było. Aby dostać się w nocy do pokoju sanitarnego - choć bardzo nie chciałam zbudzić dzieci - musiałam włączyć światło. W przeciwnym razie wpadłabym na komodę, która w starym domu nigdy nie stała w korytarzu.

W holu wejściowym, zgodnie z zarządzeniem, widniała podobizna El Jefe, ale nie ta znajdująca się dawniej obok obrazu Dobrego Pasterza i przedstawiająca Trujillo jako młodego kapitana. Nowy portret mama kupiła zupełnie sama i powiesiła w najbardziej odosobnionej części domu. Trujillo był teraz starszy i grubszy, policzki miał bardziej obwisłe, a twarz zmęczoną całym złem obecnym w jego życiu.

Może dlatego że w starym domu wizerunki Dobrego Pasterza i Trujillo sąsiadowały ze sobą, złapałam się na tym, że z przyzwyczajenia modłę się krótko, przechodząc obok.

Innym razem wracałam z dworu z rękami pełnymi anturiów. Popatrzyłam na niego i pomyślałam: „Czemu nie?”. Postawiłam wazon na stole, tuż pod portretem.

Wydawało się naturalne, że trzeba położyć tam jeszcze mały koronkowy obrus.

Nie jestem pewna, czy tak to się zaczęło, ale niedługo potem modliłam się do niego, nie dlatego że był tego godzien czy cokolwiek w tym rodzaju. Chciałam coś od niego uzyskać, a modlitwa była jedynym sposobem, jaki znałam, żeby to wyprosić.

Tej sztuczki nauczyłam się, wychowując dzieci. Trzeba ubrać je w ich

najlepsze ubrania, a będą zachowywać się najlepiej, jak potrafią, żeby się do nich dopasować.

Nelson, ten mój diabełek, kiedy był dzieckiem, zawsze dręczył Noris, zawsze wtrącał się w jej sprawy. Wołałam go do domu na kąpiel. Ale zamiast zakładać mu piżamę i pakować w środku dnia do łóżka, gdzie zacząłby się nudzić i stałby się niezdolny, ubierałam go w gabardynowe spodnie i uszytą przez siebie lnianą guayabere, taką samą, jaką miał jego ojciec. A potem zabierałam go do Salcedo na południową nowennę, a po niej na lody kokosowe. Wystrojony chłopiec był grzeczny jak aniołek!

Pomyślałam więc: „Dlaczego by nie spróbować potraktować i jego jak ducha godnego mojej uwagi? Może wtedy zacznie się sprawować jak należy”.

Każdego dnia wymieniałam kwiaty i mówiłam kilka słów. Mama myślała, że robię to tylko na pokaz, ze względu na porucznika Peñę i jego ludzi, którzy często przychodzili, żeby inwigilować naszą rodzinę. Fela rozumiała mnie lepiej, chociaż ona z kolei myślała, że próbuję dobić targu ze złym. Nic z tych rzeczy. Chciałam zwrócić go ku jego lepszej naturze. Gdyby udało mi się to zrobić, reszta dokonałaby się sama.

„El Jefe - mówiłam - pamiętaj, że jesteś prochem i w proch się obrócisz”.

(To nigdy nie działało).

„Usłysz moje wołanie, El Jefe. Uwolnij moje siostry i naszych mężów. Ale przede wszystkim, błagam cię, El Jefe, zwróć mi mojego syna. Weź mnie zamiast niego, będę twoją owcą ofiarną”.

Serce Jezusa, ostatni podarunek od don Bernarda, powiesiłam w sypialni. Zanosila tam już nie swoje modlitewne fortele, tylko szczere prośby do Boga.

Nie zwariowałam do reszty. Wiedziałam, kto tu naprawdę rządzi.

Porzuciłam swoje urazy niemal całkowicie, ale wciąż trzymało się mnie rozżalenie. Na przykład oddałam się El Jefe, pozwalając mu

zrobić ze mną, co zechce, ale nie przedstawiłam tej samej propozycji Bogu.

Zgaduję, że w przypadku Trujillo było dla mnie jasne, że składam mu w ten sposób jednoznaczną ofertę. Poprosiłby mnie o to, czego zawsze chciał od kobiet. To mogłam dać. Ale jeśli chodzi o naszego Pana, mógł zażądać od Patrii Mercedes wszystkiego - ciała, duszy, nie było ograniczeń.

Tymczasem ja, matka wciąż ssącego pierś niemowlęcia, nabierającej kobiecych kształtów dziewczynki i młodego mężczyzny za kratkami, nie byłam gotowa, żeby wejść do Jego Królestwa.

Podczas tych duchowych prób zdarzały się szczególne chwile. Nie mogę nazwać ich chwilami łaski. Były to jednak chwile, gdy wiedziałam, że jestem na właściwej drodze.

Pewnego dnia, niedługo po aresztowaniu Mate, w domu pojawił się porucznik Peña. Człowiek ten wzbudzał we mnie odrazę, dokładnie taką samą, jaką czułam w obecności diabła w czasach, gdy moje ręce dokazywały nocami. Dzieci były ze mną na patio. Trzymały się z dala od Peñi, odmawiając cukierków, które im proponował, chyba że to ja je im podałam. Gdy zaprosił Minou na kolana, żeby pobawić się z nią w patataj, wszystkie uciekły.

- Uroczę dzieci - powiedział, żeby zamaskować jawny afront. - Wszystkie pani?

- Nie, chłopiec i dziewczynka są Minervy, a najmłodsza Marii Teresy - wypowiedziałam imiona siostr bardzo wyraźnie. Chciałam, żeby przeniknęła go świadomość, że czyni z tych dzieci sieroty. - Moje są najmłodszy chłopiec i nastolatka.

- Don Pedrito zapewne bardzo je kocha.

Te słowa zmroziły mi krew w żyłach.

- Dlaczego pan tak mówi, poruczniku? - Staralam się, by mój głos brzmiał spokojnie.

- WSW złożyły pani mężowi propozycję, ale jej nie przyjął.

A więc ciągle żył! Dedé, mama i Jaimito trzy razy byli w ko-

mendzie głównej tylko po to, by dowiedzieć się, że więźniowie, o których pytają, nie figurują w aktach.

- Chce pani wiedzieć, jaka to była propozycja? - Peña wydawał się urażony. Zauważyłam, że moje prośby sprawiają mu pewną przyjemność.

- Tak, poruczniku, proszę mi powiedzieć.

- Pani mężowi zaproponowano zwrócenie wolności i farmy...

Serce podskoczyło mi z radości.

- ...jeśli udowodni swoją lojalność wobec El Jefe, rozwodząc się ze swoją żoną.

- Ach tak? - Poczulałam, że serce zaciska się we mnie jak pięść.

Przenikliwie, podobne do świńskich oczy Peñi wpatrywały się we mnie uporczywie. Po chwili dorzucił jeden ze swoich sprośnych żartów:

- Wy, siostry Mirabal, musicie mieć w sobie coś wyjątkowego - mówiąc to, dotykał się znacząco - żeby utrzymać zainteresowanie mężczyzn, kiedy jedyne, co mogą zrobić ze swoją męskością, to oddawanie moczu!

Musiałam dwa razy odmówić w myślach *Gloria Patri*, nim byłam gotowa się odezwać. A i tak ciskałam gromy.

- Poruczniku, niezależnie od tego, co pan zrobi mojemu mężowi, zawsze będzie dziesięć razy bardziej mężczyzną niż pan!

Zły człowiek odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się, potem chwycił czapkę leżącą na jego kolanach i wstał, żeby wyjść. Zobaczyłam, że moja wściekłość doprowadziła go do erekcji.

Poszłam szukać dzieci, żeby się uspokoić. Znalazłam Minou, która kopała dół w ziemi i wrzucała do niego wszystkie cukierki przyniesione przez Peñę. Kiedy spytałam, dlaczego marnuje swoje słodczyce, powiedziała, że zagrzebuje je jak mama i papa skrzynie, których nie powinno się dotykać.

- To zły cukierek - wyjaśniła mi.

- Tak, to prawda - odpowiedziałam i uklęknęłam, żeby pomóc jej w zakopywaniu.

Wzmianka porucznika o Pedricie była pierwszą wiadomością, jaką dostaliśmy o którymkolwiek z naszych więźniów. Kilka dni później mama i Dedé wróciły z kolejnej wyprawy do stolicy z „dobrymi wiadomościami”. Imiona dziewcząt, mężczyzn i mojego Nelsona pojawiły się na ostatniej liście trzystu siedemdziesięciu dwóch zatrzymanych. Och, jaką ulgę odczuliśmy! Jak długo WSW przyznawały, że znajdują się w areszcie, prawdopodobieństwo zniknięcia naszych więźniów było stosunkowo mniejsze.

Mimo że zapadła już ciemność, wyszłam do ogrodu mamy z nożycami w rękę. Ucinałam kwiaty, kierując się bardziej węchem niż wzrokiem, tak że nie wiedziałam dokładnie, co trzymam w dłoniach, dopóki nie wróciłam do środka. Ułożyłam dla niego bukiet z jaśminu i lodyg gardenii i włożyłam go do wazonu, a resztę kwiatów zabrałam do swojej sypialni.

I zmartwychwstał trzeciego dnia...

Upłynęły już trzy tygodnie. Mimo to, jak mówiłam, wciąż zdarzały się szczególne chwile - zmartwychwstanie nabierało tempa.

W niedzielę wczesnym rankiem zapakowaliśmy się do pikapa Jaimita. Poza kilkoma końmi Dedé i starym mułem mamy był to jedyny środek transportu, który nam pozostał, od kiedy skonfiskowano wszystkie samochody. Mama rozłożyła stare prześcieradło na platformie i posadziła tam mnie razem z dziećmi. Ona, Dedé i Jaimito zajęli miejsca z przodu. Świtało jeszcze, gdy jechaliśmy w stronę Salcedo na pierwszą mszę. Pola wokół nas tonęły we mgle. Gdy minęliśmy zjazd prowadzący do naszego starego domu w Conuco, poczułam w sercu ukłucie bólu. Spojrzałam na Noris, mając nadzieję, że nie zwraca uwagi na drogę, ale na jej ładnej twarzy znać było wewnętrzne zmagania - starała się być dzielna.

Nikt nie wiedział, że tego dnia z ambony przemówi Głos Boga. Nie spodziewalibyśmy się czegoś takiego po ojcu Gabrielu, który był, jak sądziliśmy, pionkiem reżimu podstawionym po aresztowaniu ojca de Jesúa.

Mało co nie przegapiłam tego momentu. Raúlito miał jeden ze swoich napadów płaczu, a Jacqueline, która zawsze czuje przyptyw empatii, gdy ktoś przy niej szlocha, zawtórowała mu. Z kolei Minou była zajęta „czytaniem” Manolitowi mojego mszału, który trzymała do góry nogami. Dedé i ja doskonale się bawiliśmy, próbując zaprowadzić nad towarzystwem, a mama, jak to ona, rzuciła surowe spojrzenia ze środka naszej ławki. Chyba przez delikatność nie chciała powiedzieć nam wprost, że wychowujemy dzieci na dzikusów, zgodnie z nowoczesnymi teoriami, według których perswazja ma zastąpić dawanie klapsów. „Walczyście z tyranami, jednocześnie stwarzając nowych”.

Kierowałam się z dziećmi w stronę westybulu, kiedy usłyszałam coś, co wprawiło mnie w zdumienie. Sądziłam, że się przesłyszałam.

- Nie możemy pozostać obojętni na bolesne ciosy, które spadają na tak wiele dominikańskich domów - trzeszczał w mikrofonie głos ojca Gabriela.

- Cisza teraz! - powiedziałam tak groźnie, że dzieci przestały robić zamieszanie i spojrzały na mnie z pełną uwagą.

- Wszystkie istoty ludzkie rodzą się z nadanymi przez Boga prawami, których nie mogą im odebrać żadne ziemskie siły...

Słońce przeświecało przez witraż przedstawiający Jana Ewangelistę w przepasce na biodra - niektóre świętoszki uważały to za niestosowne, nawet w naszym tropikalnym upale. Oparłam Raúlita o chrzcielnicę, a pozostałym dzieciom dałam miętówki, żeby je uciszyć.

- ...Zaprzeczyc tym prawom to śmiertelnie obrazić Boga i ludzką godność.

Mówił dalej, ale ja już nie słuchałam. Serce biło mi szybko. Wiedziałam, że kiedy wypowiem te słowa, nie będę mogła ich cofnąć.

„O, Panie, uwolnij mojego syna - modliłam się. - Pozwól mi być twoim barankiem ofiarnym”.

Kiedy ojciec Gabriel skończył, podniósł wzrok, a w kościele panowała całkowita cisza. Byliśmy odurzeni dobrymi wieściami, które przyniósł nam nasz Gabriel. Gdyby klaskanie w kościele było czymś stosownym, zagłuszylibyśmy jego *Dominus vobiscum* aplauzem.

Zostaliśmy w Salcedo cały dzień, w przerwach między mszami przesiadując w parku i częstując dzieci smakołykami, by przekupione dały się zaprowadzić na następną mszę. Nim o szóstej rozpoczęła się ostatnia, ich odświętne ubranka były całe zabrudzone. Z godziny na godzinę plotka rozprzestrzeniała się, a tłumy rosły. Ludzie wracali na kolejne msze. Zaczęli się też pojawiać tajni agenci. Łatwo było ich rozróżnić. Klęczeli z tyłkami podpartymi o siedzenia ławek i rozglądali się wokół podczas Przemienienia. Uchwyciłam wzrokiem porucznika Peñę, który siedział z tyłu kościoła, bez wątplenia notując, kto zostawał na kolejne msze tak jak ja.

Potem dowiedzieliśmy się, że to samo działo się w całym kraju. W ostatnim tygodniu biskupi zebrali się, by ułożyć list pasterski, który w tę niedzielę miał być odczytany z każdej ambony. Kościół w końcu związał swój los z narodem!

Tego wieczoru jechaliśmy do domu w świetnych nastrojach, niemowlęta spały głęboko w ramionach starszych dzieci. Było już ciemno, ale kiedy spojrzałam w niebo, zobaczyłam wielki, ubywający księżyc, wyglądający jak aureola samego Boga zawieszona na znak jego przymierza. Zadrżałam, przypomniawszy sobie swoją obietnicę.

Byliśmy pełni obaw co do przebiegu mszy w następną niedzielę. Przez cały tydzień dochodziły nas słuchy o atakach na kościoły, które miały miejsce na całej wyspie. W stołecznej katedrze ktoś próbował zamordować arcybiskupa, kiedy ten celebrował mszę. Biedny Pittini był tak stary i ślepy, że nawet się nie zorientował, co się dzieje - intonował dalej *Kyrie eleison*, podczas gdy niedoszłego mordercę powalono na ziemię i obezwładniono.

Nic tak dramatycznego nie stało się w naszej parafii. Ale my też mieliśmy się czym emocjonować. W trakcie niedzielnej mszy, po odczytaniu lekcji, złożyła nam wizytę grupa prostytutek. Kiedy przyszedł czas komunii, kolejka szła do ołtarza zuchwałym krokiem i z rozkołysanymi biodrami. Można było pomyśleć, że te kobiety oferują s w o j e ciało i krew, zamiast przyjmować Jego. Rozchicho-

tane, ustawiły się w szeregu, po czym zaczęły prowokować ojca Gabriela, otwierając usta jak do przyjęcia komunii świętej i sprośnie poruszając językami. Jedna z nich sama sięgnęła po jego kielich mszalny i się obsłużyła.

Dla naszego zgromadzenia było to jak wystrzał z pistoletu. Dzie sięć czy dwanaście spośród nas, kobiet, poderwało się i otoczyło księdza kordonem. Wpuszczałyśmy tylko tych, co do których miałyśmy pewność, że podchodzą do stołu zbawienia, nie świętokradztwa. Łatwo zgadnąć, jak zareagowały te *puticas*. Jedna z nich odepchnęła mnie na bok, ale czy Patria Mercedes nadstawiła jej drugi policzek? Nigdy w życiu. Zaciągnęłam tę kościstą, odstrojoną dziewczynę na tył kościoła.

- A teraz - powiedziałam - jeśli chcesz przyjąć komunię, najpierw odmów credo.

Popatrzyła na mnie tak, jakbym kazała jej mówić po angielsku. Potem potrząsnęła głową i odmaszerowała, by odebrać od tajniaków WSW sumę należną za profanację.

Następnej niedzieli przyjechaliśmy na wczesną mszę, ale nie mogliśmy wejść do kościoła, ponieważ z jego wnętrza wydostawał się niewyobrażalny smród. Ustalenie przyczyny nie zabrało dużo czasu. *Sin vergüenzas!** Poprzedniej nocy ktoś dostał się do kościoła i wlał zawartość latryn do konfesjonału.

* *Sin vergüenzas!* (hiszp.) - Bezwstydnicy!

Wysłałam mamę z dziećmi do domu, bojąc się, że dojdzie do kolejnych incydentów z WSW. Dedé, Noris i ja zostałyśmy, żeby posprzątać. Noris sama nalegała, by pomóc, nie zważając na moje protesty. Perswadowałam jej, żeby schroniła się w domu razem z pozostałymi. Ona argumentowała, że dom Boga jest też jej domem. Moje modlitwy zostały wysłuchane: Niepokalana przywiodła ją do siebie. Musiałam się roześmiać. Stało się dokładnie to, przed czym zawsze przestrzegała nas siostra Asunción. Uważaj, o co prosisz Boga. Może po prostu dać ci to, czego chcesz.

Pewnego ranka, blisko miesiąc po aresztowaniu Mate i Minervy, miałam kolejnego gościa. Dedé i mama wybrały się do stolicy ze swoją cotygodniową misją. Miały w zwyczaju jeździć tam z Jaimitem lub z rodzinami innych więźniów. Nie chcieli zabierać mnie ze sobą. Byli pewni, że ktoś z komendy głównej WSW zorientuje się, że mnie przeoczono, i zostaną z miejsca zatrzymana.

W drodze powrotnej do domu zawsze zbaczali do La Victorii-Przypuszczam, że robili to z desperacji, mając nadzieję ujrzeć dziewczęta. Oczywiście nigdy im się to nie udało, ale często widzieli suszące się na kratkach okien prześcieradła i ręczniki, i ta namiastka normalności zawsze dawała im nadzieję.

Byłam w salonie, ucząc Noris - tak jak kiedyś Mate - naszywać monogram. Dzieci siedziały na podłodze, zajęte budowaniem pałaców z klocków. Tono weszła, zapowiadając gościa. Na myśl o tym, że to zapewne znowu Peña, ogarnęło mnie przygnębienie. Ale nie, przybyła miała na imię Margarita, nazwisko nie zostało podane. Chciała się widzieć z panią domu, chociaż nie mogła powiedzieć, w jakiej sprawie.

Młoda kobieta siedząca na podeście schodów wyglądała dziwnie znajomo. Miała słodką, prostą twarz i ciemne, gęste włosy zebrane do tyłu wsuwkami. Oczy, brwi, cały jej wygląd były jak ostemplowane znakiem firmowym „Mirabal”. Na mój widok wstała i nieśmiało pochyliła głowę.

- Czy możemy pomówić na osobności? - zapytała.

Nie byłam pewna, czego się spodziewać. Wiem, że Minerva od lat utrzymywała z nimi kontakt, ale ja zawsze podchodziłam do tego z rezerwą. Nie chciałam być kojarzona ze sprawą tej *campesina*, która nie miała żadnego szacunku do świętych więzów małżeńskich czy dobrego imienia Mirabalów.

Ruchem głowy wskazałam na ogród, gdzie nikt nie mógł podsłuchać naszej rozmowy. Uszłyśmy kawałek ścieżką, kiedy wręczyła mi zawinięty liścik. Poczulałam, że drżą mi ręce.

- Chwała Bogu - powiedziałam, spoglądając w górę. - Skąd to wzięłaś?

- Kuzyn mojej matki pracuje w więzieniu La Victoria. Nie chce być wymieniany z imienia.

Rozwinęłam liścik. Był napisany na odwrocie etykiety z puszkii pasty pomidorowej.

Jesteśmy w celi 61, Pawilon A, La Victoria - Dulce, Miriam, Violeta, Asela, Delia, Sina, Minerva i ja. Proszę, zawiadom ich rodziny. Wszystkie mamy się dobrze, ale nie możemy się doczekać wieści o domu i dzieciach. Wyślijcie, proszę, trynalin, bo zmogła nas ciężka grypa, i lomotil - z oczywistych przyczyn. I jakieś jedzenie, które się nie psuje. Mnóstwo casusów dla wszystkich, a zwłaszcza dla mojego kochanego maleństwa.*

* Lomotil - lek na rozwolnienie.

Liścik podpisano „Mate”, jakbym nie potrafiła zawsze i wszędzie rozpoznać tego ładnego charakteru pisma.

W głowie zaroilo mi się od planów. Dziś wieczorem z mamą i Dedé napiszemy odpowiedź i przygotowujemy paczkę.

- Czy możemy coś przekazać przez twojego krewnego? - spytałam.

Kiwnęła głową i zawahała się, jakby miała coś jeszcze do powiedzenia. Przypomniałam sobie, że za takie usługi zawsze się płaci.

- Poczekaj tu, proszę - powiedziałam i pobiegłam do domu po torebkę.

Wyglądała na urażoną, kiedy wręczałam jej banknoty.

- Nie, nie, nie wzięlibyśmy od was niczego.

Zamiast tego podała mi wizytówkę z nazwą apteki, do której zawsze chodziłam w Salcedo. Na odwrocie widniało jej imię i nazwisko.

- Margarita Mirabal, do twoich usług.

Uderzyło mnie to „Mirabal”.

- Dziękuję, Margarito - odpowiedziałam, podając jej dłoń. A potem, z trudem zapominając o dumie, dodałam: - Patria Mirabal, do twoich usług.

Kiedy odeszła, wciąż od nowa czytałam liścik Mate, jakby za każdym razem mogły się w nim pojawić nowe informacje. Potem usiadłam na ławce przy strelcji. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Druga rodzina papy posłużyła za środek do naszego zbawienia! Było to pomysłowe i ostatecznie, musiałam przyznać, bardzo mądre. Chciał przeprowadzić kilka rewolucji w jednym czasie. Jedna z nich miała obalić moją dumę.

Tej nocy Dedé, mama i ja nie spałyśmy do późna, przygotowując paczkę. Upiekłyśmy patatowe ciasteczka z melasą, które mają dużo wartości odżywczych, i wypełniłyśmy torbę po brzegi niepsującym się prowiantem. Każdej z dziewcząt spakowałyśmy dodatkową bieliznę i skarpetki, do których włożyłam grzebień i szczotkę do włosów, z myślą, że się nimi podzielą. Nie wyobrażałam sobie, jak Mate pielęgnuje teraz swoje długie włosy.

Wobec rosnącej sterty rzeczy zaczęłyśmy się kłócić o to, co jest potrzebne, a co nie. Mama uważała, że błędem jest wysyłać Mate jej porządny czarny ręcznik, który uszyła w czasie swojego tygodniowego pobytu w domu - żeby ukoić nerwy. Skończyła aplikować złote satynowe M, ale nie doszła jeszcze do G.

- Im więcej wyślemy, tym większe ryzyko, że ktoś po drodze wszystko ukradnie.

- *Ay*, mamó, miej trochę wiary.

Położyła ręce na biodrach i potrząsnęła głową.

- Patrio Mercedes, zwłaszcza ty powinnaś wiedzieć...

Gdy rozmawiałyśmy w domu, nigdy nie kończyłyśmy zdań, które miały wyrażać krytykę rządu. Ściany miały uszy albo przynajmniej myje sobie tam wyobrażałyśmy.

- To nie jest ręcznik do celi więziennej - skonstratowała mama, jakby to właśnie chciała powiedzieć od samego początku.

W końcu Dedé ją przekonała, używając tego samego argumentu, którym posłużyła się, gdy chciałyśmy spakować zestaw do manicure'u, pomadki, puder, a także buteleczkę perfum Matador's Delight: te

małe przejawy luksusu podniosą dziewczęta na duchu. Jakże mama mogła się z tym nie zgodzić!

W modlitewnik Mate wetknęłam trochę pieniędzy i liścik.

Najdroższe Minervo i Mate, składamy odwołania do komendy głównej i z Bożą pomocą jakieś drzwi niedługo się otworzą. Wszystkie dzieci mają się dobrze, tyle że niezmiernie za Wami tęsknią. Prosimy, poinformujcie nas o stanie swojego zdrowia i innych potrzebach. Napiszcie też, co z mężczyznami i drogim Nelsonem. Przyślijcie jakieś wieści i pamiętajcie, że jesteście w sercach i modlitwach Patrii i Dedé oraz Waszej kochającej matki.

Mama podpisała się własnoręcznie. Nie mogłam powstrzymać łez, widząc, jak walczy z piórem, a potem niszczy swój podpis, rozmazując atrament łzami.

Kiedy mama położyła się do łóżka, wytłumaczyłam Dedé, kto przyniósł wiadomość. Przy mamie wyrażałam się niejasno, żeby nie rozdrapywać starych ran.

- Wygląda jak Mate... - relacjonowałam. - Jest całkiem ładna.
- Wiem - przyznała Dedé.

Okazało się, że wie o wiele więcej.

- Kiedy umarł papa, Minerva poprosiła mnie, żebym wydzieliła z jej spadku pieniądze na wykształcenie tych dziewcząt. - Dedé potrząsnęła głową na to wspomnienie. - Zaczęłam przeliczać i zdecydowałam, że podzielę te koszty na pół. Nie było tego tak wiele - dodała, kiedy zobaczyła wyraz mojej twarzy. Czułam się trochę dotknięta, że nie uwzględniono mnie przy tym akcie dobroczynności. - Teraz najstarsza ma dyplom farmaceutki i pomaga pozostałym.

- Dobra dziewczyna.
- Nie ma dziewcząt Mirabal innego rodzaju - powiedziała Dedé z uśmiechem. Tak mawiał papa o swoich dziewczętach. Wtedy sądziłyśmy, że tylko nas ma na myśli.

Coś tęsknego i siostrzanego zawisło w powietrzu. Może dlatego odważyłam się spytać:

- Dedé, jak sobie radzisz?

Wiedziała, o co mi chodzi. Umiała rozszyfrować serce siostry, nawet jeśli ukrywała swe myśli za wyćwiczonym uśmiechem. Ojciec de Jesús opowiedział mi o przerwanej wizycie, którą Dedé złożyła mu w probostwie. Ale od czasu aresztowania dziewcząt byliśmy wszystkie zbyt otępiełe, żeby czuć jakikolwiek inny smutek, a tym bardziej o nim rozmawiać.

- Jaimito zachowuje się bardzo dobrze. Nie mogę narzekać - odpowiedziała.

„Zachowuje”? Dość osobliwe słowo w ustach żony mówiącej o swoim mężu. Dedé często spała teraz u mamy z dwoma młodszymi chłopcami. Żeby mieć na nas oko, jak twierdziła.

- Więc wszystko w porządku?

- Jaimito był wspaniały - kontynuowała Dedé, ignorując moje pytanie. - Jestem mu bardzo wdzięczna, bo wiem, że nie chciał mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

- Jak żadne z nas - zauważyłam.

A potem, ponieważ dostrzegłam, że kryje głowę w ramionach, zaprzestałam jakiegokolwiek ukrytej krytyki Jaimita. Właściwie, w odróżnieniu od Minery, lubiłam naszego czupurnego kuzyna. Pod całym swoim zarozumiałstwem człowiek ten miał dobre serce.

Wzięłam ją za rękę.

- Kiedy to wszystko się skończy, proszę, zasięgnij rady u *padre* de Jesús. Wiara może wzmocnić małżeństwo. A ja chcę, żebyście byli ze sobą szczęśliwi.

Nagle zalała się łzami. Ale przecież zawsze jest bliska płaczu, kiedy mówię do niej w ten sposób. Dotknęłam jej twarzy i dałam znak, żebyśmy wyszły na zewnątrz.

- Coś jest nie tak? - spytałam, kiedy szłyśmy drogą w świetle księżycy. - Możesz mi powiedzieć.

Spojrzała na księżyc. Ubywający, ale wciąż wielki, wyglądał, jakby odkrojono z niego gruby plaster.

- Jaimito jest dobrym człowiekiem, niezależnie od tego, co wszyscy o nim myślą. Ale byłby szczęśliwszy z kimś innym, po

prostu. - Zamilkła na dłuższą chwilę.

- A ty? - ponagliłam ją.

- Tak przypuszczam - przyznała. Jeśli jednak gnębił ją jakiś demon, nie podała jego imienia. Zamiast tego podniosła ręce, jakby księżyc był piłką spadającą w jej puste dłonie. - Jest późno - powiedziała. - Chodźmy spać.

Kiedy wracałyśmy drogą, wyraźnie usłyszałam kaszlnięcie.

- Znowu mamy gości - wyszeptalam.

- Wiem - odparła - otaczają nas duchy.

Każdego ranka wyruszaliśmy na mszę, a gdy tylko samochód Jaimita wyjeżdżał na drogę, dawał się słyszeć odgłos uruchamianego silnika volkswagena. Nocami czułyśmy w ogrodzie zapach ich papierosów, słyszałyśmy przytłumione pokasywania i kichnięcia. Czasem wykrzykiwałyśmy: „Na zdrowie!”. W miarę upływu czasu zaczęłyśmy brać na nich swoje małe odwety.

Zakamarek ogrodu, gdzie jedna ściana domu stykała się z drugą, po zmroku stawał się ich ulubioną kryjówką. Mama postawiła tam kilka plecionych foteli i skrzynkę, a na niej popielniczkę, żeby przestali zaśmiecać jej ogród. Pewnej nocy zaniósła też termos ze schłodzoną wodą oraz przekąskę, jakby zbliżało się Święto Trzech Króli. Ukradli ten termos, szklanki i popielniczkę, a zamiast używać ścieżki, którą mama dla nich uprzętnęła, stratowali jej kwiaty. Następnego dnia przesadziła swoje krzewy cierniste na tę właśnie stronę ogrodu. Tej nocy, kiedy usłyszała, że już tam są, otworzyła okno w łazience i wylała przez nie brudną wodę po kąpeli Jacqueline. Słysząc było okrzyki zaskoczenia, ale nie śmieli się odegrać. Ostatecznie byli najlepszymi tajnymi szpiegami i nie powinniśmy wiedzieć, że tam są.

Dedé i ja z trudem tłumiłyśmy rozbawienie. Minou i Jacqueline chichotały w ten wymuszony sposób, w jaki dzieci naśladują śmiech dorosłych, którego przyczyn tak naprawdę nie rozumieją. Następnego ranka znalazłyśmy kawałki materiału i nitki, a nawet chusteczki do nosa zaplątane w ciernie. Odtąd, kiedy nas szpiegowali, zachowywali

pełną szacunku odległość od domu.

Zawiezenie naszego kartonu do Margarity wymagało pewnej konspiracji.

Następnego dnia po jej wizycie, wracając z porannej mszy, zatrzymaliśmy się przy aptece. Weszłam do środka, podczas gdy pozostali czekali w pikapie. Trzymałam Raúlita w taki sposób, by jego kocyk przykrywał pakunek. Ten jeden jedyny raz malec nie płakał, jakby rozumiał, że zależy mi na jego dobrym zachowaniu.

Dziwnie się czułam, wchodząc do tej apteki teraz, gdy już wiedziałam, że ona tam pracuje. Tak wiele razy zachodziłam tam, żeby kupić aspirynę albo mleko dla niemowląt. Tak wiele razy uroczą, nieśmiałą dziewczyną w białym fartuchu przyjmowała ode mnie receptę. Zastanawiałam się, czy przez cały ten czas wiedziała, kim jestem.

- Jeśli to jakikolwiek problem... - zaczęłam, podając jej paczkę.

Szybko wsunęła ją pod ladę. Spojrzała na mnie znacząco. Nie powinnam się rozwodzić na ten temat w miejscu publicznym.

Margarita zmarszczyła brwi, kiedy wcisnęłam do jej dłoni sporej wartości banknot. Szeptem wyjaśniłam, że to na lomotil, trinalin i witaminy, i poprosiłam, by dołączyła je do paczki. Kiwnęła głową. W naszą stronę szedł właściciel apteki.

- Mam nadzieję, że to pomoże - powiedziała Margarita, wręczając mi buteleczkę tabletek przeciwbólowych, żeby zatuszować naszą transakcję. Było to lekarstwo, które zawsze kupowałam.

Tym razem mama i Dedé wróciły ze swojej cotygodniowej wyprawy uszczęśliwione. Widziały czarny ręcznik wiszący w oknie w La Victorii! Dedé nie miała pewności, ale wydawało jej się, że dostrzegła na nim jakiś szlaczek, prawdopodobnie monogram.

Zresztą kto inny mógłby mieć w więzieniu czarny ręcznik?

- Wiem, wiem - rzuciła mama. - Słyszałam to już kilka razy w drodze do domu. - I przedrzeźniając Dedé, dodała: - „Widzisz mamo,

jaki to był dobry pomysł, żeby wysłać ten ręcznik”. Prawda jest taka - kontynuowała, używając swojego ulubionego w tych dniach zwrotu - że nie myślałam, że go dostanie. Stałam się taka podejrzliwa w stosunku do ludzi.

- Patrzcie na to! - Jaimito przywoływał nas do stołu w salonie, gdzie siedział, czytając gazetę kupioną w stolicy. Wskazał na zdjęcie przedstawiające grupę wynędzniałych więźniów stojących z pochylonymi głowami, którym El Jefe grozi palcem. - „Ośmiu więźniów ułaskawionych wczoraj w Pałacu Narodowym”.

Odczytał nazwiska. Pośród nich były Dulce Tejada i Miriam Morales, które zgodnie z liścikiem Mate dzieliły celę z nią i Minervą.

W jednej chwili kamień spadł mi z serca, a mój krzyż stał się lekki jak piórko. Wszystkich ośmiorgo ułaskawionych więźniów to kobiety albo n i e l e t n i ! Mój Nelson skończył osiemnaście lat zaledwie kilka tygodni temu, w więzieniu. Na pewno wciąż można go uznać za chłopca...

- Mój Boże, tu jest jeszcze coś - mówił dalej Jaimito.

W wykazie transakcji nieruchomościami porucznik Victor Alicinio Peña figurował jako kupiec starej farmy Gonzálezów, którą nabył za nędzne grosze.

- Ukradł ją, oto, co zrobił - wypaliłam.

- Tak, chłopiec ukradł mango - powiedziała Dedé głośno, żeby zatrzeć złe wrażenie, jakie mogły wywołać moje niefrasobliwe słowa.

W ostatnim tygodniu Tono zauważyła kabelek umieszczony za ślubnym zdjęciem mamy - widoma oznaka podsłuchu. Mogliśmy rozmawiać ze sobą swobodnie tylko w ogrodzie albo podczas jazdy samochodem.

- Prawda jest taka, że... - zaczęła mama, ale się powstrzymała. Po co przekazywać wartościową prawdę prosto do ukrytego mikrofonu?

Peña był moim dłużnikiem, tak to widziałam. Następnego dnia założyłam żółtą sukienkę, którą właśnie skończyłam szyć, i czarne szpilki od Dedé. Pokryłam się mgiełką perfum i przedarłam przez

żywoplot na teren posiadłości don Bernarda.

- Dokąd idziesz, mamó? - zawołała za mną Noris.

Zostawiłam ją, żeby zajęła się dziećmi.

- Wychodzę spotkać się z don Bernardem - odpowiedziałam, machając ręką na pożegnanie.

Nie chciałam, żeby mama i Dedé wiedziały, że opuszczam dom.

Nasz sąsiad don Bernardo tak naprawdę był naszym aniołem przebranym za starego Hiszpana z niedomagającą żoną. Przybył na wyspę w ramach programu dla uchodźców, który Trujillo wprowadził w latach czterdziestych, żeby „wybielić rasę”. Nie bardzo przydał się dyktatorowi, bo on i doña Belén nie mieli dzieci. Teraz większość dni spędzał, siedząc na ławce przed domem, zanurzony we wspomnieniach, i zajmując się przykutą do wózka inwalidzkiego nieobecnością. Z sobie tylko znanych powodów don Bernardo wołał udawać, że jego żona źle się czuje, niż przyznać, że cierpi na demencję. Przekazywał zmyślane pozdrowienia i przeprosiny od doñi Belén. Raz w tygodniu starszy człowiek przełamywał się, by usiąść za kierownicą starego plymoutha i zawieźć donc Belén do Salcedo na krótkie badanie kontrolne.

Musiał być prawdziwym aniołem. Został ojcem chrzestnym wszystkich naszych malców - Raúlita, Minou i Manolita - w czasie, kiedy większość ludzi unikała rodziny Mirabalów.

Potem, kiedy zabrano dziewczęta, uświadomiłam sobie, że Jacqueline nie została ochrzczona. Wszystkie moje dzieci stały się częścią Kościoła w ciągu pierwszego cyklu księżycy po ich urodzeniu - zgodnie z ludową tradycją. Ale María Teresa, która zawsze kochała teatralność i ceremonie, odwlekała chrzest do czasu, gdy będzie mógł zostać przeprowadzony „właściwie”, czyli w katedrze w San Francisco, gdzie udzieli go biskup, a dziewczęcy chór z Inmaculada odśpiewa *Regina Coeli*. Może w tej rodzinie dumę we krwi miała więcej niż jedna osoba.

Pewnego popołudnia, wciąż jeszcze oszalała z rozpacz, wybiegłam z domu mamy, bosą, z Jacqueline w ramionach. Don Bernardo stał już w progu z kapeluszem i kluczami w dłoni. „Więc jesteś

gotowa, by wypłynąć na morze zbawienia, czy tak, moja mała rybko?” Pogłaskał Jacqueline pod brodą, a jej lzy wyschły, jakby był lipiec w Monte Cristi.

Teraz znów stałam przed drzwiami don Bernarda, tym razem bez niemowlęcia w ramionach.

- Patria Mercedes, co za miła niespodzianka - powitał mnie, jakby było najnaturalniejszą rzeczą w świecie przyjmować mnie o każdej porze dnia i nocy, bosą czy w kompletnym stroju, proszącą o przysługę.

- Don Bernardo, znów przyszło mi pana kłopotać - powiedziałam - ale muszę pojechać do Santiago, do porucznika Peñi.

- Z wizytą do jaskini lwa.

Spostrzegłam cień uśmiechu pod jego gęstymi białymi wąsami. Na moment otworzył drzwi sypialni, gdzie leżała doña Belén, zamknięta na klucz w swym drugim dzieciństwie. Potem wyszedł, oferując mi swoje ramię jako podporę.

- Doña Belén przesyła pozdrowienia - powiedział.

Porucznik Victor Alicinio Peña przyjął mnie od razu. Może to z powodu zdenerwowania, ale atmosfera w jego biurze, gdzie okna zasłaniały metalowe żaluzje, a jedyne światło emitowały lampy fluorescencyjne, przypominała mi tę z celi więziennej. Klimatyzator wydawał przykry mechaniczny dźwięk, jakby zaraz miał się zepsuć. Zapragnęłam się znaleźć na zewnątrz, czekać z don Bernardem pod drzewami migdałowca.

- Jak miło panią zobaczyć, doña Patria. - Porucznik Peña zmierzył mnie wzrokiem, jakby chciał potwierdzić swoje słowa i literalnie mnie zobaczyć, od stóp do głów. - W czym mogę pomóc? - spytał, wskazując, bym usiadła.

Planowałam wygłosić żarliwą mowę, ale teraz żadne słowo nie chciało wyjść z moich ust. Nie byłoby przesadą powiedzieć, że Patria Mercedes siedziała oniemiała w jaskini lwa.

- Muszę przyznać, że jestem trochę zaskoczony, widząc panią

tutaj - kontynuował Peña. Czułam, że moje milczenie zaczyna go irytować. - Jestem zajęтым człowiekiem. Co mogę dla pani zrobić?

Naraz wyrzuciłam z siebie wszystko, razem ze łzami. Że przeczytałam w gazecie, jak El Jefe ulaskawia nieletnich, że mój syn dopiero co, w więzieniu, skończył osiemnaście lat i że zastanawiałam się, czy Peña mógłby zrobić coś, żeby go stamtąd wydostać.

- Ta sprawa nie podlega mojemu wydziałowi - skłamał.

Wtedy zrozumiałam. Diabeł może się wydawać potężny, ale ostatecznie to ja dysponowałam większą mocą. Użyłam jej więc. Załadowałam swoje serce modlitwą i wycelowałam ją w zgubioną duszę siedzącego przede mną człowieka.

- Te rozkazy przyszły z góry - ciągnął. Ale teraz to on zaczął się denerwować. Machinalnie obracał w dłoniach plastikową kartę zawieszoną przy kluczach. Był to trójwymiarowy obrazek brunetki, mającej czym oddychać. Nachylony pod odpowiednim kątem, ukazywał ją bez ubrania. Staralam się nie rozpraszać i cały czas trwać w modlitwie.

„Zmiękczyć jego diabelskie serce, o Panie”. A potem, z trudem, dodałam: „Ponieważ on też jest jednym z twoich dzieci”.

Peña odłożył swój żaloszny breloczek do kluczy, podniósł słuchawkę i wybrał numer komendy głównej w stolicy. Jego głos ze zwykłego zastraszającego warkotu przeszedł w ton służalczej uległości.

- Tak, tak, generale, oczywiście.

Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek nawiąże do mojej prośby. W końcu zrobił to - tak gładko, że ledwo się zorientowałam.

- Mam taką małą sprawę, która siedzi tu u mnie w biurze... - Zaśmiał się na całe gardło z czegoś, co usłyszał po drugiej stronie słuchawki. - Nie, niedokładnie taką małą sprawę.

Wy tłumaczył, co mnie sprowadziło.

Siedziałam z rękami kurczowo ściśniętymi na kolanach. Nie pamiętam, czy się modliłam, czy raczej słuchałam z przejęciem - próbując z każdej pauzy i modulacji głosu Peñi wydedukować, jaka jest odpowiedź na moją prośbę. Może dlatego, że tak bacznie go

obserwowałam, stało się coś dziwnego. Zniknął diabeł, którego zwykle widziałam, i na chwilę, jak w jego breloku, zobaczyłam przerośniętego grubego chłopca, wstydzącego się tego, że kopnął kota i wyrzywał skrzydełka motylom.

Musiałam wyglądać na zaskoczoną, bo zaraz po skończonej rozmowie Peña pochylił się w moją stronę i zapytał:

- Coś nie tak?

- Nie, nie - odpowiedziałam szybko, zwieszając głowę. Nie chciałam być natrętna i pytać wprost, czego się dowiedział. - Poruczniku, czy może mi pan dać jakąś nadzieję?

- Sprawa jest w toku - odparł, po czym wstał, żeby mnie odprawić. - Dam pani znać, kiedy się czegoś dowiem.

- *Gracias, ay, muchas gracias!* - powtarzałam, a moje podziękowania nie były skierowane tylko do Peñi.

Porucznik zbyt długo trzymał moją dłoń, ale tym razem jej nie cofnęłam. Już nie byłam jego ofiarą, czułam to. Mogłam stracić wszystko, ale duch palił się we mnie jasno. Teraz ten biedny, ślepy jak ćma człowiek stanął w jego blasku i nie mógł mu się oprzeć.

Nadszedł czas, żeby powiedzieć, co w zamian dla niego zrobię.

- Będę się za pana modlić, poruczniku.

Zaśmiał się z wysiłkiem.

- Po co?

- Ponieważ tylko to mi zostało, żeby się panu odwdzińczyć - odpowiedziałam, wytrzymując jego wzrok. Chciałam dać mu do zrozumienia, że wiem, kto zabrał naszą ziemię.

Mijały tygodnie, a my czekaliśmy. Po raz drugi, a potem trzeci odczytano z ambon list pasterski. W odpowiedzi reżim wypowiedział Kościołowi wojnę na wszystkich frontach. W gazetach ruszyła kampania mająca na celu unieważnienie konkordatu z Watykanem. Kościół katolicki nie powinien dłużej utrzymywać specjalnego statusu w naszym kraju. Księża przysparzali tylko problemów. Wysuwali kłamliwe oskarżenia wobec rządu. Ostatecznie nasz

dyktator rządził wolnym państwem. Może po to, by wykazać swoją rację, Trujillo wydawał coraz więcej przepustek i ułaskawiał kolejne osoby.

Niemal każdego dnia zatrzymywałam się przy jego portrecie ze świeżymi kwiatami i krótkim monologiem. Wyobrażałam sobie, że on też jest moim synem, takim sprawiającym kłopoty i potrzebującym przewodnictwa.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja, że odsunięcie Kościoła nie pomoże ci w najmniejszym stopniu - radziłam mu. - Poza tym pomyśl o swojej przyszłości. Masz sześćdziesiąt dziewięć lat, nie jesteś już młodzieniaszkiem i wkrótce przeniesiesz się w miejsce, gdzie to nie ty ustanawiasz zasady.

A potem uderzałam w osobisty ton: przypominałam mu o ułaskawieniu, o które prosiłam.

Odpowiedź jednak nie nadchodziła. Albo Peña zapomniał, albo - Boże broń! - coś strasznego stało się z Nelsonem. Znowu nadeszły dla mnie złe dni i długie noce. Jedyne myśli o zbliżającej się wielkimi krokami Wielkanocy pozwalała Patrii Mercedes mozolnie iść na przód. Płomienie Afryki miały niedługo wystrzelić pękami.

I zmartwychwstał trzeciego dnia...

Wciąż napływały małe liściki. Z próśb, które Mate do nich załączała, złożyłam obraz tego, co dziewczęta przechodziły w więzieniu.

Prosiły o jedzenie, które się łatwo nie psuje - były głodne. Kostki rosółowe i sól - posiłki, które dostawały, były bez smaku. Aspirynę - miały gorączkę. Efedrynę - odzywała się astma. Ceregen - były osłabione. Mydło - miały gdzie się umyć. Tuzin małych krucyfiksów? Tego nie mogłam rozgryźć. Jeden albo dwa, owszem, ale tuzin?! Wierzę, że gdy prosiły o książki, oznaczało to, że ich umysły były spokojniejsze. Marti dla Minery (wiersze, nie zbiór esejów), a dla Mate notes i długopis. Materiały do szycia dla obu, z prośbą o podanie wymiarów dzieci. *Ay, pobrecitas*, tęskniły za swoimi maleństwami.

Godzinami przesiadywałam u sąsiadów, don Bernarda i doñi Belén, pragnąc, by mój umysł - tak samo jak jej - wchłonęła przeszłość. Wróciłabym do samego początku... nie byłam pewna czego.

W końcu, kiedy prawie straciłam nadzieję, Peña zajechał przed nasz dom swoim białym okazałym mercedesem. Był w haftowanej guayaberze zamiast munduru. Masz ci los, prywatna wizyta.

- Poruczniku - powitałam go - proszę wejść do środka, tam jest chłodniej.

Nie omieszkalam zatrzymać się w przedsiionku, by zdążyć zauważyć świeże kwiaty pod portretem.

- Czy napije się pan rumu z colą? - nadszukiwałam mu bezwstydnie.

- Proszę nie robić sobie kłopotu, doña Patria. - Wskazał na krzesła na ganku. - Tam jest miło i chłodno.

Spojrzał na drogę, gdzie przejeżdżający samochód zwolnił, by kierowca mógł zobaczyć, kto odwiedza rodzinę Mirabalów.

Nagle zdałam sobie sprawę, że ta wizyta jest dla niego tak samo ważna jak dla mnie. Słyszałam, że miał problemy w naszym domu - nigdy nie nazwę tej farmy inaczej. Wszyscy *campesinos* uciekli, a żaden sąsiad nie był skory do pomocy. (Czego się spodziewał? Cała okolica była pełna Gonzálezów!). Ale jeśli zobaczą go rozmawiającego z dołą Patrią, komunikat będzie oczywisty: nie uważam go za odpowiedzialnego za moją stratę. On tylko kupił tanią farmę od rządu.

Mama jednak miała go za winnego. Zaryglowała się z wnukami w swojej sypialni i odmawiała wyjścia. Oświadczyła, że nigdy nie przyjmie odwiedzin potwora, który wydarł córki z jej ramion. Nie obchodziło jej to, że teraz próbował nam pomóc. Prawda była taka, że diabeł był diabłem nawet w aureoli. Ale ja wiedziałam, że to bardziej skomplikowane. Był i aniołem, i diabłem, jak my wszyscy.

- Mam dla pani dobre wieści - zaczął Peña. Położył ręce na kolanach i czekał, aż mocniej połączę jego próżność.

- Jakie, poruczniku? - Pochyliłam się do przodu, odgrywając swoją błagalną rolę.

- Dostałem przepustki dla odwiedzających - powiedział.

Poczułam się trochę rozczarowana, przede wszystkim miałam nadzieję na ulaskawienie. Dziękowałam mu jednak serdecznie, kiedy po kolei wymieniał imiona.

- Trzy przepustki - podsumował.
- Trzy? Ale mam tam sześciu bliskich, poruczniku - starałam się mówić opanowanym tonem. - Czy nie powinno być sześciu przepustek?

- Powinno być sześć, czyż nie? - przyznał mi rację, kiwając głową. - Ale Manolo przebywa w izolatce, a Leandro ciągle nie może się zdecydować na pracę dla El Jefe. Zatem obaj są, nazwijmy to, niedostępni.

Praca dla El Jefe?

- A mój Nelson? - zapytałam natychmiast.
- Rozmawiałem z komendą główną. - Peña cedził słowa, opóźniając przekazanie wiadomości, żeby wzmocnić moją niecierpliwość.

Pozostałam jednak niewzruszona, cały czas odmawiając w myślach *Chwała Ojcu*. - Zważywszy na to, że pani syn jest tak młody, a El Jefe ułaskawia większość nieletnich... - mieszał swojego drinka tak, że kostki lodu obijały się o szkło - sądzimy, że można włączyć go do następnej tury.

Mój pierworodny, moja mała owieczka. Z oczu popłynęły mi łzy.

- Już, już, doña Patria, proszę się uspokoić.

Ale z tonu Peñi można było poznać, że widok płaczącej kobiety sprawia mu przyjemność.

Kiedy doszłam do siebie, zapytałam:

- A dziewczęta, poruczniku?

- Wszystkim kobietom też oferowano ułaskawienie.

Siedziałam jak na szpilkach.

- Więc dziewczęta również wracają do domu?

- Nie, nie, nie - odparł, grożąc mi palcem - wygląda na to, że spodobało im się w więzieniu. Odmówiły.

Uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Co mogę poradzić na taką głupotę?”. Potem znów nawiązał do swojego wyczynu, oczekując ode mnie więcej wyrazów wdzięczności.

- Więc jak będziemy świętować powrót chłopaka?

- Zaprosimy pana na sancocho - odpowiedziałam, zanim zdążył zasugerować coś nieprzyzwoitego.

Gdy tylko odjechał, pośpieszyłam do sypialni mamy, żeby przekazać dobre wieści.

Mama upadła na kolana, wyrzucając ręce do góry.

- Prawda jest taka, że Pan o nas nie zapomni!

- Nelson wraca do domu? - Noris podbiegła do mnie. Od czasu uwięzienia brata popadła w straszliwe przygnębienie, jakby był utraconą miłością, a nie „potworem” dręczącym ją przez całe dzieciństwo.

Młodsze dzieci zaczęły skandować:

- Nelson w domu! Nelson w domu!

Mama popatrzyła na mnie, ignorując harmider.

- A dziewczęta?

- Mamy przepustki, żeby się z nimi zobaczyć - odparłam, zniżając głos.

Mama wstała. Wrzawa natychmiast umilkła.

- A czego diabeł chce w zamian?

- Sancocho, kiedy Nelson wróci do domu.

- Ten człowiek ma jeść sancocho w naszym domu? Po moim trupie!

Położyłam palec na ustach, przypominając jej, żeby uważała na słowa.

- Mówię poważnie - syknęła. - I taka jest prawda!

Zanim powtórzyła to trzeci raz, obie wiedziałyśmy, że pogodziła się z myślą o podejmowaniu judasza przy swoim stole. Ale w tym sancocho będzie więcej niż jeden zabłąkany włos, jak mawiają *campesinos*. Nie ma wątpliwości, że Fela dosypie do zupy swoich proszków, Tono odmówi nad garnkiem *Ojczę nasz* od tyłu, a nawet ja dodam trochę święconej wody, którą zabutelkowałam dla Mate po chrzcie Jacqueline.

Tej nocy, gdy wyszłyśmy do ogrodu, przyznałam się mamie, że złożyłam nierozważną obietnicę.

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Czy to dlatego wykradłaś się z domu kilka tygodni temu?
- Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Zaoferowałam naszemu Panu, żeby wziął mnie zamiast Nelsona.

Mama westchnęła.

- *Ay, m'ija*, nawet tak nie mów. Wystarczy mi tych krzyży. - I zaraz wyznała: - Powiedziałam Mu, żeby wziął mnie za którekolwiek z was. A ponieważ jestem matką, to mnie musi posłuchać pierwszej.

Zaśmiałyśmy się.

- Prawda jest taka - kontynuowała mama - że oddałam Mu w zastaw już wszystko. Jeśli rzeczywiście wrócą do domu, będę potrzebowała następnego życia, by zdążyć wypełnić wszystkie *promesas*, które dałam. A co do *promesa* dotyczącej Peñi, mam plan. - Zabrzmiało to tak, jakby w mamę wstąpił duch rewanżysty. - Zaprosimy wszystkich sąsiadów.

Nie musiałam jej przypominać, że nie mieszkaliśmy już pośród naszych krewnych. Większość sąsiadów nie pojawi się z obawy, że ktoś zauważy, jak spędzają czas z napiętnowanymi Mirabalami. To była część jej zamysłu.

- Peña przyjedzie, myśląc, że sancocho jest przygotowane specjalnie dla niego.

Zaczęłam się śmiać, zanim opowiedziała mi swój plan do końca. Rozumiałam już, w jakim kierunku to zmierza.

- Wszyscy sąsiedzi będą wyglądać przez okna i pluć sobie w brodę, kiedy zobaczą, że urazili głowę północnego departamentu WSW!

- *Ay, mamó!* - zawołałam ze śmiechem. - Stajesz się *la jefa** zemsty!

* *La jefa* (hiszp.) - szefowa.

- Panie, wybacz mi - odparła, uśmiechając się słodko. W jej głosie nie było cienia skruchy.

- Czyli jest nas dwie - powiedziałam, obejmując ją ramionami, po czym zawołałam w stronę koniuszków papierosów zarzających się jak świetliki w mroku: - Dobranoc!

Peña zatelefonował w poniedziałek. Audiencja u El Jefe była ustalona na następny dzień. Mieliśmy się pojawić w Pałacu Narodowym i przyprowadzić poręczyciela. Kogoś, kto zechce zatrudnić młodego winowajcę i być za niego odpowiedzialnym. Kogoś, kto nie naraził się rządowi.

- Dziękuję, dziękuję - powtarzałam.
- To kiedy moje sancocho? - zapytał Peña na pożegnanie.
- Zobacz, mamó - powiedziałam, kiedy już odłożyłam słuchawkę i przekazałam jej dobre wiadomości. - Ten człowiek nie jest wcale taki zły.

- Hm! - prychnęła mama. - Ten człowiek jest po prostu sprytny. Pomoc w uwolnieniu Nelsona dokona tego, czego nie zrobiłoby dwadzieścia talerzy sancocho. Wkrótce będzie trzymał do chrztu dzieci całego klanu Gonzálezów!

Wiedziałam, że ma rację, ale wołałabym, żeby tego nie powiedziała. Chyba po prostu pragnęłam odzyskać wiarę w swoich rodaków. Kiedy Kozioł będzie złym wspomnieniem z przeszłości, będziemy musieli dokonać prawdziwej rewolucji: wybaczyć sobie nawzajem to, do czego kiedyś dopuściliśmy.

Wyruszyliśmy do stolicy dwoma samochodami. Jaimito i ja jechaliśmy pikapem. Zgodził się być poręczycielem siostrzeńca żony i oddać mu pod uprawę parcelę własnej ziemi. Zawsze mówiłam, że nasz kuzyn ma dobre serce.

Mama, wujek Chiche i jego syn Blanco, młody pułkownik armii, podążali za nami samochodem don Bernarda. To miał być pokaz sił - dlatego zabraliśmy ze sobą naszych najbardziej poważanych krewnych. Dedé została w domu, żeby zająć się dziećmi. To była moja pierwsza od trzech miesięcy wyprawa poza prowincję Salcedo. Humor miałam niemal świąteczny!

W ostatniej chwili Noris wkradła się do samochodu i nie dawała się nakłonić do wyjścia.

- Chcę pojechać po swojego brata - powiedziała łamiącym się

głosem.

Nie potrafiłam jej tego zabronić.

Jakimś sposobem, w ogólnym podekscytowaniu, straciliśmy z oczu drugi samochód. Później dowiedzieliśmy się, że stary plymouth don Bernarda złapał gumę niedaleko skrzyżowania na Constanze, a kiedy Blanco chciał wymienić koło, nie znalazł zapasowego w bagażniku, tak samo zresztą jak podnośnika. Była tam za to, jak to opisywała mama, cała biblioteka. Później don Bernardo wyznał, że to on schował książki przed doñą Belén, która w napadzie sklerotycznej furii wbiła sobie do głowy, że musi je podrzeć. Była przekonana, że jej mąż ukrył w nich listy miłosne.

Ponieważ zawracaliśmy, żeby ich odszukać, w Pałacu Narodowym byliśmy tylko kilka minut przed czasem. Biegliśmy frontowymi schodami - było ich chyba ze sto. W ciasnych szpileczkach Dedé przeszłam swoją kalwarię, którą ofiarowałam w intencji wolności mojego Nelsona. Przy wejściu czekała nas kontrola, a w środku jeszcze dwie rewizje. To była kalwaria mojej biednej Noris. Wiadomo, jak w jej wieku czują się dziewczynki, kiedy na ich ciało kierowana jest jakakolwiek uwaga, a to było dokładne obszukiwanie najbardziej nieprzyzwoitego rodzaju. W końcu zajęł się nami mały, nerwowy funkcjonariusz, który prowadząc nas, cały czas zerkał na zegarek i dawał nam znaki, żebyśmy się pośpieszyli.

W całej tej gorączce nie miałam chwili, by zatrzymać się i pomyśleć. Teraz jednak zaczęłam się martwić, że w ostatnim momencie nagroda zostanie wydarta z naszych rąk. El Jefe ma zamiar ukarać Mirabalów. Tak jak wtedy, gdy Minerva odbierała dyplom, odczeka, aż będę miała Nelsona na wyciągnięcie ręki, i powie: „Wygląda na to, że pani rodzina jest zbyt szlachetna, by przyjąć ułaskawienie. Przykro mi. Będziemy musieli zatrzymać chłopaka”.

Nie mogłam pozwolić, żeby owładnął mną strach. Skupiłam się na stukocie nowych szpilek idącej obok mnie córki. Mój mały pączek róży, moje oczko w głowie, moja ślicznotka. Nagle serce prawie we mnie zamarło. *Ay, Dios mio!* Co sobie myślałam, zabierając ją ze sobą? Wszyscy wiedzieli, że z każdym mijającym rokiem stary Koziół

lubił coraz młodsze kobiety. Zaoferowałam siebie jako baranka ofiarnego za Nelsona. Na pewno nie moje kochanie.

Ścisnęłam rękę Noris.

- Trzymaj się przy mnie cały czas, słyszysz? Nie pij niczego, czym cię poczęstują, a jeśli będą cię zapraszać na jakiegokolwiek przyjęcia, twoja odpowiedź brzmi: „Nie”.

- Mamo, o czym ty mówisz? - Drżała jej górna warga.

- O niczym, mój skarbie. O niczym. Po prostu trzymaj się blisko mnie.

To było jak prosić perłę, żeby trzymała się w środku macierzystej ostrygi. Przez całą drogę niekończącym się korytarzem Noris kurczowo ścisnęła moją dłoń.

Potrzebowałam jej dotyku tak bardzo, jak ona mojego. Przeszłość śpieszyła w moim kierunku tym długim korytarzem, zalewając mnie powodzią wspomnień, porywając ze sobą, podczas gdy walczyłam, żeby dotrzymać kroku małemu funkcjonariuszowi. Minerva, Dedé, Pedrito, papa, Jaimito i ja byliśmy w drodze na przyjęcie z okazji Dnia Kolumba, gdzie miał miejsce brzemienny w skutki taniec, i nic złego jeszcze się nie stało. Wspinałam się po schodach świątyni Niepokalanej w Higüey, by po raz pierwszy usłyszeć jej głos. Byłam panną młodą, idącą dwadzieścia lat temu środkową nawą kościoła Świętego Jana Ewangelisty, by poślubić mężczyznę, z którym będę miała nasze drogie dzieci, droższe niż moje życie.

W pokoju, a właściwie salonie, stały aksamitne fotele, na których nie śmielibyśmy usiąść, nawet gdyby nam to zaproponowano. Z trzech stron prowadziło do niego troje drzwi, a przed każdymi z nich pełnił straż postawny, ubrany od stóp do głów na biało wartownik z elitarnego korpusu El Jefe. Obok nas stało kilka innych rodzin. Zbici w grupki ludzie wyglądali uroczyście, kobiety na czarno, mężczyźni w garniturach lub oficjalnych guayaberach. Moja żółta sukienka wyróżniała się jak krzyk, który próbowałam uciszyć, okrywając ramiona czarną mantylą. Mimo to byłam zadowolona, że włożyłam tę su-

kienkę. Chciałam przywitać syna ubrana w słońce, którego nie widział od tygodni.

Przez jedne z drzwi wpuszczono do środka tłum dziennikarzy. Wysoki, obładowany aparatami fotograficznymi Amerykanin podszedł do nas i z hiszpańskim akcentem spytał, jak się dzisiaj czujemy. Spojrzeliśmy na małego mężczyznę, który skinął głową na znak przyzwolenia. Audiencja była w równym stopniu dla nas, jak i dla prasy. Stanowiliśmy element przedstawienia.

El Jefe wkroczył opromieniony światłem lamp błyskowych. Nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć - myślę, że po trzech miesiącach adresowania do niego swoich monologów byłam pewna, że poczuję jakąś więź z tym przysadzistym, przesadnie wystrojonym człowiekiem. Ale stało się wręcz odwrotnie. Im bardziej starałam się skoncentrować na jego dobrych cechach, tym bardziej widziałam próżną, chciwą, zatwardziałą istotę. Może zły stał się ciałem, jak Jezus! Ciarki chodziły mi po nagich ramionach.

Rozsiadł się w bogato zdobionym fotelu ustawionym na podeście i przemówił bezpośrednio do rodzin więźniów, którzy mieli być uwolnieni. Powinniśmy się starać sprawować lepszą kontrolę nad tymi młodymi ludźmi. Następnym razem nie możemy oczekiwać takiego miłosierdzia. Podziękowaliśmy mu chórem. Potem mieliśmy się kolejno przedstawiać, ponownie podziękować i dodać kilka słów od siebie. Nic nie przychodziło mi do głowy, ale miałam nadzieję, że Jaimito zdoła coś wymyślić.

Kiedy przyszła nasza kolej, El Jefe skinął na mnie, żebym mówiła pierwsza. Przez moją głowę przemknęła tchórzliwa myśl, by nie podawać mu pełnego imienia i nazwiska.

- Patria Mercedes Mirabal de González, do usług.

W jego znudzonych, do połowy przysłoniętych powiekami oczach pojawiła się iskierka zainteresowania.

- Jest pani jedną z sióstr Mirabal, czy tak?

- Tak, El Jefe. Najstarszą. - I żeby podkreślić, po co tu przybyłam, dodałam: - Matką Nelsona Gonzáleza. I jesteśmy Waszej Eks-celencji bardzo wdzięczni.

- A kim jest ten mały kwiatuś za panią? - El Jefe uśmiechnął się do Noris.

Dziennikarze, widząc, że poświęca nam szczególną uwagę, zbliżyli się ze swoimi aparatami.

Kiedy osobiste podziękowania dobiegły końca, El Jefe odwrócił się i przemówił do swoich asystentów. W pokoju zapanowała cisza, nieznośna jak pęknięcie na chińskiej filizance. Potem wznowiono rozmowy. El Jefe zbliżył się do Noris, żeby spytać, jakie lody lubi. Ścisnęłam mocno jej dłoń, jednocześnie lustrując wzrokiem wszystkie drzwi. Może zaraz rozpocznie się coś w rodzaju gry w ruletkę i będę musiała zgadnąć, przez które z nich wejdzie Nelson, żeby wygrać jego wolność. Amerykański dziennikarz zarzucił El Jefe pytaniami o procedury stosowane wobec więźniów politycznych i narzucone ostatnio przez o PA opłaty za nieprzestrzeganie praw człowieka. Trujillo odpędził go ruchem dłoni. Udało mu się wyciągnąć z Noris, że lubi lody czekoladowe i truskawkowe, jeśli nie są przetruskawkowane.

Drzwi otworzyły się z impetem. Wyłonił się zza nich najpierw orszak ubranych w biel strażników, a potem garstka budzących współczucie chłopców - przez skórę ich wygolonych głów prześwitwały czaszki, oczy mieli wielkie i wystraszone, twarze opuchnięte od sińców. Kiedy zobaczyłam Nelsona, krzyknęłam i upadłam na kolana. Pamiętam swoją modlitwę: „Panie, dziękuję za oddanie mi syna”.

Nie musiałam mu przypominać, jakie śluby złożyłam w zamian. Mimo to nie wydawało mi się, żeby miał natychmiast przyjść i wyegzekwować swoje. Później Jaimito mówił, że to tylko Trujillo przywoływał mnie, żebym odebrała więźnia. Ale ja wiem, kiedy słyszę głos Boga. To był na pewno On, wypowiadający moje imię.

Następnego dnia byliśmy sławni. Na pierwszej stronie „El Caribe” widniały obok siebie dwie fotografie: Noris podająca rękę uśmiechniętemu Trujillo („Młoda winowajczyni zmiękcza serce El Jefe”) i ja na klęczkach, z dłońmi złożonymi do modlitwy („Wdzięczna *madre* dziękuje swemu Dobroczyńcy”).

María Teresa

marzec - sierpień 1960

Środa, 16 marca (55 ani)

Dopiero co dostałam ten notes. Tym razem Santicló musiał być bardzo ostrożny i przemyślał tylko po parę rzeczy raz na kilka dni.

Mówi, że środki ostrożności zaostrzyły się od czasu drugiego listu pasterskiego. „Jesteście bezpieczniejsze tutaj niż na zewnątrz, z bombami i czym tam jeszcze”.

Próbuje mówić krzepiące rzeczy.

Czy naprawdę wierzy, że tu jesteśmy bezpieczniejsze? Może o n tak, jako strażnik i w ogóle. Ale my, polityczni, możemy w każdej chwili pożegnać się z życiem. Krótka wizyta w La 40 i po wszystkim. Jak z Florentinern i Papilinem... - lepiej przestanę. Wiem, jak to się u mnie kończy.

Czwartek, 17 marca (56 ani)

Najgorszy jest strach. Za każdym razem, gdy słyszę odgłosy kroków zbliżających się korytarzem albo zgrzyt klucza obracającego się w zamku, mam pokusę, żeby skulić się w kącie jak zranione zwierzę, skomlące i pragnące bezpieczeństwa. Ale wiem, że jeśli to zrobię, poddam się swoim niskim instynktom i będę się czuć jeszcze mniej człowiekiem. A to właśnie chcę uzyskać.

Piątek, 18 marca (57 dni)

Dobrze jest móc wszystko notować. Wiedzieć, że zostanie jakiś zapis.

Wcześniej skrobałam na ścianie naszym przemyconym gwoździem. Każdy dzień to kreska, siedem przekreślonych kresek to tydzień. To był jedyny rejestr, jaki mogłam prowadzić, nie licząc tego w mojej głowie - mogłam magazynować zdarzenia w pamięci.

Na przykład dzień, w którym nas tu przywieziono.

Prowadzili nas korytarzem wzdłuż cel mężczyzn. Wyglądałyśmy okropnie, brudne, rozczochrane, posiniaczone od spania na twardej podłodze. Mężczyźni zaczęli wykrzykiwać swoje kryptonimy, żebyśmy wiedziały, kto jeszcze żyje (unikaliśmy patrzenia na nich, bo wszyscy byli nadzy). Mimo że nadstawiałam uszu, nie wychyciłam okrzyku: „Palomino *vive!*». Staram się tym nie martwić - ostatecznie nie dosłyszałyśmy wielu imion, bo strażnicy zaczęli uderzać pałkami w karty, zagłuszając okrzyki mężczyzn. Potem Minerva zaintonowała hymn narodowy, a pozostali, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, dołączyli do niej. Minervę zamknięto wtedy na tydzień w izolacie.

Resztę więźniarek politycznych, w tym mnie, upchnięto w celi nie większej niż połączone ze sobą jadalnia i salon mamy. Ale prawdziwym wstrząsem był widok szesnastu innych kobiet, które tam zastałyśmy. Z pewnością nie politycznych. Prostytutki, złodziejki, morderczynie - a trzeba dodać, że nie wszystkie zechciały nam o sobie opowiedzieć.

Sobota, 19 marca (58 dni)

Trzy zespane stalowe ściany, stalowe kraty tworzące czwartą, stalowy sufit, podłoga z cementu. Dwadzieścia cztery metalowe półki (koje), dwanaście po każdej stronie, wiadro, mała umywalka pod niewielkim, wysoko umieszczonym oknem. Witam w domu.

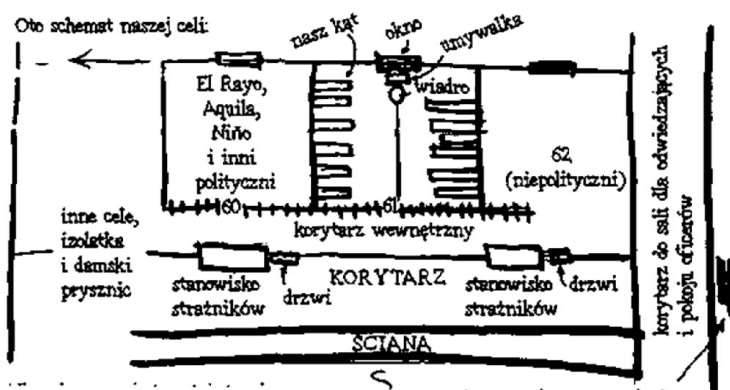
Jesteśmy na trzecim piętrze (tak sądzimy), na końcu długiego korytarza. Cela 61 wychodząca na południe, na drogę. El Rayo i część

chłopców są w celi 60 (*obokguardia*), w celi 62 po naszej prawej stronie osadzeni są niepolityczni. Uwielbiają mówić nam świąstwa przez ścianę. Niektórym dziewczętom to nie przeszkadza, więc to w większości one zajęły koje po tamtej stronie.

Dwadzieścia cztery kobiety jedzą, śpią, piszą, uczą się i używają wiadra - robią wszystko w pokoju o wymiarach dwadzieścia pięć na dwadzieścia moich stóp rozmiaru trzydzieści sześć. Przeszłam go tam i z powrotem wiele razy, wierz mi. Pręt na środku przydaje się do wieszania naszych rzeczy i suszenia ręczników. Pokój jest jakby podzielony na dwie części. Chociaż człowiek i tak szybko pozbywa się wstydu w tym paskudnym miejscu.

My, polityczne, zajmujemy koje po wschodniej stronie, poprosiłyśmy więc, żeby południowo-wschodni kąt był „nasz”. Minerva zaprosiła wszystkie dziewczęta do udziału w naszych dyskusjach i wykładach, chyba że spotkanie jest zamknięte, i wiele z nich przyjęło to zaproszenie. Magdalena, Kiki, America i Milady są stałymi uczestniczkami. Dinorah czasem się do nas przyłącza, ale zwykle po to, żeby wszystko krytykować.

A tak, zapomniałam o naszym czworonożnym Miguelicie. Pojawia się w każdej sytuacji, która ma coś wspólnego z okruciami.



Niedziela, 20 marca (59 dni)

Dzisiaj przypadła moja kolej na wyglądanie przez małe okienko. Wszystko, co zobaczyłam, było zamazane od łez. Tak bardzo pragnęłam być na zewnątrz.

Samochody pędziły na wschód, w stronę stolicy, i na północ, w stronę domu. Obładowany sakwami osioł szedł obok poganiającego go chłopaka z witką. Roilo się od wozów policyjnych. Pożerałam wzrokiem każdy szczegół, tak że w końcu straciłam rachubę czasu. Nagle poczułam, że ktoś szarpie mnie za więzienną sukienkę. To była Dinorah, która wciąż na nas utyskuje: „bogate kobiety, uważające się za lepsze od motłochu”.

- Starczy już - warknęła - my też chcemy popatrzeć.

Wtedy stało się coś bardzo wzruszającego. Magdalena, zauważywszy widocznie, że płaczę, powiedziała:

- Niech weźmie moją kolejkę.

- I moją - dodała Milady.

Kiki też zaproponowała swoje dziesięć minut, mogłabym więc stać na wiadrze całe pół godziny, jeśli bym tylko chciała.

Oczywiście od razu z niego zesłam - nie chciałam pozbawiać nikogo jego dziesięciu minut napawania oczu światem. Ale szlachetność tych dziewcząt, które kiedyś brałam za gorsze od siebie, podniosła mnie na duchu.

Poniedziałek, 21 marca (60 dni)

Ciągle opowiadałam o dziewczętach.

Muszę przyznać, że im więcej czasu z nimi spędzam, tym mniej dbam o to, co zrobiły i skąd przyszły. Liczy się wartość osoby. Kim się jest w środku.

Moją ulubienicą jest Magdalena. Nazywam ją naszym małym karmnikiem dla ptaków. Wszyscy przychodzą i dziób-dziób, wydziobują to, czego od niej chcą, a ona daje to chętnie. Swoją

przydział cukru, swój czas przy umywalce, swoje wsuwki do włosów.

Nie wiem, z jakiego powodu się tu znalazła, ponieważ między więźniami panuje niepisana zasada przyzwoitości: na ten temat nie zadaje się pytań. Chociaż często dziewczęta same opowiadają swoją historię. Magdalena nie mówi wiele o sobie, wiem tylko, że też ma córeczkę, i zawsze rozmawiamy o naszych małych. Nie mamy zdjęć, ale dokładnie opisałyśmy sobie nasze dziewczynki. Wygląda na to, że jej Amantina to prawdziwa laleczka. Ma siedem lat, piwne oczy (jak moja Jacqui) i jasnobrązowe loki (kiedyś blond!). Dziwne... zważywszy, że sama Magdalena ma raczej ciemną karnację, a na głowie burzę włosów. Coś się za tym kryje, ale nie śmiałam tak po prostu zapytać, kim jest ojciec dziecka.

Wtorek, 22 marca (61 in)

Załamalam się ostatniej nocy. Czuję taki wstyd.

Stało się to tuż przed zgaszeniem świateł. Leżałam na swojej koi, kiedy przyszedł czas na przepisowe „Viva Trujillo!”. Może to przez ten okrzyk, a może w końcu zaczęłam rozumieć swoją sytuację, ale nagle zobaczyłam, jak ściany zbliżają się do siebie, i ogarnęła mnie panika - czułam, że nigdy, przenigdy się stąd nie wydostanę. Zaczęłam się trząść, zawodzić i krzyczeć, żeby mama zabrała mnie do domu.

Na szczęście Minerva w porę zorientowała się, co się dzieje. Wczołgała się na moją koję, objęła mnie i zaczęła łagodnym głosem przypominać mi, dlaczego muszę żyć i być cierpliwa.

Uspokoiliam się, chwala Bogu.

Tutaj ciągle się to zdarza. Każdego dnia i każdej nocy mamy co najmniej jedno załamanie - ktoś traci kontrolę i zaczyna krzyczeć, szlochać albo jęczeć. Minerva mówi, że lepiej jest sobie na to pozwolić - nie żeby ona tak kiedykolwiek zrobiła. Inaczej trzeba by się zaskorupić, nigdy nie pokazywać, co się czuje, nigdy nie mówić, co się myśli. (Jak Dinorah - Więzienna Twarz, jak nazywają ją dziewczęta). Wtedy pewnego dnia wychodzisz na wolność tylko po to, by odkryć, że zamknęłaś się na klucz, który leży

porzucony gdzieś na dnie twojego serca, zbyt głęboko, by go stamtąd wyłowić.

Środa, 23 marca (62 dni)

Uczę się tu zupełnie nowego języka, jak wtedy, kiedy przystąpiłam do naszego ruchu. Każdemu strażnikowi nadajemy kryptonim, zwykle nawiązujący do jakiejś cechy jego wyglądu lub osobowości i od razu stanowiący wskazówkę, czego się po tym człowieku spodziewać. Krwawy Juan, Mały Brzytwa, Gęsty Włos. Nie wiem tylko, skąd się wziął „Malutki”. Ten mężczyzna jest wielki jak mebel, który trzeba przewozić ciężarówką.

Malutkie co? Spytałam Magdaleny. Wyjaśniła, że Malutki to ten z szybkimi palcami, ale według dziewcząt, które mogą coś o tym wiedzieć, ma bardzo małe do zaoferowania.

Każdego dnia pukanie przez ścianę oznajmia „listę towarów dostępnych”. Dzisiaj banany (małe i brązowe) są po pięć centów za sztukę, kawałek lodu - piętnaście centów, jeden papieros - trzy centy, butelka mleka, które tak naprawdę jest w połowie wodą - piętnaście centów. Wszystko jest tu na sprzedaż, wszystko poza wolnością.

Te „przywileje” noszą kryptonim „zółw”, a gdy ktoś chce coś nabyć, mówi strażnikowi przy drzwiach, że chętnie wylałby trochę wody na zółwia.

Dzisiaj wylałam całe wiadro na to stworzenie: za pieniądze, które przyniósł nam od mamy Santicló, kupiłam każdej z nas porcję mianiu. Dziesięć centów za jeden nieswieży kawałek, a ja nie mogłam nawet utrzymać go w brzuchu.

Czwartek, 24 marca (63 dni)

Od czasu do czasu wzywają nas do pokoju oficerów na przesłuchanie. Ja byłam tam tylko dwukrotnie. Za każdym razem ogarniał mnie strach tak wielki, że aż irracjonalny, i strażnicy musieli ciągnąć mnie korytarzem za ramiona. Potem, ma się rozumieć, dostawałam ataku

astmy, więc brakowało mi oddechu, gdy chciałam coś powiedzieć.

Zadawano mi bzdurne pytania o nasz ruch - kim były moje kontakty i skąd braliśmy zaopatrzenie. Zawsze odpowiadałam: „Powiedziałam już wszystko, co wiem”, a wtedy oni grozili, co zrobią mnie, Leandrowi, mojej rodzinie. Za drugim razem już tego nie robili, powiedzieli tylko: „Jaka szkoda, że taka ładna dama będzie musiała zestarzeć się w więzieniu. Straci tyle...” (tu garść sprośnych komentarzy, których nie będę przytaczać).

Najczęściej przesłuchiwane są Sina i Minerva. Nietrudno domyślić się dlaczego. Te dwie zawsze im się stawiają. Pewnego razu Minerva wróciła z pokoju oficerów, śmiejąc się. Syn Trujillo Ramfis przyjechał specjalnie, żeby ją przesłuchać, ponieważ Trujillo utrzymywał, że Minerva Mirabal była mózgiem całego ruchu.

„Bardzo mi to schlebia - odpowiedziała ponoć Minerva. - Ale mój mózg nie jest wystarczająco duży, żeby przeprowadzić tak wielką operację”.

To ich zmartwiło.

Wczoraj Sine spotkało coś, co mogło się skończyć strasznie. Zabrali ją do pokoju, do którego wcześniej wprowadzili nagich więźniów. Na ich oczach strażnicy zdarli z niej ubranie. Potem szydzili z Manola - kazali mu stanąć na wiadrze i powiedzieli: „No już, liderze, przekaz jedną ze swoich rewolucyjnych wiadomości”.

- Co zrobił? - chciała wiedzieć Minerva. Ton miała dumny i oburzony.

- Wyprostował się najbardziej, jak mógł, i powiedział: „Towarzysze, spotkało nas niepowodzenie, ale nie zostaliśmy pokonani. Śmierć albo wolność!”.

To był jedyny raz, kiedy widziałam Minervę płaczącą w więzieniu - kiedy Sina opowiadała tę historię.

Piątek, 25 marca (64 dni)

O piątej Krwawy Juan uderza w kraty żelaznym prętem, krzycząc: „Viva Trujillo!” i brutalnie wrywając nas ze snu. Nie ma szans, żeby

się ludzi - choćby przez minutę - co do tego, gdzie jestem. Ukrywam twarz w dłoniach i płacząc. Tak zaczyna się każdy dzień.

Gdyby, Boże broń, Minerva zobaczyła mnie w takim stanie, z miejsca wygłosiłaby mi jedną ze swoich pogadań o morale.

Dzisiaj moja kolej na opróżnianie wiadra, ale Magdalena ofiarowuje się zrobić to za mnie. Ze względu na moje problemy z żołądkiem wszyscy są dla mnie teraz tacy mili i pomocni.

Tuż przed posiłkiem Minerva intonuje hymn narodowy. Pukanie z sąsiedniej celi upewnia nas w tym, że nasze „serenady” podnoszą mężczyzn na duchu. Strażnicy już nawet nie próbują nas powstrzymać. „Bo jaką czynimy szkodę?” - pyta Minerva. W istocie jesteśmy tylko patriotkami, które witają się rano ze swoim krajem.

Dziś śpiewamy pożegnalną pieśń *Adiós eon el corazón*, bo to ostatni dzień Miriam i Dulce. Większość z nas płacze.

Zwymiotowałam swoje śniadanie. Ostatnio niewiele mi trzeba, żeby mój żołądek zareagował w ten sposób. Co nie znaczy, że nie robi słusznie, odrzucając tę wodnistą papkę. (Czym są te drobinki z żelatyny, na które czasem natrafiam zębami?)

Sobota, 26 marca (65 dni)

Właśnie odbyło się spotkanie naszej szkółki. Minerva nalega, żebyśmy gromadziły się każdego dnia poza niedzielami. Zgaduję, że Fidel robił tak, gdy był w więzieniu na wyspie Pinos, więc my też musimy. Minerva zaczęła od wyrecytowania wiersza Martíego, a potem rozważyliśmy wspólnie, co mógł mieć na myśli. Śniłam na jawie o mojej Jacqui - zastanawiając się, czy już chodzi, czy wciąż ma wysypkę między małymi paluszkami - kiedy Minerva spytała, co ja o tym sądzę. Powiedziałam, że muszę się zgodzić ze swoimi przedmówczyniami. Potrząsnęła tylko głową.

Potem my, polityczne, zebrałyśmy się w kącie i powtórzyłyśmy na głos nasze trzy kardynalne zasady:

Nigdy im nie wierzyć.

Nigdy się ich nie bać.

Nigdy o nic ich nie prosić.

- Nawet Santicló? - spytałam, jest dla mnie dobry, właściwie dla nas wszystkich.

- Zwłaszcza Santicló - odpowiedziała Sina. Nie wiem, kto jest twardszy: ona czy Minerva.

Obie ostrzegały mnie przed zbytnim spoufalaniem się z wrogiem.

Niedziela, 27 marca (66 dni)

Wczoraj wieczorem Santicló przyniósł nam ostatnią część zawartości paczki, którą przygotowała mama, w tym vigorex. Może teraz mój brzuch trochę się uspokoi. Sole trzeźwiące też mogą się przydać. Mama i Patria przeszły same siebie. Mamy wszystko, czego potrzebujemy, i trochę dóbr luksusowych. Oczywiście, o ile Minerva wszystkiego nie rozda.

Mówi, że nie chcemy tworzyć w naszej celi systemu klasowego, podziału na posiadających i nieposiadających. (Czyżby? Nie pamięta, jak Malutki dał Dinorah kajmak jako zapłatę za jej usługi, a ona nie zaproponowała nikomu ani odrobiny, nawet Miguelitowi?)

Minerva wygłasza swoją mowę, jak to Dinorah jest ofiarą naszego zepsutego systemu, który pomagamy znieść przez częstowanie ją naszymi ciągutkami.

Tak więc w imię rewolucji każda więźniarka dostała maść rozgrzewającą i kawałek ciągutki. Przynajmniej ten notes mam dla siebie.

Albo tak mi się zdaje, bo Minerva podchodzi i pyta, czy nie mogłabym wyrwać kilku kartek, których potrzebują do napisania Américas oświadczenia na jutrzejszą rozprawę.

„Możemy jeszcze pożyczyć długopis?” - pyta Minerva.

Czy ja nie mam ż a d n y c h praw? Ale zamiast o nie walczyć, wybucham płaczem.

[wydarte strony]

Poniedziałek, 28 marca (67 dni)

Nie tknęłam swojego jedzenia. Wystarczył zapach tej parującej papki, żebym nie chciała nawet spróbować. Teraz leżę na koi, słuchając dyskusji szkółki na temat tego, jak kobieta rewolucjonistka powinna radzić sobie z niewybrednymi komentarzami ze strony towarzysza. Minerva zwolniła mnie z zajęć. Czuję się tak, jakby moje wnętrzości zapragnęły wydostać się na zewnątrz.

Schudłam tak bardzo, że musiałam zwęzić paski we wszystkich parach majtek i wypchać miseczki biustonoszy chustkami do nosa. Wczoraj wygłupiałyśmy się, porównując ze sobą ich rozmiary. Kiki zrobiła niesmaczną uwagę, że mężczyźni prawdopodobnie robią tak samo ze swoimi wiadomo czym.

Pierwszego miesiąca pobytu tutaj byłam wstrząśnięta, gdy ktoś mówił takie świństwa. Teraz śmieję się ze wszystkimi.

Wtorek późno w nocy, 29 marca (68 dni)

Nie mogę dziś zasnąć. Ciągłe przypomina mi się modlitwa Violety na koniec naszego grupowego różańca: „Spraw, żebym nigdy nie doświadczyła tego wszystkiego, do czego można się przyzwyczać”. Tak bardzo mnie to przeraziło.

Środa, 30 marca (69 dni)

Próbuję trzymać się grafiku, żeby zapanować nad paniką, która czasem mnie ogarnia. Sina podjęła ten temat podczas zajęć szkółki. Czytała książkę napisaną w Rosji przez więźnia politycznego, skazanego na dożywocie; jedynym sposobem, który uchronił go przed szaleństwem, było trzymanie się grafiku ćwiczeń przeprowadzanych w myślach. Trzeba trenować swój umysł i swojego ducha. To jak harmonogram karmienia niemowlęcia.

Myślę, że to dobry pomysł. Oto mój grafik:

Szkółka każdego dnia - poza niedzielami.

Pisanie w moim notesie podczas zmiany straży, bo mogę wtedy każdorazowo wyrwać aż dwadzieścia minut. Jak również po zgaszeniu światła, jeśli księżyc świeci wystarczająco jasno.

Odtwarzanie „filmów” w głowie, wyobrażanie sobie, co dzieje się w domu dokładnie w tym momencie.

Robótki ręczne. Strażnicy zawsze przynoszą nam więzienne ubrania do reperacji.

Pomaganie w sprzątaniu celi - mamy tu rozpisaną na zmiany listę obowiązków, którą sporządziła Sina.

Spróbuję też każdego dnia zrobić jedną dobrą rzecz dla współwięźniarki, od masowania zbolałego kręgosłupa Delii po uczenie niesłyszącej Balbiny, i nie tylko jej, jak zapisać swoje nazwisko.

I w końcu coś, z czego dziewczęta najbardziej się śmieją: spróbuję „chodzić” przez godzinę każdego dnia. Dwadzieścia pięć stóp wzdłuż celi, tam i z powrotem, dwadzieścia stóp w poprzek, tam i z powrotem.

- Dokąd idziesz? - spytała mnie wczoraj America.
- Do domu - odparłam, nie przerywając spaceru.

Czwartek, 31 marca (70 dni)

Mijają dni, a ja zaczynam tracić odwagę. Opadają mnie czarne myśli. Poddaję się. Dzisiaj nawet nie rozczesałam włosów, a jedynie zwinęłam je w węzeł i obwiązałam skarpetką. Mam taki podły nastrój.

Znów cofnięto nasze przywileje przyjmowania odwiedzin. Bez słowa wyjaśnienia. Nawet Santicló nie wie dlaczego. Prowadzono nas korytarzem i nagle zawrócono - co za wstrętne zagranie.

Poza tym wiemy już na pewno, że Leandra nie ma tu z nami.

Mój Boże, gdzie on może być?

Piątek, 1 kwietnia (71 dni)

Minerva i ja przeprowadziłyśmy właśnie rozmowę o morale. Mówi, że zauważyła, jak jestem ostatnio przygnębiona.

Tak, jestem przygnębiona. Mogłybyśmy już od całego tygodnia być za murami razem z Miriam i Dulce. Ale nie, my, siostry Mirabal, musimy dawać dobry przykład. Gdybyśmy przyjęły ulaskawienie, przyznałybyśmy, że mamy za co być ulaskawione. Poza tym nie mogłybyśmy cieszyć się wolnością, dopóki wszyscy inni nie będą mieć takiej możliwości.

Wysuwałam wszystkie możliwe argumenty, ale skończyło się tak jak wtedy, gdy Minerva chciała wprowadzić strajk głodowy.

- Minervo, już i tak prawie umieramy z głodu, czego chcesz więcej? - oponowałam.

Chwyła mnie za rękę i powiedziała:

- Więc zrób to, co ty uważasz za właściwe, Mate.

Oczywiście w końcu ja też brałam udział w strajku. (Dzięki Bogu Santicló przemycił mi trochę czekoladek i manioku, inaczej naprawdę umarłabym z głodu).

Podobnie było tym razem: ja przyjąłabym ulaskawienie. Ale co miałam zrobić? Zostawić tę męczenniczkę samą?

Zaczynam płakać. Mówię Minervie, że nie mogę tego dłużej znieść. Każdego dnia moja córeczka rośnie beze mnie.

Minerva każe mi przestać myśleć w ten sposób. Potem znów próbuje poprowadzić mnie przez ćwiczenie polegające na koncentrowaniu się na przyjemnych myślach, żeby nie wpaść w depresję.

Muszę kończyć i schować notes. Idą tu, będzie jakaś kontrola.

Sobota, 2 kwietnia (72 dni)

Było tu wczoraj zamieszanie. W konsekwencji przydzielono dodatkowych strażników do patrolowania korytarza przy naszej celi, więc aż do dzisiejszego wieczoru nie śmiałam pisać.

Minerva wróciła do izolatki, tym razem na trzy tygodnie. Przyszli, żeby zabrać nasze krucyfiksy. Do pewnego stopnia byłyśmy na to przygotowane, zważywszy na to, co się ostatnio słyszy.

Urzednicy nazywają to „krzyżowym spiskiem”. Minerva i El Rayo wpadli na pomysł, żeby każdy bez wyjątku nosił krzyż jako symbol

naszej solidarności. Dostaliśmy od Patrii tuzin małych drewnianych krucyfiksów wykonanych przez wujka Pepe dla tych, którzy nie mieli własnych. Wkrótce nawet najbardziej niegodnym prostytutkom nad biustem zwisały krzyże. Wszyscy nadzy mężczyźni też je nosili.

Za każdym razem, gdy ktoś był zabierany „z wizytą” do La 40 albo wpadał w rozpacz i zaczynał krzyczeć lub płakać, wszyscy intonowaliśmy śpiew: „O Panie, me mocne ramię, gdy wieją wiatry cyklonu”.

Trwało to tydzień. Potem naczelnik więzienia, Mały Brzytwa, przeszedł od celi do celi, ogłaszając nowe przepisy: koniec ze śpiewaniem hymnów, koniec z krucyfikсами.

Santicló opowiadał nam, że szczególnie teraz, po odczytaniu drugiego listu pasterskiego, Trujillo był pewny, że księża chcą się zbuntować przeciw niemu. Noszenie krzyży i modlenie się to spisek.

Santicló z przepaszającym wyrazem twarzy oraz Malutki i Krwawy Juan bez cienia skruchy weszli z czterema innymi strażnikami, żeby skonfiskować symbole naszej wiary. Kiedy podawałam Santicló swój mały złoty krzyżyk, który dostałam z okazji Pierwszej Komunii i z którym nigdy się nie rozstawałam, mrugnął do mnie i schował go do kieszeni. Chciał mi go przechować. Złote krzyże, które wpadły w ręce Małego Brzytwy, były skazane na „zgubienie się”.

Wszystkie oprócz Minery i Siny zastosowałyśmy się do zarządzenia. Jeśli chodzi o Sine, stała tylko wyprostowana i z uniesioną głową, więc udało im się zdjąć krzyż z jej szyi. Ale kiedy podeszli do Minery, zaczęła wierzgać i wymachiwać rękami. Czapka Santicló przeleciała przez celę, a Malutki został uderzony w twarz. Krwawy Juan próbował interweniować i miał teraz krwawy nos.

Skąd moja siostra bierze tę swoją szaleńczą odwagę?

Kiedy prowadzono ją korytarzem, z jednej z cel, które mijali, odezwał się głos:

- *Mariposa* nie należy tylko do samej siebie. Należy do całej Hispanioli!

Wtedy wszyscy zaczęli uderzać w kraty wykrzykując: „*Viva la Mariposa!*” - „Niech żyje Motyl!”. Do oczu napłynęły mi łzy.

Coś wielkiego i potężnego rozpostarło skrzydła wewnątrz mnie.

„Odwagi” - powiedziałam sobie. I tym razem ją poczułam.

[wydarte strony]

Czwartek, 7 kwietnia (77 dni)

Dziś nareszcie zobaczyłam mamę, Patrię, a także - z daleka - Pedrita. Jaimito i Dedé nie przyjechali, ponieważ wolno nam przyjmując tylko jednego gościa. Ale Santicló pozwolił Patrii siedzieć przy moim stoliku, po tym, jak więzień numer 49 został zabrany z powrotem do celi. Więzień numer 49 to Pedrito. A ja, czego do dzisiaj nie wiedziałam, mam numer 307.

Mama była tak przygnębiona na wieść o tym, że Minerva jest w izolatce, że postanowiłam nie mówić, jak się czuję, żeby oszczędzić jej kolejnego zmartwienia. Poza tym nie chciałam marnować czasu, który mogłam poświęcić na słuchanie o moim skarbie. Ma dwa nowe zęby i nauczyła się mówić: „Uwolnij mamę, uwolnij papę” za każdym razem, kiedy przechodzi obok obrazu Trujillo w przedsionku.

Patria przekazała mi najlepszą jak dotąd wiadomość - Nelson jest wolny! Zaproponowano mu ułaskawienie i przyjął je. *Ay*, zaczęłam przez to znowu tak bardzo żałować, że my odrzuciłyśmy swoje.

Jeśli chodzi o Leandra, on i kilku innych ciągle są przetrzymywani w La 40. Na samą myśl o tym, że żyje, czuję wielką ulgę. Kiedy Patria była w Salcedo u Peñi, dowiedziała się od niego, że próbują wymóc na Leandrze podjęcie się jakiejś pracy dla Trujillo. Z pewnością wybrali niewłaściwą osobę. Mój delikatny Palomino ma żelazną wolę.

Mama mówi, że w przyszłym tygodniu przywiezie Jacqueline. Oczywiście nie weźmie jej do środka na odwiedzinę. To jest zabronione. Ale Jaimito mógłby zaparkować przy drodze, a wtedy ja wyjrzałabym przez okno...

- Skąd wiesz, że nasze okna wychodzą na drogę, mamó? - spytałam ją.

Mama się zaśmiała.

- Jest pewna czarna flaga powiewająca z pewnego okna.
Jak pomysłowo z jej strony! A zastanawiałam się, dlaczego przysłała mi taki porządny ręcznik.

Piątek, 8 kwietnia (78 dni)

Magdalena i ja rozmawiałyśmy długo o tym, co naprawdę łączy ludzi. Czy jest to religia, kolor skóry, ilość posiadanych pieniędzy?

Dyskutowałyśmy w najlepsze, aż nagle dziewczęta, włączając w to dwie nowe, które przyszły na miejsce Miriam i Dulce, zaczęły się do nas dosiadać i dzielić swoimi przemyśleniami. Było inaczej niż zwykle, kiedy przemawiają tylko Sina, Asela, Violeta i Delia, kobiety wykształcone. Nawet Balbina wiedziała, że coś się dzieje, przyszła i usiadła dokładnie naprzeciw mnie, żeby móc patrzeć mi na usta. Mówiłam bardzo powoli, tak by zrozumiała, że rozmawiamy o miłości, miłości między nami, kobietami.

Jest jakaś głębia w naszych rozmowach. Czasami, zwłaszcza późno w nocy, naprawdę czuję, że to, co się teraz tu dzieje, jest jak niewidzialna igła zszywająca nas razem we wspólny, wolny naród, którym się stajemy.

Sobota, 9 kwietnia (79 dni)

Jestem bardzo przygnębiona. Deszcz tylko to pogarsza. Dni wloką się niemiłosiernie.

Tego ranka obudziłam się z myślą, że Jacqui potrzebuje nowych butów! Roztrząsałam to przez cały dzień. Stare prawdopodobnie uciskają jej palce i nauczy się chodzić na szpotawych nóżkach, a wtedy będziemy musieli założyć jej aparat ortopedyczny - i tak dalej, i tak dalej.

W tym szalonym miejscu każda myśl może urosnąć do tak wielkich rozmiarów. Ale już wolę się martwić o buty mojej córeczki niż o inne rzeczy, które ostatnio chodzą mi po głowie.

Niedziela, 10 kwietnia (80 dni)

Mam duże zmartwienie, a nie mogę porozmawiać z Minervą, która ciągle jest w izolatce.

Cofam się pamięcią i obliczam. W grudniu i styczniu próbowa-
liśmy z Leandrem jak szaleni. Chciałam mieć szybko następnę
dziecko, bo tak bardzo pokochałam być mamą mojej małej Jacqui.
Poza tym, przyznaję, chciałam mieć pretekst, żeby zostawać w domu.
Podobnie jak Dedé, nie miałam po prostu nerwów do rewolucji, ale w
przeciwieństwie do niej nie mogłam wymówić się apodyktycznym
mężem. Choć muszę przyznać, że Leandro wolałby, bym była tylko
jego żoną i matką jego córeczki. Nieraz mówił, że jeden rewolucjo-
nista w rodzinie wystarczy.

Spóźniam się trzy miesiące: styczeń, luty, a teraz, już na pewno,
marzec. Wiem, że prawie wszystkie dziewczęta przestały tu mie-
siączkować. Delia mówi, że może się to zdarzyć z powodu stresu,
widziała już takie przypadki w swojej praktyce. A jednak te mdłości
są zbyt znajome.

Jeżeli jestem w ciąży i WSW się o tym dowiedzą, każą mi ją do-
nosić, a potem oddadzą moje dziecko jakiejś bezdziejnej żonie
generała. Magdalena opowiadała mi podobną historię. To by mnie
zabiło.

Jeśli więc naprawdę nie ma szansy, żebym niedługo wyszła na
wolność, chcę oswobodzić to biedne stworzenie od życia, które może
je czekać.

Wszystkie dziewczęta znają domowe sposoby, bo większość z
nich musiała się pozbyć niechcianych „skutków ubocznych” zwią-
zanych ze swoim zawodem. A Delia jest lekarką, więc tym bardziej
może pomóc.

Zostawiam decyzję do czasu, kiedy wróci Minerva.

Nie jestem pewna, który to dzień

Wciąż bardzo słaba, ale krwawienie ustało.

Nie podołam jeszcze opowiedzeniu tej historii.

Tylko tyle: albo straciłam dziecko razem z krwią, albo miałam okres. I nie trzeba było tego w żaden sposób wywoływać po tym, jak funkcjonariusze WSW się do mnie dobrali.

Następny dzień

Opiekuj się mną Magdalena. Karmi mnie bulionem z pokruszonymi krakersami, które przynosi mi Santicló. Podobno każdego dnia przemyca mały upominek. Dzisiaj była to ta niebieska wstążka, której użyła, żeby obwiązać mi warkocz, i mała paczuszka kulek miodowych.

Balbina też jest bardzo kochana. Rozmasowuje mi stopy, uciskając podeszwy i głaszcząc pięty w taki sposób, jakby mówiła do mnie dotykami: „Wyzdrowiej, wyzdrowiej, wyzdrowiej”.

A ja w odpowiedzi poruszam palcami i uśmiecham się blade:
„Wyzdrowieję, wyzdrowieję, mam taką nadzieję”.

Piątek (tak sądzę)

Wydaje ci się, że lada dzień się załamiesz, ale każdego dnia zadziwiasz samą siebie tym, że ciągle jakoś sobie radzisz, aż nagle zaczynasz czuć się silniejsza, jakbyś jednak miała przejść przez to piekło z odrobiną godności, odwagi i co najważniejsze - nigdy o tym nie zapominaj, Mate - z miłością w sercu do ludzi, którzy ci to zrobili.

Sobota, 16 kwietnia

Muszę napisać liścik do mamy. Na pewno się zamartwia po tym, jak nie pojawiłam się w czwartek. Jaka szkoda, że ominęło mnie zobaczenie mojej Jacqui!

Ale ta strata wydaje się teraz mała w porównaniu z tym, co się stało.

[wydarte strony]

Niedziela wielkanocna

Minerva wróciła dziś po południu. Wypuścili ją pięć dni wcześniej z powodu Wielkanocy. Jak po chrześcijańsku z ich strony.

Wyprawiliśmy dla niej małe przyjęcie powitalne z krakersami przyniesionymi przez Santicló i kawałem białego sera, który udało się zdobyć Delii przez wylewanie mnóstwa wody na żółtvia. Oczywiście Miguelito zjawiał się w sprawie okruszków.

Próbuję być pogodna, ale to wymaga tyle wysiłku. To tak, jakbym schowała się tak głęboko w sobie, że nie mogę się wydostać na powierzchnię, by z kimkolwiek obcować. Najłatwiej jest przebywać z Magdaleną. Trzyma moją głowę na kolanach i głaszcze mnie po czole, zupełnie jak mama.

Tylko jej powiedziałam, co się stało.

Środa, 20 kwietnia (90 dni)

Minerva ciągle się dopytuje. Mówię jej, że nie potrafię jeszcze o tym rozmawiać. Tak, zwierzyłam się Magdalenie, ale powiedzieć Minerve to jednak co innego. Zrobi z tego protest. A ja nie chcę, żeby ludzie wiedzieli.

- Napisz to, Mate, tak będzie ci łatwiej - mówi Minerva.
- Spróbuję - odpowiadam jej. - Daj mi jeszcze kilka dni.

Wtorek, 26 kwietnia (96 dni)

Minerva zwolniła mnie dzisiaj ze szkółki, żebym mogła to napisać.

Oto moja opowieść o tym, co się stało w La 40 w poniedziałek 11 kwietnia.

[wydarte strony]

Sobota, 30 kwietnia (100 dni)

Kiedy już okiełznasz strach, najtrudniej jest tutaj poradzić sobie z brakiem piękna. Nie ma dobrej muzyki, żadnych przyjemnych zapachów, niczego ładnego, na co można by popatrzeć.

Nawet twarze, które normalnie byłyby urodziwe jak Kiki albo piękne jak Minery, straciły swój blask. Nie chcesz nawet spojrzeć na siebie, bo boisz się, co zobaczysz. Małe kieszonkowe lusterko, które przysłała Dedé, trzymamy w naszej kryjówce, żeby każda mogła się przejrzeć, jeśli zechce. Kilka razy je stamtąd wydobyłam, nie z próżności, ale by się upewnić, że ciągle tu jestem, że nie zniknęłam.

Środa, 25 maja (125 dni, 1826 dni do końca. O Boże!)

Przez jakiś czas nie byłam w stanie pisać. Po prostu nie było w tym mojego serca.

W poniedziałek Minerva i ja zostałyśmy wezwane do sądu. Byłam na zewnątrz po raz pierwszy od czasu pewnego kwietniowego poniedziałku, którego nie chcę pamiętać, a Minerva po raz pierwszy od lutego, kiedy tu przybyłyśmy. Strażnicy powiedzieli nam, żebyśmy założyły prywatne ubrania, więc od razu wiedziałyśmy, że nie idziemy do La 40.

Wtarłam wodę różaną we włosy, potem przepasałam je wstążką od Santicló, cały czas nucąc szantę, do której moja Jacqui uwielbia klaskać. Byłam pewna, że zostaniemy uwolnione. Minerva pogroziła mi palcem, przypominając o nowej kardynalnej zasadzie, którą dodała do trzech poprzednich: „Nie trać nadziei, ale niczego się nie spodziewaj”.

I miała rację. Zostałyśmy zawiezione do gmachu sądu na to, co można by żartobliwie nazwać procesem. Nie było tam nikogo, kto by nas reprezentował, a my same też nie mogłyśmy się bronić. Sędzia ostrzegł Minervę, że jeśli powie jeszcze jedno słowo, dopuści się obrazy, a wtedy kara zostanie zaostorzona.

Pięć lat więzienia i grzywna w wysokości pięciu tysięcy pesos dla

każdej z nas. Minerva tylko odrzuciła głowę do tyłu i się zaśmiała. A ja oczywiście pochyliłam swoją i zapłakałam.

[wydarte strony]

Środa, 15 czerwca (zdecydowałam, że przestanę liczyć - to zbyt przygnębiające!)

Mój dziennik leży w naszej kryjówce, kto chce, wydziera sobie z niego strony, kiedy potrzebuje papieru. Nie ma to dla mnie znaczenia. Ostatnimi czasy niewiele się dla mnie liczy.

Minerva mówi, że mam depresję, co jest zrozumiałe. To w związku z tym, co przeszłam. Przeczytała moją historię i chce, żebym powiedziała przedstawicielom OPA (kiedy i jeśli przyjdą) o tym, co się stało w La 40. Ale nie jestem pewna, czy mogę to zrobić.

„Nie masz się czego wstydzic!” - mówi Minerva zawziętym tonem. Odwzorowuje moją twarz w gipsie, więc mam siedzieć nieruchomo.

Tak, władze zachęcają nas teraz, żebyśmy znaleźli sobie hobby - znów mają OPA na karku. Minerva wzięła się do rzeźbienia, akurat w więzieniu, jakby nie było gdzie. Poprosiła mamę, żeby przyniosła jej gips i narzędzia. Po każdej sesji Santicló ma je zbierać, ale on nie jest wobec nas restrykcyjny.

Mamy więc w naszej kryjówce kilka małych dłuł, a także inne przemycone przedmioty: nóż, nożyce krawieckie, kieszonkowe lusterko, cztery gwoździe, pilniczek i, oczywiście, ten *diario*.

„Na co ten arsenał? - spytałam Minervę. - Co z tym zrobimy?”

Czasem wydaje mi się, że rewolucja stała się dla niej czymś w rodzaju nawyku.

Piątek, 24 czerwca, gorąco tu jak w piekle

Mamy teraz dwie strażniczki. Minerva myśli, że zostały nam przydzielone, żeby zaimponować OPA delikatnym traktowaniem więź-

niarek.

Delikatnym! Te kobiety są równie twarde jak mężczyźni, a może nawet twardsze, tyczy się to zwłaszcza tłustej Valentiny. Dla nas, politycznych, jest w miarę miła, ale wobec innych zachowuje się jak wiedźma, wiedząc, że OPA nie będzie się tym interesować. Niepolityczne dziewczęta są tak cudownie ordynarne. Oto przyspiewka, którą nucą, kiedy Valentiny nie ma w pobliżu:

Valentina, *la guardona*
głupia stara flądra
poszła szukać mleka krowy
ssała bycze jądra

Wszyscy strażnicy obawiają się inspekcji OPA, O której jest coraz głośniejsz. Słyszeliśmy, że jeśli któryś z więźniów politycznych zacznie się skarżyć, strażnicy jego celi będą w poważnych tarapatach - może nawet zostaną rozstrzelani! El Jefe nie może sobie teraz pozwolić na kolejną międzynarodową aferę.

Podczas szkółki Minerva ostrzega nas, żebyśmy nie dały się zwieść plotkom ani zmanipulować „dobrym” traktowaniem. Musimy pozwolić komitetowi poznać prawdziwą sytuację, w przeciwnym razie to piekło się nie skończy. Kiedy to mówi, rzuca mi znaczące spojrzenia.

Poniedziałek, 27 czerwca, popołudnie

Powiedziałam sobie: „Mate, nie zwracaj na to wszystko uwagi”. Ale o czym innym miałabym myśleć, skoro tylko to stanowi jakąś odmianę w panującej tu monotonii?

Mamy tu coś w rodzaju podziemnego ruchu plotek. Przenoszą się głównie za pomocą pukania w ściany, ale są też przekazywane w liścikach, a czasem podczas czwartkowych odwiedzin. Informacje wędrują. I naprawdę bolało mnie, gdy usłyszałam tę obrzydliwą, krążącą wokół plotkę. Mój Leandro, a także Valera, Fafa, Faxas, Manzano i Macarrulla są oskarżani o zdradę.

Minerva mówi: „Mate, nie słuchaj złych języków”. Ale czasem, łowiąc uchem to, co jest przekazywane przez ścianę, sama wpada w złość. Odgraża się wtedy, że powie całemu światu, co mi się stało i jakich argumentów użyto, by przekonać biednego Leandra. „Och, proszę, Minervo - skomlę - proszę”.

Od tych wszystkich plotek i całego braku zaufania ruch zaczyna się rozpadać. Manolo jest tak zaniepokojony, że wystukał komunikat, który dotarł do nas wszystkich. Towarzysze mieli jego pozwolenie, żeby pracować nad tą książką. Nie ma w niej nic ponad informacje, które służby wywiadowcze i tak zgromadziły dzięki miesiącom tortur. Manolo przyznał nawet, że on sam podawał nazwiska tych, którzy byli już złapani lub uciekli za granicę.

Towarzysze i towarzyszki, nie możemy paść ofiarą małoskownych podziałów. Trzeba nam raczej skoncentrować się na następnym celu - członkach OPA, którzy tu przybędą. Jeśli zostaną nałożone sankcje, Koziół upadnie.

Spotkało nas niepowodzenie, ale nie zostaliśmy pokonani.

Śmierć albo wolność!

Ale okropne pogłoski szerzą się nadal.

Wtorek rano, 28 czerwca (zła noc)

Zdenerwowana plotkami nie mogłam spać całą noc. Potem, na dokładkę, smród sprawił, że nikt inny też nie zmrużył oka. Jesteśmy wszystkie złe na Dinorah za to, że skorzystała z wiadra.

Umówiliśmy się, że będziemy w nocy używać zewnętrznej latryny, tak by cała cela nie musiała znosić przykrych zapachów, dodatkowo utrudniających zaśnięcie. Zresztą strażnicy, poza Krwawym Juanem, chętnie wyprowadzają nas na zewnątrz. (Zwłaszcza Malutki, który ochoczo korzysta z okazji, żeby nas „zrewidować” w ciemnościach).

Kiedy się mieszka z wieloma osobami na takiej małej powierzchni,

doskonale widać, kto dba tylko o siebie, a kto myśli o całej grupie. Dinorah jest świetnym przykładem typu samoluba. Kradnie jedzenie z naszej „chłodni”, podwędza bieliznę z centralnego prętu, kiedy nie patrzymy, i - o czym wszyscy wiedzą - doniosła, że porozumiewamy się przez ścianę z celą numer 60. Na początku Minerva tłumaczyła ją, twierdząc, że Dinorah nabrała złych społecznych nawyków, wychowując się w zepsutym systemie. Ale od kiedy przekazała strażnikom drogocenną paczuszkę listów od Manola, moja pozbawiona uprzedzeń siostra zaczęła się pilnować przy tej tak zwanej ofercie.

Wiem, że niektórymi rzeczami dzieliłam się niechętnie, ale za zwyczaj po chwili namysłu ostatecznie oddaję większość tego, co do mnie należy. Zawsze pytam, czy nikt inny nie potrzebuje danej nocy lampy, i nigdy nie okupuję okna, by zaczerpnąć świeżego powietrza albo wysuszyć pranie.

Gdybyśmy stworzyli państwo idealne, co Minerva ciągle ma w planach, wpasowałabym się znakomicie. Problem mógłby się pojawić, jeśli dopuścilibyśmy do wspólnoty tych egoistycznych. Przypuszczam, że wtedy, w odruchu samoobrony, zamieniłabym się w jedną z takich osób.

Czwartek w nocy, 30 czerwca, upał nie do wytrzymania, Santicló przyniósł nam papierowe wachlarze

Znaleźliśmy świetną nową kryjówkę - moje włosy!

Patria przekazała mi dziś wycinek z gazety, a ja wiedziałam, że będę rewidowana, co ma miejsce zawsze, gdy wchodzimy do sali dla odwiedzających i gdy ją opuszczamy. Przemyt jest tu traktowany jako poważne wykroczenie. Można stracić przywileje przyjmowania odwiedzin nawet na miesiąc albo, co gorsza, trafić do izolatki. Próbowalam oddać Patrii ten zwitek papieru, ale pilnował nas Krwawy Juan, a jego sokoli wzrok nie mógł zawieść dwa razy.

W miarę jak czas wizyty zbliżał się do końca, stawałam się coraz bardziej nerwowa.

Wycinek z gazety przeżerał dziurę w moim udzie. Minerva uczy-

niła ręką znak, którego nauczyłyśmy się od Balbiny: „daj to mnie”. Ale nie miałam zamiaru pozwolić, by dała się złapać i wzięła winę na siebie. Potem poczułam ciężar warkocza na plecach i wpadłam na pomysł. Zawsze bawię się włosami, zaplatam je i rozplatam, to mój nerwowy nawyk, który tutaj się pogłębił. Złożyłam więc jeszcze kilkakrotnie ten kawałek papieru i udając, że poprawiam warkocz, wsunęłam go we włosy.

I tak oto całe więzienie dowiedziało się o próbie zamachu.

Bezpodstawne oskarżenia Betancourta

Sekretarz stanu Manuel de Moya wyraził swoje oburzenie na złośliwe i bezpodstawne oskarżenia prezydenta Wenezueli Rómula Betancourta. Betancourt oskarżył rząd dominikański o zaangażowanie w próbę zamachu na jego życie, która miała miejsce w mieście stołecznym Caracas 24 czerwca. Prezydent został ranny, kiedy jego limuzyna przejeżdżała obok zaparkowanego samochodu, który eksplodował. Przemawiając ze szpitalnego łóżka, Betancourt oświadczył, że ponownie wniósł oskarżenie do Organizacji Państw Amerykańskich. Spytany, dlaczego mały, nastawiony pokojowo kraj miałby nastawać na jego życie, prezydent Betancourt wytłumaczył to rzekomym spiskiem rządu dominikańskiego: „Od kiedy wniosłem do OPA zarzuty w sprawie łamania praw człowieka przez Trujillo, ten próbuje się mnie pozbyć”. De Moya ubolewał nad zarzutami wymierzonymi w nieskalaną godność naszego Dobroczyńcy i zapewnił, że nasz rząd jest otwarty na wizytę przedstawicieli członkowskich narodów, które chcą przeprowadzić śledztwo i przekonać się o fałszywości tych oskarżeń, OPA przyjęła zaproszenie i przed końcem lipca ma zamiar wydelegować pięcioosobową komisję.

*Piątek w nocy, i lipca, nikt nie może zasnąć,
nie tylko z powodu gorąca!*

Atmosfera tutaj zmieniała się z dnia na dzień. Nasz podzielony ruch scala się, plotki i żale odłożywszy na bok. Stukanie w ściany nie ustawało cały dzień! Przekazywano sobie najnowsze informacje, które przemyciłam!

Trujillo ma teraz kłopoty i zdaje sobie z tego sprawę. Musi wystawić przekonujący spektakl, kiedy przyjedzie OPA. Krążą nawet pogłoski o tym, że w s z y s c y mamy być ułaskawieni! Żyjemy nadzieją! Oczywiście nie dotyczy to *guardias*.

- Czy kiedy przyjdą *gringos* - spytał nas tego wieczoru Santicló - wy, dziewczęta, nie będziecie na mnie narzekać?

- Owszem, Santicló - drażniła się z nim Delia. - Powiemy, że miałeś miękkie serce dla niektórych więźniarek. Nie traktowałeś nas wszystkich jednakowo. Nigdy nie dostałam miętówek ani wstążki do włosów.

Santicló wyglądał na trochę przestraszonego, więc powiedziałam:

- Ona tylko się z tobą droczy, Santicló. Byłeś prawdziwym przyjacielem.

Zrobiłam to z uprzejmości, ale potem zaczęłam się nad tym zastanawiać i doszłam do wniosku, że to prawda.

To dlatego przezważyliśmy go Santicló - przez skojarzenie z przysadzistym, wesołym amerykańskim „świętym”, który przynosi prezenty nawet tym, którzy nie wierzą w Jezusa ani w Trzech Króli.

Niedziela w nocy, 10 lipca (mama przysłała nam latarkę)

Nie ma jeszcze OPA, ale pojawiło się mnóstwo nowych pogłosek. Na początku tego tygodnia wszyscy myśleli, że zjawią się w ciągu kilku dni. Ale teraz mówi się, że zwlekają, bo chcą się upewnić, czy Be-tancourt przeżyje. Poza tym zastanawiają się, jak przeprowadzić śledztwo.

- Po prostu zamknijcie ich tutaj z nami - mówi Sina. - Damy im ogląd sytuacji.

- Tak - dodaje Dinorah - wy, dziewczęta, dacie ogląd, a potem reszta z nas da im co innego.

Wszystkie wybuchamy śmiechem. Rozmawiamy o tym otwarciu. Ja nie mogę powiedzieć, że specjalnie mi tego brakuje, ale niektóre dziewczęta mogłyby krzyknąć z tęsknoty za mężczyzną. Dodam, że mówią tak nie tylko wątpliwe „damy”. Najbardziej zaskoczyła mnie Minerva.

Dziewczęta potrafią być takie wulgarne. Boże drogi, przez sześć miesięcy usłyszałam tyle rzeczy, o których nie wiedziałam przez dwadzieścia cztery lata. Na przykład dziewczęta opracowały rozwinięty system odczytywania znaków ciała, które wyjawiają, do jakiego typu mężczyzny się pasuje. Jeśli, przyjmijmy, kobieta ma gruby i krótki kciuk, będzie się skłaniać w stronę mężczyzn o podobnych cechach czego innego.

Ja mam akurat krótki, ale smukły kciuk i to oznacza, że naprawdę pasuję do niskiego, szczupłego mężczyzny z „przeciętnym” wyposażeniem. Uff!

Wiem, że niektóre dziewczęta sypiają razem. To jedyna rzecz, na którą nie pozwala Santicló. Mówi, że to po prostu nie jest właściwe. Jeśli kobieta była z kobietą, jest stracona dla mężczyzny.

Ja sama przeżyłam bliskie spotkanie, które okazało się właściwe. Z Magdaleną, w noc po naszej rozmowie.

(Właśnie przeszła obok Valentina swoim podstępym krokiem. Lepiej teraz skończę i nie będę drugi raz kusić losu. Ciąg dalszy nastąpi).

Poniedziałek popołudniu, 11 lipca, czas ciszy

Wspomniałam o bliskim spotkaniu z Magdaleną. Oto co się stało. Pewnej nocy odwiedziła moją koję. Zaczęłyśmy mówić o sobie i w końcu opowiedziała mi całą historię swojego życia. Coś we mnie pękło. Przez ostatnie miesiące myślałam, że nikt nie cierpi tak jak ja.

Cóż, byłam w błędzie. Opowieść Magdaleny uzmysłowiła mi lepiej niż wszystkie wykłady Minery o klasach społecznych, jak bardzo jestem uprzywilejowana.

Kiedy Magdalena miała trzynaście lat, umarła jej matka i dziewczyna nie miała dokąd pójść, więc podjęła się pracy jako pokojówka u bogatej, ważnej rodziny (u państwa de la Torres, prawdziwych snobów). Noc w noc była wykorzystywana przez młodego pana domu. Mówi, że nigdy nie zgłosiła tego pani, ponieważ myślała, że to część jej pracy. Kiedy zaszła w ciążę, poszła jednak do doñi, która nazwała ją niewdzięczną, kłamliwą dziwką i wyrzuciła na ulicę.

Magdalena urodziła dziewczynkę, Amantinę, i przez lata żyły, ledwie wiążąc koniec z końcem. Magdalena mówi, że śmietnisko koło starego lotniska było ich *bodega**, a domem - opuszczona chata niedaleko pasa startowego.

* *Bodega* (hiszp.) - magazyn, mały sklep spożywczy.

„*Pobrecitas*” - wciąż powtarzałam.

W którymś momencie de la Torres musieli zauważyć piwnooką dziewczynkę z blond główką. Uznali, że jest spokrewniona z ich synem. Przyjechali do domu, gdzie pracowała wówczas Magdalena, i zabrali biedne płaczące dziecko.

Moje oczy wypełniły się łzami. Każda historia o rozdzieleniu matki z córką tak na mnie ostatnio oddziałuje.

To wtedy Magdalena obdarzyła mnie tym naprawdę poważnym spojrzeniem - jakby była mi wdzięczna za zrozumienie. Ale później wdzięczność zamieniła się w coś innego. Zbliżyła się, jakby chcąc mi powierzyć sekret, i musnęła moje usta swoimi. Odsunęłam się, zaskoczona.

- *Ay, Magdaleno* - powiedziałam - nie jestem t e j o r i e n t a c j i ,
wiesz.

Zaśmiała się.

- Dziewczyno, nie wiem, co masz na myśli, mówiąc t a
o r i e n t a c j a , jakby to było jakieś zboczenie z kursu. Moje ciało
najwyraźniej kocha ludzi, których kocha też moje serce.

Ujęła to tak, że wydało się sensowne.

Wciąż jednak czułam się bardzo nieswojo na wąskiej koi. Jej kolano dotykało mojego i chociaż chciałam, by to nic nie znaczyło, wiedziałam, że jest przeciwnie. Pragnęłam, by odeszła, ale nie potrafiłam zranić jej uczuć. Dzięki Bogu zrozumiała aluzję i kontynuowała swoją historię.

(Minął czas ciszy. Minerva wydziera się na nas, żebyśmy przyszły wykonać ćwiczenia. Skończę tę opowieść dziś w nocy).

Później

Dalszy ciąg historii jest taki, że Magdalena próbowała odzyskać Amantinę. Pewnej nocy zakradła się do domu państwa de la Torres i wspięła się po tych samych schodach z tyłu domu, którymi kiedyś schodził młody mężczyzna. Dotarła do korytarza na górze, gdzie przyłapała ją doña wychodząca z sypialni w koszuli nocnej. Magdalena zażądała swojego dziecka i wyjęła nóż na dowód, że mówi poważnie.

Zamiast wzburzenia poczułam radość.

- Udało ci się?

- A myślisz, że co tutaj robię? - odpowiedziała. - Dostałam dwadzieścia lat za usiłowanie zabójstwa. Kiedy wyjdę, moja córeczka będzie w tym samym wieku, w którym byłam ja, gdy tu trafiłam.

Wtedy Magdalena zaczęła płakać, jakby łzy same wytrysnęły z jej złamanego serca.

Nawet nie pomyślałam o tym, że wcześniej mnie pocałowała. Po prostu wyciągnęłam ramiona i przytuliłam ją, jak to zawsze robiła mama.

Sobota popołudniu, 23 lipca

Leandro w końcu jest tu z nami! El Rayo mówi, że umieszczono go w pawilonie B z Manolem, Pedritem i resztą komitetu centralnego.

Poza tym została wydana nedorzeczna książka *Spisek ujawniony!*. Nikt z nas jeszcze jej nie widział, ale słyszeliśmy, że jest to album z

naszymi fotografiami i opisem tego, jak zaczął się ruch. Nic, czego nie można było już od miesiący przeczytać w gazetach.

Mam nadzieję, że ci, którzy nie umieli trzymać języka za zębami, wstydzą się za siebie.

Środa wieczór, 3 sierpnia
Mamy dziś prawdziwego kurczaka z ryżem!

Minerva i Sina przedstawiły mi dziś strategię, jako że rano wreszcie ogłoszono tę wiadomość. Jesteśmy już pewni - na tyle, na ile to tutaj możliwe - że Komisja Pokojowa OPA przyjeżdża w ten piątek.

Przesłuchiwany będzie tylko jeden więzień z każdego pawilonu.

Naczelnicy strażnicy dostali możliwość wyboru. I wybrali mnie.

Zdaniem Minervy zrobili tak, bo nie spodziewają się po mnie, że będę narzekać.

- A musisz - powiedziała - musisz, Mate.

- Przecież oni niczego nie zrobili - zaprotestowałam. - Też są ofiarami, sama tak mówisz.

- Ale ofiarami, które mogą wyrządzić dużo szkód. I to nie jest kwestia osobista - dodała. - To zasada.

Nigdy nie byłam dobra w rozumieniu tej tak podstawowej dla mojej siostry różnicy. Wydaje się, że wszystko, co dla mnie jest osobiste, dla niej jest zasadą.

Słyszeliśmy, że przesłuchania nie będą nadzorowane, ale to o niczym tutaj nie świadczy. W sali zostaną rozmieszczone sekretne mikrofony, nie ma co do tego wątpliwości. Otwarta krytyka byłaby samobójstwem. Minerva i Sina przygotowały więc oświadczenie, które podpisali członkowie Ruchu 14 Czerwca.

Teraz ja muszę je jakoś przekazać komisji.

- Jest jeszcze coś - powiedziała Minerva, patrząc w dół na swoje dłonie. - Potrzebujemy kogoś do napisania osobistego oświadczenia.

- Może opowiemy, co przeszła Sina? - zaproponowałam. - Niech ona coś napisze.

- To nie to samo. Proszę, Mate. Nawet nie musisz tego zapisy-

wać. Możemy po prostu wydrzeć strony z twojego dziennika i dołączyć je do naszego oświadczenia.

- Są inne czynniki - odparłam. - Co z Santicló? Jeśli powiążą oświadczenie ze mną, zostanie rozstrzelany.

Minerva chwyciła mnie za ramiona.

- Rewolucja nie zawsze jest ładna, Mate. Patrz, co zrobili Leandrowi, Manolowi, co zrobili Florentinowi, Papilinowi, tobie samej, na litość boską. To się nie skończy, chyba że my to skończymy. Poza tym to tylko plotki, że *guardias* są rozstrzeliwani.

- Zobaczę - odpowiedziałam w końcu. - Zobaczę.

- *Ay*, Mate, obiecaj mi - mówiła, patrząc mi w oczy. - Proszę, obiecaj.

Obiecałam jej więc tyle, ile mogłam jej obiecać:

- Przysięgam ci, że będę wierna temu, co uważam za właściwe.

Minerva nigdy nie słyszała ode mnie takich słów.

- W porządku - przytaknęła. - W porządku.

Sobota, 6 sierpnia

Minerva tuzin razy pytała mnie, co się tam działo. Tuzin razy opowiedziałam jej i pozostałym całą historię. A raczej starałam się nadażyć za ich pytaniami.

Ilu było członków komisji? (W sumie siedmiu, chociaż dwóch sprawiało wrażenie, jakby pełniło tam tylko funkcję tłumaczy). Gdzie odbyło się przesłuchanie? (W sali dla odwiedzających - to dlatego w czwartek odwołano wizyty. Władze oszczędziły sobie trudu zapluskwienia następnego miejsca). Jak długo trwała sesja? (Dziesięć minut - mimo że czekałam dwie godziny na zewnątrz z bardzo zdenerwowanym Santicló). W końcu najważniejsze. Czy miałam okazję przekazać wiadomości członkom komisji?

Tak, miałam. Kiedy odchodziłam, zbliżył się do mnie poważny młody człowiek, żeby wyrazić podziękowania i odprowadzić mnie do drzwi. Bardzo ładnie i elegancko mówił po hiszpańsku. Prawdopodobnie Wenezuelczyk albo Paragwajczyk. Po sposobie, w jaki mi się

przyglądał, poznałam, że chce się czegoś dopatrzeć. Szukał blizn czy bladej skóry - czegokolwiek. Wydałam więzieniu La Victoria dobrą opinię i powiedziałam, że byłam traktowana bez zarzutu. Co zapewne powiedzieli im też wszyscy pozostali.

Odwracał się już, gdy poluzowałam warkocz i pozwoliłam pierwszemu zwiniętemu liścikowi spaść na podłogę. Kiedy go zobaczył, wydał się zaskoczony. Najpierw chciał go podnieść, ale potem najwidoczniej zmienił zdanie i kopnął zwitek pod stół. Spojrzał na mnie znacząco. Odpowiedziałam subtelnym skinieniem głowy.

Santicló czekał na mnie tuż przed drzwiami. Z jego rozemocjonowanej, okrągłej twarzy można było wyczytać, że naprawdę się boi. Odprowadzając mnie korytarzem, dopytywał, jak poszło.

- Nie martw się - odpowiedziałam i uśmiechnęłam się do niego.

Tak naprawdę wplotłam oba liściki w warkocz właśnie za pomocą niebieskiej wstążki od Santicló. Rozluźniłam ją jedynie na tyle, żeby na podłogę spadła tylko pierwsza wiadomość, z oświadczeniem, które sporządziły Sina i Minerva. Sygnowaliśmy je jako Ruch 14 Czerwca, więc nie może być przypisane do żadnej konkretnej celi. Co mieliby zrobić, rozstrzelać w s z y s t k i c h więziennych strażników?

Drugi liścik, ten z moją historią, wsunęłam wyżej. Nie wiem, może to widok wstążki, którą dał mi Santicló, kiedy byłam taka nieszczęśliwa, sprawił, że nagle zdecydowałam nie upuszczać drugiej wiadomości. Po prostu nie mogłam ryzykować, że wyrządzą krzywdę przyjacielowi.

Jeśli chodzi o Minervę, dotrzymałam złożonej jej obietnicy. Zrobiłam to, co uważałam za właściwe. Ale myślę, że poczekam na jakiś lepszy moment, by powiedzieć jej, co to dokładnie było.

*Niedziela po południu, 7 sierpnia -
wyprawiamy później mak przyjęcie*

Powiedziano nam, żebyśmy przygotowały się na jutrzejsze zwolnienie!

Nie zaproponowano tego jednak żadnemu mężczyźnie, a jedynie kobietom. Minerva uważa, że cała ta galanteria jest po to, by zrobić wrażenie na OPA.

Bardzo się obawiałam, że znów uniesie się honorem. Tym razem jednak przyjęła propozycję, ponieważ to nie ułaskawienie, tylko zwolnienie.

Myślę, że Minerva jest bliska granicy swojej wytrzymałości. Śmiesznie się zachowuje. Czasem ni stąd, ni zowąd odwraca się do mnie i mówi: „Co?”, jakbym ją o coś spytała. Czasem dotyka dłonią swojej klatki piersiowej, jakby upewniała się, że jej serce wciąż bije. Cieszę się, że niedługo nas tu nie będzie.

Boli tylko myśl o tych, których tu zostawiam.

Za każdym razem, kiedy patrzę na Magdalenę, muszę odwrócić wzrok.

Mówię jej, że tak dużo się od niej nauczyłam. Mówię, że to było najbardziej znaczące doświadczenie w moim życiu.

Rozplączę się, jeszcze zanim zacnie się przyjęcie.

Późno w nocy

Światło księżycy wsącza się przez nasze małe okno. Nie mogę zasnąć. Siedzę na swojej koi, ścibię ostatni wpis, starając się zmieścić na małej powierzchni, jeszcze niezapisanej, i łkam po cichu, w sposób, którego człowiek uczy się w więzieniu, nie chcąc pogłębiać cudzej rozpacz.

Smutno mi, że odchodzę. Tak, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, to miejsce stało się moim domem, te dziewczęta są jak moje siostry. Nie mogę sobie wyobrazić samotnej prywatności, gdy przyjdzie mi mieszkać bez nich.

Mówię sobie, że więź przetrwa. Nie znika dlatego, że ty znikasz. I zaczynam rozumieć rewolucję w nowy sposób.

Na naszym „przyjęciu pożegnalnym”, podejmując ryzyko, że Dinorah na mnie doniesie, poprosiłam wszystkie dziewczęta, żeby podpisały się w moim notesie, jak w zeszytce na autografy.

Niektóre z nich nauczyłam zapisywać swoje imię, więc będzie to dla mnie prawdziwą pamiątką naszych wspólnych chwil.

Jeśli chodzi o sam notes - wyniesie go Santicló. Przy wyjściu będziemy dokładnie sprawdzane, jestem tego pewna.

Potem, siedząc w kółku, przekazywałyśmy sobie nasz mały zapas kostek cukru, krakersów i orzeszków ziemnych. Miałam odłożonych parę tabliczek czekolady, które teraz połamalam na małe kawałki. Nawet Dinorah wyciągnęła ze swoich zapasów trochę pasty z gujawy. Później popatrzyłyśmy na siebie i pojawiło się między nami takie smutne, płynące z głębi serca uczucie - więc tylko kolejno się obejmowałyśmy, życzyłyśmy sobie nawzajem wszystkiego dobrego i mówiłyśmy krótko: „Do widzenia”.

Do Komisji OPA zajmującej się łamaniem praw człowieka

Jest to wpis z dziennika dotyczący tego, co przydarzyło się w La 40 w poniedziałek 11 kwietnia 1960 roku, mnie, więźniarce politycznej. Nie chciałabym ujawniać swojego imienia. Ponadto zamazałam niektóre imiona, ponieważ obawiam się, że mogłoby to przysporzyć kłopotów niewinnym ludziom.

Proszę nie umieszczać tego wpisu w gazetach - zależy mi na zachowaniu swojej prywatności.

Kiedy przyszli po mnie tego ranka, myślałam, że zabierają mnie do pokoju oficerów na przesłuchanie.

Zamiast tego jednak Krwawy Juan poprowadził mnie schodami na dół i potem na zewnątrz. Czekał tam wóz. Już po minucie zorientowałam się, dokąd jedziemy.

Wciąż patrzyłam przez okno w nadziei, że ktoś mnie zobaczy i rozpozna, a potem powie mojej rodzinie, że widział, jak przewożono mnie wozem policyjnym do La 40. Jakie to dziwne, że słońce świeciło tak niewinnie. Ludzie przechodzili obok, jakby nie istniały na świecie biedne dusze w położeniu takim jak moje.

Chciałam, żeby mi wyjaśnili, dlaczego mnie zabrali. Ale Krwawy

Juan nie jest z tych, którzy coś wyjaśniają.

Kiedy dotarliśmy do La 40, trzęsłam się tak bardzo, że nie mogłam wysiąść z wozu. Wstyd mi było, że musieli mnie wnieść do środka jak worek ziemniaków.

Kilku z nich czekało już w pokoju przesłuchań. Wysoki, tłusty Johnny z wąsem jak u Hitlera. Inny, zwany Candido, z kręconymi włosami. I jeszcze jeden, o wylupiastych oczach, który cały czas strzelał kłykciami, co miało przypominać dźwięk łamanych kości.

Rozebrali mnie do halki i biustonosza i zmusili do położenia się na długim metalowym stole, ale nie zapięli pasów zwisających po obu stronach. Nigdy nie byłam bardziej przerażona. Kłatkę piersiową miałam tak ściśniętą, że ledwie mogłam oddychać.

- Hej, ładna damo, nie gorączkuj się tak - powiedział Johnny.

- Nie skrzywdzimy cię - dodał ten, którego nazywali Candido.

To sprawiło, że trzęsłam się jeszcze bardziej.

Kiedy otworzyły się drzwi i wprowadzono [REDAKTOWANO], nie poznałam go od razu. Chodzący szkielet, oto jak wyglądał, bez koszuli, z plecami pokrytymi pęcherzami wielkości dziesięciocentówek.

Poderwałam się, ale Krwawy Juan pchnął mnie z powrotem na stół.

- Leż ładnie, jakbyś czekała na niego w łóżku - powiedział Wylupiaste Oko. A potem dorzucił grubiański komentarz na temat tego, co robią tortury z niezbędnym organem.

Johnny kazał mu się zamknąć.

- Czego od niej chcecie? - krzyknął [REDAKTOWANO]. W jego głosie usłyszałam strach.

- Chcemy, żeby pomogła nam cię przekonać - odparł Johnny tonem zbyt spokojnym i racjonalnym jak na to przejmujące grozą miejsce.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego! - wykrzyknął [REDAKTOWANO].

- Czyżbyś chciał powiedzieć, że zmieniłeś zdanie? - spytał Johnny.

Ale [REDAKTOWANO] się nie ugiął.

- Nie będę rozmawiał na ten temat, dopóki jej nie uwolnicie.

Wtedy Wyłupiaste Oko uderzył go pięścią, powalając na ziemię. Jak to bydlę śmie dyktować warunki kapitanowi! Potem wszyscy przyłączyli się do kopania, a '██████████' wił się w męczarniach na podłodze.

Krzyczałam, żeby przestali. Czułam się tak, jakby to mój brzuch kopano, i wtedy pojawiły się bóle, silne jak skurcze.

Johnny spytał, czy nie mogłabym przekonać ██████████. Ostatecznie, ██████████, ██████████, ██████████, ██████████ i ██████████ zmienił zdanie.

Tak bardzo kusilo mnie, żeby powiedzieć: „Ay, uratuj siebie, uratuj nas”. Ale nie mogłam. Czułam, że to wtedy naprawdę daliśmy się zabić.

Powiedziałam więc potworom, że nigdy nie poprosiłabym ██████████, by postąpił inaczej, niż nakazuje mu sumienie.

- Jedno warte drugiego - skwitował ten nazywany Candido. - Będziemy musieli użyć silniejszych argumentów.

- Na to wygląda - zgodził się Johnny. - Zwiążcie ją.

Wyłupiaste Oko stanął nade mną, trzymając w dłoni pręt z małym przełącznikiem. Dotknął nim mojego ciała, które podskoczyło w niewysłowionym bólu. Poczułam, jak mój duch uwalnia się, unosi nad ciałem i spogląda w dół na rozgrywającą się scenę. Chciałam już odpłynąć w aurze blasku, kiedy ██████████ wykrzyknął:

- Zrobię to, zrobię to!

I zstąpiłam, zassana na powrót do ciała, jak powietrze do otworu wentylacyjnego.

Pamiętam jeszcze, że gdy go wywlekali, wołał moje imię i krzyczał: „Powiedz im, że musiałem to zrobić!”

Johnny wydawał się zde gustowany całym tym zamieszaniem.

- Zabierzcie go stąd - powiedział. Po czym zwrócił się do Krwawego Juana: - Ubierz ją i zawieź z powrotem.

Zostałam sama w tym pokoju z garstką strażników. W ich oczach widziałam wstyd, unikali mojego spojrzenia, milczeli, jakby Johnny wciąż tam był. Potem Krwawy Juan zebrał moje ubrania, ale nie

pozwoiliam mu sobie pomoc. Wlozylam je i poszlam w strone wozu o
wlasnych silach.

Minerva

sierpień-25 listopada 1960

Areszt domowy
Sierpień i wrzesień

Całe swoje życie próbowałam wyrwać się z domu. Papa zawsze narzekał, że spośród jego czterech córek ja powinnam była urodzić się chłopcem, powołanym do samodzielności. Najpierw chciałam pójść do szkoły z internatem, potem na uniwersytet. Kiedy Manolo i ja zawiązaliśmy ruch oporu, jeździłam tam i z powrotem między Monte Cristi i Salcedo, łącząc poszczególne komórki w sieć konspiracji. Nie potrafiłabym poddać swojego życia jakimkolwiek ograniczeniom.

Kiedy więc w sierpniu zostałyśmy uwolnione i osadzone w areszcie domowym, można było pomyśleć, że nie ma dla mnie gorszej kary. Ale szczerze powiedziawszy, czułam się tak, jakbym dostała wyrok podany na srebrnej tacy. Niczego nie pragnęłam wtedy bardziej niż domowego zacisza, gdzie mogłabym przebywać z mamą i siostrami, wychowując nasze dzieci.

Przez kilka pierwszych tygodni musiałam się przyzwyczajać do nowej sytuacji.

Po siedmiu miesiącach pobytu w więzieniu, w tym w znacznej części w izolatce, przeciążenie było zbyt wielkie. Dzwonił telefon, gość wpadał z wizytą (za pozwoleniem Peñi, oczywiście), sam Peña przychodził, żeby mieć oko na gościa, pojawiał się don Bernardo z

gujawami ze swojego drzewa, ktoś wchodził do pokoju, a potem z niego wychodził, dzieci chciały, żeby zawiązać im sznurówki, znów dzwonił telefon, a w ogóle co zrobić ze zsiadłym mlekiem?

W samym środku dnia, gdy powinnam być na zewnątrz, wygrzewając się na słońcu i wdychając zdrowe wiejskie powietrze w swoje zainfekowane płuca, szukałam spokoju w sypialni, wyslizgiwałam się z sukienki i leżałam pod prześcieradłami, patrząc przez ledwo odsłonięte żaluzje, jak słońce cętkuje liście.

Ale kiedy tam leżałam, to samo przeciążenie atakowało moją głowę. W tych dniach okruchy przeszłości wynurzały się z wodnistej zupy moich myśli - Lío tłumaczący, jak uderzyć piłkę do siatkówki, żeby poszybowała łukiem, deszcz padający w drodze na pogrzeb papy, moja ręka spadająca na twarz Trujillo, lekarz pompujący pierwszy oddech w moją nowo narodzoną córeczkę.

Zrywałam się i siadałam na łóżku, nie mogąc uwierzyć, że pozwalam sobie na coś takiego. W więzieniu byłam o wiele twardsza i odważniejsza. Teraz, w domu, zupełnie się rozkleiłam.

„Albo - myślałam, kładąc się z powrotem - jestem gotowa na nowe życie i tak się ono zaczyna”.

Stopniowo nabierałam sił i zaczęłam brać udział w życiu domowym.

Nikt z nas nie miał żadnych pieniędzy, a kurczący się dochód z farmy był rozwałkowany tak cienko, że ledwo pokrywał potrzeby pięciu rodzin. Otworzyliśmy więc wyspecjalizowany interes - szycie dziecięcych ubranek do chrztu. Robiłam proste ścięgi i obwódki.

Moje płuca się oczyściły. Wrócił mi apetyt i zaczęłam odzyskiwać wagę straconą w więzieniu. Mogłam znowu nosić swoje stare ubrania, które doña Ferita przywiozła z Monte Cristi.

Największym cudem były oczywiście moje dzieci. Podbiegłam do nich, obsypując je pocałunkami.

- *Mami!*- piszczały.

Jak cudownie było znowu być nazywaną matką, czuć ich rączki wokół swojej szyi, ich zdrowe, słodkie oddechy na twarzy.

A fasole pinto - czy zawsze były takie kolorowe? „Czekaj, czekaj!” - krzyknęłam do Feli, zanim zanurzyła je w wodzie. Zaczerpnęłam garść, tylko po to, by usłyszeć delikatny grzechot, kiedy wpadały z powrotem do garnka. Wszystkiego musiałam dotknąć. Wszystkiego musiałam posmakować. Chciałam, żeby wszystko znów wróciło do mojego życia.

Czasem jednak wystarczył snop światła, bym znowu tam była. Światła, które właśnie w taki sposób o tej porze dnia padało na podłogę pod moją górną koją.

A innym razem Minou uchwyciła kawałek jakiejś rury i stukła nią o poręcz galeria. Ten dźwięk natychmiast obudził w mojej pamięci wspomnienie strażników więziennych uderzających prętami w kraty. Wybiegłam na zewnątrz i wyrwałam rurę z jej dłoni, krzycząc: „Nie!”. Moja biedna córeczka wybuchła płaczem, przerażona tą gwałtownością.

Ale i te wspomnienia zaczęły blaknąć. Stały się historiami. Każdy chciał je usłyszeć. Mate i ja zapewnialiśmy domownikom rozrywkę na całe godziny, opowiadając nowe lub te same okropności, aż wyszło z nich żądło.

Miałyśmy pozwolenie na dwa wyjścia w tygodniu: w czwartki jeździłyśmy do La Victorii, żeby odwiedzić mężczyzn, w niedziele chodziliśmy do kościoła. Ale mimo tego, że mogłam podróżować, bałam się wychodzić z domu. W chwili, gdy skręcaliśmy na drogę, serce zaczynało mi walić, a oddech stawał się płytki.

Otwarte przestrzenie były dla mnie udręką, podobnie jak przebywanie w tłumie. Czułam się zagubiona pośród ludzi napierających na mnie ze wszystkich stron, pragnących mnie dotknąć, pozdrowić, życzyć mi wszystkiego dobrego. Nawet w kościele, w intymnej chwili przyjmowania komunii świętej, ojciec Gabriel nachylił się i wyszeptał: „*Viva la Mariposa!*”.

Miesiące spędzone w więzieniu wyniosły mnie do statusu nadczłowieka. Nie byłoby na miejscu, gdyby osoba, która zmierzyła się z

samym dyktatorem, uległa nagle atakowi nerwowemu w kolejce do komunii.

Ukrywałam swoje lęki i obdarzałam wszystkich pogodnym uśmiechem. Gdyby tylko wiedzieli, jak krucha była ich bohaterka o żelaznej woli. Ile ją kosztowało wystawianie tego najtrudniejszego ze spektakli - bycie znowu dawną sobą.

Moje najlepsze przedstawienia były zarezerwowane na wizyty Peñi. Przychodził często, żeby nadzorować nasz areszt domowy. Dzieci tak przywykły do tej żabiej twarzy i zachłannych rąk, że zaczęły nazywać go rio Porucznikiem i prosić, by pozwolił im potrzymać pistolet albo by pobawił się z nimi w patataj.

Ja natomiast nie mogłam do niego przywyknąć. Za każdym razem, gdy duży biały mercedes skręcał na naszą wąską drogę podjazdową, biegłam do swojej sypialni i zamykałam drzwi, żeby dać sobie czas na przywdzianie maski dawnej siebie.

Zaraz jednak kogoś po mnie posyłano. „To Peña. Musisz przyjść!” Nawet mama, która do niedawna nie chciała go podejmować, teraz przypochebiała mu się przy okazji każdych odwiedzin. Ostatecznie przyczynił się do powrotu jej dzieci.

Pewnego popołudnia byłam na dworze i przycinałam wawrzyn we frontowym ogrodzie. Manolito mi „pomagał”. Znacząc miejsce pracy bezlikiem drzazg, uporał się w końcu z gałęziami, a ja podniosłam go, żeby ściągnął je z górnych partii krzewu. Ze swojego stanowiska na moich barkach zdawał relację ze wszystkiego, co widział na drodze.

- Samochód *tio!* - wykrzyknął. I rzeczywiście, przez dziurę w płocie wpadł snop białego światła. Skierowałam się prosto do wiaty, żeby przyjąć Peñę.

- Cóż za niespotykana okazja, doña Minerva. Gdy byłam tu ostatnich kilka razy, nie czuła się pani dobrze.

Innymi słowy: twoja arogancja nie uszła mojej uwadze. Wszystko jest odnotowane w dokumentach.

- Musi czuć się pani lepiej - dodał. To było stwierdzenie, nie

pytanie.

- Widziałem twój samochód, widziałem twój samochód - śpiewał Manolito.

- Manolito, mój chłopcze, masz oczy wokół głowy. Przydaliby nam się mężczyźni tacy jak ty w WSW.

„O mój Boże” - pomyślałam.

- Miło was tu wszystkie widzieć, drogie panie - oznajmił Peña, kiedy Mate i Patria dołączyły do nas na patio. Dedé pojawiła się z sekatorem, żeby popracować przy płocie i mieć oko na „sprawy”. Jeśli nie spodobał jej się mój ton, podcinała koronę cierniową gwałtownie, rozpylając w powietrzu mgiełkę z liści i czerwonych płatków.

Po raz nie wiadomo który Peña przypomniał nam, ile miałyśmy szczęścia. Nasz pięcioletni wyrok został złagodzony do aresztu domowego. Zamiast więziennych rygorów miałyśmy tylko kilka zasad do przestrzegania (nazywałyśmy je przykazaniami Peñi). Powtarzał je za każdym razem, gdy przyjeżdżał: żadnych wyjazdów, żadnych gości, żadnego kontaktu z wywrotowcami. Wszelkie odstępstwa tylko za jego zgodą. Jasne?

Przytaknęłyśmy. Kusiło mnie, żeby wynieść miotłę i postawić ją przy drzwiach, jak to jest w zwyczaju na wsi, gdy chce się komuś dać do zrozumienia, że już czas iść do domu.

Peña tłustym palcem topił w wodzie kostki lodu, które zaraz z powrotem wyskakiwały na powierzchnię. Dziś przyjechał nie tylko po to, żeby wyrecytować zasady.

El Jefe od dłuższego czasu nie złożył wizyty w naszej prowincji - zaczął.

„Oczywiście, że nie” - pomyślałam. Większość rodzin w Salcedo ma przynajmniej jednego syna, córkę czy męża w więzieniu.

- Próbujemy nakłonić go do przyjazdu. Wszyscy lojalni obywatele piszą listy.

Ciach, ciach - słychać było sekator Dedé, którego odgłos miał zagłuszyć wszystko, co mogłabym pomyśleć.

- El Jefe był dla pań bardzo wspaniałomyślny. Byłoby ładnie, gdyby napisały panie list z podziękowaniami za jego wyrozumiałość.

Spojrzał na mnie, potem na Mate, a na koniec zawiesił wzrok na Patrii. Nasze twarze nie zdradzały żadnych emocji. Biedna, zdenerwowana Dedé, która zbliżyła się do nas chyłkiem, podlewając kolejny raz wszystkie rośliny, powiedziała, że oczywiście, tak byłoby dyplomatycznie.

- Chciałam powiedzieć: sympatycznie - poprawiła się szybko, a Patria, Mate i ja pochyliłyśmy głowy, żeby ukryć uśmiechy.

Po odjeździe Peñi wywiązała się kłótnia. Moje siostry chciały to zrobić, napisać ten cholerny list. Ale ja byłam przeciwna. Dziękować Trujillo za karanie nas!

- Jaką szkodę może przynieść mały liścik? - spierała się Mate. Nie było mi już tak łatwo do czegokolwiek ją namówić.

- Jesteśmy dla ludzi przykładem, ciąży na nas odpowiedzialność! - przemówiłam tak groźnie, że trochę się zmieszały. Moje dawne „ja” dawało niezły pokaz.

- Ależ, Minervo - przekonywała Patria - wiesz, że nawet jeśli opublikują te dyrdymały w gazetach, wszyscy będą wiedzieli, dlaczego je napisałyśmy.

- Po prostu zgódź się z nami ten jeden raz - prosiła Mate.

Przypomniało mi to wydarzenie w Inmaculada, kiedy nie chciałam występować dla Trujillo z przyjaciółkami. W końcu uległam i omal nie pożegnałyśmy się z życiem po tym, jak Sinita usiłowała dokonać zamachu stanu, celując do prezydenta z łuku.

Ostatecznie Patria przekonała mnie argumentem, że list może pomóc w uwolnieniu mężczyzn. Wyrazy wdzięczności od sióstr Mirabal mogą sprawić, że w swoim sercu El Jefe zmieni nastawienie do ich mężów.

- W sercu? - powtórzyłam, robiąc zdziwioną minę. Po czym, zabierając się do naszego zadania, dałam jasno do zrozumienia: - Robię to wbrew swoim zasadom.

- Ktoś musi mieć mniej zasad, a więcej rozsądku - powiedziała półgłosem Dedé, ale jej ton nie był prowokacyjny. Myślę, że ulżyło jej, gdy znów zobaczyła cień dawnej Minery.

Kiedy skończyłyśmy, poczułam się podle.

- Musimy coś z tym zrobić - mruczałam wciąż pod nosem.

- Uspokój się, Minervę Patrz - powiedziała Dedé, zdejmując z półki książkę Gandhiego. Elsa dała mi ją, kiedy wyszłam z więzienia, żebym zrozumiała, jak łagodność i pasywność mogą być rewolucyjne. Dedé zgadzała się całym sercem.

Gandhi nie nadawał się na dzisiejsze czasy. Potrzebowałam raczej próbki płomiennej retoryki Fidela. On by się ze mną zgodził.

Musimy coś zrobić, i to szybko!

- Jedyne, co musimy zrobić, to przyjąć ten krzyż - powiedziała Patria.

- Do diabła z nim! - wykrzyknęłam. Dostałam ataku szału.

Trwało to tylko ten jeden dzień.

Byliśmy już w łóżkach, kiedy usłyszałam, jak rozmawiają głośno na werandzie. Byli wszędzie - ich ciemne okulary, wyprasowane spodnie, wypomadowane włosy. Dopóki nie nastąpiła noc, stali na drodze, później zbliżali się do domu jak ćmy, które ciągnie do światła.

Zazwyczaj przykrywałam głowę poduszką i po chwili zasypiałam. Ale tej nocy nie potrafiłam ich zignorować. Wstałam z łóżka, nie kłopotując się nawet, żeby zarzucić szal na koszulę nocną.

Dedé zatrzymała mnie przy drzwiach. Próbowwała mnie odciągnąć, ale mimo że wciąż byłam słaba, łatwo odepchnęłam ją na bok. Dedé była wciąż tą samą Dedé, która zawsze walczyła bez przekonania.

Dwóch agentów WSW rozsiadło się wygodnie w naszych fotelach.

- *Compañeros!* - Stałam w sięgającej kolan koszuli przed zaskoczonymi rewolucyjnym powitaniem strażnikami. - Muszę was poprosić o zniesienie głosów. Znajdujecie się tuż pod oknami naszych sypialni. Pamiętajcie, że jesteście tu strażnikami, nie gośćmi.

Żaden z nich nie powiedział słowa.

- Zatem, jeśli się ze mną zgadzacie, dobranoć, *compañeros*.

Skierowałam się w stronę drzwi, kiedy jeden z nich wykrzyknął: „*Viva Trujillo!*”, co było „patriotycznym” powitaniem i pożegnaniem dnia. Ale ja nie miałam zamiaru przywoływać imienia diabła na swoim własnym podwórzu.

Po krótkiej pauzie, nie doczekawszy się mojego odzewu, Dedé zawołała z głębi domu:

- *Viva Trujillo!*

- *Viva Trujillo!* - podchwyciła Mate.

A potem kilka innych głosów przyłączyło się ze swoimi dobrymi życzeniami dla naszego dyktatora, aż to, co było wystraszoną uległością, stało się, przez przesadne powtarzanie, żartem.

Czułam jednak, że mężczyźni czekają konkretnie na moje wyznaczenie lojalności.

- *Viva...* - zaczęłam i czując wstyd, nabrałam powietrza w płuca i wypowiedziałam zniechęcone imię.

Na wypadek gdybym znów wpadła w szal, mama skonfiskowała stare radio. „O wszystkim, o czym powinniśmy wiedzieć, dowiemy się w odpowiednim momencie!” I miała rację. Czasem małych okrucich informacji dostarczali nam ludzie, po których najmniej byśmy się tego spodziewali.

Choćby moja dawna przyjaciółka Elsa. Wyszła za mąż za dziennikarza Roberta Suáreza, który został przydzielony do Pałacu Narodowego i chociaż był krytyczny wobec reżimu, pisał obszernie, kwieciste artykuły, jakich od niego wymagano. Pewnej nocy, jeszcze w dawnych czasach, rozbawił do łez Manolę i mnie, a nawet Elbę, opowieściami o swoich dziennikarskich wybrykach. Kiedyś trzymano go w więzieniu przez trzy dni za opublikowanie zdjęcia Trujillo, na którym widać jego gołą nogę między nogawką spodni a skarpetką. Innym razem do artykułu Roberta wdarł się chochlik drukarski, którego nie wychwycił - jego artykuł powiadał, że senator Smathers wygłosił przed członkami Kongresu Stanów Zjednoczonych

„mowę pogrzebową” - zamiast „mowy pochwalnej” - na cześć Trujillo. Roberta wtrącono wtedy do więzienia na miesiąc.

Byłam pewna, że Suárezowie dołączą do naszego ruchu, kiedy więc Leandro przeniósł się do stolicy, by koordynować działania tamtejszych komórek, podałam mu nazwisko Suárezów jako naszych potencjalnych współtowarzyszy. Skontaktowano się z Elsą i Robertem, którzy określili się jako „sympatycy”, odmawiając jednak zaangażowania.

Teraz, w tym trudnym dla mnie okresie, dawna przyjaciółka znalazła się u mojego boku. Od sierpnia, gdy nas uwolniono, Elsa co tydzień przyjeżdżała ze stolicy, żeby odwiedzić swojego sędziwego dziadka w La Vega. Potem zmieniała kierunek na Santiago, pochlebstwami wkradała się w łaski Peñi (była w tym dobra) i dostawała pozwolenie, żeby się ze mną zobaczyć. Wiedząc, że mamy kłopoty finansowe, przywoziła ze sobą torby ze „starymi” ubraniami, które wyglądały na całkiem nowe. Twierdziła, że nie może się w nie zmieścić, odkąd urodziły się jej dzieci i stała się gruba jak bela.

Elsa... zawsze lubiła przesadzać. Na moje oko jej figura była tak samo zgrabna jak kiedyś.

- Ale spójrz na te biodra, proszę, tylko zobacz te nogi! - mówiła.

Pewnego razu spytała mnie:

- Jak ty to robisz, że wciąż jesteś taka szczupła? - Taksowała wzrokiem moją figurę.

- Więzienie - odpowiedziałam beznamiętnie. Więcej już nie wracała do tego tematu.

Elsa i Robert mieli łódź, którą wodowali teraz w każdy weekend. „Żeby łowić ryby” - mówiła Elsa, puszczając do mnie oko. Na morzu łapali audycje Radia Swan z małej wyspy na południe od Kuby, a także Radia Rebelde z Kuby i Radia Rumbos z Wenezueli.

- Tam jest jak w redakcji informacyjnej - powiedziała Elsa, która przy każdej wizycie dostarczała mi najświeższych informacji.

Pewnego dnia Elsa pojawiła się z twarzą zarumienioną z podniecenia. Nie chciała usiąść ani na chwilę, nawet kiedy proponowałam jej pastelitos, które tak lubiła. Miała mi do przekazania wieści wymaga-

jące natychmiastowego spaceru po ogrodzie.

- O co chodzi? - spytałam, ściskając ją za ramię, gdy mijałyśmy rabatki anturiów.

- OPA nałożyła sankcje! Kolumbia, Peru, Ekwador, Boliwia, Wenezuela - wylizowała na palcach - a nawet gringos. Wszyscy zerwali stosunki dyplomatyczne!

Ona i Roberto płynęli w niedzielę łodzią i zobaczyli na horyzoncie amerykański statek wojenny.

- Stolica wygląda tak! - Elsa potarła o siebie palce, jakby rozgniatła coś na proszek. - Roberto mówi, że do przyszłego roku...

- Przyszły rok! - Zaniepokoiłam się. - Kto wie, co może się do tego czasu wydarzyć.

Szłyśmy chwilę w ciszy. Z daleka dochodziły krzyki dzieci bawiących się wielką, błyszczącą piłką plażową, którą ciocia Elsa przywiozła im ze stolicy.

- Dedé powtarza mi, że nie powinnam z tobą o tym wszystkim rozmawiać. Ale ja mówię jej: „Dedé, dla Minery to jak powietrze”. Opowiedziałam, jak kiedyś prawie strzeliłaś do Trujillo z łuku zabawki, pamiętasz? Musiałam wkroczyć, udając, że to była część naszego przedstawienia.

Zastanawiałam się, która z nas nagięła przeszłość, żeby pasowała do naszego obecnego życia.

- Ay, Elsa, to nie było tak.

- Cóż, tak czy inaczej, Dedé opowiedziała mi, jak uwolniłaś króliki ojca, bo uważałaś, że to niewłaściwe trzymać je w klatkach.

Tym razem moja wersja historii była taka sama, ale za to kiedy ją usłyszałam, poczułam, że coś po drodze straciłam.

- I spójrz tylko, co ze mnie zostało.

- O czym ty mówisz? Przybrałaś trochę na wadze. Wyglądasz świetnie! - Zlustrowała mnie wzrokiem, kiwając głową z aprobatą. - Minervo, Minervo, jestem z ciebie taka dumna!

Tak bardzo chciałam w tym momencie wypłakać się na ramieniu starej przyjaciółki. Wyznać, że nie jestem już taka sama, jak przed pobytem w więzieniu. Że chcę powrotu swojego dawnego życia.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, złapała mnie za rękę.

- *Viva la Mariposa!* - wyszeptała z uczuciem. Obdarzyłam ją pogodnym, dzielnym uśmiechem, którego i ona ode mnie wymagała.

Byłyśmy tak uskrzydłone dobrymi wiadomościami, że nie mogłyśmy się doczekać czwartku, by przekazać je mężczyznom. W noc poprzedzającą odwiedzin w niemal świątecznych nastrojach nawijałyśmy włosy na wałki, żeby następnego dnia podobać się mężom. Robiłyśmy tak zawsze, niezależnie od tego, jak bardzo czułyśmy się przygnębione. I oni to zauważali.

Faktem było - wszystkie porównałyśmy liściki - że im dłużej nasi mężczyźni przebywali w więzieniu, tym bardziej romantyczni się stawali. Patria twierdziła, że Pedrito, milczek jakich mało, pisał jej listy miłosne i recytował je podczas odwiedzin.

Najbardziej krępowało ją to, że siedząc w tej więziennej sali, otoczona strażnikami, zaczynała wtedy czuć się - jak przyznała - w ten sposób.

Dedé dosiadła się, z niezadowoleniem obserwując nasze przygotowania. Weszło jej w nawyk, że noc przed naszymi odwiedzinami u mężów spędzała u mamy. Mówiła, że i tak musi być u niej następnego dnia wczesnym rankiem, by podczas naszej nieobecności pomóc zająć się wszystkimi dziećmi. Ale tak naprawdę zostawała, żeby odwieść nas od wyjazdu.

- Narażacie się na wypadek, podróżując razem - zaczęła swoje.

Wszystkie wiedziałyśmy, jaki rodzaj wypadku ma na myśli. Zaledwie miesiąc wcześniej Marrero został znaleziony u podnóża klifu. Przypuszczalnie stracił kontrolę nad samochodem.

- Kierowcy Bournigala są niezawodni - zapewniała ją Patria.

- Pomyślcie o tym, że zostawicie tu sieroty, wdowców i matkę w luto do końca życia.

Dedé naprawdę potrafiła dramatyzować.

Nie wiem, czy to przez nerwy, czy z jakiegoś innego powodu, ale wszystkie trzy wybuchłyśmy śmiechem. Dedé wstała i oznajmiła, że

idzie do domu.

- Daj spokój, Dedé - zawołałam, kiedy kierowała się do drzwi - jest godzina policyjna! Bądź rozsądna.

- Rozsądna! - kipiała ze złości. - Jeśli myślisz, że mam zamiar siedzieć spokojnie i patrzeć, jak wszystkie trzy popełniacie samobójstwo, to jesteś w błędzie!

Nie udało jej się przejść przez frontową bramę. Agenci WSW odesłali ją z powrotem. Spała na kanapie i następnego ranka nie rozmawiała z nami przez całe śniadanie. Kiedy chciałyśmy pocałować ją na pożegnanie, odwróciła głowę. Postanowiłam użyć jej własnych leków przeciwko niej.

- Daj spokój, Dedé. Pomyśl, jak będzie ci przykro, jeśli coś nam się stanie, a ty się z nami nie pożegnasz.

Trwała w uporze. Ale w chwili, kiedy kierowca włączył silnik, podbiegła do samochodu, szlochając. Wyrzuciła z siebie to, co pominęła, gdy poprzedniego wieczoru wymieniała straty po naszej śmierci:

- Nie chcę być zmuszona do życia bez was.

W więzieniu panowała atmosfera pełna nadziei. W sali dla odwiedzających słychać było ożywione głosy, tu i ówdzie rozlegał się śmiech. Wieści już tutaj dotarły: nałożono sankcje, *gringos* zamykali swoją ambasadę.

Tylko Manolem, podobnie jak Dedé, targały wątpliwości. Wyglądał na bardziej strapionego niż wcześniej.

- O co chodzi? - spytałam w chwili, kiedy nie mijał nas żaden strażnik. - Czy to nie dobre wieści?

Wzruszył ramionami. Potem, widząc zmartwienie na mojej twarzy, uśmiechnął się, ale wiedziałam, że był to uśmiech na pocieszenie. Po raz pierwszy zauważyłam, że miał połamanych kilka przednich zębów.

- Niedługo będziemy w domu! - Zawsze próbowałam podnieść go na duchu myślą o naszym gniazdku w Monte Cristi. Właściciele,

starzy znajomi rodziców Manola, pozwolili nam trzymać tam swoje rzeczy aż do dnia, kiedy znajdą nowego najemcę. Nie wiedzieć czemu, myśl o tym, że nasza chatka, jedyne miejsce, które kiedykolwiek mogliśmy nazwać domem, pozostawała wciąż w nienaruszonym stanie, dawała mi nadzieję.

Manolo pochylił się w moją stronę, jego usta musnęły mój policzek. Pocałunek miał zatuszować to, co chciał powiedzieć:

- Nasze komórki... czy są gotowe?

A więc to go martwiło. Nie wiedział, że rewolucja nie była już w naszych rękach. Teraz kierowali nią inni.

- Kto? - Nie ustępował.

Nie chciałam mu mówić, że nie wiem. Że tam, u mamy, jesteśmy odcięte od świata. Mijał nas strażnik, więc zamiast tego rzuciłam, że wczoraj na kolację jedliśmy banany w cieście.

- Nikt nie wie, kim są - powiedziałam bezgłośnie, kiedy strażnik znalazł się w bezpiecznej odległości, po drugiej stronie sali.

Pobladł. Patrzył na mnie wybałuszonymi oczami.

- To może być wtyczka. Zdobądź informacje, czy ostał się ktoś z naszych.

Ścisnął mocniej moje dłonie, aż zdrętwiały, ale za nic nie powiedziałabym mu, żeby je puścił.

Obserwowano nas całą dobę, nadzorowano wizyty, nawet sprzedawcom jedzenia sprawdzano koszyki przy bramie. Kiedy, jak i z kim miałam się skontaktować? A nawet gdybym spróbowała, naraziłabym jedynie na niebezpieczeństwo życia kolejnych osób.

Zresztą nie tylko to było przyczyną. Przed Manolem też odegrałam przedstawienie, aż za dobrze. Nie wiedział, że prowadzę podwójne życie. Na zewnątrz pozostawałam wciąż jego opanowaną, odważną *compañera*. W środku górą była ta nowa kobieta.

Zaczęłam z nią walczyć. Walczyć o to, żeby odebrać jej dawną siebie. W nocy, leżąc w łóżku, myślałam: „Musisz chwycić poprzerywane nitki i związać je ze sobą”.

Skrycie miałam nadzieję, że bieg wydarzeń rozwiąże za mnie ten problem, i - tak jak wszyscy inni - szczerze wierzyłam, że oglądamy ostatnie dni reżimu. W sklepach brakowało wszystkich towarów. Trujillo wyprawiał najbardziej szalone rzeczy, jak zwierzę złapane w pułapkę. W kościele, w pijackim zamroczeniu, chwycił kielich mszalny i udzielił komunii swoim przestraszonym asystentom. Papież mówił o ekskomunice.

Kiedy zabrakło sojuszników i na nikim nie musiał robić dobrego wrażenia, Trujillo przestał trzymać się w ryzach. Pewnego ranka, niedługo po wejściu w życie sankcji, zerwaliśmy się na dźwięk syren dobiegający od strony drogi. Mijały nas ciężarówki pełne żołnierzy. Dedé nie zjawiała się tego ranka, a ponieważ słynęła z punktualności, wiedzieliśmy, że coś jest nie tak.

Następnego dnia Elsa przyniosła nam wieści, na które czekaliśmy i których się obawialiśmy. Dwie noce wcześniej grupa młodych ludzi przebiegła po zmroku ulicami Santiago, rzucając pod drzwi ulotki nawołujące do rewolucji. Złapano wszystkich.

„Dowiedzą się, co to znaczy przeczesywać grzebieniem splątane włosy” - miał powiedzieć Trujillo na wieść o złapaniu młodych rebeliantów.

Tego popołudnia Peña przyjechał późno. Oznajmił, że wszystkie kolejne wizyty w La Victorii zostały odwołane.

- Ale dlaczego? - wypaliłam. A potem dodałam z goryczą: - Napisaliśmy list!

Peña spojrzał na mnie, mrużąc groźnie oczy. Nie znosił, kiedy zadawano mu pytania, które zdradzały, że nie nad wszystkim ma kontrolę.

- Może napiszecie jeszcze jeden list do El Jefe i poprosicie, żeby wam się wytłumaczył!

- Jest tylko zdenerwowana. Wszystkie jesteśmy - wytłumaczyła Patria, błagając mnie wzrokiem, żebym była miła. - Czy nie jesteś zdenerwowana, Minervo?

- Jestem bardzo zdenerwowana - odparłam, zakładając ręce na piersi.

Dopiero pod koniec września ponownie wprowadzono w La Victorii dni odwiedzin i mogłyśmy się zobaczyć z mężczyznami. Rankiem, kiedy odebrałyśmy przepustki, Peña rzucił nam ostrzegawcze spojrzenie, ale wszystkie byłyśmy tak uradowane, że odpowiedziałyśmy mu uśmiechami i zbyt wylewnie okazywaną wdzięcznością. Całą drogę, którą odbywałyśmy wynajętym samochodem prowadzonym przez szofera, nie mogłyśmy usiedzieć w miejscu ze zniecierpliwienia. Mate opowiadała swoje ulubione zagadki, a my udawałyśmy, że ich nie znamy, by mogła czerpać przyjemność z udzielania na nie odpowiedzi. Rzeczą, którą Adam miał z przodu, a Ewa z tyłu, była litera „A”. Rzeczą, która wchodzi twarda, a wychodzi miękka, to fasole we wrzącej wodzie. Ta dopiero zagustowała w pikantnych więziennych żartach.

Nastroje zmieniły nam się drastycznie, kiedy w końcu wprowadzono nas do znajomej, słabo oświetlonej sali. Mężczyźni zmizernieli, ich twarze były blade, w oczach czaiła się rozpacz.

Wyczekiwałam momentu, gdy *guardias*, których liczbę zwiększono, będą wystarczająco daleko, żebym mogła się dowiedzieć od Manola, co się dzieje.

- Dla nas to już koniec. - Manolo ścisnął moje dłonie.
- Nie możesz tak myśleć. Wrócimy do naszego domku przed końcem roku.

On jednak nalegał na pożegnanie. Chciał, żebym wiedziała, jak głęboka jest jego miłość do mnie; co mam powiedzieć dzieciom; jaki ma być pogrzeb, jeśli dostanę ciało, jakie nabożeństwo żałobne, jeżeli tak się nie stanie.

- Przestań! - odparłam zagniewana. Serce stanęło mi w gardle.

W drodze do domu wszystkie płakałyśmy, nie potrafiąc pocieszyć się nawzajem. Moje siostry usłyszały od Pedrita i Leandra te same ponure wieści. Mężczyzn z ich cel wyprowadzano nocą małymi grupkami i zabijano.

Kierowca, mężczyzna mniej więcej w naszym wieku, który już dwa razy wiozł nas do domu, popatrzył we wsteczne lustro.

- Motyle są dziś smutne - spostrzegł.

To sprawiło, że wyprostowałam się w fotelu i otarłam łzy. Motyle nie mają zamiaru się poddać! Spotkało nas niepowodzenie, ale nie zostaliśmy pokonani.

Podczas długich dni, które nadeszły, każdego ranka oczekiwałyśmy, że Peña przybędzie ze strasznymi wieściami. Teraz to ja prześadywałam w *galería*, żeby go przechwycić, jeśli przyjedzie. Nie chciałam, żeby ktokolwiek inny musiał znieść pierwsze uderzenie.

Nie było wątpliwości: los obrócił się przeciwko nam. Nieudane powstanie znów pogrzyżyło kraj w rozpacz. W domu wszyscy chodzili z takim wyrazem twarzy, jakby brali udział w pogrzebie.

- Nie możemy się poddać - powtarzałam.

Podziwiali moją zimną krew. Tak jak ja. Ale patrząc na swoje dotychczasowe życie, powinnam już była wiedzieć. Przeciwności losu były dla mnie jak klucz w zamku. Gdy zaczęłam walczyć o to, żeby wyciągnąć naszych mężczyzn z więzienia, uwolniłam dawną Minervę.

Ratowanie mężczyzn Październik

Widziałyśmy, jak toczą się za nami swoim małym volkswagenem. Byliby u szczytu osiągnięć, gdyby zdali Peñi raport, że odwiedziłyśmy innego rewolucjonistę.

- Rufino - powiedziałam - skręć w Pasteura, proszę.

Rufino został naszym ulubionym kierowcą. Zawsze, gdy wynajmowałyśmy samochód u Bournigala, prosiłyśmy o niego. Od czasu naszego ostatniego powrotu z odwiedzin w więzieniu czułyśmy jego milczące wsparcie. Choćby tego ranka.

Dedé martwiła się, że opuszczamy dom, a Rufino zabrał głos: „*A Dio!* doña Dedé, myśli pani, że pozwoliłbym na to, żeby coś się stało Motylom? Najpierw będą musieli zabić mnie”. „Zrobią to” - bąknęła Dedé.

Spoglądał we wsteczne lusterko.

- Zgubiliśmy ich.

Wyrzałam przez tylną szybę. Potem odwróciłam się do sióstr, jakbym chciała powiedzieć: „Widzicie, a nie chciałyście mi wierzyć”.

- Może to właśnie takiego pretekstu potrzebują. - Mate była zapłakana.

Wracałyśmy z wizyty u mężczyzn. Leandrowi i Manolowi powiedziano, że pojedą na małą wycieczkę - tak jak wszystkim więźniom, zanim zostali zabici. Byli zrozpaczeni, posępni, brali leki uspokajające, które im przemyciłyśmy, i wciąż nie mogli spać.

- Są w bożych rękach. - Patria uczyniła znak krzyża.

- A teraz posłuchajcie. Mamy dobrą wymówkę - przypomniałam im. - Delia jest lekarzem kobiecym i możemy się do niej wybierać z mnóstwa powodów.

Ani ja, ani Mate nie miałyśmy okresu od miesiący.

Delia była zdenerwowana, gdy wpuszczała nas do swojego małego gabinetu. Jej oczy przypominały dwa znaki ostrzegawcze. Zanim wypowiedziałam słowo, podniosła rękę do ust i wskazała na ścianę, na której wisiały dyplomy: nie możemy tu rozmawiać.

- Przyszłyśmy w sprawie naszych cykliów - zaczęłam, dotykając ściany w poszukiwaniu charakterystycznych małych pręcików.

Gdziekolwiek były, WSW z miejsca dowiedzą się, że przyszłyśmy jedynie w sprawie naszych kobiecych problemów. Delia odprężyła się, myśląc, że naprawdę po to tu jesteśmy. Dopóki nie dodałam, trochę zbyt dosłownie:

- Zatem czy nasze stare komórki są w jakimś stopniu aktywne?

Delia przeszła mnie wzrokiem.

- Komórki w waszych systemach zanikły i są martwe - odpowiedziała ostro.

Musiałam wyglądać tak, jakby wiadomość mnie poraziła, bo Delia dodała łagodniejszym tonem:

- Z pewnością parę z nich ciągle jest aktywnych. Ale co najważniejsze, zastępują je nowe komórki. Cały czas. Musicie pozwolić swoim ciałom odpocząć. Powinnyście zobaczyć menstrualną aktywność już na początku przyszłego roku.

Przyszły rok! Sięgnęłam po bloczek recept na biurku Delii i zapi-

sałam nazwisko Siny z wielkim znakiem zapytania.

„Wyjechała. Azyl” - odpisała.

Zatem Sina wycofała się z naszej walki. Wtedy przypomniałam sobie, że ostatecznie ja też tak zrobiłam, przebywając w areszcie domowym przez ostatnie dwa miesiące.

Wypisałam sześć innych imion osób, o których wiedziałam, że zostały wypuszczone. Potem zobaczyłam, jak Delia przekreśla linią każde z nich.

W końcu napisałam: „Kto pozostał w naszej okolicy?”.

Delia zagryzła wargi. Podczas całego spotkania zachowywała się tak ostrożnie, jakbyśmy były nie tylko podsłuchiwane, lecz także obserwowane. Teraz szybko zapisała nazwisko, podniosła papier, żebyśmy mogły je przeczytać, a potem zaczęła drzeć na kawałeczki wszystkie zużyte kartki. Wstała, dając nam do zrozumienia, żebyśmy odeszły.

Nie znałyśmy nazwiska, które podała nam Delia: jakiś doktor Pedro Viñas. Kiedy dotarłyśmy do domu, spytałyśmy o niego mamę, która przestudiowała całe drzewo genealogiczne rodziny Viñasów tylko po to, żeby oświadczyć, że nie zna takiej osoby. Wzbudziło to naszą podejrzliwość, bo zwykle jeśli w naszych stronach pojawiał się obcy, oznaczało to, że jest wtyczką WSW z wymyślonym nazwiskiem. Ale don Bernardo rozwiał nasze wątpliwości. Doktor Pedro Viñas był bardzo dobrym urologiem z Santiago, kilka razy przyjmował doñę Belén. Zadzwoniłam, by umówić się na wizytę na początek następnego tygodnia. Kobięcy głos po drugiej stronie słuchawki zwrócił się do mnie jak do małego dziecka:

- Jaki mamy kłopot?

Musiałam się zastanowić, czym zajmuje się urolog. Jedylnymi znanymi mi lekarzami byli Delia, doktor Lavandier i doktor z Monte Cristi, który dwukrotnie odbierał mój poród.

- Tylko mały kłopotcik - odparłam, grając na zwłokę.

- Ach, to - powiedziała. I podała mi godzinę.

Teraz trzeba było uzyskać pozwolenie od Peñi. To nie miało być łatwe. Rankiem po naszym nieautoryzowanym objeździe pojawił się u nas w domu. Usłyszawszy trzaśnięcie drzwiami samochodu, poznałyśmy, na co się zanoszą.

Przez całą minutę wykrzykiwał pogrożki i plugastwa. Przysiadłam na dłoniach, jakby były przedłużeniem moich ust. Musiałam użyć całej swojej samokontroli, żeby nie kazać jemu i jego świńskiej gębie zabierać się z naszego domu.

W końcu Peña uspokoił się na tyle, by spytać, po co tam pojechałyśmy. Patrzył prosto na mnie, bo zazwyczaj to ja byłam tą, która zabiera głos.

My jednak uzgodniłyśmy to między sobą inaczej. Ja miałam trzymać buzię na kłódkę, a Patria, jego ulubienica, miała się zająć wyjaśnieniami.

- Byłyśmy u lekarza w prywatnej sprawie.
- W jakiej prywatnej sprawie?! - Twarz Peñi poczerwieniała, wydawało się, że zaraz wybuchnie.

Patria zarumieniała się na tę nieprzyzwoitość.

- Musiałyśmy się skonsultować w kobiecych kwestiach.
- Dlaczego po prostu nie poprosiły mnie panie o zgodę?

Peña łagodniał. Patrii udało się nawet nakłonić go, żeby usiadł w bujanym fotelu i przyjął przynajmniej szklankę soku z guanabany - dobrego na nerwy, jak zawsze mówiła mama.

- Nie odmawiałbym paniom opieki medycznej, ale bardzo dobrze panie wiedzą - spojrzał prosto na mnie - że Delia Santos jest na liście wrogów politycznych. Zasady mówią wyraźnie: żadnego kontaktu z wywrotowcami.

- Nie odwiedzałyśmy jej z powodów politycznych - zaprotestowałam. Patria zakasłała, przypominając o naszej umowie. Ale kiedy raz otworzyłam usta, trudno było mi je zamknąć. - Właściwie, poruczniku, cieszy mnie, że nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy korzystały z opieki medycznej...

- Tak - Patria spiesznie weszła mi w słowo - bardzo pan dla nas życzliwy.

Czułam na sobie jej świdrujące spojrzenie.

- Zostałam skierowana do doktora Viñas w Santiago... - kontynuowałam.

- I byłabyś bardzo wdzięczna, gdyby porucznik zechciał być tak wyrozumiały i pozwolił ci na wyjazd - przypomniała mi Patria karcącym tonem, wyrażając za mnie prośbę.

Patria i Mate wysadziły mnie przed domkiem doktora po drodze do El Gallo. Czarny volkswagen stał już zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Trudno było uwierzyć, że to gabinet lekarski, ale szyld w oknie nie pozostawiał wątpliwości. Trawnik był nieskoszony, jednak ogród nie wydawał się przez to zaniedbany, a raczej panowała tu jakaś urocza beztraska, jakby właściciele chcieli powiedzieć, że w tym domu jest miejsce na wszystko, nawet na dużą ilość trawy.

Nie mieści mi się w głowie, jak Patrii udało się tego dokonać. Jej słodycz, co zawsze powtarzała mama, potrafi poruszyć góry, nie mówiąc o potworach. Patria nie tylko sprawiła, że Peña udzielił mi pozwolenia na tę wizytę, lecz także zapewniła sobie i Mate przepustkę, żeby w tym czasie mogły uzupełnić zapasy. Naszemu odzieżowemu biznesikowi wiodło się dobrze. Pracowałyśmy już nad listopadowymi zamówieniami, a była dopiero połowa października. Nocami, gdy nie mogłyśmy spać, szyłyśmy. Czasem Patria zaczynała odmawiać różaniec, a my przyłączałyśmy się do niej. Robienie ściegów i modlitwa nie pozwalały naszym myślom wkraczać na niebezpieczne tory.

Niewysoki mężczyzna o serdecznym usposobieniu, który przywitał mnie w drzwiach, wyglądał mi bardziej na poczciwego wujka niż fachowca lub tym bardziej rewolucjonistę.

- Mamy tu mały problem. - Zachichotał.

Kilka kur dostało się do gabinetu i pokojówka wypędzała je miotłą. Doktor Viñas przyłączył się do zabawy, dokuczając służącej ku zachwytowi kilku małych, podobnych do niego dzieci. Chwycił kilka jajek i zaczął wyciągać je z nieoczekiwanych miejsc - uszu swojego

potomstwa, sterylizatora do strzykawek czy spod własnych pach.

- Zobaczcie, co kury mi zostawiły - mówił za każdym razem.

Brzdące piszczały z zachwytu.

W końcu kury zniknęły z zasięgu wzroku, a doktor odesłał dzieci do domu wraz z pokojówką, by poprosiły swoją *mamita* o przyniesienie *cafecito*. Te zdrobienia mnie wykańczały. „Boże - myślałam - i po to przyjechałyśmy?” Ale w chwili, gdy doktor Viñas zamknął drzwi do gabinetu, stał się innym człowiekiem: słuchającym z uwagą, poważnym, skupionym na sprawie. Wyglądał, jakby wiedział dokładnie, kim byłam i dlaczego przyszłam.

- To zaszczyt - powiedział, wskazując mi krzesło. Włączył trzeszczące urządzenie klimatyzacyjne. Był całkowicie pewien, że miejsce nie było na podsłuchu, ale ostrożności nigdy za wiele.

Rozmawialiśmy szeptem.

- Sądźmy - zaczęłam - że chcą zabić wszystkich naszych chłopców.

Zdałam sobie sprawę, że degraduję mężczyzn do bezradnych chłopców. Kolejne zdrobienie, tym razem z moich ust.

Doktor Viñas westchnął.

- Staraliśmy się ze wszystkich sił. Mieliśmy problemy ze zdobyciem składników na piknik... - Przerwał na chwilę, by sprawdzić, czy zrozumiałam. - Byliśmy wszyscy gotowi, żeby iść, zgromadziliśmy się całą grupą. Ale *gringos* wycofali się ze swojej obietnicy dostarczenia ananasów. Niektórzy chłopcy poszli i tak. - Wykonał gest, jakby rozdawał ulotki.

- Dlaczego *gringos* się wycofali? - chciałam wiedzieć.

- Przestraszyli się. Myślą, że wszyscy jesteśmy komunistami. Mówią, że nie chcą następnego Fidela. Wolą mieć dziesięciu Trujillo.

Poczułam, jak ogarnia mnie strach. Jednak nie udało się uratować mężczyzn. Nagle odnowił się mój dawny więzienny kaszel. Doktor Viñas sięgnął po termos i nalał mi schłodzonej wody do szklanego kubka z podziałką na ścianie. Kiedy kaszel ustąpił, kontynuowaliśmy.

- *Gringos* flirtują teraz z inną grupą.

To była obiecująca wiadomość.

- MPD*?

* MPD - Movimiento Popular Dominicano (Ruch Ludowy Dominikany).

Doktor Viñas się zaśmiał i przez moment zobaczyłam w tym zahartowanym rewolucjonście człowieka, którym jest, gdy przebywa z rodziną.

- Nie, oni też kierują się ideałami, a wszyscy my, idealisci, jesteśmy brudnymi komunistami. Tych ludzi *gringos* uważają za bezpieczniejszych. To kilku dawnych kompanów Trujillo, którzy mają go dość. Ich jedyną ideologią jest, no, wie pani. - Poklepał się po kieszeniach.

- Więc dlaczego mówi pan, że jest nadzieja?

- Oni pozbędą się starego, a wtedy my przejmemy władzę. - Doktor Viñas uśmiechnął się, podnosząc małymi pulchnymi policzkami okulary.

- Nie tak to planowaliśmy - przypomniałam mu.

- Trzeba mieć lewą rękę - odpowiedział, pokazując mi swoją.

Opadły mi ręce, obie. Przełknęłam ślinę, by łaskotanie w gardle nie przerodziło się w następny atak kaszlu.

- Czy nic nie możemy zrobić?

Kiwnął głową - mocno, z przekonaniem.

- Może pani dawać ludziom nadzieję. Jest pani przykładem, cały kraj panią podziwia.

Kiedy się skrzywiłam, zmarszczył brwi.

- Mówię zupełnie poważnie - dodał.

Rozległo się pukanie do drzwi. Oboje podskoczyliśmy.

- *Amorcito!* - zawołał słodki głos. - Mam tu twoją *cafecito*.

I zostaliśmy uwięzieni w świecie zdrobnień.

Wyciągnęłam złe wiadomości jak ości z ryby i podałam Manolowi obiecujący smakołyk: *gringos* współpracują z jakąś grupą, żeby ubić Kozła na piknik.

Manolo o tym nie słyszał. Jego twarz stężała.

- Nie podoba mi się to. Gringos przejmą rewolucję.

„Przejmą kraj” - pomyślałam. Nie powiedziałam tego na głos. Nie było powodu, żeby jeszcze bardziej go zasmucać. Zresztą na obecnym etapie nie przejmowałam się tym tak bardzo. Desperacko chciałam, żeby Trujillo zniknął. Jak powiedział Viñas, przyszłością mogliśmy zająć się potem.

- Powiedz Viñasowi... - zaczął Manolo.

Przewróciłam oczami na znak, że za jego plecami widzę zbliżającego się strażnika. Głośno powiedziałam:

- Dzieci ogromnie za tobą tęsknią. Wczoraj spytałam je, czego chcą na Dzień Dobroczyńcy, a one odpowiedziały: „Przyprowadź papi do domu!”. Manolo?

Widziałam, że nie słucha. Błądził nieobecnym spojrzeniem, które znałam z czasów, kiedy sama przebywałam w tym okropnym miejscu. Dotknęłam jego twarzy, żeby sprowadzić go z powrotem.

- *Mi amor*, tylko pamiętaj, wkrótce, wkrótce... Monte Cristi.

Zanuciłam piosenkę.

- Żadnego śpiewania - oznajmił strażnik. Zatrzymał się przed nami.

- Przepraszam, żołnierzu. - Pod daszkiem czapki rozpoznałam Gęsty Włos. Skinęłam mu głową, ale jego spojrzenie pozostało zimne i beznamienne, jakby mnie nie znał. - Tylko się żegnaliśmy.

Dziś nasza rozmowa była krótsza niż zwykle, ponieważ dzieliłam swoje dwadzieścia minut z matką Manola, która przyjechała z Monte Cristi. Tuż przed tym, jak weszłam na górę, porozmawialiśmy krótko w biurze naczelnika. Miała niespodziankę, o której obiecała mi później opowiedzieć.

Czekałam sama w wynajętym samochodzie, słuchając cichych dźwięków dobiegających z radia (wszelka muzyka była zabroniona). Samo przebywanie na podwórzu więzienia sprawiało, że dawna panika wracała do mnie falami. Żeby skierować myśli na inne tory, bawiłam się pokrętlami radia, licząc, że Rufino niedługo wróci i będę miała z kim porozmawiać. Chodził od strażnika do strażnika, roznośząc papierosy i pesos, co zawsze robiliśmy, żeby zachęcić ich do właściwego traktowania naszych więźniów.

Odwiedzający zaczęli przechodzić przez punkt kontrolny przy wielkich drzwiach wyjściowych. Nagle zobaczyłam zapłakaną dońę Fefitę, której po obu stronach towarzyszyły Mate i Patria.

Żal ścisnął mi serce, kiedy przypomniałam sobie, jak przygnębiony był dziś Manolo.

Podbiegłam do nich.

- Co się stało?

Mate i Patria wzruszyły ramionami - nie wiedziały, a zanim doña Fefita zdołała coś powiedzieć, strażnicy już krzyczeli na nas, żebyśmy się przesuwały.

Nie wolno nam było „gromadzić się” na podwórzu więzienia, więc zatrzymaliśmy oba samochody na końcu ulicy. Gdy doña Fefita relacjonowała, co się stało, po jej policzkach znów zaczęły płynąć łzy. Chciała kupić mały domek, w którym mieszkałam z Manolem. Jej syn, zamiast się z tego ucieszyć, naskoczył na nią. Czy nie wie, że jeśli on, Manolo, wróci do domu, to tylko w skrzyni?

Gdy to usłyszałam, zrobiło mi się słabo, ale nie dałam nic po sobie poznać.

- Doña Ferita, on jest po prostu wyczerpany. To miejsce... - Omiotłam wzrokiem więzienie znajdujące się za jej plecami.

Moje siostry pośpieszyły ze słowami otuchy.

- Nie możemy tracić ducha, ze względu na naszych mężczyzn.

Ale w spojrzaniach, które między sobą wymieniłyśmy, nie było wiele optymizmu.

W końcu doña Ferita się uspokoiła.

- Czy powinnam go kupić, Minervo? Jak myślisz?

Trudno mi było sprzeciwiać się życzeniom Manola. Zawsze decydowaliśmy o wszystkim razem.

- Może... powinnaś poczekać.

Usłyszała wahanie w moim głosie i zaczęła stanowczo nalegać.

- Wezmę to na siebie. Chcę, żebyście mieli dokąd pójść, kiedy to wszystko się skończy.

Doskonale ubrała w słowa moje własne pragnienie. Mieć dokąd pójść, kiedy to wszystko się skończy.

Ten akt wielkoduszności został jednak udaremiony. Niedługo potem dostałam wezwanie, żeby usunąć nasz dobytek z terenu posiadłości, WSW otwierały nowe biuro w Monte Cristi.

W poniedziałek rano wyruszyliśmy z Dedé, żeby zrobić to, co nam kazano. Rufino był naszym kierowcą, ponieważ Jaimito, który miał za mało rąk do pracy, nie mógł wziąć dnia wolnego od zbiorów kakao. Nie chciał też, by Dedé mi towarzyszyła, ale ona powiedziała, że nie może pozwolić mi samej demontować swojego domu. Planowałyśmy wrócić w środę po południu, tak bym mogła następnego dnia pojechać z Mate i Patrią do La Vietorti. Ach, to pracowite życie osoby osadzonej w areszcie domowym! Peña od razu dał mi pozwolenie na wyjazd do Monte Cristi.

Ostatecznie, jako głowa północnego oddziału WSW, doskonale wiedział, dlaczego mój stary dom musi być zwolniony. Prawdopodobnie to on wszystkim sterował.

Podróż na północ okazała się jedną z tych słonecznych chwil, które przychodzą nawet w najciemniejszych dniach. Posępny nastrój zniknął, jakbyśmy były na wakacjach. Nie spędzałam czasu sam na sam z Dedé, odkąd jako młode dziewczyny utknęłyśmy razem w Ojo de Agua, czekając, aż wydarzy się nasza przyszłość.

Ze sposobu, w jaki oglądała się za siebie, kiedy po raz pierwszy wjechaliśmy na odosobniony odcinek drogi, domyśliłam się, że zebrała całą swoją odwagę, by ze mną pojechać. Ale szybko się uspokoiła. Teraz stała się energiczna i rozmowna, chcąc zapewne odwrócić naszą uwagę od smutnej misji, którą miałyśmy wykonać.

- Rufino - zapytałam - czy z Dedé nie byłoby świetnej *gavillera*?

Zrobiłyśmy właśnie zawody w gwizdaniu i Dedé wygrała, wydobytą z siebie przesywający trel.

- *Gavillera*, ja! Oszalałaś? - powiedziała Dedé ze śmiechem. - Nie wytrzymałabym dnia w tych górach. Oddałabym się w ręce tych atrakcyjnych *gringos*.

- *Gringos* atrakcyjni? *Mujer!* - Skrzywiłam się. Cały czas przy-

pominało mi się, że opuścili Viñosa i jego ludzi. - Wyglądają tak, jakby ktoś wsadził ich do wiadra z wybielaczem i zapomniał, że tam są! To się tyczy też ich namiętności!

- Co ty możesz wiedzieć o ich namiętności? - zakwestionowała moje słowa Dedé. - Nigdy nawet nie znałaś żadnego gringo. Chyba że coś przede mną zataiłaś, moja droga?

Zalotnie poruszyła ramionami. Rufino odwrócił wzrok.

- Może niech Rufino zadecyduje - powiedziałam. - Jak sądzisz, Rufino? Czy *gringos* są atrakcyjni?

Uśmiechnął się. Zmarszczki w kąciakach jego ust się pogłębiły.

- Mężczyzna nie wie, czy inny mężczyzna jest przystojny - odparł w końcu.

Nie pozwoliłam mu na ten unik, przywołując jego żonę:

- Czy Delisa powiedziałaaby, że *gringos* są atrakcyjni?

Zacisnął zęby.

- Lepiej niech się nie przygląda!

Dedé i ja popatrzyłyśmy na siebie i się uśmiechnęłyśmy.

Czułam się szczęśliwa. Pogratulowałam sobie w duchu, że poprosiłam Dedé, żeby mi towarzyszyła. Teraz zobaczy, że jej lęki są bezpodstawne. Drogi nie są pełne morderców. Jakkolwiek dziwne się to wydawało, niezależnie od naszych kłopotów szlachetne zwykłe życie toczyło się dalej bez nas. Widzieliśmy *campesino* idącego ze swoim obładowanym węglem osłem. Ciężarówkę z platformą pełną chichoczących i machających nam dziewcząt. Pod błękitnym niebem turkusowe morze, iskrzące się obietnicą wakacji.

Nagle ujrzałyśmy coś, co wytrąciło nas z beztroskiego stanu: za zakrętem stał zaparkowany w poprzek drogi samochód. Rufino musiał ostro hamować, a Dedé i ja uderzyłyśmy się o siebie.

Pięciu *calies** w ciemnych okularach otoczyło pikapa i kazało nam wysiąść.

* *Calies* (hiszp.) - tajni agenci Trujillo.

Nigdy nie zapomnę przerażenia na twarzy Dedé. Nie zapomnę, jak chwyciła mnie za rękę. I jak, kiedy poproszono nas o podanie tożsamości, powiedziała:

- Nazywam się Minerva Mirabal.

W Monte Cristi zabrano nas do małej, słabo oświetlonej strażnicy na tyłach fortu. Zrozumiałam, dlaczego potrzebują nowej kwatery. Nerwowy mężczyzna o zatroskanym wyrazie twarzy przeprosił nas za wszelkie utrudnienia. Eskorta była środkiem ostrożności. Ludzie usłyszeli, że Minerva Mirabal przyjeżdża dziś do miasta, i krążyły plotki, że może dojść do jakichś zamieszek.

- Która z pań to Minerva Mirabal? - spytał, obserwując nas przez dym z papierosa. Paznokieć u małego palca jego lewej ręki był tak długi, że przypominał pazur. Zastanawiałam się, do czego mu służył.

- Ja jestem Minerva - odpowiedziałam, patrząc stanowczo na Dedé. W mojej głowie pojawiło się wspomnienie tego starego człowieka, którego dawno temu spotkałyśmy w Biurze Osób Zaginionych. Jeśli on nadał wszystkim trzynastu synom to samo imię, dlaczego miałyby nie być dwóch Minerv w rodzinie Mirabalów?

Przesłuchujący spojrział podejrzliwie na każdą z nas, w końcu zwrócił się do Dedé:

- Dlaczego powiedziała pani moim ludziom, że to pani jest Minerva?

Dedé prawie nie mogła mówić.

- Ja... ja... To moja młodsza siostra...

Młodsza siostra, dobre sobie! Jeśli chodzi o charakter, nigdy nią nie byłam. Całe życie się o to kłóciłyśmy.

Mężczyzna czekał, obserwując nas.

- Minerva to moja siostra - przyznała w końcu Dedé.

- Teraz już na pewno? - spytał mężczyzna ponurym tonem.

Usiadł z powrotem i nerwowo naciskał zapalniczkę, która nie chciała zadziałać. Zmierzyłam go wzrokiem, wykorzystując umiejętność, którą nabyłam w więzieniu podczas przesłuchań. Uznałam, że ten niespokojny mały mężczyzna może być zastraszonej. Zbyt mocno się starał.

Wyjęłam z torebki naszą przepustkę podpisaną przez Peñę. Jako

głowa północnego oddziału WSW z pewnością był przełożonym tego człowieka.

- Porucznik Peña zezwolił na tę podróż. Mam nadzieję, że zameldowanie mu o nas nie będzie stanowiło problemu.

Zaczął szybko mrugać powiekami. Nerwowy tik spowodował, że zrobiło mi się szkoda tego biednego człowieka. Rządzący nim strach ukazywał zepsucie panujące w samym sercu systemu Trujillo.

- Żadnych problemów, żadnych problemów, tylko środki ostrożności.

Kiedy czekałyśmy na zewnątrz, aż Rufino pojedzie po nas pika-
pem, widziałam tego mężczyznę przez uchylone drzwi gabinetu. Siedział już ze słuchawką przy uchu, przypuszczalnie zgłaszając nasze przybycie Peñi. W trakcie rozmowy usuwał wosk z uszu za pomocą małego palca. Poczułam pewną ulgę, dowiedziawszy się, do czego był mu potrzebny ten paznokiec.

Gdy dotarliśmy do małego domku, Dedé wzięła się do organizowania pracy: ten stos pudeł na przechowanie do dońi Fefity, ten zabieramy ze sobą, w tym są rzeczy do oddania. Musiałam się uśmiechnąć - wciąż była tą samą Dedé, która układała towar na półkach rodzinnego sklepu tak porządnie, że aż żal było coś sprzedać.

Teraz stała w kuchni, dzwoniąc garnkami i patelniami. Czasami podchodziła, trzymając coś w ręku. Mama dała mi trochę swojego wyposażenia, kiedy wprowadziła się do nowego domu.

- Nie wiedziałam, że to masz. - Dedé trzymała w górze delikatną lampę naftową. Żłobienia w jej bladuróżowym kominie miały kształt płatków kwiatów. - Stara lampa z naszej sypialni, pamiętasz?

Zapomniałam, że Dedé i ja dzieliłyśmy kiedyś pokój, zanim zamieszkałam w jednym z Mate.

Łatwiej było razem z siostrą wracać pamięcią do dawnych czasów, niż mierzyć się z powodzią wspomnień, która zalała mnie w tym pokoju. Prawnicze książki leżały w stosach w rogu. Wszystko było rozrzucone na podłodze - porcelanowy osioł, nasze obramowane

dypłomy, muszle, które znaleźliśmy z Manolem na Morrò Beach. Nie spodziewałam się, że to będzie aż tak trudne. Wolałabym, żeby funkcjonariusze WSW splądrowali dom i wywieźli wszystko, tak jak to zrobili Patrii. O wiele okrutniej było kazać mi stanąć twarzą w twarz ze swoim straconym życiem.

Oto tom wierszy Martiego, z dedykacją od Lía („Na pamiątkę mojego wielkiego przywiązania...”). I stateczek, który ukradłam dla Mate (co robił między moimi rzeczami?). I poźółkła gazeta ze zdjęciem Liny Lovatón, pod którym widniał wiersz Trujillo. I święta karta z naszej pielgrzymki do Higüey, podczas której Patria podobno słyszała głos Niepokalanej. I puszka po kremie Nivea pełna śmierdzącego popiołu, prawdopodobnie z którejś srody popielcowej, kiedy mama zaciągnęła mnie do kościoła. Podeszłam do drzwi, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Był wczesny wieczór, chłodna pora dnia. Mały placyk wyglądał jak drzewo pełne wron. Musiało być tam ponad stu ludzi, którzy spacerowali, siedzieli na ławkach, stali beczynnie przed małą altaną, gdzie odbywały się wiece i świąteczne konkursy. Mógłby to być drugi w tym roku Dzień Dobroczyńcy, gdyby nie to, że wszyscy byli ubrani na czarno.

Stałam w drzwiach, nie pojmując w pełni tego widoku, kiedy na teren skweru zaczęły się wtaczać ciężarówki. Wychodzili z nich *guardias*. Nie słychać było nic poza stukaniem ich butów, kiedy tworzyli szyk. Otoczyli placyk.

Wysłam na chodnik. Nie wiedziałam, co niby chcę zrobić. Nagle wszyscy zwrócili się twarzami w moją stronę. Przez dłuższą chwilę panowała całkowita cisza. Potem, prawie jak na dany sygnał, tłum się rozszedł. Małe grupki zaczęły się kierować w stronę bocznych uliczek. Po paru minutach skwer był pusty.

Nie padł żaden strzał, nie wypowiedziano ani jednego słowa. *Guardias* jeszcze przez chwilę stali na darmo wokół pustego placu. W końcu wskoczyli z powrotem do swoich ciężarówek i odjechali.

Kiedy się odwróciłam, żeby wejść do środka, z zaskoczeniem odkryłam, że Dedé stoi w drzwiach z patelnią w dłoni. Nie mogłam się

nie uśmiechnąć. Moja starsza siostra była gotowa wmaszerować i stłuc kilka głów, jeśli by rozpoczęła się masakra.

Wewnątrz domu zrobiło się zbyt ciemno, by można było coś zobaczyć. Błądziłyśmy po nim, wpadając na pudła, szukając przełączników światła w nadziei, że uda nam się jeszcze spakować trochę rzeczy. Ale elektryczność została odcięta, a lampa naftowa, która kiedyś rozpraszała ciemność między naszymi łózkami, była już spakowana.

Gdy wróciliśmy do domu w środę wieczorem, zastałyśmy Mate w kiepskim stanie. Miała swój zły sen o śmierci papy. Tym razem, gdy otworzyła pokrywę trumny, w środku leżeli Leandro, Manolo i Pedrito. Za każdym razem, gdy wypowiadała ich imiona, zaczynała szlochać.

- Będziesz jutro okropnie wyglądać - ostrzegłam z nadzieją, że przemówię do jej próżności.

Ale Mate o to nie dbała. Płakała i płakała, aż jej strach udzielił się i nam.

Na domiar złego tuż po kolacji pojawił się wujek Pepe. Jego półciężarówka była udekorowana papierowymi flagami i transparentem głoszącym: „WITAJ, EL JEFE, W PROWINCJI SALCEDO”.

Agenci WSW wpuścili go od razu.

- Ładnie ją przebrałeś - zauważyłam.

Wujek Pepe pokiwał głową bez słów. Kiedy dzieci zaczęły się głośno domagać ściągnięcia im małych flag z półciężarówki, warknęła na nie. Stały z półotwartymi ustami. Nigdy nie widziały, żeby ich radosny wujek wpadł w gniew.

- Czas do łóżek - powiedziała mama, zapędzając gromadkę wnuków w stronę sypialni.

- Zaczerpnijmy powietrza - zasugerował wujek Pepe.

Patria, Mate i ja chwyciłyśmy szale i poszłyśmy za nim na zewnątrz.

W odległej części ogrodu, gdzie zawsze rozmawialiśmy, opo-

wiedział nam o zebraniu, z którego właśnie wracał. Było to przyjęcie powitalne na cześć El Jefe, które odbywało się w domu burmistrza. Lista wszystkich osób, które Trujillo chciał tam widzieć, została opublikowana w lokalnej gazecie. Znalazło się wśród nich nazwisko wujka Pepe.

- *Epa, tio!* - powiedziałam. - Spoufalasz się z grubymi rybami.
- Chciał, żebym tam był, bo wiedział, że jestem spokrewniony z wami. - Głos wujka Pepe tylko nieznacznie górował nad śpiewem cykad.

Słyszeliśmy, jak w domu mama przygotowuje dzieci do snu.

- Włóż dół od pizamy, w tej chwili! - Nie było wątpliwości, że beszta mojego diabełka. Bez ojca chłopiec wyrastał na urwisa.

- Siedzi przy wielkiej wazie ponczu, otoczony swoimi muchami - opowiadał wujek Pepe. - Wiecie, gównu przyciąga muchy. Wybaczcie moją ordynarność, dziewczęta, ale nie ma innych słów na określenie tego diabła w ludzkiej skórze. Otoczony swoimi ludźmi (wiecie: Maldonado, Figueroa, Lomares i nasz kompan Peña), którzy mówią: „Ay, Jefe, zrobiłeś tyle dobrego dla prowincji”, „Ay, Jefe, tak bardzo podniosłeś morale po nałożeniu sankcji”, „Ay, Jefe...” - wujek Pepe zawodził pod nosem, przedrzeźniając ich. - Stoję na swoim posterunku obok farmerów z Salcedo, napychając się tymi pysznymi pastelitos, które robi Florin, a El Jefe siedzi na tej stercie końskiego łajna i w końcu mówi, patrząc prosto na mnie: „Cóż, chłopcy, zostały mi jedynie dwa problemy. Gdybym tylko znalazł człowieka, który by je rozwiązał”. Potem milknie, a ja wiem, i wszyscy inni wiedzą, że mamy go spytać, co to za problemy, i prosić, byśmy mogli być tymi, którzy je rozwiążą. Ma się rozumieć największy amator gówna, Peña, mówi: „Jefe, jestem do twoich usług. Opowiedz mi tylko o swoich potrzebach, a ja oddam swe życie, jeśli zajdzie taka konieczność”... ple, ple, ple. I El Jefe, cały czas patrząc na mnie, mówi... teraz się trzymajcie: „Moimi jedynymi dwoma problemami są ten cholerny Kościół i siostry Mirabal”.

Poczułam gęsią skórkę na ramionach. Mate zaczęła szlochać.

- Zaraz, zaraz, to nie powód, żeby się niepokoić. - Wujek Pepe próbował wyrzeszać z siebie zwykłą pogodę ducha. - Gdyby naprawdę zamierzał coś zrobić, nie ogłosiłby tego. Właśnie o to chodzi. Dawał mi ostrzeżenie, żebyśmy wam je przekazał.

- Ale my nic nie robimy - powiedziała Mate słabo. - Jesteśmy tu zamknięte przez cały tydzień, jeździmy tylko w odwiedziny do mężczyzn. I mamy na to pozwolenie od samego Peñi.

- Może powinniście się zastanowić nad niewychodzeniem w ogóle. Przynajmniej przez jakiś czas.

Zatem Trujillo nie mówił już, że problemem jest Minerva Mirabal, ale że są nim wszystkie siostry. Zastanawiałam się, czy teraz, gdy wzięłam ze sobą Dedé do Monte Cristi, ona też będzie na czarnej liście.

Patria nie powiedziała ani słowa przez cały czas. Na koniec przemówiła:

- Nie możemy opuścić mężów, *tio*.

Właśnie wtedy zgasty światła dziecięcej sypialni wychodzącej na ogród. Gdy jeszcze przez chwilę staliśmy w ciemnościach, uspokajając się, miałam straszne wrażenie, że jesteśmy już martwe i patrzymy z upragnieniem na dom, gdzie nasze dzieci dorastają bez nas.

Następnego ranka, w czwartek, w drodze do La Victorii zatrzymaliśmy się, jak to było wymagane, przed główną komendą WSW. Rufino wrócił do samochodu bez papierów.

- Chce was widzieć.

Wewnątrz czekał na nas Peña niczym tłusty pająk w środku sieci.

- Coś jest nie tak? - spytałam w chwili, kiedy usiadliśmy na wskazanym miejscu. Powinnam była trzymać buzię na kłódkę i pozwolić Patrii mówić.

- Nie chcą panie odbywać bezcelowej podróży, prawda?

Czekał dłuższą chwilę, aż w naszych umysłach pojawią się najstraszliwsze interpretacje tego zdania.

Nerwy miałam zszarpane po nieprzespanej nocy. Skoczyłam na

równe nogi. Dzięki Bogu biurko Peñi stanęło mi na drodze, bo moja otwarta dłoń mogłaby zetrzeć ten zadowolony z siebie wyraz z jego tłustej gęby.

- Co zrobiłeś naszym mężom?!

Otworzyły się drzwi, zajrzał strażnik. Rozpoznałam w nim Albertica, którego ojciec był naszym wioskowym mechanikiem.

Na jego twarzy rysował się niepokój - o nas, nie o Peñę.

- Słyszałem krzyki - wyjaśnił.

Peña odwrócił się w jego stronę.

- Co ty sobie myślisz, durniu? Że nie poradzę sobie sam z garstką kobiet?

Zwymyślał przestraszonego chłopca i kazał mu zamknąć drzwi oraz zajmować się swoimi sprawami albo będzie miał na głowie sprawy, którymi wolałby się nie zajmować.

Drzwi zamknęły się natychmiast wśród kornych przeprosin.

- Niech pani siada. - Peña niecierpliwym gestem wskazał mi ławkę, na której siedziały moje dwie siostry, składając ręce w cichej modlitwie.

- Musi pan zrozumieć - powiedziała Patria pojednawczym tonem - że martwimy się o naszych mężów. Gdzie oni są, poruczniku?

- Pani mąż - wskazał na nią palcem - jest w La Victorii. Mam tu przepustkę.

Drżącą ręką Patria przyjęła kartkę, którą jej podawał.

- A Manolo i Leandro?

- Przenoszą ich.

- Dokąd? - spytała Mate z twarzą ożywioną niedorzeczną nadzieją.

- Do Puerto Plata...

- Dlaczego, do licha? - uniosłam się. Poczulałam, jak Patria ścisła moją rękę, jakby chciała powiedzieć: „Panuj nad tonem, dziewczyno”.

- Ależ myślałam, że będą panie zadowolone. Motyle nie będą musiały tak daleko latać - rzucił z sarkastyczną emfazą.

Nic zdziwiło mnie specjalnie, że zna nasz kryptonim, zważywszy

na to, jak ludzie wszędzie go rozpowiadali. Mimo to nie podobał mi się sposób, w jaki go wypowiedział.

- Dni odwiedzin w Puerto Plata to piątki - ciągnął Peña. - Jeśli chcą panie widzieć się ze swoimi mężami częściej, możemy się też postarać o przepustki na inne dni.

Z pewnością było coś podejrzanego w tym, że proponował nam takie przywileje. Ale siedząc w tym dusznym gabinecie, czułam już tylko odrętwienie i rezygnację. Poza tym, że nie mogłyśmy zrobić nic, żeby uratować mężczyzn, nie mogłyśmy również zrobić nic, żeby uratować same siebie.

Głos ludu głosem Boga
25 listopada 1960

Żołnierz stał na poboczu drogi, wystawiając rękę z podniesionym kciukiem, ubrany w mundur moro i czarne, sznurowane wojskowe buty. Chmury wisiały nisko nad ziemią, nadciągała burza. Zrobiło mi się go żal, stojącego na tej samotnej górskiej drodze.

- Co wy na to? - spytałam pozostałych.

Nasze zdania były podzielone po równo. Ja mówiłam „tak”, Mate - „nie”, Patria - „wszystko jedno”.

- Ty zdecyduj - powiedziałyśmy Rufinowi. Zaczynałyśmy go traktować jak swojego opiekuna i przewodnika. Żaden inny kierowca Bournigal nie pojechałby z nami za przełęcz.

Od czasu wizyty wujka Pepe Mate stała się podejrzliwa wobec wszystkich.

- Jest żołnierzem - przypomniwała nam.

- I co? Będziemy tym bezpieczniejsze - broniłam swojego stanowiska.

- Jest taki młody - zauważyła Patria, kiedy dotarliśmy do pobocza, na którym stał. Było to tylko spostrzeżenie, ale właśnie ono przechyliło szalę. Rufino zatrzymał się, by zaproponować chłopcu, że weźmiemy go ze sobą.

Usiadł z przodu obok Rufina. Cały czas obracał czapkę w dłoniach. Mundur, który miał na sobie, był na niego za duży i jego

usztynione ramiona odstawały pod nienaturalnym kątem. Przez chwilę martwiło mnie jego zakłopotanie, zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie ma złych zamiarów. Ale przyjrząwszy się chłopięcej smukłości jego szyi, na której osadzona była głowa o krótko przystrzyżonych włosach, uznałam, że po prostu nie był przyzwyczajony do jeżdżenia w jednym samochodzie z kobietami. Zainicjowałam więc rozmowę, zadając mu pytania na różne tematy.

Wracał z Tamboru do Puerto Plata po wykorzystaniu trzydniowej przepustki, którą dostał, żeby zobaczyć swojego nowo narodzonego syna. Pogratulowaliśmy mu, chociaż osobiście uważałam, że jest stanowczo zbyt młody, by być ojcem. Tak samo jak żołnierzem. Ktoś będzie musiał zwięzić ten mundur. Może my zrobimy poprawki w naszym nowym sklepie.

Przypomniały mi się ubrania maskujące, które szylałam dla siebie poprzedniego listopada. Ćwiczenia, które wykonywałam, żeby być w dobrej formie, gdy zacznie się rewolucja! Wtedy myśleliśmy, że przed końcem roku będziemy walczyć w tych górach jako partyzanci.

I oto był już listopad następnego roku, a my jechałyśmy przez przełęcz wynajętym jeepem, żeby odwiedzić naszych mężów w więzieniu. Trzy Motyle, dwa z nich zbyt zatrwożone, żeby siedzieć przy oknie, skąd widziałyby stromy spadek tuż przy śliskiej drodze. Trzeci z nich tak samo wystraszony, ale zgodnie ze starym nawykiem udający, że nie ma się czego bać - pamiętający o słowach *señor* Roosevelta*.

* Chodzi o słowa: „Jedyną rzeczą, jakiej powinniśmy się bać, jest sam strach”, które F. D. Roosevelt wypowiedział podczas swojej mowy po zaprzysiężeniu na prezydenta w 1933 roku.

Zmusiłam się, żeby spojrzeć w dół zbocza góry na lśniące skały. Potencjalne niebezpieczeństwa, spaliny z uszkodzonego tłumika, wyboistość drogi - poczułam nudności.

- Daj mi jednak tę gumę miętową - poprosiłam Mate. Ciamkała swoją, od kiedy tylko zaczęliśmy się wspinać pod górę tym pełnym

zakrętów odcinkiem drogi.

Czwarty raz jechaliśmy odwiedzić naszych mężów, odkąd przeniesiono ich do Puerto Plata. Tym razem zostawiłyśmy dzieci w domu. Były już tam w zeszły piątek, żeby zobaczyć się ze swoimi tatusiami, i każde z nich dostało choroby lokomocyjnej, zarówno gdy jechaliśmy do więzienia, jak i w drodze powrotnej. Ta górską trasę wszystkich przyprawiała o mdłości.

- Powiedz mi coś - spytałam młodego żołnierza na przednim siedzeniu - jak to jest być oddelegowanym do Puerto Plata?

Tamtejszy fort ze względu na swoje strategiczne położenie był jednym z największych w kraju. Jego szare i złowieszcze mury rozciągały się kilometrami, a światła jego reflektorów docierały do samego Atlantyku. To wybrzeże często stawało się obiektem inwazji i z tego względu było mocno strzeżone.

- Widziałeś już jakąś akcję?

Młody żołnierz odwrócił się nieznacznie w naszą stronę, zdziwiony, że kobietę interesują takie rzeczy.

- Dołączyłem dopiero w lutym tego roku, kiedy dostałem powołanie. Do tej pory byłem tylko w służbie więziennej.

Na tylnym siedzeniu wymieniliśmy się spojrzeniami.

- Pewnie od czasu do czasu przywożą tam ważnych więźniów?

Patria wbiła mi łokieć pod żebra, zagryzając usta, żeby się nie uśmiechnąć.

Przytaknął poważnie, chcąc zrobić na nas wrażenie tym, jak ważną funkcję sprawuje jako strażnik.

- Właśnie w ostatnim miesiącu przybyło dwóch politycznych.

- Co zrobili? - spytała Mate tonem pełnym podziwu.

Chłopiec się zawahał.

- Nie jestem do końca pewien.

Patria wzięła mnie i Mate za ręce.

- Zostaną rozstrzelani, jak myślisz?

- Nie sądzę. Słyszałem, że mają ich przetranszportować z powrotem do

stolicy za kilka tygodni.

„Dziwne” - pomyślałam. Narażają się na wszystkie uciążliwości wynikające z przenoszenia więźniów na północ tylko po to, żeby transportować ich z powrotem po dwóch miesiącach? Postanowiłyśmy już, że przeniesiemy się do Puerto Plata i otworzymy tam sklep, a te wiadomości mogą zrujnować nasze plany.

Ale w końcu to był tylko chłopiec w za dużym mundurze. Cóż on mógł wiedzieć?

Mniej więcej wtedy rozpętała się burza. Rufino spuścił płócienne klapy i poinstruował żołnierza, jak ma to zrobić po swojej stronie. My przymocowałyśmy tylną część miękkiego dachu. Wnętrze jeepa stało się ciemne i duszne.

Wkrótce spadł na nas ulewny deszcz. Krople zaczęły bębnić w płócienny dach. Ledwo mogłam dosłyszeć rozmowę Patrii i Mate, nie mówiąc o Rufinie i młodym żołnierzu z przodu.

- Może powinnyśmy to na nowo przemyśleć - zasugerowała Patria.

Przed naszą dzisiejszą wizytą w więzieniu planowałyśmy obejrzeć domy do wynajęcia, które wybrali dla nas przyjaciel Manola Rudy i jego żona Pilar. Wszystko było postanowione. Przenosimy się do Puerto Plata z dziećmi przed pierwszym grudnia, otwieramy mały sklep na froncie domu. Reakcja na nasze podróże stała się już zbyt uciążliwa. Za każdym razem, kiedy wyjeżdżałyśmy z domu, ludzie wychodzili na ulicę i błogosławili nas. Kiedy wracaliśmy, czułyśmy się zobowiązane, żeby zatrąbić, jakbyśmy mówiły: „Jesteśmy tutaj, całe i zdrowe!”

Mama i Dedé płakały za każdym razem, gdy wyruszałyśmy.

- To tylko plotki - mówiłam, próbując je pocieszyć.

- Głos ludu głosem Boga - odpowiadała mama, przypominając mi stare powiedzenie.

- Rufino, jeśli jest zbyt niebezpiecznie i chcesz się zatrzymać... -

Patria przesunęła się do krawędzi fotela. Przez przednią szybę nie było widać nic poza ścianą deszczu. - Możemy poczekać, aż burza się skończy.

- Nie, nie, nie zaprzatajcie sobie tym głowy! - Rufino prawie krzyczał, żebyśmy mogły go usłyszeć ponad dudnieniem deszczu. Jakimś sposobem jego słowa wcale nie dodały nam otuchy. - Będziemy w Puerto Plata przed południem!

- *Si Dios quiere** - przypomniała mu.

- *Si Dios quiere* - zgodził się.

* *Si Dios quiere* (hiszp.) - Jeśli Bóg zechce.

Pokrzepiający był widok młodego żołnierza kiwającego głową na znak zgody. Póki nie dodał:

- Bóg i Trujillo.

Była to pierwsza wizyta Patrii u Manola i Leandra, odkąd zostali przeniesieni. Zwykle w czwartki odwiedzała Pedrita, jadąc do La Victorii publicznymi środkami transportu, którymi mogła wrócić dopiero w piątek około południa. Mate i ja byliśmy już wtedy w drodze do Puerto Plata w towarzystwie jednej lub drugiej teściowej. Od kiedy plotki zaczęły się mnożyć, obie niemal dosłownie wprowadziły się do nas. Ich synowie kazali im obiecać, że nie spuszcza nas z oczu. Biedne kobiety.

Noc wcześniej Mate i ja siedzieliśmy same w pokoju, przygotowując się na dzisiejszą wyprawę i rozmawiając. Patria ciągle była w stolicy, a mały Dedé zachorował, więc została w domu, żeby się nim zaopiekować. Mate malowała mi paznokcie, kiedy usłyszałyśmy samochód wjeżdżający na podjazd. Jej ręka drgnęła tak, że cała górna część mojego kciuka została przemalowana na czerwono.

Przemknęłyśmy na palcach korytarzem do salonu i zobaczyłyśmy, że mama szczelnie zasuwiała żaluzje. Wszystkie odetchnęłyśmy z ulgą, słysząc głos Patrii, dziękującej za podwiezienie.

- Co ty wyprawiasz, podróżując tak późno w nocy! - rugała córkę mama, jeszcze zanim ta stanęła w drzwiach.

- Elsa też wracała dziś wieczorem - wyjaśniła Patria. - W samochodzie jechało już pięć osób, ale była tak miła, że upchnęła także

mnie. Chciałam móc jutro zobaczyć się z mężczyznami.

- Porozmawiamy o tym rano - oznajmiła mama swoim niepodlegającym dyskusji tonem, wyprasząc nas z pokoju przez zgaszenie światła.

W sypialni Patria mówiła tylko o Pedricie.

- *Ay, Dios mio*, ten człowiek był dziś taki romantyczny. - Podniosła ręce nad głowę i przeciągnęła się jak kot, całym ciałem.

- *Epa!* - podpuszczała ją Mate.

Patria uśmiechnęła się zadowolonym, rozmarzonym uśmiechem.

- Powiedziałam mu, że chcę jutro odwiedzić szwagrów, i dał mi pozwolenie.

- Patrio Mercedes! - wykrzyknęłam ze śmiechem. - Spytałaś o jego pozwolenie? Co może zrobić, żeby cię powstrzymać, skoro siedzi w więzieniu?

Patria spojrzała na mnie pytająco, jakby odpowiedź była oczywista.

- Mógł powiedzieć: „Nie, nie wolno ci jechać”.

Następnego ranka, gdy już prawie przekonałyśmy mamę, że nic nam się nie stanie, jeśli będziemy podróżować we trójkę, do domu wpadła zdyszana Dedé. Rozejrzała się wokół i dostrzegła oznaki naszego bliskiego wyjazdu. Jej wzrok padł na Patrię, która właśnie zakładała chustkę.

- A ty co tu robisz? - spytała.

Zanim Patria zaczęła tłumaczyć, w drzwiach stanął Rufino.

- Kiedykolwiek panie będą gotowe. Dzień dobry. - Skinął głową, widząc mamę i Dedé. Mama wymamrotała słowa powitania, ale Dedé obrzuciła szofera władczym spojrzeniem pani, której sługa był nieposłuszny.

- Jedziecie wszystkie trzy? - Dedé kręciła głową. - Co z dołą Fefitą? I z dołą Nena?

- Potrzebują odpoczynku - odparłam.

Nie dodałam, że będziemy się dziś rozglądać za domem. Nie

wtajemniczyłyśmy jeszcze teściowych, mamy, ani - Boże broń! - Dedé w nasze plany.

- Mamo, z całym szacunkiem, dlaczego jesteś na tyle szalona, żeby pozwalać im jechać samym?

Mama wyrzuciła ręce w górę.

- Znasz swoje siostry. - To wszystko, co powiedziała.

- Jak wygodnie - zauważyła Dedé z dużą dozą sarkazmu, przemierzając pokój. - Jak bardzo, bardzo wygodnie dla WSW mieć was wszystkie trzy siedzące ładnie na tylnym siedzeniu tego sfatygowanego jeepa, i to podczas burzy, na którą zanoszą się na północy. Może powinnam po prostu do nich zadzwonić? Czemu nie?

Rufino znów stał w drzwiach.

- Powinnyśmy iść - stwierdziłam, żeby oszczędzić mu konieczności ponaglania nas.

- *La bendición* - zwróciła się do mamy Patria.

- *La bendición, mis hijas* - pobłogosławiła nas mama i odwróciła się raptownie, żeby ukryć twarz, na której malowało się zmartwienie. Skierowała się w stronę sypialni.

Kiedy wychodziłyśmy, usłyszałam, jak gani dzieci, które lamentowały, rozczarowane, że nie bierzemy ich ze sobą na wycieczkę.

Dedé stała przy jeepie, tarasując nam drogę.

- Odchodzę już od zmysłów, martwiąc się o was. To ja będę zamknięta na zawsze, zobaczycie. W domu wariatów! - W jej głosie nie było krzty ironii.

- Do ciebie też będziemy przyjeżdżać w odwiedziny - powiedziałam, śmiejąc się. Ale potem, widząc jej zapłakaną, nieszczęśliwą twarz, dodałam: - Biedna Dedé.

Ujęłam jej twarz w swoje dłonie. Pocałowałam ją na pożegnanie i wsiadłam do jeepa.

Stałyśmy przy kasie, płacąc za nasze torebki. Bardzo skrupulatnemu młodemu sprzedawcy najwyraźniej nigdzie się nie śpieszyło i już raz przy ladzie pojawił się menedżer, żeby go ponaglić. Z niewyczerpaną

cierpliwością sprzedawca dokładnie zwijał paski, układał każdą torebkę na środku brązowej płachty papieru, którą wcześniej starannie wydarł z rolki, i rozpoczynał zaginanie rogów. Jak zahipnotyzowana patrzyłam na ruchy jego dłoni.

„Tak z pewnością Bóg tworzy swoje dzieła - pomyślałam. - Jakby nie był ograniczony czasem”.

Poprosiliśmy o pozwolenie, żeby pojechać dziś do Puerto Plata przez El Gallo, lekko nadkładając drogi. Znowu brakowało nam materiałów do szycia - potrzebowałyśmy nici w kilku kolorach, lamówek i guzików, żeby skończyć listopadowe zamówienia. Przeprawa przez góry zajmowała dużo czasu. Jeśli nerwy nas nie zawiodą, będziemy mogły nadgonić dziś trochę z ręcznymi ściegami.

Kiedy podeszliśmy, żeby zapłacić, sprzedawca pokazał nam nową dostawę włoskich torebek. Mate rozmarzyła się na widok jednej z nich: czerwonej, z lakierowanej skóry, z zatrzaskiem w kształcie serca. Ale oczywiście nie pozwoliłaby sobie na taką rozrzutność.

- Chyba że... - Podniosła na nas oczy.

Patria i ja też przeglądałyśmy zawartość gabloty. Była tam duża praktyczna czarna torba z niezliczonymi zasuwanyymi kieszeniami i przegródkami - coś wprost idealnego dla Patrii, zawsze wyposażonej w zapasy dobrej woli. Potem ja wypatrzyłam elegancką kopertówkę, która wyśmienicie nadałaby się dla młodej prawniczki. „Inwestycja w nadzieję” - pomyślałam.

- A może?

Popatrzyłyśmy na siebie jak niegrzeczne uczennice. Ostatni raz kupowałyśmy coś dla siebie jeszcze przed pobytem w więzieniu.

- Powinnyśmy - zdecydowała Mate. Nie chciała być jedyną, która trwoni pieniądze. Mnie nie trzeba było długo namawiać, ale Patria wycofała się w ostatniej chwili.

- Po prostu nie mogę. Tak naprawdę jej nie potrzebuję.

Poczułam lekką złość na jej dobroć, której nie chciałam - w tym momencie - naśladować.

Mężczyzna pakował torebkę Mate, stojąc z pochyloną głową. Zauważyłam jednak, że zerknął na nas przelotnie, a w jego oczach

pojawił się błysk rozpoznania. Hu ludzi - na ulicy, w kościele, w sklepach takich jak ten - wiedziało, kim jesteśmy?

- Nowe torebki. Znak nadchodzącego szczęścia!

„Następny, który żyje przyszłością” - pomyślałam. Poczułam, jak rumienię się ze wstydu, że przyłapano mnie na zakupach, podczas gdy powinnam knuć rewolucyjny spiszek.

Rufino, który wcześniej siedział w zaparkowanym przy chodniku samochodzie, teraz wszedł do środka.

- Lepiej już jedźmy. Chyba zanosi się na ulewę, a chciałbym mieć za sobą najgorszą część drogi, zanim się rozpada.

Młody mężczyzna podniósł głowę znad swojej pracy.

- Ale nie planujecie pokonywać dzisiaj przełęczy, prawda?

Ścisnęło mnie w żołądku. Potem jednak pomyślałam, że im więcej ludzi wie, tym lepiej.

- Zawsze jeździmy w piątki do Puerto Plata, żeby zobaczyć się z naszymi mężczyznami - odpowiedziałam mu.

Do kasy podszedł kierownik działu, uśmiechając się do nas niezszybczy i rzucając znaczące spojrzenia w stronę swojego pracownika.

- Kończ już tutaj, nie chcesz opóźnić odjazdu pań.

Młody ekspedient pośpieszył na zaplecze i natychmiast wrócił z naszą resztą. Skończył pakowanie mojej torebki.

Podając ją, popatrzył mi głęboko w oczy.

- Jorge Almonte - powiedział. - Wkładam wizytówkę do pani torebki, w razie gdyby kiedykolwiek czegoś panie potrzebowały.

Deszcz zelżał w chwili, gdy wjechaliśmy do La Cumbre, samotnej górskiej wioski, która wyrosła wokół jednej z rzadko używanych posesji Trujillo. Zdaniem niektórych ten dwupiętrowy dom z betonu położony na szczycie góry, nad skupiskiem małych palmowych chat, które wyglądały, jakby ostatkiem sił trzymały się urwiska, był dla El Jefe zbyt odosobniony. Wyciągałyśmy szyje za każdym razem, gdy był widoczny z drogi. Co spodziewałyśmy się zobaczyć? Młodą dziewczynę przywiezioną tu na przymusową randkę? Samego Trujillo

obchodzącego swe ziemie, uderzającego szpicrutą o cholewy lśniących butów?

Żelazna brama wjazdowa rozbłyskiwała pięcioma gwiazdkami umieszczonymi nad błyszczącym „T”. Kiedy mijaliśmy rezydencję, nasz młody pasażer zasalutował, chociaż w zasięgu wzroku nie było żadnych strażników.

Mijaliśmy nędzne palmowe chatki. Raz, gdy zatrzymaliśmy się, by rozprostować nogi, cała wioska zgromadziła się wokół nas, proponując na sprzedaż wszystko, co tylko chcemy kupić.

- Źle się dzieje - narzekali mieszkańcy, spoglądając w górę na wielki dom.

Rufino zjechał na pobocze, wysiadł z jeepa i zwinął boczne klapy. Do środka wpadł powitalny powiew wiatru, a razem z nim zapachy wilgotnej roślinności.

- Może chciałyby się panie zatrzymać? - spytał Rufino, zanim wsiadł z powrotem.

Patria była pewna, że nie chce się zatrzymywać. Jechała pierwszy raz, a droga wyglądała na swój sposób złowieszczo, póki się do niej nie przyzwyczaiło.

Akurat w momencie, gdy wjeżdżaliśmy w zakręt, na odcinku drogi, z którego najlepiej widać było dom, podniosłam oczy w górę.

- Ejże, patrzcie, kto tu jest! - zawołałam, wskazując na wielkiego białego mercedesa, który stał przed frontowymi drzwiami.

Wszystkie trzy w tej samej chwili zrozumialiśmy, co to znaczy. Czekala na nas zasadzka! Z jakiego innego powodu Peña miałby być w La Cumbre? Widzieliśmy go tego samego ranka w Santiago, kiedy odbieraliśmy nasze zezwolenia. Osobisty przyjaciel Patrii nie wspominał, że jedzie w naszą stronę.

Nie mogliśmy teraz zawrócić. Czy byliśmy śledzeni? Wystawiliśmy głowy za okno, by przyjrzeć się, co się znajduje przed nami i za nami.

Patria zaczęła odmawiać modlitwę o pomoc w trudnym położeniu:

- „Oddaję się opiece Marka Ewangelisty.

Zdałam sobie sprawę, że powtarzam bezgłośnie jej niemądre słowa.

Panika ogarniała kolejno palce moich stóp, wnętrzości, gardło. Z mojej klatki piersiowej wydobyła się grzmiąca eksplozja kaszlu. Mate już dyszała, przeszukując torebkę w poszukiwaniu lekarstw. Brzmiałyśmy jak mobilne sanatorium.

Rufino zwolnił.

- Czy mamy się zatrzymać przy trzech krzyżach?

Przed nami na poboczu ustawione były trzy białe krzyże upamiętniające ofiary ostatniego wypadku. Nagle wydało mi się to idealnym miejscem na zasadzkę. Ostatnim, gdzie powinniśmy się zatrzymywać.

- Jedź dalej, Rufino - powiedziałam i łyknęłam wielki haust wiejącego na nas chłodnego powietrza.

Żeby skoncentrować się na czymś innym, Mate i ja zaczęłyśmy przekładać zawartość naszych starych torebek do nowych. Wpadła mi do ręki wizytówka: „Jorge Almonte, pracownik obsługi El Gallo”. W prawym górnym rogu piało złote logo z kogutem. Odwróciłam wizytówkę. Słowa były wypisane pośpiesznie, wielkimi literami: „UNIKAJCIE PRZEŁĘCZY”. Ręka mi zadrżała. Nie powiedziałam pozostałym. To by tylko pogorszyło sprawę, a astmatyczny oddech Mate właśnie zaczął się uspokajać.

Ale w mojej głowie wszystko zaczęło układać się w całość. To było jak scena z filmu, która nagle ku mojemu przerażeniu stała się rzeczywistością. Młody żołnierz to wtyczka. Jakże głupie byliśmy, zabierając go z samotnej wiejskiej drogi.

Zaczęłam zadawać mu pytania, próbując przyłapać go na kłamstwie. O której musiał stawić się w forcie i dlaczego łapał autostop, zamiast pojechać wojskową ciężarówką? W końcu odwrócił się do mnie. Poznałam, że ma na końcu języka coś, co boi się powiedzieć. Sądziłam, że zaraz uda mi się to z niego wydusić.

- O co chodzi? Możesz mówić.
- Zadajesz więcej pytań niż *mi mujer*, kiedy wracam do domu - wypalił. Poczzerwieniał od nieprzyzwoitej sugestii, że mogę być jak jego żona.

Patria się zaśmiała i poklepała mnie po głowie swoją ubraną w rękawiczkę dłonią.

- Ten *coco* spadł prosto na twoją głowę.

Widziałam, że ona też jest teraz co do niego pewniejsza.

Słońce przebiło się przez chmury i snopy światła padały jak błogosławieństwa na odległą dolinę. „Arka Jego przymierza” - pomyślałam. Nie zniszczę moich ludzi, dając wiarę wszystkim tym niedorzecznym pogłoskom.

Żeby nas zabawić, Mate zaczęła opowiadać zagadki, których „z pewnością jeszcze nie słyszeliśmy”. Pozwoliliśmy jej na to. Potem Rufino, który wiedząc, jak Mate je kocha, zawsze starał się mieć jakąś w zanadrzu, podsunął jej nową. Zbliżaliśmy się teraz do wybrzeża, okolica stała się bardziej zaludniona, a w powietrzu czuć było zapach oceanu. Samotne chatki ustąpiły miejsca drewnianym domom ze świeżo malowanymi okiennicami i cynkowymi dachami, na których widniały napisy: „Ron Bermúdez”* i „Bóg i Trujillo”.

* Ron Bermúdez - marka rumu produkowanego w Republice Dominikańskiej.

Nasz żołnierz śmiał się głośno z zagadek, chociaż nigdy nie trafiał z odpowiedziami. Sam też jedną nam zadał. Okazała się o wiele bardziej nieprzyzwoita niż którakolwiek z tych opowiadanych przez Mate!

Rufino był oburzony.

- *A Dio!*, zapominasz, że w samochodzie są damy?

Patria pochyliła się do przodu, poklepując dłońmi oba męskie ramiona.

- Spokojnie, Rufino, każde jajko potrzebuje trochę pieprzu.

Wszyscy wybuchliśmy śmiechem, czując ulgę, że udało się rozładować napięcie, które w sobie tłumiliśmy.

Mate skrzyżowała nogi i machała nimi w górę i w dół.

- Będziemy musieli się zatrzymać, jeśli zaraz nie przestaniecie mnie rozśmieszać.

Słysnęła ze swojego małego pęcherza. W więzieniu musiała się nauczyć nad nim panować, ponieważ nie przepadała za wychodzeniem do latryny z nieznanymi strażnikami w środku nocy.

- Wszyscy proszeni o powagę - zakomenderowałam. - Bo tutaj na pewno nie możemy się zatrzymać.

Znajdowaliśmy się teraz na peryferiach miasta. Jaskrawo pomalowane ładne domy stały na swoich zadbanych działkach, jeden obok drugiego. Deszcz obmył trawnik i płoty, które połyskiwały szmaragdową zielenią. Wszystko, co widziałam, napawało mnie świeżą radością. Grupki dzieci bawiły się w kałużach na ulicy. Na widok nadjeżdżającego jeepa rozbiegły się w obawie, by ich nie ochlapano. Kierując się impulsem, zawołałam do nich:

- Jesteśmy tu, cali i zdrowi!

Przerwały zabawę i spojrzały w górę. Ich twarzyczki wyrażały konsternację - nie wiedziały, co o nas sądzić. Ale ja machałam do nich tak długo, aż odmachały.

Poczułam zawrót głowy, jakby udzielono mi odroczenia moich najgorszych obaw. Kiedy Mate potrzebowała kawałka papieru na niepotrzebną już gumę do żucia, wyjęłam wizytówkę Jorgego.

Manolo był zły na swoją matkę, że pozwoliła nam na samotną podróż.

- Obiecała, że nie puści was z oka.

- Ale, kochanie - powiedziałam, otulając jego dłonie swoimi - pomyśl racjonalnie. Co mogłaby zrobić doña Fefita, żeby mnie ochronić, gdybym już znalazła się w niebezpieczeństwie?

Oczami wyobraźni zobaczyłam na chwilę absurdalny obraz starszej, raczej korpulentnej kobiety uderzającej po głowie agenta WSW swoją nieodłączną czarną torebką.

Manolo cały czas ciągnął się za ucho w nerwowym odruchu, który nabył w więzieniu. Poruszyło mnie, kiedy zobaczyłam, jak jawny

wpływ wywarły na nim miesiące cierpienia.

- Obietnica to obietnica - podsumował, wciąż urażony.

O Boże, następnym razem czeka mnie sprzeczka i łkanie doñi Fe-fity przez całą drogę do domu.

Twarz Manola zaczęła nabierać kolorów. To było zdecydowanie lepsze więzienie - jaśniejsze, czystsze niż La Victoria. Każdego dnia nasi przyjaciele, Rudy i Pilar, przysyłali mężczyznom gorący posiłek, po którego zjedzeniu było im wolno spacerować przez pół godziny naokoło więziennego podwórza. Leandro, inżynier, żartował, że on i Manolo mogliby do tej pory rozgnieść ponad tonę trzciny cukrowej, jeśliby połączyć ich uprzężą jak parę wołów.

Usiedliśmy w kółku na małym dziedzińcu, gdzie zazwyczaj przyprowadzano nas na wizytę, gdy była dobra pogoda. Nie wiedzieć czemu mimo niedawnej burzy i późno popołudniowej pory na niebie ukazało się słońce. Świeciło na baraki pomalowane na kolor groszkowej zieleni, przypominające kształtem ameby, przez co wyglądały niemal zabawnie; na bajkowe wieże, na których powiewały ustawione w rzędzie flagi; na kraty lśniące tak jasno, jakby ktoś zadał sobie trud, żeby je wypolerować. Jeśli nie pozwoliłeś sobie myśleć, czym to miejsce było, mogłeś niemal zobaczyć je w obiecującym świetle.

Patria niezobowiązująco podjęła temat:

- Czy mówiono wam coś o przeniesieniu z powrotem?

Leandro i Manolo wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Czy Pedrito coś słyszał?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy - uspokoiła ich Patria. A potem popatrzyła na mnie, czekając, aż przekażę informację zasłyszaną od młodego żołnierza w samochodzie: dwóch politycznych ma wrócić do La Victorii za kilka tygodni.

Ale ja nie chciałam ich martwić. Zamiast tego zaczęłam opisywać wymarzony mały domek, który wcześniej oglądałyśmy. Patria i Mate się przyłączyły. Nie powiedziałyśmy tylko mężczyznom, że w końcu go nie wynajęłyśmy. Nie chciałyśmy tego robić, na wypadek gdyby rzeczywiście mieli zostać przeniesieni z powrotem do La Victorii. Przed moimi oczami pojawiła się wizja dużego białego mercedesa

zaparkowanego przy drzwiach rezydencji w La Cumbre. Pochyliłam się do przodu, chcąc fizycznie zostawić ten obraz z tyłu głowy.

W dali dał się słyszeć metaliczny szczepek otwieranych drzwi. Zbliżały się kroki, słychać było wykrzyczane pozdrowienia, trzask, a potem grzmot salw z karabinów. Zmiana straży.

Patria otworzyła torebkę i wyjęła chustkę.

- Panie, zapadają nocy cienie, wędrowiec żegna więzienie...
- Ładny wiersz. - Zaśmiałam się, żeby uczynić tę chwilę weselszą. Tak trudno mi było się pożegnać.
- Chyba nie wracacie dziś w nocy? - Manolo wyglądał tak, jakby ten pomysł nie mieścił mu się w głowie. - Jest za późno, żeby wyruszać. Chcę, żebyście zostały u Rudy'ego i Pilar i wróciły jutro.

Dotknęłam jego szorstkiego policzka wierzchem dłoni. Zamknął oczy, poddając się mojemu dotykowi.

- Nie musisz się tak martwić. Patrz, jakie czyste jest niebo. Jutro pewnie znowu zerwie się tak samo silna burza. Lepiej, żebyśmy pojechali do domu dziś wieczorem.

Wszyscy popatrzyliśmy w górę na ciemniejące, złote niebo. Parę niskich chmur przemieszczało się po nim szybko, jakby one też chciały wrócić do domu przed nastaniem nocy.

Nie podałam mu prawdziwego powodu, dla którego nie chciałam zostawać z jego przyjaciółmi. Kiedy jeździliśmy po okolicy, oglądając domy, Pilar zwierzyła mi się, że interes Rudy'ego był na skraju upadku. Nie musiała podawać przyczyny, żebym sama się jej domyśliła. Dla ich dobra powinniśmy zachować wobec nich większy dystans.

Manolo chwycił mnie obiema rękami za głowę. Chciałam zatracić się w jego smutnych, ciemnych oczach.

- Proszę, *mi amor*. Słyszysz się za dużo plotek.
- Jeśli dałbyś mi peso za każde przeczcucie, sen, ostrzeżenie, które usłyszałyśmy w tym miesiącu, mogłybyśmy... - zaczęłam swoją polemikę.
- Kupić sobie następny zestaw torebek. - Mate podniosła do góry swoją i skinęła na mnie, żebym zrobiła to samo.

Wtedy usłyszeliśmy wezwanie.

- Czas! - Strażnicy się zbliżyli, a ich beznamienne, puste twarze nie okazywały nam żadnego zainteresowania. - Czas!

Wstaliśmy, wypowiedzieliśmy pośpiesznie słowa pożegnania, wyszeptaliśmy modlitwy i czułości. Pamiętaj... Nie zapominaj... *Dios te bendiga, amor*. Ostatnie objęcie, zanim zostali odprowadzeni. Szybko umykające światło. Odwróciłam się, żeby zobaczyć ich jeszcze raz, ale zniknęli już w barakach na końcu podwórza.

Zatrzymaliśmy się przy niewielkiej restauracji koło stacji paliw na drodze wylotowej z miasta. Parasole zostały już złożone na noc i można było usiąść tylko przy małych stolikach. Ponieważ Mate i Patria były spragnione i potrzebowały orzeźwienia, ja poszłam zatelefonować. Linia była zajęta.

Paradowałam w tę i we w tę przed aparatem telefonicznym, tak jak się to robi, żeby przypomnieć rozmawiającemu, że inni też chcieliby skorzystać z telefonu. Ale ani mama, ani Dedé nie mogły wiedzieć, że czekam, aż zwolnią linię.

- Ciągłe zajęta - oznajmiłam siostrze, wróciwszy do stolika.

Mate podniosła nasze nowe torebki z dodatkowego krzesła.

- No chodź, usiądź z nami.

Ale ja nie mogłam usiąść. Sądzę, że w końcu zaczął mi się udzielać niepokój, który przemawiał ostatnio przez wszystkich.

- Poczekaj jeszcze pięć minut - zasugerowała Patria.

Wydawało się to dość rozsądne. Za pięć minut osoba zajmująca linię na pewno się rozłączy. Jeśli nie, będzie to oznaczało, że jedno z dzieci źle odłożyło słuchawkę, a ktoś może wiedzieć, kiedy Tono czy Fela to odkryją.

Rufino odchylił się do tyłu w swoim fotelu, ze skrzyżowanymi ramionami. Co jakiś czas patrzył w niebo, kontrolując czas.

- Chyba napiję się piwa - zdecydowałam w końcu.

- *Epa!* - powiedziała Mate. Piła lemoniadę przez słomkę, wdzięcznie jak dziewczynka, próbując przedłużyć chwilę słodkiej

przyjemności. Wiedziałam już, że będziemy się dziś zatrzymywać jeszcze przynajmniej jeden raz.

- Rufino, może pan też ma ochotę?

Odwrócił wzrok - znak, że rzeczywiście chciałby się napić zimnego piwa, ale był zbyt nieśmiały, żeby to przyznać. Poszłam więc do baru po nasze dwa presidente. Spróbowałam znów wykręcić domowy numer, podczas gdy uprzejmy właściciel wygrzebywał dwa najlepiej schłodzone piwa ze spodu głębokiej lodówki.

- Ciągle zajęta - oznajmiłam po powrocie.

- Minervo! - Patria potrząsnęła głową. - Nie minęło jeszcze pięć minut.

Popołudnie ustępowało wczesnemu wieczorowi. Poczulałam chłodniejsze powietrze nocy spływające z góry. Nie wzięłyśmy naszych szali. Wyobraziłam sobie mamę, która właśnie teraz widzi je okrywające swoimi żywymi kolorami oparcia krzeseł i jeszcze raz podchodzi do okna, wypatrując świateł samochodu.

Musiałyby minąć telefon. Zobaczyłyby, że słuchawka nie leży na widelkach. Westchnęłyby i odłożyła ją na miejsce. Wróciłam, żeby spróbować jeszcze raz.

- Poddam się - powiedziałam, gdy wróciłam. - Myślę, że powinniśmy po prostu jechać.

Patria spojrzała na górę. Za nią była jeszcze jedna i jeszcze jedna, ale potem byłybyśmy w domu.

- Jestem trochę niespokojna. Chodzi o to, że ta góra jest taka... opuszczona.

- Zawsze taka jest - poinformowałam ją. Weteranka podróży przez przełęcz.

Mate dopiła swój napój i wessała cukier przez słomkę, wydając przy tym niekulturalny dźwięk.

- Obiecałam Jacqui, że utulę ją dzisiaj do snu - powiedziała marudnym tonem.

Od kiedy wróciliśmy do domu z więzienia, Mate ani razu nie pozwoliła, by jej mała usnęła bez niej.

- Co pan o tym sądzi, Rufino? - spytałam.

- Na pewno możemy dojechać do La Cumbre przed zmierzchem. Stamtąd już cały czas jedzie się w dół. Ale to zależy od pań - dodał, nie chcąc wyrażać osobistych preferencji.

Niewątpliwie jego własne łóżko z Delisą tulącą się do jego boku było lepsze od łóżka polowego w małym pokoiku dla służby na tyłach ogrodu Rudy'ego i Pilar. On też miał dziecko. Uderzyło mnie, że nigdy go nie spytałam, w jakim jest wieku i czy to chłopiec, czy dziewczynka.

- W takim razie jedźmy - zdecydowałam, ale wciąż widziałam wahanie na twarzy Patrii.

Właśnie wtedy ciężarówka Robót Publicznych wjechała na stację. Wsiadło z niej trzech mężczyzn. Jeden skierował się do cuchnącej toalety, z której kiedyś byliśmy zmuszone skorzystać, a wtedy obiecałyśmy sobie, że to był ostatni raz. Dwóch innych podeszło do lady, rozprostowując nogi i poprawiając krok w spodniach, jak to robią mężczyźni po wyjściu z samochodu.

Ciepło przywitali się z właścicielem, przechylając się przez ladę i obejmując go ramieniem.

- Jak się masz, *compadre*? Nie, nie, nie możemy zostać. Spakuj nam tuzin tych smażonych kawałków wieprzowiny. Właściwie podaj nam parę do zjedzenia na miejscu.

Właściciel rozmawiał z mężczyzną, jednocześnie realizując zamówienie.

- Dokąd jedziecie o tej porze, chłopcy?

Kierowca wziął w rękę duży kawałek smażonej skórki.

- Ciężarówki mają być w Tamboru przed zmierzchem. - Mówił z pełnymi ustami. Kiedy skończył jeść, oblizał tłuste palce, a potem wysupłał z tylnej kieszeni chusteczkę, żeby wytrzeć twarz. Tito! Gdzie ten Tito? - Odwrócił się i przecesał wzrokiem stoliki.

Jego spojrzenie padło na nas.

Uśmiechnęłyśmy się, a on zdjął czapkę i przycisnął ją do serca. Flirciarz. Wsparty o samochód Rufino opiekuńczo wyprostował się na swoim posterunku.

Kiedy Tito wybiegł zza pomp paliwowych, jego kumple siedzieli

już w środku ciężarówki, która właśnie ruszała.

- Czy człowiek nie może się w spokoju wysrać?! - zawołał, ale ciężarówka się nie zatrzymała i musiał wykonać skomplikowaną akrobację, by wskoczyć na stopień pasażera. Byłam pewna, że odgrywali już ten skecz przed niejedną damą. Zatrąbili, kiedy wyjechali na drogę.

Popatrzyliśmy na siebie. Ich beztroska w jakiś sposób sprawiła, że poczuliśmy się bezpieczniej. Będziemy jechać za tą ciężarówką przez całą drogę, aż przedostaniemy się na drugą stronę gór.

Nagle górską drogą nie wydawała się taka opuszczona.

- Jak myślicie? - powiedziałam, wstając. - Powinnam spróbować jeszcze raz?

Spojrzałam w kierunku telefonu.

Patria stanowczym ruchem zatrzasnęła torebkę.

- Po prostu jedźmy.

Pomknęliśmy w stronę jeepa, śpiesząc się, jakbyśmy musieli dogonić tę ciężarówkę. Nie wiem, jak to dokładnie wyrazić, ale czułam się tak, jakbyśmy znów były dziewczynkami, przechodzącymi przez zacienioną część ogrodu, trochę przestraszonymi, trochę podekscytowanymi swoim strachem, oczekującymi rozświetlonego domu tuż za rogiem...

Tak się czułam, kiedy wjeżdżaliśmy na pierwszą górę.

EPILOG

Dedé

1994

Później przychodzili do starego domu w Ojo de Agua i nalegali, żeby się ze mną zobaczyć. Czasem, gdy chciałam od tego odetchnąć, spędzałam parę tygodni z mamą w Conuco. Posługiwałam się wymówką, że przeszkadzają mi hałas, kurz i całe zamieszanie przy budowie pomnika. Ale tak naprawdę nie do zniesienia było dla mnie zarówno przyjmowanie ich, jak i odprawianie.

Przychodzili ze swoimi opowieściami o tym popołudniu - niski żołnierz z zepsutymi zębami, strzelający kłykciami, który jechał z nimi samochodem przez przełęcz; sprzedawca z El Gallo, cały w ukłonach, który sprzedał im torebki i próbował ostrzec, żeby nie jechały; kierowca ciężarówki o szerokich plecach i chrapliwym głosie, będący świadkiem zasadzki na drodze. Wszyscy chcieli dać mi coś z ostatnich chwil dziewcząt. Każdy gość łamał moje serce na nowo, ale mimo to siedziałam w bujanym fotelu i słuchałam tego, co mieli do powiedzenia.

Przynajmniej tyle mogłam zrobić jako jedyna ocalała.

W miarę jak mówili, w mojej głowie układał się przebieg wydarzeń tego popołudnia.

Wygląda na to, że wyjechali z miasta po czwartej trzydzieści, ponieważ ciężarówka, która wyprzedziła ich na górskiej drodze, odbiła kartę zegarową w lokalnym wydziale Robót Publicznych o czwartej

trzydzieści pięć. Zatrzymali się w małym przydrożnym zajeździe. Właściciel mówił, że czymś się martwili, nie wiedział czym. Wysoka kobieta kilkakrotnie podchodziła do telefonu, dużo przy tym mówiąc.

Właściciel za dużo wypił, kiedy mi to opowiadał. Siedział na krześle naprzeciw mnie, a po każdym wypowiedzianym przez niego zdaniu jego żona pocierała okolice oczu. Wymienił mi wszystko, co zamawiały. Twierdził, że mogę chcieć to wiedzieć. Dodał, że w ostatniej chwili ta urocza kobieta z warkoczami zdecydowała się na paczuszkę gum do żucia za dziesięć centów: cynamonowych, żółtych i zielonych. Gmerał w słoju, ale nie mógł się doszukać cynamonowych. Nigdy sobie nie wybaczy, że ich nie znalazł. Jego żona zapłakała z żalu nad małymi rzeczami, które mogły umilić dziewczętom ostatnie chwile. Ich sentymentalność była nadmierna, ale słuchałam i dziękowałam im za przybycie.

Wygląda na to, że na początku jeep jechał pod górę za ciężarówką.

Potem, gdy ta zwolniła z powodu nachylenia, minął ją i pomknął dalej, znikając na pełnej zakrętów drodze. Potem najwyraźniej ciężarówka natknęła się na zasadzkę. Niebiesko-biały austin zablokował część drogi, jeep musiał się zatrzymać. Kobiety, jak to ujął kierowca ciężarówki, „pokojowo” odprowadzono w stronę samochodu. Musiał zahamować, żeby na nich nie wjechać, i wtedy jedna z nich („mała, pulchna” - myślę, że to musiała być Patria) wyrwała się porywaczom i podbiegła do ciężarówki. Uczępiła się drzwi, krzycząc:

- Powiedz rodzinie Mirabalów w Salcedo, że *calies* chcą nas zabić!

Zaraz dopadł ją jeden z ludzi, oderwał jej rękę od drzwi i zaciągnął z powrotem do samochodu.

Wygląda na to, że w chwili, kiedy kierowca usłyszał słowo „*calies*”, zatrzasnął drzwi, które już zaczął otwierać. Minął ich, posłuszny rozkazującym gestom jednego z agentów. Miałam ochotę spytać: „Dlaczego się nie zatrzymałeś i nie pomogłeś?”.

Ale oczywiście nie zrobiłam tego. Mimo to dostrzegłam pytanie w

moich oczach i pochylił głowę.

Wszystko to wyszło na jaw podczas procesu morderców ponad rok po tym, jak Trujillo zniknął. Nawet wtedy pojawiło się jednak kilka wersji. Każdy z pięciu mężczyzn twierdził, że pozostali byli bardziej mordercami niż on. Jeden utrzymywał, że w ogóle nikogo nie zabili. Zabrali tylko dziewczęta do rezydencji w La Cumbre, gdzie El Jefe dokończył dzieła.

Proces emitowano w telewizji każdego dnia niemal przez miesiąc.

W końcu trzech morderców przyznało się do zabicia, każdy jednej z sióstr Mirabal. Czwarty uśmiercił kierowcę, Rufina. Piąty stał na poboczu drogi, żeby ostrzec pozostałych, gdyby ktoś nadchodził. Na początku każdy mówił, że to właśnie on jest tym o najczystszych dłoniach.

Nie chciałam słyszeć, jak to zrobili. Widziałam ślady na gardle Minervy, a na bladej szyi Mate, bezsprzecznie - odciski palców. Kiedy zaczęłam obcinać jej włosy, zobaczyłam, że tłukli je też pałkami. Zabili je, to nie ulega kwestii. Ale nie wierzę w to, że zgwałcili moje siostry, nie. Sprawdziłam najlepiej, jak umiałam. Myślę, że można powiedzieć, iż pod tym względem zachowali się jak mordercy džentelmeni.

Kiedy było po wszystkim, posadzili dziewczęta z powrotem na tylnych siedzeniach jepea, a Rufina w fotelu kierowcy. Za ostrym zakrętem, niedaleko miejsca, gdzie stały trzy krzyże, pchnęli samochód z urwiska. Była siódma trzydzieści. Wiem to dlatego, że jeden z moich gości, Mateo Nuñez, zaczynał właśnie słuchać świętego różańca w swoim małym radiu, kiedy usłyszał okropny huk.

Dowiedział się o procesie morderców z tego samego radia. mSzedł ze swojej odległej górskiej chałupy z butami w papierowej torbie, żeby ich nie zniszczyć. Musiało mu to zająć parę dobrych dni. Tu i tam ktoś go podwiózł, czasem w złą stronę. Rzadko zapuszczał się poza tę górę. Zobaczyłam go przez okno, kiedy przystanął, żeby założyć buty i stawić się w moich progach należycie ubrany. Podał mi

dokładną godzinę, po czym wydał z siebie grzmiący odgłos spadającego jeepa, ruchem ręki zakreślając tor jego lotu. Potem odwrócił się i skierował z powrotem w stronę swojej góry.

Przebył całą tę drogę tylko po to, żeby mi to powiedzieć.

Mężczyźni zostali skazani na dwadzieścia albo trzydzieści lat, przynajmniej na papierze. Nie mogłam pojąć, dlaczego ci sami mordercy dostali różne kary. Przypuszczalnie dwadzieścia lat przyznano temu na drodze. Może inny okazał skruchę w sądzie. Nie wiem. Ale i tak nie odbywali swoich wyroków zbyt długo. Wszystkich uwolniono podczas serii rewolucji, które urządzaliśmy sobie regularnie, jakbyśmy chcieli dowieść, że potrafimy się nawzajem zabijać nawet bez dyktatora każącego nam to robić.

Po tym, jak ich skazano, ludzie ci udzielali wywiadów, które cały czas transmitowano w wiadomościach. Co mordercy siostr Mirabal myślą o tym i o tamtym? Przynajmniej tak słyszałam. Nie mieliśmy telewizora, a ten u mamy włączaliśmy tylko w porze emisji bajek. Imiona morderców ani razu nie przeszły przez moje usta. Nie chciałam, żeby dzieci dorastały w nienawiści, żyjąc przeszłością. Chciałam, żeby miały to, co pragnęłyby dać im ich matki: szansę na szczęście.

Od czasu do czasu Jaimito przynosił mi gazetę, żebym mogła zobaczyć wszystkie wspaniałe zmiany dokonujące się w kraju. Ale ja zwijałam ją w rulonik, najciaśniej, jak mogłam, i używałam do zabijania much. W ten sposób umknęło mi kilka ważnych wydarzeń. Dzień, w którym Trujillo zginął w zamachu przeprowadzonym przez siedmiu mężczyzn; niektórzy z nich byli jego dawnymi kolegami. Dzień, w którym wypuszczono z więzienia Manola i Leandra (Pedrito był już wtedy wolny). Dzień, w którym reszta rodziny Trujillo uciekła z kraju. Dzień, w którym ogłoszono nasze pierwsze od trzydziestu jeden lat wolne wybory.

- Nie chcesz o tym wszystkim wiedzieć? - pytał Jaimito, uśmiechając się i próbując zarazić mnie entuzjazmem. Albo raczej dać

mi nadzieję.

Odwzajemniałam jego uśmiech, wdzięczna za troskę.

- Po co, skoro mogę usłyszeć to wszystko od ciebie, mój najdroższy?

Nie żebym naprawdę słuchała, kiedy on mówił i mówił, powtarzając to, co było w gazetach. Udawałam, kiwając głową i uśmiechając się z fotela. Nie chciałam zranić jego uczuć. Ostatecznie wszystkich pozostałych słuchałam.

Ale problem tkwił w tym, że nie mogłam już pomieścić ani jednej historii więcej.

Słyszę Minou, szykującą się do snu w dawnym pokoju swojej matki. Przez otwarte okna wybija regularny takt wieści ze swojego życia, których nie miałam jeszcze okazji usłyszeć od czasu naszej ostatniej rozmowy. Nowa linia wygodnych ubrań zaprojektowana przez nią dla jej sklepu w stolicy; kurs z poezji i polityki, który prowadzi na uniwersytecie; piękne niemowlę Jacqueline i przebudowa jej poddasza; projekty rolnicze, którymi teraz zajmuje się Manolito - sami inteligentni młodzi ludzie zarabiający dużo pieniędzy. „Nie są jak my” - myślę. Prawie od początku wiedzieli, że muszą zdobyć świat.

- Czy ja cię nudzę, mamó Dedé?

- Ani trochę! - odpowiadam, bujając się do przyjemnego rytmu jej słów.

„Małe nowinki, oto, co lubię - mówię im. - Przynoście mi małe nowinki”.

Czasem przychodzili tylko po to, żeby uświadomić mi, w jaki szal wtedy wpadłam. Żeby powiedzieć: „Ay, Dedé, powinnaś była się widzieć tego dnia”.

W noc poprzedzającą tamte wydarzenia w ogóle nie spałam. Jaime David był chory, gorączkował i gdy się wybudzał, trzeba było podawać mu wodę do picia. Ale to nie z jego powodu nie mogłam usnąć. Za każdym razem, gdy mnie wołał, byłam już na nogach. W końcu

wysłałam na *galería* i czekałam na świt, jednostajnie bujając się w fotelu, jakbym chciała przywołać dzień. Sądziłam, że martwię się o mojego małego.

Wtedy delikatne migotanie przeszło niebo. Słuchałam, jak płozy fotela stukoczą o płytki, jak kogut wydobywa z siebie pojedyncze pienie, jak w oddali, ale coraz bliżej, tętnią kopyta. Przebiegłam całą werandę i znalazłam się na froncie domu. Nie było wątpliwości: to parobek mamy galopował na mule, z nogami zwisającymi prawie do ziemi. Śmieszne, co się pamięta jako największy wstrząs. Nie posłańca pojawiającego się o złowieszczej porze wczesnego świtu, gdy rosa jeszcze gęsto pokrywa trawę. Nie. Najbardziej wstrząsnęło mną to, że komuś udało się zmusić naszego niewiarygodnie upartego muła do galopu.

Chłopak nawet nie zsiadł. Krzyknął tylko:

- Doña Dedé, matka prosi, żeby pani natychmiast przyjechała!

Nie spytałam go dlaczego. Może już się domyślałam? Szybko weszłam z powrotem do domu, do naszej sypialni, szarpnięciem otworzyłam szafę, zdjęłam czarną sukienkę z wieszaka, rozrywając prawy rękaw, i obudziłam Jaimita swoim rozpaczliwym płaczem.

Kiedy wjechaliśmy na podjazd, zobaczyliśmy mamę wybiegającą z domu, a razem z nią wszystkie dzieci. Nie pomyślałam od razu: „Dziewczęta”. Pomyślałam, że wybuchł pożar, i zaczęłam ich przeliczać, sprawdzając, czy wszyscy są na zewnątrz.

Dzieci płakały, jakby właśnie zrobiono im zastrzyki. Minou oderwała się od reszty i pobiegła w stronę ciężarówki, tak że Jaimito musiał hamować z piskiem opon.

- Panie, chroń nas! Co się dzieje? - Pobiegłam do nich z otwartymi ramionami. Ale one stanęły w miejscu ze zdumienia, prawdopodobnie na widok przerażonego wyrazu mojej twarzy, który pojawił się, kiedy zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak. - Gdzie one są?! - wykrzyknęłam.

A wtedy mama zwróciła się w moją stronę, lamentując:

- Ay, Dedé, powiedz mi, że to nieprawda, powiedz, że to nieprawda.

I zanim zdążyłam się zastanowić, o czym mówi, zapewniłam:

- To nieprawda, mamó, to nieprawda.

Tego ranka dostarczono jej pilny telegram. Odkąd został jej odczytany, mama nigdy go już nie znalazła, ale zapamiętała każde słowo.

Zdarzył się wypadek samochodowy. Proszę się stawić w Szpitalu im. José Marii Cabrera w Santiago.

Moje serce było jak uwięziony w klatce piersiowej ptak, który nagle zaczął śpiewać. Nadzieja! Wyobraziłam sobie złamane nogi na wyciągu, ręce w gipsie, mnóstwo bandaży. W myślach już przearanżowałam dom tak, by mieć gdzie położyć każdą z siostr na czas rekonwalescencji. Trzeba będzie uprzątnąć salon i wносить je tam w czasie posiłków.

Podczas gdy Jaimito sączył kawę, którą przygotowała mu Tono - nie chciałam czekać w domu, aż nierozgarniętej Tinicie uda się rozpaścić ogień - mama i ja uwijałyśmy się z pakowaniem torby, którą miałyśmy wziąć do szpitala. Będą potrzebowały koszul nocnych, szczoteczek do zębów, ręczników. W nerwowym pośpiechu dopakowałam też najdziwniejsze rzeczy: ulubione kolczyki Mate, lek na kaszel, po jednym biustonoszu.

Nagle usłyszałyśmy samochód wjeżdżający na podjazd. Przez nasze szpiegowskie żaluzje - jak nazywałyśmy frontowe okno - rozpoznałam mężczyznę doręczającego telegramy. Powiedziałam:

- Mamó, pójdę sprawdzić, czego chce.

Szybko podeszłam na koniec podjazdu, żeby mężczyzna nie zdążył podejść bliżej domu. Dopiero co udało nam się uspokoić dzieci.

- Dzwoniliśmy. Nie mogliśmy się połączyć. Słuchawka jest źle odłożona czy coś w tym rodzaju.

Odwlekał ten moment, widziałam to. W końcu wręczył mi małą kopertę z okienkiem, a potem odwrócił się do mnie plecami, ponieważ nie można patrzeć na mężczyznę, gdy płacze.

Rozdarłam ją, wyjęłam żółty papier, przeczytałam każde słowo.

Wraciałam do domu tak wolno, że nie wiem, jak w ogóle udało mi się tam dotrzeć.

Mama podeszła do drzwi, a ja powiedziałam:

- Mamo, torba nie będzie potrzebna.

Na początku strażnicy stojący przed kostnicą nie chcieli mnie wpuścić. Mówili, że nie jestem najbliższym żyjącym krewnym.

Powiedziałam im:

- Wejdę tam, nawet jeśli mam zostać najdalszym martwym krewnym. Zabijcie mnie też, jeżeli chcecie. Nie dbam o to.

Strażnicy się cofnęli. „Ay, Dedé, powinnaś się wtedy zobaczyć” - mówili potem przyjaciele.

Nie mogę sobie przypomnieć połowy z tego, co wykrzykiwałam, kiedy je zobaczyłam. Rufino i Minerva leżeli na szpitalnych łóżkach, Patria i Mate na matach na podłodze. Byłam wściekła, że nie wszyscy dostali łóżka, jakby to miało dla nich znaczenie. Pamiętam, że Jaimito starał się mnie uspokoić, a jeden z lekarzy wszedł i podał mi środek uspokajający i szklankę wody. Pamiętam, jak prosiłam mężczyzn, żeby na czas, kiedy będę myć i ubierać dziewczęta, wyszli z pomieszczenia. Pomagała mi pielęgniarka, która też płakała. Przyniosła mi nożyczki do obcięcia warkocza Mate. Nie mieści mi się w głowie, dlaczego, choć znajdowałyśmy się w miejscu, w którym jest tyle ostrych narzędzi do cięcia kości i grubych chust, ta kobieta przyniosła mi takie malusieńkie nożyczki do paznokci. Może bała się, co mogłabym zrobić z ostrzejszym narzędziem.

Potem kilku przyjaciół, do których dotarły już wieści, pojawiło się z czterema skrzyniami ze zwykłej gładkiej sosny, nawet bez zatrza-sków. Wieka były po prostu przybite gwoździami. Później, w domu pogrzebowym, don Gustavo chciał, żebyśmy zmieniły trumny na bardziej wyszukane. Przynajmniej dla dziewcząt. Szoferowi sosna powinna wystarczyć.

Przypomniałam sobie przepowiednię papy: „Wszystkich nas po-

chowasz w perłach i jedwabiach”.

Ale powiedziałam „nie”. Wszyscy umarli tak samo, niech wszyscy będą tak samo pochowani. Upchnęliśmy cztery skrzynie na platformie pikapa.

Wieźliśmy je powoli do domu przez miasto. Nie chciałam wejść z Jaimitem do kabiny. Zostałam z tyłu z moimi siostrami i Rufinem, stojąc przy nich, przytrzymując się trumien za każdym razem, gdy natrafialiśmy na wybój na drodze.

Ludzie wychodzili z domów. Słyszeli już historię, w którą kazano nam wierzyć: jeep wypadł z ostrego zakrętu i spadł z klifu. Ale z ich twarzy można było wyczytać, że wiedzą, jaka jest prawda. Wielu mężczyzn zdejmowało kapelusze, kobiety czyniły znak krzyża. Stali tuż przy drodze, a kiedy pikap ich mijał, wrzucali kwiaty na platformę. Zanim dojechaliśmy do Conuco, nie było już widać skrzyń, całych pokrytych więdnącymi roślinami.

Dojechaliśmy do pierwszego miasteczka. Gdy mijaliśmy postęrunek WSW, zaczęłam wołać:

- Zabójcy! Zabójcy!

Jaimito musiał dodać gazu, żeby zagłuszyć moje krzyki. Gdy zrobiłam tak ponownie w następnym mieście, zjechał na pobocze i podszedł do platformy. Kazał mi usiąść na jednej ze skrzyń.

- Dedé, *mujer*, czego ty chcesz? Też dać się zabić?

Pokiwałam głową.

- Chcę być z nimi.

Odpowiedział na to - pamiętam to tak dokładnie:

- Twoje męczeństwo, Dedé, to dalsze życie bez nich.

- O czym myślisz, mamó Dedé? - Minou podeszła do okna.

Z rękami wspartymi o parapet wygląda jak obrazek.

Uśmiecham się do niej i mówię:

- Spójrz na księżyc.

Malejący, słabo widoczny w tę pochmurną noc nie przedstawia

niezapomnianego widoku. Ale, o ile mi wiadomo, księżyc, jaki by nie był, zawsze niesie ze sobą jakieś przesłanie. Tak samo jak dzieci: nawet te brzydkie są błogosławieństwem, a każde z nich rodzi się - jak mawiała mama - z bochenkiem chleba pod pachą.

- Opowiedz mi o Camili - proszę ją. - Czy wyrósł jej już nowy ząb?

Ze skrupulatnością matki pierwszego dziecka Minou mówi mi wszystko, łącznie z tym, jak jej mała je, śpi, bawi się i robi kupę.

Później mężowie moich sióstr przedstawili mi swoje wspomnienia z tego ostatniego popołudnia. Jak próbowali przekonać dziewczęta, żeby nie jechały. Jak Minerva nie zgodziła się zostać u przyjaciół do następnego ranka.

- To ta jedna dyskusja, w której powinna była przegrać - powiedział Manolo.

Stał tam przy poręczy na werandzie w ciemnych okularach, które później zawsze nosił. A ja zostawiłam go z jęgo bólem.

Tak było po tym, jak wyszedł na wolność. Po tym, jak stał się sławny i jeździł z ochroniarzami w tym białym fordzie thunderbirdzie, który dał mu jakiś wielbiciel. A raczej, prawdopodobnie, wielbicielka. Nasz Fidel, nasz Fidel, mówili wszyscy. Odmówił ubiegania się o prezydenturę podczas tych pierwszych wyborów. Powiedział, że nie jest politykiem. Ale wszędzie, dokąd się udał, przyciągał tłumy entuzjastów.

On i Leandro zostali przeniesieni z powrotem do stolicy w poniedziałek po morderstwie. Bez wyjaśnienia. W La Victorii dołączyli do Pedrita, umieszczono ich samych we trójkę w jednej celi. Zde-nerwowani do granic, czekali na czwartkowe odwiedziny, żeby dowiedzieć się, co się dzieje.

- Nie mieliście pojęcia? - spytałam raz Manola.

Odwrócił się. Stał na tle okalającego dom oleandra, który Minerva zasadziła wiele lat wcześniej, gdy utkwiała w rodzinnym domu i pragnęła się wyrwać, by żyć pełniejszym życiem. Zdjął okulary i

zdaje mi się, że pierwszy raz dostrzegłam wtedy głębię jego żaloby.

- Pewnie wiedziałem, ale w więzieniu nie można pozwolić sobie na to, żeby wiedzieć to, co się wie. - Jego dłonie zacisnęły się na poręczy werandy. Zauważyłam, że znów nosił ten absolwencki pierścień, taki sam, jaki miała Minerva.

Manolo opowiadał dalej, jak w tamten czwartek zabrano ich z celi i poprowadzono korytarzem. Przez chwilę mieli nadzieję, że dziewczętom jednak nic się nie stało. Ale zamiast do sali odwiedzin skierowano ich do pokoju urzędników. Czekali tam Johnny Abbes, Candido Torres i inni znaczący funkcjonariusze WSW, już trochę podpici. Przybyli na imprezę specjalną - wstęp tylko z zaproszeniem. Główną atrakcją były niecodziennie tortury polegające na przekazywaniu mężczyznom wieści.

Nie chciałam znać dalszego ciągu. Ale zmusiłam się do tego. Czułam, że Manolo musiał to powiedzieć, a ja musiałam go wysłuchać - by przestało to być tak niehumanitarne, byśmy mogli zacząć im przebaczać.

Mam zdjęcia z tamtego okresu, na których nawet ja nie mogę rozpoznać samej siebie. Chuda jak patyk. Bliźniaczka mojej zabiedzonej Noris. Krótkie włosy - fryzura, jaką w ostatnim roku swojego życia nosiła Minerva - spięte z tyłu wsuwkami. Któreś z dzieci w ramionach, inne ciągnące mnie za sukienkę. I nigdy nie patrzę w obiektyw. Zawsze odwracam wzrok.

Ale powoli - jak to się dzieje? - powstałam z martwych. Na zdjęciu z dnia, kiedy nasz nowy prezydent przyjechał zobaczyć pomnik, stoję przed frontem domu, umalowana, z włosami stylowo zaczesanymi do góry. Trzymam w ramionach Jacqueline, już czteroletnią. Obie machamy małymi flagami.

Później prezydent wpadł do domu z wizytą. Usiadł w bujanym fotelu papy, pił zmrożoną *limonada* i opowiadał mi swoją historię. Powiedział, że chce zrobić mnóstwo różnych rzeczy. Chciał usunąć ze stanowisk starych generałów, na których rękach wciąż była krew

rodziny Mirabalów. Wszystkie skradzione posiadłości miał zamiar rozdać ubogim. Chciał stworzyć z nas dumny naród, którym nie rządzą jankescy imperialiści.

Za każdym razem, gdy składał jedną z tych obietnic, patrzył na mnie, jakby potrzebował mojej aprobaty. A tak naprawdę nie mojej, tylko moich sióstr, których zdjęcia wisiały na ścianie za moimi plecami. Te fotografie stały się ikonami, plakaty, na których widniały - gratką dla kolekcjonerów. „Niech wróć Motyle!”

Na koniec, gdy prezydent miał już odjechać, wyrecytował wiersz, który napisał w drodze ze stolicy. Jego wymowa była patriotyczna - coś o tym, że kiedy umiera się za kraj, nie umiera się na próżno. Był prezydentem-poetą. Od czasu do czasu Manolo wzdychał: „Ay, gdyby Minerva mogła tego dożyć”. Tymczasem ja zaczęłam myśleć, że może śmierć dziewcząt nie była bezcelowa.

Wtedy moje cierpienie dawało się trzymać w ryzach. Mogłam je znieść, bo widziałam głębszy sens. Jak wówczas, gdy lekarz wytłumaczył, że jeśli odejmie się pierś, reszta mnie będzie miała większe szanse. Natychmiast zaczęłam bez niej żyć, nawet jeszcze zanim jej nie było.

Odłożyłam swój ból na bok, oddając się planom na przyszłość, zawierając nadziei.

Kiedy wszystko zaczęło się od początku, zamknęłam drzwi. Nie przyjmowałam żadnych gości. Jeśli ktoś ma do opowiedzenia historię, niech ją sobie sprzeda do „Vanidades”, niech pójdzie do *Talk to Félix Show*. Niech opowie im, jak się czuł po zamachu stanu, po usunięciu prezydenta w niecały rok od wyborów, po tym, jak rebelianci ukryli się w górach, jak wybuchła wojna domowa, jak do brzegów przybiła marynarka wojenna.

Jeden taki talk-show usłyszałam przypadkiem w radiu, które Tinita postawiła w kuchni polowej i nigdy nie wyłączała. Ktoś analizował sytuację. Powiedział coś, co kazało mi się zatrzymać i posłuchać.

„Dyktatura - mówił - jest panteistyczna. Dyktatorowi udaje się

zasadzić małą cząstkę siebie w każdym z nas”.

„Aha - pomyślałam, dotykając miejsca nad sercem, gdzie (czego jeszcze nie wiedziałam) komórki mnożyły się jak szalone. - Więc tak to się stało”.

Głos Manola brzmi niewyraźnie na pamiątkowym nagraniu, które przysłała mi stacja radiowa: „Pamięci wielkiego bohatera. Gdy ginie się za swój kraj, nie ginie się na próżno”.

To jego ostatnia audycja nadawana z kryjówki w górach. „Rodacy! - mówi chropowatym głosem. - Nie możemy pozwolić, żeby zaplanowała nad nami następna dyktatura!” Potem coś jeszcze, niesłyszalne z powodu zakłóceń. A dalej: „Powstańcie, wyjdźcie na ulice! Dołączcie do moich towarzyszy i do mnie w górach! Gdy ginie się za swój kraj, nie ginie się na próżno!”.

Ale nikt do nich nie przystał. Po czterdziestu dniach bombardowań przyjęli ogłoszoną w radiu amnestię. Zeszli z gór z podniesionymi rękami i zostali wystrzelani przez generałów co do joty.

To do mnie najpierw trafiła muszelka, którą Manolo wysłał Minou ostatniego dnia swojego życia. W jej gładkim wnętrzu wyrył scyzorykiem: „Dla mojej małej Minou, u kresu wspaniałej przygody”, niżej data jego śmierci: 21 grudnia 1963 roku. Byłam wściekła na tę ostatnią wiadomość. Co miał na myśli, pisząc „wspaniała przygoda”? Chyba raczej hańba.

Nie dałam jej muszli. Właściwie przez jakiś czas trzymałam przed nią w sekrecie jego śmierć. Kiedy pytała, odpowiadałam: „*Sì, sì, papi* jest w górach, walczy o lepszy świat”. Później, mniej więcej rok po tych wydarzeniach, łatwo było dodać, że zrobił następny krok i jest teraz w niebie z jej *mami*, jej ciocią Patrią i jej ciocią Mate, gdzie żyją razem w lepszym świecie.

Gdy to mówiłam - musiała mieć już wtedy osiem lat - spojrzała na mnie, a jej twarzyczka bardzo spoważniała.

- Mamo Dedé - spytała - czy *papi* nie żyje?

Dałam jej muszlę, żeby mogła sama przeczytać jego pożegnanie.

- Zabawna była ta kobieta - mówi Minou. - Na początku myślałam, że jesteście przyjaciółkami czy coś. Gdzie się z nią spotkałaś?

- Ja? Spotykać się z nią! Wydajesz się zapominać, mi *amor*, że muzeum jest tylko pięć minut stąd i pojawia się tam mnóstwo osób, które chcą usłyszeć historię z pierwszej ręki. - Wypowiadając te słowa, bujam się coraz mocniej i ogarnia mnie złość. Wszyscy myślą, że mogą się narzucać. Belgijski reżyser, który kazał mi pozować ze zdjęciami dziewcząt w rękach. Chilijka pisząca książkę o kobietach w świecie polityki. Uczniowie, którzy chcą, żebym pokazała im warokocz Mate i powiedziała, dlaczego od razu go obcięłam.

- Ale, mamó Dedé - mówi Minou. Siedzi teraz na parapecie, wyglądając przez okno oświetlonego pokoju na *galeria*, gdzie światło jest zgaszone z powodu komarów. - Dlaczego po prostu nie odmówisz? Nagramy historię na kasetę i będziemy ją sprzedawać po sto pięćdziesiąt pesos. Dorzucimy za darmo podpisane błyszczące zdjęcia.

- Skąd taki pomysł, Minou!

Zrobić z naszej tragedii - bo tak naprawdę nie jest to tragedia całego kraju, tylko n a s z a - dochodowe przedsięwzięcie. Ale widzę, że Minou się śmieje, rozkoszując się doskonale świętokradczą myślą. Ja też zaczynam się śmiać.

- Przypuszczam, że przestanę w dniu, kiedy się tym znudzę.

Bujam się teraz łagodniej, mniej nerwowo. Oczywiście, przecież zawsze mogę z tym skończyć.

- Kiedy to się stanie, mamó Dedé? Kiedy dasz wystarczająco dużo?

Zastanawiam się, kiedy przestałam słuchać opowieści, a zaczęłam przyjmować ludzi pragnących, bym opowiedziała im historię sióstr Mirabal. Innymi słowy, kiedy stałam się wyrocznią?

Czasem wybieram się ze swoją przyjaciółką Olgą na kolację do restauracji. Powtarzamy sobie, że możemy to dla siebie zrobić, jakbyśmy nie wierzyły w to nawet w połowie. Dwie rozwiedzione

mujeronas próbujące nadażyć za tym, co nasze dzieci nazywają nowoczesnością. Z Olgą mogę o tym porozmawiać. Pytam ją, co myśli.

- Powiem ci, co myślę - odpowiada.

Jesteśmy w El Almirante, gdzie - jak stwierdziłyśmy - kelnerami muszą być emerytowani funkcjonariusze z dawnych dni Trujillo. Wszyscy są tacy zadufani w sobie i ugrzecznieni. Ale przynajmniej pozwalają dwóm kobietom posilić się w spokoju.

- Myślę, że zasługujesz na swoje własne życie - mówi, odpędzając dłonią moje protesty. - Pozwól mi skończyć. Ciągłe żyjesz przeszłością, Dedé. Mieszkasz w tym samym starym domu, otoczona tymi samymi starymi przedmiotami, w tej samej małej wiosce, z wszystkimi ludźmi, którzy znali cię, od kiedy byłaś tego wzrostu.

Wylicza wszystkie rzeczy, które przypuszczalnie powstrzymują mnie przed tym, żeby mieć własne życie. A ja myślę sobie: „Ejże, nie oddałabym ich za nic na świecie. Prędzej umrę”.

- Dla ciebie wciąż jest rok 1960 - podsumowuje. - A jest 1994, Dedé, 1994!

- Mylisz się - mówię jej. - Nie żyję przeszłością, po prostu przeniosłam ją ze sobą w terażniejszość. A problem polega na tym, że niewystarczająco wielu z nas to zrobiło. Jak na to mówią *gringos*? Jeśli nie studiujesz swojej historii, to ją powtórzysz?

Olga odrzuca tę teorię lekceważącym machnięciem ręki.

- *Gringos* mówią zbyt wiele rzeczy.

- I wiele z nich prawdziwych. Naprawdę wiele.

Minou oskarżyła mnie kiedyś o to, że jestem projankeska. „Jestem za każdym, kto ma w danej chwili rację” - odpowiedziałam jej.

Olga wzdycha. Już wiem. Polityka jej nie interesuje.

Wracam do poprzedniego tematu.

- Zresztą nie o to cię pytałam. Rozmawialiśmy o tym, kiedy ze słuchacza zamieniłam się w wyrocznie.

- Hmm... myślę, myślę.

Mówię jej więc, jak ja to widzę:

- Gdy skończyły się walki i byliśmy złamanym narodem.

Moja przyjaciółka smutno kręci głową, kiedy przywołuję ten obraz niedawnych czasów - to wtedy otworzyłam drzwi i zamiast słuchać, zaczęłam mówić. Straciliśmy nadzieję i potrzebowaliśmy historii, żeby zrozumieć, co się z nami stało.

Olga rozsiada się wygodnie, twarz ma skupioną, jakby słuchała kazania o rzeczach, w które wierzy.

- To naprawę dobre, Dedé - mówi, kiedy kończę. - Powinnaś zachować to na listopad, kiedy będziesz musiała wygłosić tę swoją mowę.

Słyszę, jak Minou wykręca numer. Telefon do Dorotea, ich pogaduszki na dobranoc, dzielenie się każdą drobnostką, która wydarzyła się podczas godzin rozłąki. Jeśli teraz wejde, będzie miała poczucie, że musi szybko kończyć i porozmawiać zamiast tego ze swoją mamą Dedé.

Podchodzę więc do poręczy werandy i stoję przy niej, a w chwili, kiedy to robię, oczywiście nie potrafię nie pomyśleć o Manolu, a wcześniej o Minervie. Kiedy byłyśmy dziećmi, wymyśliłyśmy taką grę, którą nazwałyśmy „mroczne przejścia”. Ja jedynie raz czy dwa przeszłam na drugą stronę balustrady. Ale Minerva brała tylko rozbieg, a potem musiałyśmy ją długo wołać, błagając, żeby wróciła. Pamiętam jednak, jak przystawała na chwilę właśnie w tym miejscu, prostując ramiona, zbierając się na odwagę. Widziałam, że dla niej to też nie było takie proste.

Kiedy była starsza, stawała tu w chwilach przygnębienia. Patrzyła na ogród, jakby ta ciemna płatanina roślinności była dla niej nowym życiem albo stojącym przed nią wyzwaniem.

- *Mi amor* - słyszę w tle rozmowę Minou i czuję ciarki na całych rękach. Głos ma zupełnie jak jej matka. - Jak nasze kochanie? Zabrałeś ją do Helados Bon*?

* Helados Bon - sieć lodziarni na Dominikanie.

Schodzę z werandy na trawę, żeby nie podsłuchiwać jej rozmowy. Albo tak to sobie tłumaczę. Przez chwilę mam ochotę zniknąć. Moje

nogi strząsają zapachy z ledwo widocznych krzaków, ciemność pogłębia się, kiedy odchodzę od światła domu.

Straty. Mogę je podliczyć, tak jak te na liście, którą koroner przykleił do pudła z rzeczami znalezionymi przy ich ciałach lub wydobytymi z wraku. Drobiazgi, ale przyniosły mi jakieś pocieszenie. Recytowałam je niczym katechizm, tak samo jak kiedyś dziewczęta kpiarsko deklamowały „przykazania” swojego aresztu domowego.

Jeden płatek od różowego pudru.

Jedna para czerwonych butów na wysokich obcasach.

Pięciocentymetrowy obcas buta koloru kremowego.

Jaimito na jakiś czas wyjechał do Nowego Jorku. Zbiory znów się nie powiodły i wyglądało na to, że stracimy naszą ziemię, jeśli nie zdobędziemy szybko trochę gotówki. Podjął się więc pracy w *factoria** i każdego miesiąca przysyłał do domu pieniądze. Wstydę się to powiedzieć po tym, co się stało, ale to jankeskie dolary uratowały naszą farmę od upadku.

* *Factoria* (hiszp.) - fabryka

Wrócił jako inny człowiek. A raczej stał się bardziej tym, kim był naprawdę. Ja też zbliżyłam się do siebie samej, gdy przesiadywałam w domu, za jedyne towarzystwo mając, jak już wspominałam, mamę i dzieci. I tak, choć do śmierci mamy żyliśmy pod jednym dachem, chcąc oszczędzić jej kolejnego smutku, każde z nas zaczęło już prowadzić osobne życie.

Jeden śrubokręt.

Jedna brązowa skórzana torebka.

Jedna czerwona, lakierowana skórzana torebka bez paska.

Jeden zestaw żółtej nylonowej bielizny.

Jedno podręczne lusterko.

Cztery bilety na loterię.

Rozproszyliśmy się jako rodzina - na początku mężczyźni, a potem dzieci, idąc każde swoją drogą.

Najpierw Manolo, który umarł trzy lata po Minervie.

Potem Pedrito. Odzyskał swoje ziemie, ale więzienie i straty, które poniósł, zmieniły go. Był niespokojny, nie mógł się przyzwyczaić do dawnego życia. Ożenił się ponownie z młodą dziewczyną i ta kobieta nastawiła go przeciw nam, przynajmniej tak myślała mama. Wpadał o wiele rzadziej, w końcu prawie w ogóle przestał się pojawiać. Jakże to wszystko, poczynając od młodej dziewczyny, bolałoby biedną Patrię.

I Leandro. Póki Manolo żył, trwał u jego boku, dzień i noc, ale kiedy rebelianci wyjechali w góry, Leandro został w domu. Może przeczuwał pułapkę, może Manolo stał się dla niego zbyt radykalny, nie wiem. Po śmierci przyjaciela Leandro zerwał z polityką. Zamieszkał w stolicy i został wielkim budowląncem. Czasem, gdy jedziemy przez miasto, Jacqueline wskazuje na ten czy inny imponujący budynek i mówi: „Papa to zbudował”. Jest mniej chętna, żeby opowiadać o drugiej żonie ojca, nowej, absorbującej rodzinie, przyrodnich braciach i siostrach w wieku jej własnego dziecka.

Jeden paragon z El Gallo.

Jeden mszał okręcony gumką recepturką.

Jeden męski portfel, pięćdziesiąt sześć *centavos* w kieszonce.

Siedem pierścionków: trzy gładkie złote obrączki, jedna złota obrączka z małym diamentem, jeden męski pierścień z granatem i emblematem orła, jeden złoty pierścionek z opalem i czterema perłami, jeden srebrny pierścionek z inicjałami.

Jeden szkaplerz z Matką Boską Bolesną.

Jeden medalion ze świętym Krzysztofem.

Mama trzymała się życia jeszcze dwadzieścia lat. Każdego dnia, gdy nie zostawałam na noc, odwiedzałam ją rano, zawsze przynosząc zerwaną z ogrodu orchideę dla dziewcząt. Dzieci wychowywałyśmy we dwie. Ona zatrzymała Minou, Manolita i Raúlita. Jacqueline, Nelson i Noris zostali ze mną. Nie wiem, dlaczego tak je podzieliłyśmy. Właściwie nie można powiedzieć, że to zrobiłyśmy. Wędrowały od domu do domu, okresowo zmieniając miejsce zamieszkania, ale mówię o tym, gdzie spały najczęściej.

Co za utrapienie miała mama z nastoletnimi wnuczkami. Ze strachu chciała je zamknąć jak zakonnice w klasztorze. A Minou z

pewnością dostarczała jej - i mnie - zmartwień. Jako szesnastolatka poleciała sama do Kanady. Potem na kilka lat na Kubę. *Ay, Dios!*, przypięliśmy do jej rzeczy tyle wizerunków Świętej Dziewicy i *azabaches**, zawiesiliśmy na szyi tyle szkaplerzy, żeby na pewno odegnać wszystkich mężczyzn, którzy chcieli dopaść tę młodą piękność.

* *Azabaches* (hiszp.) - talizmany ochronne wykonane z gagatu.

Pamiętam, jak Minou opowiadała mi o dniu, kiedy ona i Doroteo pierwszy raz „się zaangażowali” - jak to nazwała. Za kurtyną tego eufemizmu zobaczyłam oczywiście scenę łóżkową. Stał z dłońmi wsuniętymi pod pachy, jakby miał się nie poddać jej wdziękom. W końcu spytała: „Doroteo, coś jest nie tak?”. A on odpowiedział: „Czuję się tak, jakbym bezczęścił flagę”.

Coś w tym było. To w końcu córka dwojga bohaterów narodowych. Do Minou powiedziałam tylko:

- Lubię tego młodego człowieka.

Co innego mama.

- Bądź mądra jak twoja matka - powtarzała. - Studiuj i wyjdź za mąż, kiedy będziesz starsza.

A mnie przypominało się tylko, jak krytykowała Minervę, kiedy właśnie tak zrobiła!

Biedna mama, dożyła końca tylu rzeczy, włączając w to swoje ideały. Dwadzieścia lat, jak już mówiłam, trzymała się życia. Czekala, aż jej wnuczki zostawią za sobą niebezpieczny okres nastoletniości, zanim zostawiła je, żeby same się o siebie zatroszczyły.

Aż pewnego ranka - w styczniu tego roku upłynęło czternaście lat - weszłam do jej sypialni, a ona leżała z rękami na talii, trzymając w dłoniach różaniec, w ciszy, jakby się modliła.

Upewniłam się, że odeszła. Dziwne, ale ta śmierć nie wydawała się prawdziwa, tak była inna od pozostałych, łagodna, nienaznaczona przemocą.

Włożyłam w jej dłonie orchidę, którą przyniosłam dziewczętom. Wiedziałam, że o ile mój los nie jest naprawdę przeklęty i nie przyjdzie mi przeżyć własnych dzieci, była to ostatnia strata, którą musia-

łam ponieść. Nie został już nikt między mną a mrocznym przejściem - teraz moja kolej.

Kompletna lista strat. Oto one.

Zauważyłam, że jest mi lżej, od kiedy mogę je podliczyć, że się tak wyrażę. A czasem, gdy to robię, myślę, że może to nie są straty. Może mylnie je interpretuję. Mężczyźni, dzieci, ja. Poszliśmy swoimi własnymi drogami, staliśmy się sobą. Tylko tyle. A jeśli to właśnie znaczy być wolnym narodem i powinnam się cieszyć?

Stosunkowo niedawno spotkałam Lía na przyjęciu na cześć dziewcząt. Wcale nie lubię tych uroczystości, chociaż Minou myśli inaczej. Ale zawsze zmuszam się, żeby pójść.

Tylko jeśli bym wiedziała, że on tam będzie, nie pojechałabym.

Mam na myśli naszego obecnego prezydenta, który w dniu zamordowania dziewcząt był prezydentem marionetką.

- *Ay*, Dedé - znajomi kilkakrotnie próbowali mnie przekonać - zapomnij o tym. Jest teraz starym, ślepym człowiekiem.

- Był ślepy, kiedy jeszcze widział - odgryzam się. Och, krew się we mnie burzy na myśl o tym, że miałabym ucisnąć tę splamioną krwią dłoń.

Ale na większość uroczystości chodzę. „Dla dziewcząt” - powtarzam sobie za każdym razem.

Czasem pozwalam sobie na kieliszek rumu, zanim wsiądę do samochodu, nie po to, by wywołać choćby najmniejszy skandal, ale by poczuć lekkie oszołomienie. Ludzie będą zadawać pytania, co prawda w dobrej wierze, ale mimo wszystko wtykając palce w miejsca, które ciągle bolą. Ludzie nabierający wody w usta, kiedy nawet słaby pisk w otoczeniu innych głosów mógł się stać chórem, którego świat nie mógłby zignorować. Ludzie, którzy kiedyś przyjaźnili się z diabłem. Każdego objęła amnestia dzięki temu, że przerzucił winę na innego, aż staliśmy się jedną wielką zepsutą rodziną tchórzów.

Więc pozwalam sobie na kieliszek rumu.

Na tych uroczystościach zawsze staram się zająć miejsce blisko

drzwi, żeby móc wyjść wcześniej. I właśnie miałam się wyslizgnąć, kiedy podszedł do mnie starszy mężczyzna. Na jego ramieniu była wsparta przystojna kobieta o łagodnej, przyjaznej twarzy. „Ten stary głupiec nie jest głupcem” - pomyślałam. Załatwił sobie młodą żonę, pielęgniarzkę na stare lata.

Wyciągam rękę, kierując się, jak sędzę, starym przyzwyczajeniem wyniesionym z niezliczonych przyjęć. A ten człowiek w odpowiedzi obejmuje swoimi dłońmi moją.

- Dedé, *caramba*, nie poznajesz mnie? - Zacieśnia uścisk, a jego żona uśmiecha się promiennie, stojąc z tyłu. Przyglądam się jeszcze raz.

- *Dios santo*, Lío!

I nagle muszę usiąść.

Żona przynosi nam obojgu po drinku i zostawia nas samych. Nadrabiamy lata zaległości, przepytujemy się nawzajem: moje dzieci, jego dzieci; interes ubezpieczeniowy, jego gabinet w stolicy; stary dom, w którym ciągle mieszkam, jego nowy dom koło dawnego pałacu prezydenckiego. Powoli torujemy sobie drogę do tej zdradzieckiej przeszłości, strasznej zbrodni, niepowetowanej straty, do pulsującego serca rany.

- *Ay*, Lío - mówię, kiedy tam docieramy.

A niech go, bierze mnie za rękę i mówi:

- Koszmar się skończył, Dedé. Zobacz, czego dziewczęta dokonały.

Robi szeroki gest.

Ma na myśli wolne wybory, złych prezydentów teraz dochodzących do władzy jak należy, nie za pomocą czołgów. Ma na myśli nasz kraj, który zaczyna prosperować, powstające wszędzie strefy wolnościowe, wybrzeże przeładowane klubami i ośrodkami wypoczynkowymi. Kiedyś byliśmy połami śmierci Karaibów, teraz jesteśmy ich placem zabaw. Cmentarz zaczyna kwitnąć.

- *Ay*, Lío - powtarzam.

Podążając za jego spojrzeniem, rozglądam się po pokoju. Goście są tu w większości młodzi. Chłopcy biznesmeni ze skomputeryzo-

wanymi zegarkami i walkie-talkie do wzywania szofera z samochodu, wrzuconymi do torebek ich olśniewających, młodych żon ze stopniami naukowymi, których nie potrzebują; zapach perfum; pobrękiwanie kluczy do rzeczy, które posiadają.

- A tak - słyszę, jak mówi jedna z kobiet - spędziliśmy tam rewolucję.

Widzę, jak na nas zerkają: dwoje starszych, jak słodko wyglądają pod obrazem Bidó. Dla nich jesteśmy postaciami ze smutnej opowieści o przeszłości, która odeszła.

Całą drogę do domu dygocę, nie jestem pewna dlaczego.

Odpowiedź przychodzi do mnie powoli, gdy kierując się na północ, jadę przez pogrążone w ciemnościach wiejskie okolice - światła palą się tylko w górach, gdzie budują domy prosperujący, zmęczeni zgiełkiem miasta młodzi, i oczywiście na niebie szastającym kosztownymi watami gwiazd. Lío ma rację. Koszmar się skończył, jesteśmy w końcu wolni. Ale jest coś, co wprawia mnie w drzenie, a czego nie chcę mówić na głos - zrobię to jednak, ten jeden jedyny raz.

Czy temu miało służyć poświęcenie Motyli?

- Mamo Dedé! Gdzie jesteś?

Widocznie Minou skończyła rozmowę. W jej głosie słychać ten rodzaj podirytowania, który odczuwają dzieci, kiedy śmiemy oddalić się z ich życia: Dlaczego nie ma cię tam, gdzie cię zostawiłam?

- Mamo Dedé!

Zatrzymuję się w głębi mrocznego ogrodu, jakby przyłapano mnie na jakimś niecnym uczynku. Odwracam się. Widzę dom taki, jaki tylko raz czy dwa widziałam w dzieciństwie: bajkowo spiczasty dach, weranda biegnąca wzdłuż trzech boków, rozświetlone okna jarzące się życiem, które się tu toczyło i toczy.

Opuszczone, magiczne miejsce pamięci i pragnienia. Szybko kieruję się z powrotem, jak ćma przyciągnięta tym cudownym światłem.

Otulam ją do snu, gaszę światło i zostaję chwilę, żeby porozmawiać w ciemności.

Opowiada mi o wszystkim, co dziś zrobiła Camila. O biznesie Dorotea, o ich planach wybudowania domu na północy w tych pięknych górach.

Cieszę się, że jest ciemno i nie może zobaczyć wyrazu mojej twarzy, kiedy to mówi. Na północy w tych pięknych górach, gdzie zamordowano twoją matkę i twojego ojca!

Ale świadczy to o moim sukcesie, czyż nie? Nie jest nawiedzona duchami przeszłości i przepełniona nienawiścią. Rości sobie prawa do tego pięknego kraju z jego pięknymi górami i wspaniałymi plażami - do wszystkiego, o czym można przeczytać w broszurach turystycznych.

Planujemy jutrzejszy dzień. Pojedziemy na małą wycieczkę do Santiago, gdzie pomogę jej wybrać materiały w El Gallo. Mają tam wielką wyprzedaż, zanim zamkną sklep i otworzą go w świeżej odsłonie. Nowy zarząd chce otworzyć sieć sklepów na całej wyspie, ubrać sprzedawców w kogucioczerwone mundurki, a dla klientów wprowadzić urządzenia zliczające, ile wydają. Potem pojedziemy do muzeum, gdzie Tono da Minou trochę materiałów do przedsiönka w jej mieszkaniu. Może Jaime David zje z nami lunch. Lepiej, żeby wielki senator z Salcedo - jak ostrzega Minou - znalazł dla niej czas.

I znów wzmianka o Feli.

- Mamó Dedé, jak myślisz, co to znaczy, że dziewczęta wreszcie mogą zaznać spokoju?

Myślę, że to nie jest dobre pytanie na dobranoc. Równie dobrze można poruszyć temat rozwodu albo problemów osobistych na odwrocie pocztówki. Daję jej więc zwięzłą, powierzchowną odpowiedź:

- Źe możemy pozwolić im odejść, tak sędę.

Dzięki Bogu jest tak zmęczona, że nie naciska na mnie, bym powiedziała więcej.

Czasem, gdy nie mogę zasnąć, leżę w łóżku i, tak jak nauczyła mnie Minerva, wracam pamięcią do tego czy tamtego szczęśliwego momentu. Robiłam to jednak całe popołudnie. Dzisiejszej nocy zaczynam więc zamiast tego myśleć o przeszłości.

Zwłaszcza o wycieczce, którą, co jest niemal pewne, wygram i w tym roku. Szef czynił aluzje.

- Wiesz, Dedé, broszury turystyczne się nie mylą. Mamy tu u nas prawdziwy raj. Nie trzeba podróżować daleko, żeby przyjemnie spędzić czas.

A więc próba obniżenia kosztów!

Ale jeśli to ja wygram wycieczkę, mam zamiar domagać się swego. Powiem: „Chcę pojechać do Kanady, żeby zobaczyć liście”.

„Liście?” Już widzę, jak szef nadaje swojej twarzy wystudiowany wyraz uprzejmego zaskoczenia. Tą miną posługuje się zawsze, gdy przychodzą do nas *tutumpotes** i chcą kupić tańsze polisy. „Z pewnością pana życie jest warte o wiele więcej, don Fulano”.

* *Tutumpotes* (hiszp.) - członkowie rodzin, które kiedyś były u władzy.

„Tak - odpowiem. - Liście. Chcę zobaczyć liście”. Ale nie powiem mu dlaczego. Kanadyjczyk, którego spotkałam w Barcelonie podczas zeszłorocznej wycieczki, wytłumaczył mi, jak to się dzieje, że stają się czerwone i złote. Wyprostował palce mojej dłoni i ujął ją w swoją, jakby była liściem. Wskazał na linie po jej wewnętrznej stronie.

- Cukier koncentruje się w nerwach.

Moje postanowienie, żeby trzymać się na dystans, zaczęło się roztopiać jak cukier w tych liściach. Wiedziałam, że płoną mi policzki.

- To ich słodycz sprawia, że płoną - powiedział, patrząc mi w oczy, i uśmiechnął się.

Znał hiszpański wystarczająco dobrze, żeby powiedzieć to, co zamierzał. Ale ja byłam jeszcze zbyt przestraszona, by wejść w swoje życie tak odważnie. Gdy skończył prezentację, cofnęłam rękę.

To wspomnienie utkwilo jednak w mojej pamięci i teraz widzę siebie stojącą pod tymi płonącymi drzewami, które w mojej wyob-

raźni wyglądają jak płomienie Afryki w rozkwicie, bo nie widziałam cukrowych klonów, o których mówił. On robi mi zdjęcie, żebym mogła pokazać je dzieciom i udowodnić, że takie rzeczy się zdarzają - tak, nawet ich starej mamie Dedé.

„To ich słodycz sprawia, że płoną”.

Słyszę je nocami, zwykle w chwili, gdy zapadam w sen.

Czasem leżę w łóżku, czekając tuż przed krawędzią zapomnienia, jakby ich pojawienie się było dla mnie sygnałem, że mogę zasnąć.

Osiadanie drewnianych podłóg, wiatr poruszający jaśminem, ledwo wyczuwalna woń gleby, pianie koguta cierpiącego na bezsenność.

Miękkie kroki ich duchów, tak zwiewne, że mogłabym pomylić je ze swoim własnym oddechem.

Charakterystyczny dla każdej z nich sposób chodzenia, jakby nawet jako duchy zachowały swoje osobowości: pewne i miarowe stąpanie Patrii, niecierpliwy krok Minery, wesołe dreptanie Mate. Wałęsają się, zatrzymują przy różnych rzeczach. Dziś bez wątpienia Minerva będzie długo siedzieć przy swojej Minou, chłonąc muzykę jej oddechu.

W niektóre noce, gdy czymś się martwię i nie zasypiam od razu po ich nadejściu, słyszę jeszcze coś innego. Upiorne, stawiające włosy na głowie trzeszczenie butów do jazdy konnej, szpicrutę uderzającą o skórę ich cholew, apodyktyczny krok, który sprawia, że otrząsam się ze snu i włączam światła w całym domu, jedyny pewny sposób, żeby odegnać to zło.

Ale dziś jest ciszej niż kiedykolwiek wcześniej.

„Skoncentruj się, Dedé” - mówię w myślach. Zaniepokojona ręka nawykowym ostatnio gestem upewnia się co do nieobecności po mojej lewej stronie. Oto śluby wierności wszystkiemu, czego brakuje - tak to nazywam. Pod palcami serce bije mi jak ćma tłukąca się o klosz lampy. „Dedé, skoncentruj się!”

Słyszę jednak tylko swój własny oddech i błogosławioną ciszę

tych chłodnych, bezchmurnych nocy pod drzewem pieprzowym, zanim ktokolwiek wypowiedział słowo o przyszłości. Znow widzę ich wszystkich, nieruchomych jak posągi: mamę, papę, Minervę, Mate, Patrię, i myślę, że czegoś tam teraz brakuje. Przeliczam dwukrotnie, zanim zdaję sobie sprawę, że to mnie tam nie ma, mnie, Dedé, jedynej ocalałej, jedynej, która może opowiedzieć ich historię.

POSŁOWIE

6 sierpnia 1960 roku moja rodzina przybyła do Nowego Jorku, uchodząc przed tyranią Trujillo. Ojciec uczestniczył w podziemnym spisku, który został wykryty przez WSW, tajną policję Trujillo. Było tylko kwestią czasu, nim ci, których schwytano i katowano w niesławnej komnacie tortur La Cuarenta (La 40), wydadzą nazwiska pozostałych.

Niespełna cztery miesiące po naszej ucieczce trzy siostry również uczestniczące w podziemnym ruchu oporu zostały zamordowane na opuszczonej górskiej drodze, którą jechały do domu. Wracały z odwiedzin u swoich uwięzionych mężów, których celowo przeniesiono do odległej placówki, by kobiety były zmuszone do odbywania niebezpiecznej podróży. Czwarta z nich, która tego dnia nie podróżowała z pozostałymi, przeżyła.

Gdy jako dziewczynka usłyszałam o „wypadku”, nie mogłam przestać myśleć o siostrach Mirabal. Podczas moich częstych podróży do Republiki Dominikańskiej szukałam wszelkich możliwych źródeł informacji o tych odważnych i pięknych kobietach, które zrobiły to, co niewielu mężczyzn - i tylko garstka kobiet - gotowych było zrobić. W czasie trzydziestoletniego panowania tego przerażającego reżimu najmniejsza oznaka sprzeciwu ostatecznie skutkowałą śmiercią dysydenta, a często też członków jego czyjej rodziny. Siostry Mirabal zaryzykowały jednak życie. Wciąż zastanawiałam się, skąd czerpały tę wyjątkową odwagę.

Zaczęłam spisywać tę historię, żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie. Ale jak to się dzieje z każdą opowieścią, postacię nią zawładnęły, nie zważając na dyskusje ani fakty. Ożyły w mojej wyobraźni. Zaczęłam je stwarzać.

Tak więc opisane na stronach tej książki siostry Mirabal nie są ani postaciami historycznymi, ani nawet tymi znanymi z legendy. Nie

poznałam ich nigdy osobiście, nie udało mi się także dotrzeć do biografii, która dostarczyłaby wystarczającej ilości informacji lub opisów utalentowanego i pochłoniętego tematem autora, bym mogła wiernie odtworzyć ich sylwetki. Jeśli chodzi o siostry legendarne, otoczone powszechnym uznaniem i wyniesione do rangi mitu, ostatecznie też były mi niedostępne. Ponadto zdałam sobie sprawę, że taka deifikacja jest niebezpieczna, że ta sama chęć stworzenia boga wyniosła do władzy naszego tyrana. I paradoksalnie, mitologizując je, straciliśmy siostry Mirabal po raz drugi, ponieważ uczyniliśmy z ich odwagi, która powinna stanowić dla nas wyzwanie, rzecz nieosiągalną dla zwykłych mężczyzn i kobiet, takich, jakimi jesteśmy.

Zatem opisane tu bohaterki to wytwory mojej wyobraźni - zmyślone, ale, mam nadzieję, bliskie duchem prawdziwym siostram. Na dodatek, choć zapoznałam się z faktami na temat reżimu i z wydarzeniami mającymi miejsce podczas trzydziestoletniego okresu despotycznych rządów Trujillo, czasem pozwalałam sobie na modyfikacje: zmieniałam daty, rekonstruowałam wydarzenia, łączyłam kilka postaci lub historii w jedną. Chciałam bowiem zanurzyć czytelników w pewnym okresie historii Republiki Dominikańskiej, który, jak wierzę, można ostatecznie zrozumieć jedynie przez fikcję, ocalić jedynie przez wyobraźnię. Powieść nie jest w końcu historycznym dokumentem, ale raczej swoistą podróżą przez ludzkie serce.

Żywię nadzieję, że przez tę fabularyzowaną opowieść zapoznam czytelników z postaciami sławnych sióstr. Dzień ich śmierci, 25 listopada, obchodzony jest w wielu krajach Ameryki Łacińskiej jako Międzynarodowy Dzień Eliminacji Przemocy wobec Kobiet.

W oczywisty sposób siostry Mirabal, które walczyły z jednym tylko tyranem, służą teraz za wzór kobietom walczącym z wszelkiego rodzaju niesprawiedliwością.

Vivan las Mariposas!

Tę książkę pomogli mi napisać:

Bernardo Vega

Minou

Dedé

Papi

Fleur Laslocky

Judy Yarnall

Shannon Ravenel

Susan Bergholz

Bill

Matka Boska z Altagracii

Dziękuję po stokroć!

Szczególnie pomocne w dostarczaniu informacji o faktach okazały się publikacje: *Minerva Mirabal* Williama Galvana i *Las Mariposas* Ramona Alberta Ferrerasa, jak również wiersz Pedra Mira *Amén de Mariposas*.